

KOCHAJACY MĄŻ  
CZY BEZDUSZNY ZABÓJCA?  
ONA POWINNA TO WIEDZIEĆ...

# WDOWA

Szokujący thriller psychologiczny.  
Przeczytałam jednym tchem.

W J ARLIDGE

FIONA BARTON



# WIDOWNA

FIONA BARTON

przekład Agata Ostrowska

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2016

## Spis treści

Okładka Strona tytułowa Strona redakcyjna Rozdział 1 Rozdział 2  
Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8  
Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział  
14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19  
Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział  
25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30  
Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział  
36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41  
Rozdział 42 Rozdział 43 Rozdział 44 Rozdział 45 Rozdział 46 Rozdział  
47 Rozdział 48 Rozdział 49 Rozdział 50 Rozdział 51 Rozdział 52  
Rozdział 53 Rozdział 54 Podziękowania

Tytuł oryginału:

*THE WIDOW*

Redakcja: Krystyna Podhajska

Projekt okładki: R. Shailer

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcie na okładce: Getty Images

Korekta: Maciej Korbański, Piotr Królak

Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © Fiona Barton 2016

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca,

2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-201-4

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

[sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Drodzy Czytelnicy!*

*Spędziłam wiele czasu na przyglądaniu się ludziom – nie tylko mimochodem, w kawiarniach czy na dworcach, ale też podczas pracy zawodowej. Jako dziennikarka należę do grupy zawodowych obserwatorów, „wyszkolonych podglądaczy” – natychmiast zauważam elementy mowy ciała lub charakterystyczne powiedzonka przesądzające o naszej indywidualności i zwracające uwagę otoczenia.*

*Przez lata przeprowadziłam wiele wywiadów z ofiarami i sprawcami przestępstw, z celebrytami i zwykłymi ludźmi, którzy doświadczyli tragedii lub wielkiego szczęścia. O dziwo, najlepiej zapamiętałam nie tych znajdujących się w świetle reflektorów, ale postaci drugo- i trzecioplanowe; wspomnienie odtwórców tych pozornie epizodycznych ról pozostało ze mną do dziś.*

*Kiedy uczestniczyłam w głośnych procesach dotyczących krwawych, straszliwych zbrodni z pierwszych stron gazet, często łapałam się na tym, że przyglądam się żonie oskarżonego i zastanawiam, o czym tak naprawdę wiedziała albo raczej – o czym chciała wiedzieć.*

*Na pewno wy też widzieliście ją w wiadomościach. Czasem trzeba uważnie się przyjrzeć, ale w końcu zawsze można ją tam znaleźć – w milczeniu stoi za mężem na schodach przed budynkiem sądu. On zapewnia o swojej niewinności, ona kiwa potakująco głową i mocno ściska go za ramię, bo w niego wierzy.*

*Co się jednak dzieje po wyłączeniu kamer, kiedy nikt już nie patrzy?*

*Nie mogę pozbyć się wizji dwójki ludzi: jedzą razem kolację, niczym każda inna para mieszkająca przy tej samej ulicy, ale nie odzywają się do siebie ani słowem. Słychać jedynie zgrzyt sztućców o porcelanę, a oni w milczeniu walczą z wątpliwościami próbującymi wcisnąć się przez szparę pod drzwiami ich domu na przedmieściach.*

*Pod nieobecność świadków opadają maski.*

*Chciałam, wręcz musiałam zrozumieć, jak taka kobieta radzi sobie z myślą, że jej mąż – ten, z kim miała spędzić życie – może być potworem.*

*I wtedy pojawiła się Jean Taylor. Właśnie ona jest tą cichą kobietą tak często widywaną na schodach wiodących do sądu, wypatrzoną przeze mnie żoną, która z twarzą pozbawioną wyrazu słucha zeznań męża.*

*W mojej pierwszej powieści Jean przedstawia i oficjalną, i osobistą relację o tym, jak szczęśliwe małżeństwo z ukochanym mężczyzną może wywrócić się do góry nogami, kiedy ginie dziecko, a na progu stają policja i tłumy dziennikarzy.*

*Mam nadzieję, że książka Wam się spodoba – mnie pisało się ją świetnie. Jestem niezmiernie wdzięczna Jean Taylor i wszystkim kobietom, które posłużyły mi za inspirację.*

*Fiona Barton*



*Dla Gary'ego, Toma i Lucy  
– bez nich to wszystko nie miałoby sensu.*

## Rozdział 1

*Środa, 9 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Słyszę, jak ciężkim krokiem zbliża się do domu. Wysokie obcasy z chrzęstem wbijają się w zwirową ścieżkę. Jest już prawie pod drzwiami. Zatrzymuje się na chwilę z wahaniem, odgarnia włosy z twarzy. Niezłe ciuchy – żakiet z dużymi guzikami, pod spodem porządna sukienka, a na głowie okulary. Na pewno nie świadek Jehowy ani laburzystka. Pewnie reporterka, ale nie ta co zwykle. To już druga dzisiaj, czwarta w tym tygodniu, a mamy dopiero środę. Mogę się założyć, że powie: „Przepraszam, że nachodzę panią w tak trudnych chwilach”. Wszyscy oni tak mówią i przybierają ten niby-współczujący wyraz twarzy. Jakby rzeczywiście coś ich to obchodziło.

Zobaczymy, czy zadzwoni drugi raz. Ten z rana zadzwonił. Niektórym wyraźnie nie chce się już próbować. Kiedy tylko zdejmą palec z dzwonka, odwracają się na pięcie i czym prędzej odcho dzą, wsiadają do samochodów i znikają. Mogą zameldować szefowi, że pukali, ale im nie otworzyła. Żałosne.

Najpierw dzwoni dwa razy, potem puka do drzwi głośno i stanowczo. Puk-puk-stuku-puk-puk. Jak policja. Zauważa mnie w szparze między firankami i uśmiecha się szeroko. Moja mama nazwałaby to hollywoodzkim uśmiechem. Potem znowu puka.

Kiedy otwieram drzwi, podnosi butelkę mleka z progu i wręcza mi ją ze słowami:

– Nie powinna pani zostawiać mleka na dworze, zepsuje się. Mogę wejść? Robi pani może herbatę?

Nie mogę odдыchać, a co dopiero odpowiedzieć. Ona znowu się uśmiecha i przekrzywia lekko głowę.

– Kate – przedstawia się. – Kate Waters, reporterka „Daily Post”.

– Jestem... – zaczynam, ale nagle dociera do mnie, że wcale o to

nie spytała.

– Wiem, kim pani jest, pani Taylor – odpowiada. W powietrzu wiszą słowa: „To pani jest tematem tygodnia”. – Nie stójmy tak w progu – dodaje i nie wie, kiedy wchodzi do środka.

Oszołomiona obrotem wydarzeń nie może wydusić słowa. Ona bierze moje milczenie bierze za zgodę, więc zanoszą butelkę mleka do kuchni i zaczyna parzyć herbatę. Idę za nią. W niewielkiej kuchni trochę nam ciasno. Kobieta krzyczy się – nalewa wodę do czajnika, otwiera wszystkie szafki po kolei w poszukiwaniu kubków i cukru – ja zaś stoję i nie próbuję jej powstrzymać.

Zagaduje mnie o zabudowę kuchenną.

– Piękna kuchnia, wygląda bardzo świeżo. Chciałabym taką mieć. Sami ją państwo wybrali?

Czuję się jak podczas pogawędki z koleżanką. Nie tak wyobrażałam sobie rozmowę z reporterką. Spodziewałam się raczej przesłuchania – jak na policji. Długiej, męczącej serii pytań. Tak mówił o tym Glen, mój mąż. Wszystko przebiega jednak zupełnie inaczej.

– Tak. Zdecydowaliśmy się na białe fronty z czerwonymi uchwytami, bo wyglądają schludnie – odpowiadam.

Stoję we własnej kuchni i dyskutuję z reporterką o szafkach. Glen dostałby szału.

– Tędy, prawda? – pyta, a ja otwieram drzwi do salonu.

Trudno powiedzieć, czy przeszkadza mi jej obecność, sama nie wiem, co czuję. Wydaje mi się, że nie wypada teraz protestować – przecież po prostu gawędzimy sobie przy herbacie. Może to śmieszne, ale całkiem pochlebia mi jej zainteresowanie. Pod nieobecność Glena często czuję się samotna w pustym domu.

Co więcej, Kate Waters najwyraźniej ma wszystko pod kontrolą. Całkiem przyjemnie czuć, że ktoś znowu przejął stery. Zaczynałam już wpadać w panikę, że od tej pory będę musiała sama sobie radzić, ale ona obiecuje, że wszystkim się zajmie.

Muszę tylko opowiedzieć jej o swoim życiu.

O moim życiu? Tak naprawdę wcale nie interesuje się mną. Nie zapukała przecież do drzwi, żeby wysłuchiwać historii o Jean Taylor. Chce poznać prawdę o nim. O Glenie. Moim mężu.

Mój mąż zginął trzy tygodnie temu. Przejechał go autobus przed supermarketem Sainsbury's. Właśnie stamtąd wychodziliśmy i on narzekał, że kupiłam nie takie płatki śniadaniowe, a chwilę później leżał martwy na drodze. Podobno odniósł obrażenia głowy. W każdym razie – umarł. Ja tylko stałam i patrzyłam na jego ciało. Ludzie biegali w tę i z powrotem, szukali koców. Na chodniku rozlała się plama krwi, ale niewielka. Byłby zadowolony. Nie lubił bałaganu.

Wszyscy obchodzili się ze mną jak z jajkiem, próbowali jak najszybciej zakryć ciało, żebym nie musiała go oglądać, ale ja cieszyłam się, że odszedł. Nareszcie koniec z tymi jego bzdurami.

## Rozdział 2

*Środa, 9 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

W szpitalu oczywiście pojawiła się policja. Sam komisarz Bob Sparkes pofatygował się na oddział ratunkowy, żeby wypytać mnie o Glena.

Nie powiedziałam nic ani jemu, ani innym policjantom. Oznajmiłam, że nie mam nic do dodania, że nie czuję się na siłach rozmawiać. Trochę popłakałam.

Komisarz Bob Sparkes od dawna jest ważną częścią mojego życia (to już ponad trzy lata), ale myślę, że może zniknie z niego wraz z tobą, Glen.

Oczywiście nie mówię tego wszystkiego Kate Waters. Siedzi w fotelu w moim salonie, obejmuje dłońmi kubek z herbatą i buja stopą.

– Jean – już nie zwraca się do mnie per pani – ostatni tydzień musiał być dla ciebie straszny. Zwłaszcza po wszystkim, co przeszłaś.

Nie odpowiadam, wbijam wzrok w swoje kolana. Ona nie ma pojęcia, co przeżyłam. Nikt tak naprawdę tego nie wie. Nie potrafiłam nikomu o tym opowiedzieć. Glen uznał, że tak będzie najlepiej.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, potem dziennikarka próbuje innej metody. Wstaje i bierze z kominka zdjęcie, na którym oboje jesteśmy roześmiani.

– Wyglądacie tu tak młodo – mówi. – To jeszcze przed ślubem?

Kiwam głową.

– Znaliście się od dawna? Poznaliście się w szkole?

– Nie, nie w szkole. Na przystanku autobusowym – odpowiadam.

– Był bardzo przystojny i dowcipny. Miałam siedemnaście lat, uczyłam się na fryzjerkę w Greenwich. On pracował w banku. Trochę starszy, nosił garnitury i eleganckie buty. Inny niż wszyscy.

Snuję romantyczną opowieść. Kate Waters bierze ją za dobrą

monetę. Gorliwie zapisuje wszystko w notatniku, raz po raz zerkając na mnie sponad tych swoich małych okularów i kiwając głową ze zrozumieniem. Mnie nie oszuka.

Tak naprawdę z początku Glen nie wydawał się szczególnie romantyczny. Nasze zaloty odbywały się głównie po ciemku – w kinie, na tylnym siedzeniu jego escorta, w parku – i w milczeniu. Do dziś jednak pamiętam pierwsze wyznanie miłości. Całe ciało zaczęło mnie szczytać, stałam się świadoma każdego fragmentu skóry. Pierwszy raz w życiu poczułam, że naprawdę żyję. Odparłam, że też go kocham. Do szaleństwa. Że nie mogę spać ani jeść, bo ciągle o nim myślę.

Snułam się po domu, a matka mówiła, że to tylko „fascynacja”. Nie do końca rozumiałam, co oznacza to słowo, ale wiedziałam, że każdą chwilę chcę spędzać z Glenem. On twierdził, że czuje to samo. Myślę, że mama była nieco zazdrosna, zaborcza. Uzależniona ode mnie.

– Ona jest za mało samodzielna, Jeanie – powiedział Glen. – To niezdrowe, wszędzie chodzić z córką.

Próbowałam wytłumaczyć mu, że mama boi się sama wychodzić z domu. Glen uważał to za przejaw egoizmu.

Bardzo się o mnie troszczył: w pubie zawsze szukał miejsca oddalonego od baru („Nie chcę, żeby przeszkadzał ci hałas”), w restauracji zamawiał za mnie, żebym poznawała nowe smaki („Posmakuj ci, Jeanie. Spróbuj”). Próbowałam więc i czasem te nowe smaki rzeczywiście mnie zachwyciły. A jeśli nie, nic nie mówiłam, żeby go nie urazić. Jeśli mu się sprzeciwiałam, przestawał się odzywać. Nie cierpiałam tych sytuacji. Czułam wtedy, że go zawiodłam.

Nigdy wcześniej nie spotykałam się z kimś takim jak Glen, z kimś, kto wiedział, co chce w życiu osiągnąć. Moi poprzedni chłopcy byli... cóż, właśnie chłopcami.

Kiedy dwa lata później Glen mi się oświadczył, nie uklęknął na jedno kolano. Przytulił mnie mocno i powiedział:

– Jesteś moja, Jeanie. Jesteśmy sobie pisani. Weźmy ślub.

Udało mu się już przekonać do siebie mamę. Przynosił jej kwiaty („Mały drobiazg dla drugiej kobiety mojego życia” – mówił, a ona śmiała się kokieteryjnie), zagadywał o ostatni odcinek *Coronation Street* albo o rodzinę królewską i mama bardzo go polubiła. Mówiła, że

szczęściara ze mnie, że dzięki niemu nabrałam wiary w siebie. Wiedziała, że będzie się o mnie troszczył. I rzeczywiście tak było.

– Jaki wtedy był? – pyta Kate Waters. Pochyliła się, żeby zachęcić mnie do mówienia. Wtedy. Ma na myśli czasy, zanim stało się wszystko co złe.

– Był cudownym człowiekiem. Czułym, zakochanym we mnie po uszy. Zrobiłby dla mnie wszystko – odpowiadam. – Ciągłe przynosił mi kwiaty i prezenty. Nazywał mnie tą jedyną. Zawrócił mi w głowie. Miałam przecież tylko siedemnaście lat.

Jest zachwycona. Zapisuje wszystko dziwnymi bazgrołami i znów patrzy na mnie. Próbuję powstrzymać się od śmiechu. Wrywa mi się parsknięcie, na szczęście brzmi raczej jak szloch. Kate wyciąga rękę i delikatnie dotyka mojego ramienia.

– Nie denerwuj się – mówi. – Już po wszystkim.

I ma rację. Koniec z policją, koniec z Glenem. Koniec z jego bzdurami.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy zaczęłam używać tego określenia. Samo zjawisko pojawiło się na długo przed tym, zanim znalazłam dla niego nazwę. Wcześniej zbyt pochłonęło mnie pilnowanie, by nasze małżeństwo było idealne. Huczne wesele w Charlton House stanowiło jego początek.

Rodzice uważali, że dziewiętnaście lat to zbyt młody wiek na małżeństwo, ale udało nam się ich przekonać. Właściwie to Glenowi się udało. Wykazał się taką determinacją i takim oddaniem, że ojciec w końcu wyraził zgodę i mogliśmy uczcić zaręczyny butelką lambrusco.

Na wesele jedynaczki rodzice wydali fortunę. Całymi dniami przeglądałam z mamą zdjęcia w magazynach ślubnych i marzyłam o wielkim dniu. Moim wielkim dniu. Kurczowo trzymałam się tej myśli, wypełniałam nią całe życie. Glen nie mieszał się do przygotowań.

– To twoja działka – mawiał ze śmiechem.

Brzmiało to tak, jakby i on miał swoją działkę. Zakładałam, że ma na myśli pracę – czasem nazywał siebie głównym żywicielem rodziny.

– Wiem, że to trochę staroświeckie, Jeanie, ale chcę się tobą zaopiekować. Jesteś jeszcze taka młoda, przed nami całe życie.

Zawsze snuł ambitne plany, opowieści o nich brzmiały wspaniale.

Zamierzał najpierw zostać kierownikiem oddziału, potem założyć firmę, zostać swoim własnym szefem i zarabiać masę pieniędzy. Oczyma wyobraźni widziałam go w eleganckim garniturze, z sekretarką i wielkim samochodem. Ja zaś miałam trwać u jego boku.

– Nie zmieniaj się, Jeanie. Kocham cię taką, jaka jesteś – powtarzał.

Kupiliśmy więc dom pod numerem 12 i wprowadziliśmy się tam po ślubie. Po tylu latach nadal w nim mieszkamy.

Ogródek przed domem wysypaliśmy żwirem, „żeby zaoszczędzić na koszeniu”, jak powiedział Glen. Ja wolałabym trawę, ale dla Glena liczyły się ład i porządek. Z początku nie układało nam się najlepiej. Byłam bałaganiarą, mama wiecznie musiała wyławiać spod mojego łóżka brudne talerze i pojedyncze skarpetki pokryte kłębami kurzu. Gdyby Glen to zobaczył, umarłby na miejscu.

Do dziś pamiętam jego mocno zaciśnięte zęby i oczy zwężone w szparki, kiedy – niedługo po ślubie – zobaczył, że po kolacji dłonią zgarnęłam okruchy ze stołu na podłogę. Nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy – wcześniej bezwiednie robiłam to setki razy. Nie powtórzyłam tego już nigdy więcej. Tak naprawdę dobrze mi to zrobiło: Glen nauczył mnie dbania o dom. Jak wspomniałam, lubił ład i porządek.

Na początku naszego wspólnego życia Glen nieustannie opowiadał mi o pracy w banku – o swoich obowiązkach, o podwładnych, którzy nie poradziłiby sobie bez niego, o żartach, jakie robili sobie nawzajem z kolegami, o nieznośnym szefie („Ma strasznie wysokie mniemanie o sobie, Jeanie”), o współpracownikach: Joy i Liz z administracji, pryszczatym kasjerze Scotcie, który przy każdej okazji oblewa się rumieńcem, stażystce May, która ciągle robi coś nie tak. Uwielbiałam go słuchać, poznawać historie z jego świata.

Też pewnie czasem opowiadałam mu o pracy, tylko że jakoś zawsze szybko wracaliśmy do spraw w banku.

– Bycie fryzjerką to może i nie jest najciekawsze zajęcie świata – powtarzał – ale tobie idzie świetnie. Jestem z ciebie dumny, Jeanie.

Mówił, że chce mi pomóc polubić samą siebie. I udało mu się to. Dzięki jego miłości czułam się bezpiecznie.



Kate Waters patrzy na mnie i znowu kiwa głową. Muszę przyznać, że jest niezła. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z dziennikarzami – chyba że kazałam im zostawić mnie w spokoju – co dopiero mówić o wpuszczeniu reportera do domu. Od lat przychodzili pod moje drzwi, lecz do dziś żaden nie dostał się do środka. Glen tego dopilnował.

Teraz jednak go nie ma, a Kate Waters wydaje mi się inna niż pozostali. Powiedziała, że czuje między nami „prawdziwą więź”, jakbyśmy znały się od lat. Wiem, co ma na myśli.

– Jego śmierć musiała być dla ciebie strasznym szokiem – mówi i znów lekko ściska moje ramię.

W milczeniu kiwam głową.

Nie mogę opowiedzieć jej o tych wszystkich bezsennych nocach, kiedy marzyłam o śmierci Glena. Może nawet nie tyle o śmierci – nie życzyłam mu bólu ani cierpienia – ile o tym, żeby po prostu zniknął. Wyobrażałam sobie telefon z policji.

– Pani Taylor? – zapytałby niski głos w słuchawce. – Bardzo mi przykro. Mam złe wieści.

Oczekiwanie na następne zdanie niemal mnie śmieszyło.

– Obawiam się, że pani mąż zginął w wypadku.

Potem oczyma wyobraźni widziałam, bardzo realistycznie, jak wybucham płaczem i wybieram numer jego matki, by przekazać jej tragiczną wiadomość.

– Mary – powiedziałabym – bardzo mi przykro. Mam złe wieści. Glen nie żyje.

Słyszę, jak zaskoczona zachłystuje się powietrzem. Czuję jej ból, współczucie przyjaciół i rodziny z powodu mojej straty. A potem ukryty dreszczyk podniecenia.

Ja jako pogrążona w żałobie wdowa. Nawet mnie nie rozśmieszajcie.

Rzecz jasna, kiedy rzeczywiście do tego doszło, nie wydawało się to tak prawdziwe jak moje wyobrażenia. Przez chwilę zdawało mi się, że słyszę w głosie teściowej porównywalną z moją ulgę, że to wszystko się skończyło, potem jednak odłożyła słuchawkę, łkając za swoim synem. Nie miałam już przyjaciół, rodziny została mi garstka.

Kate Waters szczebiocze, że musi skorzystać z łazienki, a przy

okazji dorobi nam herbaty. Nie protestuję, podaję jej swój kubek i pokazuję drogę do toalety dla gości. Po jej wyjściu szybko obrzucam wzrokiem cały pokój, żeby upewnić się, że na wierzchu nie leżą żadne rzeczy Glena. Żadnych pamiątek, które mogłaby ukraść. Glen mnie ostrzegał, opowiadał najróżniejsze historie o dziennikarzach. Słyszę dźwięk spłuczki. Wkrótce reporterka wraca z tacą; znów zaczyna opowiadać, jak wyjątkowa ze mnie kobieta, tak wierna i lojalna.

Nie mogę oderwać wzroku od naszego zdjęcia ślubnego – wisi nad kominkiem gazowym. Wyglądamy na nim bardzo młodo, jak dzieci przebrane w stroje rodziców. Kate Waters zauważa moje spojrzenie i zdejmuję zdjęcie ze ściany.

Przysiada na poręczu mojego fotela i razem przyglądamy się fotografii. 6 września 1989 roku. Dzień, w którym stanęliśmy przed ołtarzem. Sama nie wiem, czemu zaczynam płakać – to pierwsze szczere łzy od czasu śmierci Glena. Kate Waters obejmuje mnie ramieniem.

## Rozdział 3

*Środa, 9 czerwca 2010 roku*

### **Reporterka**

Kate Waters wierciła się w fotelu. Żałowała wypitej wcześniej kawy – teraz, kiedy jeszcze poprawiła herbatą, pęcherz zaczął nadawać sygnały alarmowe. Chyba będzie musiała zostawić Jean Taylor samą z jej myślami. Na tym etapie to nie najlepszy pomysł, zwłaszcza że Jean wyraźnie ucichła i popijała herbatę ze wzrokiem utkwionym w dal. Kate rozpaczliwie nie chciała zerwać nici porozumienia, jaka się między nimi zawiązała. Sytuacja wymagała niezwyklej ostrożności – wystarczyło na chwilę stracić kontakt wzrokowy, żeby atmosfera uległa diametralnej zmianie.

Steve, jej mąż, porównał kiedyś jej pracę do tropienia zwierzyny łownej. Wypił do kolacji o jedną lampkę wina za dużo i zaczął popisywać się przed gośćmi.

– Podchodzi ich coraz bliżej i bliżej, podkarmia miłym słowem i dowcipem, kusi honorarium, szansą na przedstawienie swojej wersji wydarzeń, aż w końcu jedzą jej z ręki. To wielka sztuka – opowiadał znajomym zgromadzonym przy stole w ich jadalni.

Tego wieczoru zaprosili na kolację jego kolegów z pracy, z oddziału onkologii. Kate siedziała z profesjonalnym uśmiechem przyklejonym do twarzy i wybąkała tylko:

– No wiesz co, kochanie, chyba masz świadomość, że wcale tak nie jest..

Goście wymieniali nerwowe uśmieszki i sączyli wino. Kiedy przyszła pora na zmywanie, z wściekłością ciskała naczynia do zlewu, zalewając całą podłogę pianą. Wtedy Steve objął ją i pocałował na zgodę.

– Wiesz przecież, że cię podziwiam, Kate – powiedział. – Jesteś świetna w swoim fachu.

Odwzajemniła pocałunek, choć zdała sobie sprawę, że miał rację. Jej praca nieraz przypominała grę albo uwodzicielski taniec, opierała się na nawiązaniu błyskawicznej więzi z podejrzliwym, czasem nawet wrogim nieznanym. Uwielbiała to. Kochała zastrzyk adrenaliny, kiedy pierwsza stawała na czyimś progu, zostawiając peleton w tyle, naciskała dzwonek i słyszała dobiegające z domu odgłosy, obserwowała przez matową szybę zbliżającą się sylwetkę, a w chwili otwarcia drzwi zaczynała grać swoją rolę.

Reporterzy mieli różne strategie postępowania w takich sytuacjach. Znajomy, który kiedyś razem z nią przygotowywał się do zawodu, przybierał wygląd zbitego psiaka, żeby wzbudzić współczucie. Jedna z koleżanek zawsze zrzucała winę na naczelnego za to, że kazał jej znowu zapukać, inna zaś wepchała raz sobie poduszkę pod sweter, symulując ciążę, i zapytała, czy może skorzystać z toalety.

To wszystko nie w jej stylu. Kate miała własne zasady: uśmiechać się, nie stać zbyt blisko drzwi, nie zaczynać od przeprosin i odwrócić uwagę od faktu, że zbiera materiał do artykułu. Zdarzało jej się już stosować sztuczkę z butelką mleka, ale coraz rzadziej spotykało się mleczarzy. Była z siebie bardzo zadowolona – udało jej się wejść za próg bez większego problemu.

Prawdę mówiąc, wcale nie chciała tu przychodzić. Wolałaby jak najszybciej wrócić do redakcji i wypełnić wnioski o zwrot kosztów służbowych, zanim przyjdzie wyciąg z karty kredytowej i wyczyści jej konto. Naczelnny, Terry Deacon, nie chciał jednak nawet o tym słyszeć.

– Zapukaj do wdowy, masz po drodze – krzyczał do słuchawki, próbując zagłuszyć serwis informacyjny z ustawionego na cały regulator radia. – Nigdy nie wiadomo. Dziś może być ten dzień.

Westchnęła. Terry nie musiał tłumaczyć, kogo ma na myśli. W tym tygodniu boje toczyły się o wywiad z jedną tylko wdową. Wiedziała też, że to mocno wydeptana ścieżka. Troje innych pracowników „Posta” już próbowało – musiała być ostatnim dziennikarzem w kraju stającym pod tymi drzwiami. Prawie ostatnim.

Przy skrócie w ulicę, na której stał dom Jean Taylor, Kate odruchowo się rozejrzała i od razu dostrzegła reportera z „The Times” stojącego obok samochodu. Nudny krawat, łaty na łokciach, przedziałek

z boku. Standard. Powoli posuwała się naprzód w sznurze wlokących się samochodów i nie spuszczała przeciwnika z oka. Będzie musiała zrobić rundkę po okolicy, licząc na to, że facet w końcu sobie pojedzie.

– Niech to szlag – rzuciła pod nosem. Włączyła lewy kierunkowskaz i zaparkowała w bocznej uliczce.

Przejrzała gazety, a po kwadransie z powrotem zapięła pasy i odpaliła silnik. Wtedy zadzwoniła komórka – musiała długo grzebać w torbie, żeby ją znaleźć. W końcu wyłowiła telefon z samego dna, zobaczyła na wyświetlaczu numer Boba Sparkesa i wyłączyła silnik.

– Cześć, Bob, co słyhać? Coś się stało?

Komisarz Bob Sparkes na pewno czegoś chciał: co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Nie należał do ludzi, którzy dzwonią, żeby sobie pogadać. Mogła się założyć, że rozmowa nie potrwa dłużej niż minutę.

– Cześć, Kate. U mnie w porządku, dzięki. Jak zwykle masa roboty. Mam teraz parę spraw, nic ciekawego. Słuchaj, ciągle zajmujesz się Glenem Taylorem?

– Jezu, Bob, śledzisz mnie? Właśnie mam zapukać do drzwi Jean Taylor.

Sparkes się roześmiał.

– Nie martw się, z tego co wiem, nikt od nas cię nie obserwuje.

– Powinnam coś wiedzieć? – zapytała Kate. – Pojawiły się jakieś nowe informacje po śmierci Taylora?

– Nie, nic – w jego głosie pobrzmiwał wyraźny zawód. – Myślałem, że może ty coś wiesz. Daj mi znać, jeśli Jean coś ci powie. Będę wdzięczny.

– Zadzwonię potem – odparła. – Ale pewnie zatrzśnie mi drzwi przed nosem. Tak przynajmniej było z innymi reporterami.

– Okej, pogadamy później.

Koniec. Rzuciła okiem na ekran telefonu i uśmiechnęła się pod nosem. Czterdzieści jeden sekund. Nowy rekord. Nie omieszka mu tego wypomnieć przy najbliższej okazji.

Pięć minut później wjechała w nieokupowaną już przez media ulicę i pokonała ścieżkę prowadzącą do domu Jean Taylor.

Teraz naprawdę potrzebowała jej relacji.

„Na miłość boską, skup się!” – myślała, wbijając paznokcie w dłoń, żeby odwrócić swoją uwagę od pełnego pęcherza. Nic z tego.

– Jean, czy mogłabym skorzystać z toalety? – zapytała w końcu z przepaszającym uśmiechem. – Herbata praktycznie od razu przez człowieka przelatuje, prawda? Zaparzę nam jeszcze po jednej, jeśli masz ochotę.

Jean skinęła głową, wstała i pokazała jej drogę.

– Tutaj – powiedziała i usunęła się na bok, by wpuścić Kate do ubikacji o brzoskwiniowych ścianach.

Myjąc ręce pachnącym mydłem dla gości, Kate zerknęła na swoje odbicie w lustrze i pomyślała, że wygląda na nieco zmęczoną. Wygładziła niesforne włosy i opuszkami palców poklepała worki pod oczami zgodnie z radą kosmetyczki, do której chodziła czasem na maseczkę.

Stała sama w kuchni, czekała aż woda w czajniku się zagotuje i z nudów przyglądała się zapiskom i magnesom na lodówce. Listy zakupów i pamiątki z wakacji – nic szczególnego. Na zdjęciu z nadmorskiej restauracji uśmiechnięci Taylorowie wznosili kieliszki w stronę aparatu. Glen, ciemnowłosy i rozczochrany, miał na ustach wakacyjny uśmiech. Jean, starannie uczesana na tę okazję, z ciemnoblonde włosami schludnie zatkniętymi za uszy i eleganckim makijażem lekko rozmazanym z powodu upału, patrzyła z ukosa na męża.

„Z uwielbieniem czy strachem?” – zastanawiała się Kate.

Ostatnie kilka lat wyraźnie odbiło się na wyglądzie kobiety z fotografii. Jean siedziała teraz w bojówkach, luźnej koszulce i swetrze, kosmyki jej włosów wymykały się z niedbałego kucyka. Steve często podśmiewał się, że Kate zauważa takie drobiazgi, ale tego wymagał od niej ten zawód.

– Jestem wyszkoloną podglądaczką – żartowała.

Uwielbiała zwracać uwagę na drobne, lecz niezwykle wymowne szczegóły. Od razu spostrzegła szorstką, spękaną skórę dłoni Jean („Ręce fryzjerki” – pomyślała) i poobgryzane z nerwów skórki wokół paznokci.

Zmarszczki wokół oczu wdowy mówiły same za siebie.

Kate wyjęła telefon i sfotografowała zdjęcie z wakacji. Zauważyła, że kuchnia jest nieskazitelnie czysta – nie to co u niej, gdzie nastoletni synowie nagminnie zostawiali za sobą szlak resztek po niedojedzonym śniadaniu: brudne kubki z kawą, kwaśniejące mleko, nadgryzione grzanki, odkręcony słoik dżemu z wetkniętym nożem... No i oczywiście uświnione stroje piłkarskie gnijące na podłodze.

Czajnik wyłączył się z cichym kliknięciem, a wraz z nim myśli o domu. Zaparzyła herbatę i zaniósła tacę z kubkami do pokoju.

Jean nieobecny wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń i obgryzała kciuk.

– Od razu lepiej – stwierdziła Kate i opadła na fotel. – Przepraszam za przerwę. Na czym skończyliśmy?

Musiała przyznać, że zaczynała się niepokoić. Spędziła z Jean prawie godzinę, zapisała niemal cały notes krótszymi i dłuższymi historiami z jej dzieciństwa i pierwszych lat małżeństwa, jednak nic więcej. Za każdym razem, kiedy udawało jej się nieco zbliżyć do sedna, Jean zmieniała temat na bezpieczniejszy. Wdały się nawet w długą dyskusję o problemach wychowawczych. Potem Kate odebrała w końcu telefon od uporczywie wydzwaniającego naczelnego.

Terry dał wyraz swojej radości, kiedy dowiedział się, gdzie jest Kate.

– Doskonale! – zawołał do słuchawki. – Dobra robota. Czego się dowiedziałas? Kiedy możesz oddać tekst?

Pod czujnym wzrokiem Jean Taylor, Kate wymamrotała tylko:

– Poczekaj chwilę, Terry. Strasznie tu kiepski zasięg – i wymknęła się do ogrodu na tyłach domu, kręcąc przy tym głową w udawanej irytacji.

– Na miłość boską, Terry, siedziała tuż obok mnie. Nie mogę teraz rozmawiać – wysyczała. – Szczerze mówiąc, idzie nam dość opornie, choć mam wrażenie, że zaczyna mi ufać. Potrzebuję czasu.

– Podpisała umowę? – zapytał Terry. – Niech podpisze, potem będziemy mogli się nie śpieszyć.

– Nie chcę za bardzo nalegać, żeby jej nie zniechęcić, Terry. Zrobię, co w mojej mocy. Pogadamy później.

Kate z całej siły wcisnęła wyłącznik i zaczęła rozważać następny

ruch. Może powinna od razu powiedzieć o pieniądzach? Herbatę i współzucie mogła odhaczyć, pora kończyć z owijaniem w bawełnę.

Może Jean nie powodziło się najlepiej po śmierci męża?

W końcu nie zarabiał już na dom. Ale też nie mógł powstrzymać jej od mówienia.



## Rozdział 4

*Środa, 9 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Ona siedzi tu od godziny. Jeszcze nie tak dawno temu od razu bym ją wyprosiła. Do tej pory nie miałam oporów przed posyłaniem dziennikarzy do diabła. To nietrudne, skoro są tacy nieuprzejmi. Pukają, witają się i od progu puszczają serię pytań. Okropnych, niedyskretnych pytań. Kate Waters nie porusza trudnych kwestii, przynajmniej na razie.

Omówiłyśmy masę najróżniejszych tematów: kiedy kupiliśmy z Glenem dom, ceny nieruchomości na przedmieściach, jakie zmiany i ulepszenia wprowadziliśmy, ceny farb, jaka jest okolica, gdzie dorastałam i chodziłam do szkoły, i tak dalej. Przytakuje każdemu mojemu słowu: „W mojej szkole było tak samo! Nie znosiłam nauczycieli, ty też?” Coś w tym rodzaju. Czuję się, jakbym gadała z koleżanką. Jakby nic nas nie różniło. To całkiem sprytne. Pewnie zawsze tak robi podczas wywiadu.

W sumie nie wydaje się taka zła. Mogłabym ją nawet polubić. Ma poczucie humoru i sprawia wrażenie dobrej osoby, ale może to tylko gra. Opowiada o mężu (nazywa go swoim „starym”), że musi potem do niego zadzwonić i uprzedzić o ewentualnym późnym powrocie. Nie wiem za bardzo dlaczego – jeszcze nawet nie ma pierwszej, a ona mieszka pół godziny drogi stąd – ale każę jej od razu zatelefonować, żeby się nie martwił. Glen na pewno by się niepokoił. Urządziłby mi awanturę, gdybym nie uprzedziła go, że się spóźnię.

– To nie fair w stosunku do mnie, Jeanie – powiedziałyby.

Nie mówię jej tego.

Kate śmieje się tylko i stwierdza, że stary już się przyzwyczaił. Mimo to będzie marudził, że musi zająć się dziećmi. Mówi, że ma dwóch nastolatków, starszego Jake’a i młodszego Freddiego, bezczelnych i pyskatych.

– Powinien ugotować kolację – mówi – ale założę się, że zamówi pizzę. Chłopaki będą zachwycone.

Dzieciaki podobno doprowadzają ich do szału, bo w ogóle nie sprzątają w swoich pokojach.

– Żyją jak w chlewie, Jean – mówi. – Nie uwierzyłybyś, ile misek po płatkach znalazłam w pokoju Jake’a. Praktycznie całą zastawę. Co tydzień gubią skarpetki. Nasz dom stoi chyba w jakimś odzieżowym trójkącie bermudzkim – i znowu wybucha śmiechem, bo tak naprawdę kocha ich niezależnie od bałaganiarstwa.

Ja myślę tylko o jednym: Jake i Freddie, ładne imiona. Odkładam je na później do swojej kolekcji i kiwam głową, jakbym rozumiała, co czuje Kate. Ale nie mogę zrozumieć, prawda? Chciałabym mieć jej problemy. Chciałabym móc ponarzekać na swojego nastolatka.

Tymczasem słyszę, że z moich ust wydobywają się słowa:

– Glen nie był zachwycony, kiedy zdarzało mi się trochę zaniedbać dom.

Chciałam chyba pokazać jej, że też mam problemy, że jestem taka jak ona. Co za głupota! Czy mogłabym być taka jak ona? Taka jak ktokolwiek inny? Ja?

Glen zawsze powtarzał, że jestem inna. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, ciągle się mną chwalił przed kolegami. Nie potrafiłam tego zrozumieć. Pracowałam w salonie fryzjerskim Hair Today, gdzie przez cały dzień zajmowałam się myciem włosów i parzeniem kawy dla kobiet w średnim wieku. Myślałam, że fryzjerstwo będzie przyjemnym, może nawet prestiżowym zawodem. Spodziewałam się, że będę tworzyć wspaniałe fryzury, wyznaczać nowe trendy, jednak jako siedemnastolatka zaczynałam na samym dole.

– Jean! – wołała Lesley, właścicielka. – Umyj głowę klientce, a potem pozamiataj. – Żadnego „proszę” ani „dziękuję”.

Klientki były w porządku. Chętnie opowiadały mi, co u nich nowego, i zwierzały się z problemów, bo potrafiłam słuchać i – w przeciwieństwie do Lesley – nie próbowałam udzielać im rad. Potakiwałam z uśmiechem i myślałam o czymś innym, a one trajkotały o wnuczku wachającym klej czy sąsiadce, która podrzuca im psie kupy do ogródka. Zdarzało się, że przez wiele dni nie wyraziłam opinii

bardziej zdawkowej niż: „Mhm, to ciekawe” albo zmyślałam plany wakacyjne, żeby podtrzymać rozmowę. Robiłam swoje. Chodziłam na kursy, nauczyłam się strzyc i farbować, w końcu dorobiłam się własnych klientek. Nie zarabiałam kokosów, jednak o zmianie fachu nie mogło być mowy: nie nadawałam się do niczego innego. W szkole nie przykładalam się do nauki. Mama mówiła znajomym, że mam dysleksję, w rzeczywistości po prostu nie ciągnęło mnie do książek.

Potem pojawił się Glen i nagle okazałam się „wyjątkowa”.

W pracy niewiele się zmieniło, tyle że nie mogłam spotykać się z pozostałymi trzema dziewczynami, bo Glen nie chciał, żebym wychodziła bez niego. Mówił, że tamte nie mają chłopaków, więc chcą się tylko upić i z kimś przespać. Pewnie się nie mylił, o ile mogłam wierzyć ich poniedziałkowym opowieściom. Przez jakiś czas się wykręcałam, aż w końcu przestały mnie zapraszać.

Lubiłam pracę, bo nie wiązała się z żadnym stresem, pozwalała nawet myśleć o niebieskich migdałach. Czułam się bezpiecznie, otoczona zapachem kosmetyków i prostowanych włosów, wśród rozmów, szumu wody i huku suszarek, a przede wszystkim dzięki rutynie i przewidywalności. Terminy wizyt, zapisywane w zeszycie tępym ołówkiem, wyznaczały rytm mojego dnia.

O wszystkim decydowano za mnie, nawet o stroju – obowiązywały czarne spodnie i biała koszulka. Za to w soboty musiałyśmy wkładać dzinsy.

– To uwłacza twojemu doświadczeniu. Jesteś stylistką, nie praktykantką, Jeanie – mówił Glen.

Dla mnie jednak znaczyło to, że przez większość tygodnia nie musiałam się zastanawiać, w co się ubrać ani co robić. Wcale mi to nie przeszkadzało.

W salonie wszyscy uwielbiali Glena. Przychodził po mnie w soboty, opierał się o ladę i rozmawiał z Lesley. Mój Glen tak dużo wiedział! Znał się na interesach. Potrafił też każdego rozbawić, nawet kiedy rozmowa dotyczyła poważnych tematów.

– Bystry ten twój mąż – mawiała Lesley. – I jaki przystojny! Szczęściara z ciebie, Jean.

Wiedziałam, że nie potrafi zrozumieć, dlaczego Glen mnie wybrał.

Sama czasem nie mogłam w to uwierzyć. Kiedy mu to mówiłam, wybuchał śmiechem i mocno mnie przytulał.

– Masz wszystko, czego chcę – mówił.

Nauczył mnie widzieć rzeczy takimi, jakie są naprawdę. Myślę, że pomógł mi dorosnąć.

Po ślubie nie miałam pojęcia o kosztach prowadzenia domu, więc Glen co tydzień dawał mi pieniądze na życie i kazał zapisywać wydatki. Potem siadaliśmy razem nad zeszytem, a on wszystko podliczał. Tyle się od niego nauczyłam!

Kate znowu coś mówi, ale umknął mi początek. Coś o jakiejś umowie i o pieniądzach.

– Przepraszam – mówię – na chwilę zupełnie odpłynęłam.

Ona uśmiecha się wyrozumiale i pochyla w moją stronę.

– Wiem, że to musi być dla ciebie bardzo trudne, Jean. Dzień i noc użerać się z dziennikarzami koczującymi pod domem. Jedyne sposoby, żeby się ich pozbyć, to udzielić w końcu wywiadu. Stracą zainteresowanie i dadzą ci święty spokój.

Kiwam głową na znak, że słucham. Kate bierze mój gest za zgodę i nie może ukryć entuzjazmu.

– Zaczekaj – mówię, lekko spanikowana. – Nie powiedziałam jeszcze ani tak, ani nie. Muszę to przemyśleć.

– Oczywiście chętnie zapłacimy, żeby wynagrodzić ci poświęcony nam czas i wspomóc w trudnych chwilach – dodaje szybko.

To śmieszne, jak ostrożnie dobiera słowa. Wynagrodzić! Zrobią ze mnie płatnego donosiciela? Cóż, ta cała Kate nie może mnie obrazić.

W ostatnich latach dostałam wiele takich propozycji, stawki sięgały poziomu głównej wygranej w kumulacji lotka. Gdybyście widzieli listy, jakie reporterzy wrzucali mi do skrzynki! Tak pełne fałszu, że aż się rumieniłam. Mimo wszystko to chyba lepsze niż listy z pogrózkami.

Niektórzy wydzierają z gazet artykuły o Glenie i piszą na nich dużymi literami wielokrotnie podkreślone słowo p o t w ó r. Czasem podkreślają je tak mocno, że długopis przebija papier.

Można więc powiedzieć, że reporterzy zachowują się dokładnie na odwrót. Ich listy też jednak przyprawiają mnie o mdłości.

„Szanowna Pani” – czasem po prostu „Jean” – „mam nadzieję, że

w tak trudnym dla Pani okresie nie urazi Pani mój list, bla bla bla. Wiele o Pani napisano, chcielibyśmy jednak umożliwić Pani przedstawienie swojej wersji wydarzeń, bla bla bla”. Glen zawsze czytał te listy zabawnym głosem, śmialiśmy się i chowałam je do szuflady. Wtedy jeszcze żył. Teraz nie miałam z kim podzielić się tymi propozycjami. Patrzę z powrotem na herbatę. Wystygła, na powierzchni zrobił się kożuch. Glen zawsze upiera się przy tłustym mleku. Upierał się. Teraz mogę kupować odtłuszczone. Uśmiecham się do Kate.

Ona próbuje właśnie sprzedać mi swoją gazetę jako niezwykle rzetelną, odpowiedzialną i Bóg wie jaką jeszcze, więc bierze mój uśmiech za dobry znak. Proponuje, że na kilka dni umieści mnie w hotelu.

– Żebyś mogła odpocząć od pozostałych dziennikarzy i całej tej presji – tłumaczy. – Żebyś się trochę odprężyła, Jean.

Myślę, że przydałby mi się relaks.

Jak na zawołanie odzywa się dzwonek do drzwi. Kate wygląda przez firanki i szepcze:

– Cholera, Jean, to ten facet z telewizji lokalnej. Bądź cicho, to sobie pójdzie.

Posłusznie wykonuję polecenie. Jak zwykle. W pewnym sensie ona zastępuje mi Glena. Wszystko kontroluje. Chroni mnie przed ludźmi z prasy. Tyle że ona jest jedną z nich. Jezu, siedzę w jednym pokoju z wrogiem.

Odwracam się, żeby coś powiedzieć. Wtem znów rozlega się dzwonek. Klapka na listy podnosi się z brzękiem.

– Pani Taylor? – krzyczy ktoś do pustego przedpokoju. – Proszę pani! Jim Wilson z Capital TV. Zajmę pani tylko minutkę. Chcę zamienić dwa słowa. Jest pani w domu?

Kate i ja wymieniamy spojrzenia. Wydaje się bardzo spięta. To dziwne uczucie: patrzeć, jak ktoś inny przechodzi przez to, przez co ja muszę przechodzić dwa, trzy razy dziennie. Chcę jej powiedzieć, że nauczyłam się po prostu milczeć. Czasem nawet wstrzymuję oddech, żeby nie usłyszeli najdrobniejszego szmeru. Kate nie potrafi usiedzieć bez ruchu, po chwili wyjmuję komórkę.

– Telefon do przyjaciela? – pytam, próbując rozładować napięcie.

Oczywiście facet z telewizji mnie słyszy.

– Wiem, że pani tam jest! Proszę otworzyć drzwi. Obiecuję, że zajmę pani tylko chwilę. Chcę tylko z panią porozmawiać. Chcemy umożliwić pani...

Kate nagle krzyczy:

– Spierdalaj!

Patrzę na nią zaskoczona. Glen nigdy nie pozwoliłby kobiecie używać takich słów w swoim domu. Ona odwzajemnia spojrzenie i bezgłośnie przeprosza, po czym przykłada palec do ust. Dziennikarz rzeczywiście spierdala.

– Skuteczne – kwituję.

– Wybacz, oni tylko taki język rozumieją – odpowiada ze śmiechem.

Ma przyjemny śmiech, wydaje się szczery. Dawno nie słyszałam tego dźwięku.

– Zajmijmy się teraz sprawą hotelu, zanim przylezie tu następny reporter – kontynuuje Kate.

Potakuję. Ostatni raz spałam w hotelu, kiedy wybraliśmy się z Glenem na weekend do Whitstable, ładnych kilka lat temu. W 2004 roku, na piętnastą rocznicę.

– To prawdziwy kamień milowy, Jeanie – powiedział. – Dłużej niż wyrok za napad z bronią w rękę. – Lubił żartować.

Do Whitstable jedzie się zaledwie godzinę. Zatrzymaliśmy się w uroczym hotelu przy plaży, zjedliśmy rybę z frytkami w eleganckiej restauracji i przespacerowaliśmy się kamienistą plażą. Zbierałam płaskie kamienie, Glen puszczał kaczki i wspólnie liczyliśmy, ile razy podskoczyły na falach. Żagle głośno waliły o maszty małych łódek, wiatr kompletnie zburzył mi fryzurę, ale chyba czułam się wtedy naprawdę szczęśliwa. Glen nie mówił za wiele, wystarczał mu spacer. Ja cieszyłam się, że poświęca mi czas i uwagę.

Szczerze mówiąc, Glen zaczynał znikać z mojego życia. Niby nadal był przy mnie, ale nie do końca, jeśli wiecie, co mam na myśli. To nie mnie, tylko swój komputer traktował jak żonę – później się okazało, że pod wszystkimi względami. Używał nawet specjalnej kamerki, żeby jego rozmówcy mogli go widzieć. Oni też mieli taki sprzęt, chociaż

przez słabe oświetlenie wszyscy wyglądali w obiektywie jak trupy. Jak zombie. Nie wtrącałam się w to. W jego bzdury.

– Co ty tam robisz przez cały wieczór? – pytałam.

On tylko wzruszał ramionami i mówił:

– Rozmawiam ze znajomymi. Nic ciekawego.

Spędzał na tym całe godziny. Wiele godzin.

Czasem, kiedy budziłam się w nocy, nie leżał przy mnie w łóżku. Z pokoju gościnnego dobiegał jego głos, ale wiedziałam, że nie powinnam mu przeszkadzać. Kiedy robił coś na komputerze, nie byłam mile widziana. Jeśli przynosiłam mu kawę, musiałam wcześniej zapukać. Twierdził, że niepotrzebnie go straszę, wchodząc tak nagle do pokoju. Pukałam więc, a on wyłączał monitor i brał ode mnie kubek.

– Dziękuję – mówił.

– Robisz coś ciekawego? – pytałam.

– Nie – odpowiadał. – To co zwykle.

Koniec rozmowy. Nigdy nie używałam komputera, to była zdecydowanie jego działka. Ale chyba zawsze wiedziałam, że coś jest na rzeczy. Wtedy zaczęłam nazywać to jego bzdurami. Dzięki temu mogłam mówić o tym na głos. Nie podobało mu się to określenie, ale nie mógł protestować, prawda? Takie niewinne słowo. Bzdura. Coś i nic. Tylko że to nie było nic. Świństwa, jakich nikt nie powinien oglądać pod żadnym pozorem, a co dopiero za pieniądze.

Kiedy policja znalazła te rzeczy na jego komputerze, twierdził, że to nie jego.

– Odkryli pliki, których nie ściągałem. Okropne dane same zapisują się na dysku, kiedy przeglądasz inne strony – twierdził. Nie miałam zielonego pojęcia o Internecie ani o dyskach. Pewnie rzeczywiście mogło tak być, czemu nie?

– Wciąż niesłusznie kogoś oskarżają, Jeanie – tłumaczył. – Co tydzień piszą o tym gazety. Kradną ludziom numery kart kredytowych i potem płacą cudzymi pieniędzmi na takich stronach. Powiedziałem to policji.

Milczałam, więc dodał:

– Nie wiesz nawet, jak to jest, kiedy niesłusznie oskarżają cię o coś takiego. Okropne uczucie.

Pogłaskałam go po ramieniu, a on złapał mnie za rękę.

– Napijmy się herbaty, Jeanie – zaproponował.

Poszedł do kuchni i nastawił czajnik.

Kiedy wyjmowałam mleko z lodówki, zapatrzyłam się na zdjęcia przyczepione na jej drzwiach: wystrojeni bawimy się na imprezie sylwestrowej, malujemy sufit w salonie opryskani magnoliową farbą, my na wakacjach, my na festynie. My. Zgrany duet.

– Nie martw się, Jeanie. Masz mnie – zwykł mówić, kiedy wracałam do domu po ciężkim dniu albo kiedy spotkało mnie coś złego.

– Jesteśmy drużyną.

I rzeczywiście. Stawka była zbyt wysoka, żebyśmy mogli się rozstać.

Poza tym sprawy zaszły tak daleko, że nie mogłabym go zostawić. Skłamałam na jego prośbę.

Nie po raz pierwszy. Zaczęło się od telefonów do banku – twierdziłam, że Glen źle się czuje, kiedy nie chciało mu się iść do pracy. Potem zgłosiłam rzekome zgubienie karty kredytowej – wpadliśmy w tarapaty finansowe, a dzięki temu bank mógł umorzyć część długu.

– Nikomu nie robimy krzywdy, Jeanie – przekonywał mnie. – No proszę, tylko ten jeden raz.

Oczywiście na jednym razie się nie skończyło. Podejrzewam, że Kate Waters chce usłyszeć właśnie takie historie. Z przedpokoju dobiega mnie jej głos wypowiadający moje nazwisko. Wstaję, idę tam i okazuje się, że Kate rozmawia przez telefon – każe komuś przyjechać i uratować nas z opresji.

Glen czasem nazywał mnie swoją księżniczką, ale jestem pewna, że dziś nikt nie przyjedzie po mnie na białym rumaku.

Znów siadam w fotelu i czekam na dalszy rozwój wydarzeń.



## Rozdział 5

*Poniedziałek, 2 października 2006 roku*

### **Detektyw**

Bob Sparkes uśmiechnął się mimowolnie, kiedy usłyszał o Belli Elliott. To samo imię nosiła jego ulubiona ciotka, jedna z gromady młodszych sióstr matki, największa żartownisia. Miał to być jego ostatni uśmiech na wiele tygodni.

Telefon alarmowy zarejestrowano o 15:38. Ze zduszonego głosu kobiety przebijała rozpacz.

– Porwali ją – powiedziała. – Ma tylko dwa lata. Ktoś ją uprowadził...

Na nagraniu, wielokrotnie odtwarzanym w ciągu następnych dni, uspokajający alt operator łączył się w dramatycznym duecie z ostrym sopranem dzwoniącej.

– Jak ma na imię dziewczynka?

– Bella. Nazywa się Bella.

– A z kim rozmawiam?

– Jestem jej mamą. Dawn Elliott. Bawiła się w ogrodzie przed naszym domem. Manor Road 44a, Westland. Pomóżcie mi.

– Pomożemy, Dawn. Wiem, że to trudne, ale musimy wiedzieć więcej, żeby znaleźć Bellę. Kiedy ostatni raz ją widziałaś? Była w ogrodzie sama?

– Bawiła się z kotem. Sama. Po drzemce. Nie trwało to długo. Góra kilka minut. Poszłam po nią koło wpół do czwartej i już jej nie było. Szukaliśmy wszędzie. Pomóżcie mi ją znaleźć, proszę.

– Dobrze. Nie rozłączaj się, Dawn. Jak wygląda Bella? W co jest ubrana?

– Ma blond włosy, dziś zrobiłam jej kucyk. Jest malutka. Nie pamiętam, co miała na sobie. Chyba koszulkę i spodnie. Boże, nie mogę się skupić. Nosi okulary. Małe, okrągłe, z różowymi oprawkami. Ma

leniwe oko. Znajdźcie ją. Błagam.

Pół godziny później, kiedy dwóch mundurowych z policji w Hampshire sprawdziło prawdziwość słów Dawn Elliott i przeszukało cały dom, komisarz Sparkes usłyszał o Belli.

– Zaginiona dwulatka, Bob – powiedział sierżant, pakując się do jego biura. – Bella Elliott. Ostatni raz widziano ją prawie dwie godziny temu. Bawiła się przed domem i nagle zniknęła. Osiedle komunalne na przedmieściach Southampton. Matka zupełnie się rozsypała, właśnie ogląda ją lekarz.

Sierżant Ian Matthews położył cienką teczkę na biurku szefa. Na okładce czarnym flamastrem napisano imię i nazwisko dziewczynki, obok przyczepiono spinaczem jej kolorowe zdjęcie.

Sparkes postukał w fotografię i przyjrzał jej się uważnie, zanim otworzył akta.

– Jak działamy? Gdzie szukamy? Gdzie ojciec?

Sierżant Matthews opadł ciężko na krzesło.

– Sprawdziliśmy dom, strych i ogród. Nie wygląda to najlepiej. Po małej ani śladu. Ojciec mieszka gdzieś w środkowej Anglii. Matka mówi, że to przypadkowa znajomość, ulotnił się jeszcze przed narodzinami Belli. Próbujemy go namierzyć. Matka nam nie pomaga. Twierdzi, że nie ma po co go zawiadamiać.

– A ona? Jaka jest? Co robiła, kiedy jej dwuletnie dziecko bawiło się na dworze? – zapytał Sparkes.

– Mówi, że robiła małej podwieczorek. Okno kuchenne wychodzi na tyły domu, więc nie mogła jej widzieć. Od frontu jest tylko niski murek, trudno to nawet nazwać ogrodzeniem.

– Niezbyt rozsądnie zostawić takie małe dziecko bez opieki – myślał na głos Sparkes, a jednocześnie próbował sobie przypomnieć swoje dzieci w tym wieku. Trzydziestoletni James został księgowym – kto by pomyślał! – Samantha skończyła dwadzieścia sześć lat i właśnie się zaręczyła. Czy zostawiali ich z Eileen samych w ogródku? Prawdę mówiąc, nie pamiętał. Pewnie nie bywał wtedy zbyt często w domu, wечно zapracowany. Zapyta żonę wieczorem, o ile dotrze dziś do domu.

Komisarz Sparkes sięgnął po płaszcz wiszący na haczyku za jego

plecami i wyłowił z kieszeni kluczyki.

– Pojadę się rozejrzeć, Matthews. Zbadam sprawę, porozmawiam z matką. Ty zostań i na wszelki wypadek przygotuj centrum koordynacyjne. Zadzwoń przed siódmą.

W drodze do Westland nastawił radio na lokalny serwis informacyjny. Bella pojawiła się w nim jako pierwsza, ale reporter nie powiedział niczego, o czym Sparkes by nie wiedział.

„Dzięki Bogu” – pomyślał. Jego stosunek do lokalnych mediów był, delikatnie mówiąc, skomplikowany.

W poprzednim przypadku zaginięcia dziecka sprawy przybrały nieciekawą obrót. Dziennikarze postanowili bowiem przeprowadzić śledztwo na własną rękę i przy okazji przywłaszczyli sobie ważne dowody. Pięcioletnią Laurę Simpson z Gosport znaleziono, brudną i przerażoną, w szafce u przyrodniego wujka. „To jedna z tych rodzin, w których wszyscy są jakoś dziwnie ze sobą spokrewnieni” – opowiadał potem Eileen.

Niestety, jeden z reporterów zabrał z mieszkania jej matki album ze zdjęciami, w związku z czym policja nie zobaczyła fotografii wujka Jima – notowanego za przestępstwa seksualne – ani nie powiązała go z zaginioną dziewczynką.

Jim próbował ją zgwałcić, ale mu się nie udało. Policjanci daremnie krążyli w kółko, często znajdowali się dosłownie o kilkanaście metrów od miejsca przetrzymywania dziewczynki. Porywacz by ją zabił, gdyby nie pijacki donos dalekiego krewnego, Sparkes w to wierzył. Laura odnalazła się jedynie lekko posiniaczona na ciele i duszy. Do dziś widział jej oczy w chwili, gdy otworzył szafkę. Groza – nie można tego inaczej określić. Przerazenie, że okaże się taki jak wujek Jim. Wezwał policjantkę i dopiero jej Laura pozwoliła się wziąć na rękę. Nareszcie bezpieczna. Wszyscy poza nią mieli na koniec łzy w oczach. Dziewczynka wyglądała zaś na otepiałą.

Wciąż wyrzucał sobie, że w jakimś sensie ją zawiódł. Powinien wcześniej dostrzec związek między pewnymi faktami. Zadawać inne pytania. Szybciej ją znaleźć. Jego przełożony i prasa odtrąbili wielkie zwycięstwo, ale Bob nie potrafił świętować. Nie, dopóki pamiętał wyraz tych oczu.

„Ciekawe, co się teraz z nią dzieje?” – zastanawiał się. „Ciekawe, co z wujkiem Jimem?”.

Na Manor Road roило się od reporterów, mieszkańców i policjantów. Wszyscy przepytywali się wzajemnie, co dawało efekt orgii werbalnej.

Sparkes przepchnął się przez zbity tłum pod bramą domu numer 44a, kłaniając się znajomym dziennikarzom.

– Bob! – zawołał kobiecy głos. – Cześć. Jakies wieści? Jakies tropy? – Kate Waters dopchała się do niego i uśmiechnęła z udawanym znużeniem.

Ostatni raz widzieli się z powodu makabrycznego zabójstwa w New Forest. Przez kilka tygodni, jakie minęły, zanim schwytano męża zamordowanej, kilkakrotnie spotykali się na drinka i plotki.

Znali się od dawna i zawsze, gdy wpadali na siebie przy różnych sprawach, zdawało się im, że od ostatniego spotkania minęło kilka godzin. To nie była przyjaźń, tylko układ czysto zawodowy, ale Kate była w porządku. Ostatnio wstrzymała się z publikacją artykułu, bo Bob nie mógł jeszcze ujawnić informacji, którą odkryła. Miał zatem wobec niej dług wdzięczności.

– Cześć, Kate. Dopiero przyjechałem, może potem będę coś dla ciebie miał – odparł i przecisnął się obok mundurowego pilnującego wejścia do domu.

W salonie unosiła się woń kotów i papierosów. Dawn Elliott, zwinięta w kłębek na kanapie, drżącymi dłońmi ścisnęła kurczowo komórkę i lalkę. Blond włosy ściągnęła niedbale gumką, przez co wyglądała na jeszcze młodszą niż w rzeczywistości. Podniosła wzrok na wysokiego, poważnego mężczyznę stojącego w drzwiach i zbladła.

– Znaleźliście ją? – zdołała wydusić.

– Pani Elliott, nazywam się Bob Sparkes, jestem komisarzem. Chcę znaleźć Bellę i potrzebuję pani pomocy.

Spojrzała na niego.

– Przecież powiedziałam już wszystko policji. Co wam da zadawanie w kółko tych samych pytań? Znajdźcie ją! Znajdźcie moją córeczkę! – krzyknęła ochryple.

Pokiwał głową ze zrozumieniem i usiadł obok niej.

– Proszę, Dawn, powtórzmy to jeszcze razem – poprosił łagodnie.  
– Może coś sobie przypomnisz.

Opowiedziała więc od nowa całą historię, krztusząc się i szlochając. Bella była jej jedynym dzieckiem, owocem skazanego na porażkę związku z żonatym mężczyzną poznanym w klubie. Słodka dziewczynka uwielbiała tańczyć i oglądać filmy Disneya. Dawn nie utrzymywała bliskich kontaktów z sąsiadami.

– Zadzierają nosa. Jestem samotną matką na zasiłku, mają mnie za darmozjada – wyjaśniła Sparkesowi.

Podczas gdy rozmawiali, zespół Boba i dziesiątki ochotników – niektórzy jeszcze nawet nie zdążyli przebrać się po pracy – przeczesywały ogródki, śmietniki, żywopłoty, strychy, piwnice, szopy, samochody, budy i kompostowniki w całej okolicy. Zaczynało się ściemniać i wkrótce dobiegło ich wołanie:

– Bella! Bella! Gdzie jesteś, słonko?

Dawn Elliott zerwała się na równe nogi i wyjrzała przez okno.

– Usiądź, Dawn – poprosił Sparkes. – Chciałbym zapytać, czy Bella coś dziś spsociła?

Pokręciła głową.

– Zdenerwowałaś się na nią z jakiegoś powodu? – ciągnął.  
– Dzieciaki potrafią niezłe dać w kość, co? Musiałaś dać jej klapsa albo coś w tym rodzaju?

Do młodej kobiety wreszcie dotarło, w jakim kierunku zmierzają pytania detektywa, i głośno zaprotestowała.

– Oczywiście, że nie! Nigdy nie daję jej klapsów. No, prawie nigdy. Tylko czasem, jak coś przeskrobie. Nie zrobiłam jej nic złego. Ktoś porwał Bellę...

Sparkes poklepał ją po dłoni i poprosił funkcjonariuszkę z wydziału spraw rodzinnych o jeszcze jedną herbatę.

Do pokoju zajrzał młody szeregowy i gestem poprosił przełożonego na słowo.

– Ktoś widział w okolicy jakiegoś faceta, dziś po południu – powiedział. – Jeden z sąsiadów. Nie rozpoznał gościa.

– Mamy rysopis?

– Podobno samotny facet. Długie włosy, wyglądał nieciekawie.

Sąsiad twierdzi, że zaglądał do samochodów.

Sparkes wygrzebał telefon z kieszeni i zadzwonił do sierżanta.

– Sprawa jest w toku – powiedział. – Ani śladu dziewczynki. Mamy rysopis podejrzanego gościa kręcącego się po ulicy, wyślę ci szczegóły. Przekaż je reszcie. Idę porozmawiać ze świadkiem.

– I złożymy wizytę wszystkim przestępcom seksualnym zarejestrowanym w okolicy – dodał.

Żołądek ścisnął mu się na myśl, że dziecko trafiło w łapy jednego z dwudziestu dwóch bandytów mieszkających na osiedlu Westland.

W rejestrach policji hrabstwa Hampshire figurowało ich około trzystu – wciąż zmieniająca się zbieranina ekshibicjonistów, podglądaczy, amatorów seksu w miejscach publicznych, pedofilów i gwałcicieli, którzy – przez nikogo niepodejrzewani – udawali sympatycznych sąsiadów.

Po drugiej stronie ulicy Stan Spencer czekał na detektywa pod oknem swojego schludnego domku. Sparkes wiedział, że kilka lat wcześniej Spencer uruchomił ochotniczą straż sąsiedzką – przejezdni notorycznie parkowali w miejscu, które jego zdaniem należało się jemu i jego volvo. Najwyraźniej wraz z żoną Susan nie mieli na emeryturze zbyt wielu rozrywek. Poza tym uwielbiał poczucie władzy, jakie dawały mu nocne patrole z notesem do zapisywania obserwacji.

Sparkes uścisnął mu dłoń i usiedli przy stole w jadalni.

Sąsiad zerknął w zapiski.

– Notatki zostały sporządzone na bieżąco, panie komisarzu – powiedział oficjalnie.

Sparkes z trudem powstrzymał uśmiech.

– Po obiedzie czekałem na powrót Susan ze sklepu i zobaczyłem po naszej stronie ulicy mężczyznę. Wyglądał dość gburowato, wie pan, niechlujnie. Bałem się, że włamie się do któregoś z samochodów albo coś w tym rodzaju. Ostrożności nigdy za wiele! Przechodził obok furgonetki Petera Tredwella.

Sparkes pytająco uniósł brwi.

– Przepraszam, panie komisarzu. Pan Tredwell, hydraulik, mieszka kilka domów stąd. Kilka razy włamano mu się do samochodu. Udaremniłem ostatnią kradzież. Wyszedłem przed dom, żeby

obserwować nieznajomego, ale odszedł dość daleko. Niestety, widziałem go tylko z tyłu. Długie, niemyte włosy, dzinsy i czarny skafander, jakie zazwyczaj noszą takie typy. Potem zadzwonił telefon, więc musiałem wrócić do środka. Kiedy znów wyszedłem na zewnątrz, nieznajomy już zniknął.

Pan Spencer wydawał się bardzo z siebie zadowolony, kiedy Sparkes dokładnie zapisywał jego słowa.

– Widział pan Bellę, kiedy stał pan w ogródku?

Spencer zawahał się, w końcu pokręcił głową.

– Nie. Nie widziałem jej od kilku dni. Kochana mała.

Pięć minut później Sparkes siedział przycupnięty na brzegu krzesła w przedpokoju Dawn Elliott i naprędce skrobał oświadczenie dla prasy. Potem wrócił na kanapę.

– Dowiedział się pan czegoś?

– W tej chwili nie, ale zamierzam prosić media o pomoc w poszukiwaniach. I...

– I co?

– Szukamy każdego, kto mógł być dziś po południu w okolicy. Ludzi, którzy przejeżdżali albo przechodzili Manor Road. Widziałaś dziś po obiedzie jakiegoś nieznajomego mężczyznę na ulicy, Dawn? Pan Spencer z naprzeciwka twierdzi, że zauważył długowłosego mężczyznę w ciemnej kurtce. Nigdy wcześniej go nie spotkał. Może to nic, ale...

Pokręciła głową z płaczem. – To on ją porwał? – wyszlochała. – To on zabrał moją córeczkę?

## Rozdział 6

*Środa, 9 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Znowu chrzęst kroków na ścieżce. Tym razem telefon Kate dzwoni tylko dwa razy i cichnie. To pewnie jakiś sygnał, bo reporterka od razu otwiera drzwi i wpuszcza mężczyznę z dużą torbą zarzuconą na ramię.

– To Mick – przedstawia go. – Mój fotograf.

Mick uśmiecha się szeroko i wyciąga do mnie rękę.

– Dzień dobry, pani Taylor – mówi.

Przyjechał zabrać nas do hotelu.

– W jakieś miłe, spokojne miejsce – tłumaczy.

Zaczynam protestować. Wszystko dzieje się zbyt szybko.

– Chwileczkę – mówię, ale nikt mnie nie słucha.

Kate i Mick rozważają sposoby przemknięcia obok reporterów zebranych pod bramą. Facet z telewizji musiał im powiedzieć, że ktoś jest w domu, bo teraz wszyscy po kolei pukają do drzwi i wołają przez szparę na listy. Jak w okropnym koszmarze. Dokładnie tak, jak na początku.

Wtedy krzyczeli do Glena, wyzywali go od najgorszych.

– Co pan zrobił, panie Taylor? – zawołał któryś. – Masz krew na rękach, zbrojeńcu? – zapytał dziennikarz z „The Sun”, kiedy Glen wyrzucał śmieci. Wszystko słyszeli przechodnie i sąsiedzi. Glen mówił, że jeden z nich splunął na chodnik.

Po powrocie do domu cały się trząśł.

Biedny Glen. Ale miał wtedy mnie – głaskałam go po dłoni i tłumaczyłam, żeby nie zwracał na nich uwagi. Ja zaś zostałam teraz sama i nie wiem, czy sobie poradzę.

Ktoś krzyczy okropne rzeczy zza drzwi:

– Wiem, że pani tam jest! Płacą pani za wywiad? Jak ludzie zareagują, jeśli przyjmie pani splamione krwią pieniądze?



Czuję się tak, jakby ktoś wymierzył mi cios. Kate odwraca się, bierze mnie za rękę i każe ich zignorować. Mówi, że niedługo się ich pozbędziemy.

Chcę jej zaufać, ale nie mogę zebrać myśli. Czy możemy się ich pozbyć? Zdaniem Glena ukrywanie się było jedynym wyjściem.

– Musimy przeczekać – mówił.

Kate ma inne podejście: stawić im czoła. Głośno opowiedzieć swoją historię i tym samym zamknąć wszystkim usta. Chciałabym, żeby zamilkli. To oznacza jednak, że muszę znaleźć się w centrum uwagi. Na samą myśl o tym paraliżuje mnie strach.

– Dalej, Jean – mówi Kate, kiedy zauważa, że wciąż tkwię w fotelu. – Razem sobie poradzimy. Stopniowo, małymi kroczkami. Za pięć minut będzie po wszystkim i nikt cię nie znajdzie.

Oczywiście nikt oprócz niej.

Nie zniosę więcej prześladowania ze strony tych hien, więc posłusznie zaczynam się pakować. Do torebki wpycham majtki z suszarki w kuchni. Idę na górę po szczoteczkę do zębów. Gdzie klucze?

– Tylko najważniejsze rzeczy – mówi Kate.

Obiecuje, że po dotarciu na miejsce kupi mi wszystko, czego będę potrzebować. „Na miejsce?” – chcę zapytać, ale Kate już się odwróciła. Rozmawia przez telefon z „firmą”.

Podczas rozmów z redakcją ton jej głosu ulega zmianie. Staje się napięty, lekko zdyszany, jakby właśnie weszła po schodach.

– Okej, Terry – mówi. – Nie, Jean jest z nami... Zadzwońę później. – Nie chce rozmawiać przy mnie. Ciekawe, o co ją pytają. Ile pieniędzy mi zaoferowała? Jak będę wyglądać na zdjęciach?

Na pewno chciałaby powiedzieć: „Trochę się zapuściła, ale możemy doprowadzić ją do porządku”. Czuję narastającą panikę i chcę powiedzieć, że zmieniłam zdanie, tylko że wszystko dzieje się zbyt szybko.

Mówi, że odwróci „ich” uwagę. Wyjdzie przez drzwi frontowe i uda, że czeka na nas w samochodzie. Tymczasem ja wymknę się z Mickiem tylnym wyjściem do ogrodu i przejdziemy przez ogrodzenie. Nie wierzę, że naprawdę mam to zrobić. Znowu próbuję powiedzieć:

„Chwileczkę”, ale Kate już pcha mnie w stronę drzwi kuchennych.

Czekamy, aż wyjdzie z domu. Wybucho ogłuszający harmider, jakby spod drzwi zerwało się do lotu stado mew.

– Paparaty – mówi Mick.

Domyślam się, że chodzi o fotoreporterów. Zarzuca mi na głowę swoją marynarkę i ciągnie przez tylne wyjście do ogrodu. Przez marynarkę prawie nic nie widzę, do tego mam na nogach nieodpowiednie buty. Choć ciągle mi spadają, próbuję biec. Żałosny spektakl. Marynarka co chwila zsuwa mi się z głowy. Boże, moja sąsiadka Lisa wygląda przez okno na piętrze z rozdziawionymi ustami. Macham do niej słabo. Bóg wie po co, od wieków nie zamieniłyśmy ani słowa.

Mick pomaga mi przejść przez ogrodzenie. Nie jest wysokie, tak naprawdę bardziej na pokaz niż dla bezpieczeństwa. Mam na sobie spodnie, ale mimo to muszę się trochę pomęczyć. Mówi, że zaparkował za rogiem. Ostrożnie posuwamy się do końca uliczki za domami, na wypadek gdyby czekał tam jakiś reporter. Mam ochotę się rozplakać. Zaraz wsiądę do samochodu z obcymi ludźmi i pojadę nie wiadomo dokąd. Chyba jeszcze nigdy nie zrobiłam czegoś tak głupiego.

Glena szlag by trafił. Nawet przed całą tą aferą z policją bardzo sobie cenił prywatność. Mieszkaliśmy w tym samym domu przez wiele lat, od ślubu, ale – jak sąsiedzi chętnie opowiadali dziennikarzom – trzymaliśmy się z dala od innych. Sąsiedzi zawsze tak mówią, kiedy za ścianą ktoś znajduje zwłoki albo maltretowane dzieci. Tym razem nie kłamali. Ktoś – pewnie pani Grange z naprzeciwka – powiedział reporterowi, że Glenowi „źle patrzyło z oczu”. W rzeczywistości miał bardzo miłe oczy. Niebieskie, z długimi rzęsami. Oczy małego chłopca. Na ich widok serce zawsze biło mi mocniej.

Powtarzał: „Nikt nie powinien się mieszać w nasze sprawy, Jeanie”. Dlatego tak ciężko znosił fakt, że nasze sprawy stały się nagle publiczne.

Furgonetka Micka nie grzeszy czystością. Podłogę szczelnie pokrywają pudełka po hamburgerach, torebki po czipsach i stare gazety. W gniazdku zapalniczki tkwi elektryczna maszynka do golenia, pod fotelem turla się butla coli.

– Przepraszam za bałagan – mówi. – Praktycznie tu mieszkam.

Zresztą i tak nie usiądę z przodu. Mick otwiera przede mną tylne drzwi.

– Tutaj.

Łapie mnie za ramię i pomaga mi wsiąść. Kładzie rękę na mojej głowie i pcha ją lekko w dół, żebym się nie uderzyła.

– Proszę trzymać głowę nisko. Dam znać, kiedy będziemy bezpieczni.

– Ale... – zaczynam.

W ogóle mnie nie słucha. Szybko zatrzaskuje drzwi. Siedzę pogrążona w półmroku wśród sprzętu fotograficznego i worków na śmieci.

## Rozdział 7

*Czwartek, 5 października 2006 roku*

### **Detektyw**

Bob Sparkes ziewnął donośnie, przeciągnął się i rozprostował kości obolałe po wielu godzinach spędzonych przy biurku. Nie chciał nawet patrzeć na zegarek, ale elektroniczne cyfry przyciągały jego wzrok. Druga nad ranem. Trzeci dzień poszukiwań Belli i nadal zero efektów.

Skrupulatnie sprawdzano kolejne doniesienia o niechlujnych długowłosych mężczyznach i innych podejrzanych osobnikach w coraz większej odległości od miejsca zdarzenia. To wymagało czasu.

Próbował nie myśleć, co działo się z Bellą Elliott – a raczej co już musiało się z nią stać. Skupiał się na tym, żeby ją znaleźć.

– Gdzie jesteś, Bello? – pytał leżące na biurku zdjęcia.

Twarz dziewczynki otaczała go ze wszystkich stron, uśmiechała się z kilkunastu fotografii umieszczonych w centrum koordynacyjnym niczym ikona błogosławiąca pracy siedzących przy biurkach detektywów. W gazetach też roiło się od zdjęć „małej Belli”.

Sparkes przeczesał dłonią włosy i mimochodem zauważył powiększającą się łysinę. – No dalej, myśl! – rozkazywał sam sobie z nosem w ekranie komputera. Po raz kolejny przeczytał wszystkie zeznania i raporty z przesłuchań lokalnych przestępców, próbując znaleźć najmniejszy choćby słaby punkt. Niestety, nic takiego nie rzuciło mu się w oczy.

Ostatni raz przejrzał akta: w większości żalodne indywidua. Samotni, niedomyci faceci z zepsutymi zębami, którzy żyli w wirtualnym świecie i czasem próbowali spełniać swoje fantazje w rzeczywistości.

Byli też i recydywiści. Policjanci złożyli wizytę w domu Paula Silvera – przez lata molestował swoje dzieci i odsiedział wyrok – ale żona („Trzecia?” – zastanawiał się Bob. „Czy nadal Diane?”)

oświadczyła zrezygnowana, że stary dostał pięć lat za włamanie i znów jest w więzieniu.

– Grunt to dywersyfikacja – powiedział Bob do sierżanta.

Rzecz jasna, w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin z całego kraju napływały wieści o tym, że ktoś widział Bellę. Funkcjonariusze błyskawicznie sprawdzali każde doniesienie, a niektóre przyprawiły Sparkesa o szybsze bicie serca.

Jakaś kobieta spod Newark zadzwoniła z informacją, że nowa sąsiadka bawi się w ogrodzie z dziewczynką.

– Mała blondyneczka. Wcześniej nie widziałam tam żadnych dzieci. Myślałam, że jest bezdzietna – powiedziała.

Sparkes natychmiast wysłał na miejsce lokalną policję i niecierpliwie czekał na telefon.

– To siostrzenica, przyjechała ze Szkocji – oznajmił tamtejszy komisarz, równie zawiedziony jak Bob. – Przykro mi. Może następnym razem.

Może. Problem w tym, że większość zgłoszeń do centrów koordynacyjnych pochodzi od różnych cwaniaków próbujących zwrócić na siebie uwagę, gotowych na wszystko, byle tylko znaleźć się w centrum wydarzeń.

Najważniejsze, że ostatnią osobą, która widziała Bellę – nie licząc Dawn – była właścicielka pobliskiego kiosku. Gadatliwa staruszka pamiętała, że około jedenastej trzydzieści mama i córka przyszły do sklepu. Kojarzyła stałe klientki, Dawn regularnie kupowała tam papierosy. Wizyta – ostatnia dla Belli – została nagrana przez tanią kamerę monitoringu.

Na niewyraźnym, zacinającym się filmie widać, jak Bella trzyma mamę za rękę przy ladzie. Cięcie. Bella o niewyraźnej i zamazanej twarzy – jakby już zaczynała znikać – z papierową torebką w dłoni. Cięcie. Drzwi sklepu zamykają się za nimi.

Matka Dawn zadzwoniła do nich po obiedzie – dokładnie o 14.17 według danych z billingu – i zeznała, że słyszała, jak wnuczka śpiewa razem z Bobem Budowniczym. Chciała z nią porozmawiać. Dawn zawołała córkę, ale ta podobno pobiegła gdzieś po zabawkę.

Relacja z następnych sześćdziesięciu ośmiu minut opierała się

wyłącznie na słowach Dawn – dość zdawkowych i dotyczących głównie prac domowych. Detektywi musieli odegrać scenki gotowania, zmywania i składania wysuszonych ubranek Belli, żeby określić przybliżony czas, jaki upłynął od chwili, gdy Bella poszła bawić się w ogródku – tuż po trzeciej, zgodnie z zeznaniem Dawn – do chwili, w której matka zauważyła jej zniknięcie.

Sąsiadka Margaret Emerson wyszła wziąć coś z samochodu o 15.25 i twierdziła, że wówczas w ogródku nikogo nie było.

– Bella zawsze wołała do mnie „a kuku!”. Taką miała zabawę, biedna mała. Zawsze chciała zwrócić na siebie uwagę. Matka nie bardzo się nią zajmowała – powiedziała oględnie. – Bella często bawiła się sama, wozila lalkę w wózku albo ganiała się z Timmym, kotem. Wie pan, jak to dzieci.

– Bella często płakała? – zapytał Sparkes.

Pani Emerson zastanowiła się przez chwilę, wreszcie pokręciła głową i oświadczyła: – Nie, to raczej wesoła dziewczynka.

Zarówno pediatra, jak i pielęgniarka środowiskowa potwierdzili te słowa.

– Urocze dziecko, kochany szkrab – mówili. – Matce na pewno niełatwo samej. Trudno w pojedynkę wychować dziecko – dodał lekarz.

Sparkes tylko pokiwał głową. Wszystkie te wypowiedzi spisano i włączono do wypchanych teczek z aktami sprawy. Miało to dowodzić ciężkiej pracy zespołu. Bob wiedział jednak, że nie robią postępów. Czczą gadanina.

„Kluczem do zagadki jest długowłosa mężczyzna” – uznał, wyłączył komputer i ostrożnie ułożył stos akt na biurku, po czym ruszył do wyjścia, żeby przespać się chociaż pięć godzin.

– Może jutro ją znajdziemy – wyszeptał w domu do ucha pogrążonej we śnie żony, kładąc się obok niej.

Po tygodniu nadal nie udało się pchnąć śledztwa do przodu. Wtedy zadzwoniła do niego Kate Waters.

– Cześć, Bob. Naczelnicy postanowił wyznaczyć nagrodę za wszelkie informacje, które pomogą odnaleźć Bellę. Obiecuje dwadzieścia tysięcy. Nie najgorzej.

Sparkes w głębi duszy aż jęknął („Pieprzone nagrody” – narzekał

potem Matthewsowi. „Gazeta ma darmową reklamę, a my musimy użerać się z wszystkimi czubkami mającymi dostęp do telefonu”).

– Bardzo hojna oferta, Kate – odparł. – Ale jesteś pewna, że to odpowiednia chwila? Badamy liczne...

– Jutro opublikujemy to na pierwszej stronie, Bob – przerwała. – Słuchaj, wiem, że gliny nie cierpią nagród, ale niektórzy boją się zadzwonić na policję, a dwadzieścia tyś może ich do tego zachęcić.

Westchnął ciężko.

– Powiem Dawn. Muszę ją przygotować.

– Rozumiem – odrzekła Kate. – Są jakieś szanse na wywiad z nią, Bob? Biedaczka ledwie mogła wydusić z siebie słowo podczas konferencji prasowej. Chciałabym dać jej szansę opowiedzieć o Belli. Będzie bardzo ostrożna i delikatna. Co o tym myślisz?

Myślał, że żałuje odebrania telefonu. Lubił Kate – o niewielu reporterach mógł to powiedzieć. Wiedział też jednak, że kiedy trafi na gorący temat, jest jak pies goniący za kością. Nie podda się, dopóki nie dostanie, czego chce. Nie był pewien, czy Dawn zniosłaby takie przesłuchanie.

Matka zaginionej pozostawała dla niego w dużej mierze zagadką: totalnie rozbita emocjonalnie, naszprycowana lekami i niezdolna skupić uwagi na dłużej niż pół minuty. Sparkes spędził z nią długie godziny, a miał wrażenie, że wciąż ślizga się po powierzchni. Czy mógł napuścić na nią Kate Waters?

– Rozmowa z kimś nie z policji może jej pomóc, Bob. Może coś jej się przypomni...

– Zapytam, Kate. Nie wiem, czy ona czuje się na siłach. Jedzie na lekach nasennych i uspokajających, ma straszne problemy z koncentracją.

– Świetnie. Dzięki, Bob.

Niemal słyszał uśmiech w jej głosie.

– Nie tak prędko, niczego nie obiecuję. Porozmawiam z nią dzisiaj i oddzwonię.

Kiedy przyjechał do Dawn, zastał ją w dokładnie tym samym miejscu, w którym zobaczył ją po raz pierwszy: siedziała na kanapie niczym w arce, wśród zabawek Belli, zgniecionych paczek po

papierosach i stron wydartych z gazet, pocztówek od życzliwych i listów na niechlujnych arkusikach od stukniętych i sfrustrowanych.

– Kładła się pani w ogóle? – zapytał z troską.

Sue Blackman, młoda mundurowa z wydziału spraw rodzinnych, w milczeniu pokręciła głową i uniosła brwi.

– Nie mogę spać – odparła Dawn. – Muszę na nią czekać.

Sparkes wyszedł z Blackman do przedpokoju.

– Musi się zdrzemnąć, bo wylądował w szpitalu – wyszeptał.

– Wiem, panie komisarzu. Przysypia trochę na kanapie w ciągu dnia, ale bardzo źle znosi wieczór i noc. Mówi, że Bella boi się ciemności.



## Rozdział 8

*Środa, 11 października 2006 roku*

### **Reporterka**

Kate Waters przyjechała w porze obiadowej z fotografem i wielkim bukietem lilii z supermarketu. Zaparkowała kilka domów dalej, z dala od całej dziennikarskiej watahy, żeby móc niepostrzeżenie wysiąść z samochodu. Zadzwoiła do Sparkesa, że jest na miejscu, i stanowczym krokiem minęła reporterów koczujących w samochodach pod domem z big macami w garści. Zanim zdążyli otworzyć drzwi i wysiąść, ona już weszła do środka. Usłyszała kilka głośnych bluzgów i narzekanie, że ich wykiwała. Z trudem udało jej się powstrzymać uśmiech zadowolenia.

Bob prowadził. Kate chłonęła wszystkie szczegóły, mieszankę bałaganu i letargu towarzyszącą tragedii: w przedpokoju na poręczy schodów wisiały niebieska kurtka Belli z kapturem obszytym futerkiem i plecak w kształcie misia. Przy drzwiach stały malutkie czerwone kalosze.

– Sfotografuj to, Mick – szepnęła do fotografa, który szedł jej śladem do dużego pokoju.

Wszędzie wały się zabawki i zdjęcia małej. Kate żywo przypomniawszy sobie początki własnego macierzyństwa, kiedy próbowała zapanować nad falą chaosu. Zaraz po powrocie ze szpitala położyła Jake'a do łóżeczka, usiadła i zaczęła płakać, przytłoczona burzą hormonów oraz nagłym ciężarem odpowiedzialności. Rankiem następnego dnia po porodzie zapytała pielęgniarkę, czy może podnieść synka, jakby należał on do szpitala, nie do niej.

Matka Belli podniosła wzrok. Jej twarz była zmięta, postarzała od ciągłego płaczu. Kate uśmiechnęła się i wzięła ją za rękę. Choć chciała uścisnąć jej dłoń, zamiast tego delikatnie ją pogładziła.

– Dzień dobry, Dawn. Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną porozmawiać. Wiem, że to dla ciebie bardzo trudne. Mamy nadzieję, że

dzięki temu policja szybciej znajdzie Bellę.

Dawn pokiwała głową w zwolnionym tempie.

„Niech to szlag, Bob nie przesadzał” – pomyślała Kate.

Podniosła z kanapy czerwonego Teletubisia.

– To Po? Moi chłopcy woleli Power Rangersów – zagała.

Dawn popatrzyła na nią przytomnie.

– Bella uwielbia Po – odparła. – Lubi puszczać bańki mydlane, zawsze za nimi gania i próbuje je złapać.

Kate zauważyła na stoliku zdjęcie przedstawiające dokładnie taką scenę i przyniosła je na kanapę.

– Oto ona – powiedziała, a Dawn wzięła ramkę do ręki. – Śliczna – dodała Kate. – Na pewno lubi psocić.

Dawn uśmiechnęła się z wdzięcznością. Dzięki macierzyństwu znalazły wspólny język i Dawn zaczęła opowiadać o córeczce.

„Pierwszy raz może mówić o Belli jako o dziecku, a nie ofierze zbrodni” – pomyślał Sparkes.

– Kate jest niezła, trzeba jej to przyznać. Potrafi szybciej wniknąć w czyjś umysł niż wielu moich gliniarzy – powiedział później żonie.

Eileen tylko wzruszyła ramionami i wróciła do krzyżówki w „The Daily Telegraph”. Dla niej mąż mógłby pracować na innej planecie.

Dla podtrzymania rozmowy Kate przyniosła więcej zdjęć i zabawek. Dawn chętnie o wszystkich opowiadała, praktycznie bez pytania. Kate dyskretnie umieściła między nimi dyktafon, żeby nie uронić żadnego słowa. Notatki nie sprawdzają się za dobrze w takich sytuacjach – przywodzą rozmówcom na myśl policyjne przesłuchanie. Ona chciała tylko pozwolić Dawn mówić. Chciała posłuchać o codziennych radościach i smutkach życia samotnej matki. O szykowaniu się do żłobka, o zabawach w kąpielu, o radości z kupienia nowych kaloszy.

– Uwielbia zwierzęta. Kiedyś poszliśmy do zoo i chciała zostać przy wybiegu dla małp. Pękała ze śmiechu – mówiła Dawn, na chwilę uciekając w bezpieczne wspomnienia z poprzedniego życia.

Migawki szczęśliwych dni Belli i Dawn wprowadzą czytelników prosto w koszmar młodej matki – Kate pisała w myślach wstęp.

„W korytarzu domu Dawn Elliott stoi para małych czerwonych

kaloszy. Jej córka Bella wybrała je w sklepie dwa tygodnie temu i jeszcze nie miała okazji ich założyć”...

Tego oczekiwali czytelnicy. Mogli się wzdrygnąć, siedząc w szlafrokach nad grzankami i herbatą, i powiedzieć do żony czy męża: „To mogło przydarzyć się nam”.

Naczelnny też będzie zachwycony. „Świetnie, mamusie to kupią” – pochwali i zarezerwuje na jej artykuł pierwszą stronę i rozkładówkę.

Po dwudziestu minutach Dawn zaczęła tracić siły. Leki powoli przestawały działać i do pokoju wkradała się groza. Kate zerknęła na Micka, który od razu wstał, i powiedziała łagodnie:

– Zrobimy ci zdjęcie, Dawn, z tą śliczną fotografią, na której Bella puszcza bańki.

Zgodziła się jak dziecko.

– Nigdy sobie nie wybaczę – wyszeptała, podczas gdy Mick trząsał kolejne zdjęcia. – Nie powinnam wypuszczać jej na dwór. Ale chciałam przygotować jej podwieczorek. Spuściłam ją z oka na chwilę. Zrobiłabym wszystko, żeby cofnąć czas.

Potem wybuchnęła płaczem. Suchy szloch wstrząsał całym jej ciałem. Kate mocno chwyciła ją za rękę, świat wokół kanapy powoli odzyskał ostrość.

Kate nigdy nie mogła się nadziwić potędze wywiadu. „Podczas rozmowy ze zwykłymi ludźmi, którzy nie mają wybujałego ego ani nie chcą ci niczego sprzedać, jedna osoba może totalnie odsłonić się przed drugą. Nawiązuje się wtedy niezwykle intymna więź, wykluczająca wszystko inne i wszystkich innych” – powiedziała kiedyś. Komu? Choć oczywiście chciała zrobić na tej osobie wrażenie, faktycznie pamiętała każde zdanie wszystkich artykułów, które tak ją poruszyły.

– Jesteś bardzo dzielna, Dawn – powiedziała i znów lekko uścisnęła jej dłoń. – Bardzo ci dziękuję za rozmowę i poświęcony mi czas. Powiadomię komisarza Sparkesa o planowanej dacie publikacji. Zostawiam ci wizytówkę, możesz kontaktować się ze mną, kiedy chcesz.

Kate szybko pozbierała swoje rzeczy, wsunęła dyktafon do torby i ustąpiła miejsca obok Dawn policjantce od spraw rodzinnych.

Sparkes odprowadził ich z Mickiem do drzwi.

– Świetna rozmowa. Dziękuję, Bob – wyszeptała mu do ucha.

– Zadzwoń, jak napiszę.

Pokiwał głową, a ona szybko wyszła, żeby stawić czoła wściekłym kolegom po fachu.

Przez chwilę siedziała w samochodzie, żeby powtórzyć sobie wypowiedzi Dawn i poskładać z nich artykuł. Czuła się zupełnie wyczerpana i lekko roztrzęsiona po tak intensywnym spotkaniu. Przez chwilę żałowała, że już nie pali. Zamiast tego zadzwoniła do Steve'a. Włączyła się poczta głosowa – Steve pewnie robi obchód. Zostawiła mu wiadomość:

– Świetnie mi poszło. Biedna dziewczyna. Nigdy się z tego nie pozbiera. Rozmroziłam lasagne na kolację. Pogadamy później.

Słyszała, jak łamie się jej głos.

„Na miłość boską, Kate, weź się w garść, to tylko praca” – pomyślała. Uruchomiła silnik i odjechała w poszukiwaniu cichego parkingu, na którym mogłaby zacząć pisać. „Chyba się starzeję”.

Dawn Elliott zaczęła dzwonić do Kate Waters już następnego dnia, kiedy tylko opublikowano artykuł. Dzwoniła z komórki, ukryta w łazience przed opiekuńczą Sue Blackman. Nie wiedziała, dlaczego robi z tego tajemnicę, ale potrzebowała czegoś tylko dla siebie. Całe jej życie zostało rozebrane na czynniki pierwsze przez policję, a ona tęskniła za normalnością, za zwykłą rozmową.

Kate była zachwycona – bezpośredni kontakt z matką to gratka, o której mogła pomarzyć, nie śmiała jednak zakładać, że do niego dojdzie. Ostrożnie pielęgnowała tę relację. Nie mogła pozwolić sobie na pytania związane ze śledztwem, na wścibstwo, na wywieranie presji. Nie chciała wystraszyć Dawn. Rozmawiała więc z nią jak z przyjaciółką, opowiadała o swoim własnym życiu – o synach, korkach, nowych ciuchach i plotkach z życia gwiazd. Dawn w końcu zaczęła odpowiadać tak, jak Kate się spodziewała: zwierzała się z lęków i relacjonowała najnowsze ustalenia policji.

– Ktoś dzwonił z zagranicy. Chyba z Malagi. Jacyś turyści widzieli w parku dziewczynkę podobną do Belli – powiedziała Dawn. – Myślisz, że to może być ona?

Kate wymamrotała coś pocieszającego, jednocześnie pilnie notując każde słowo i pisząc do szefa działu kryminalnego – pijaka, któremu

ostatnio nie wiodło się najlepiej. Serdecznie podziękował Kate za informację i zaraz zadzwonił do swojej wtyki w centrum koordynacyjnym, a potem kazał naczelnemu natychmiast zarezerwować bilet do Hiszpanii.

Okazało się, że dziewczynka to nie Bella. Wrócił jednak z pełnym emocji wywiadem z turystami – świetnym materiałem na kolejną rozkładówkę ze zdjęciami.

– Opłaciło się – powiedział naczelnym dziennikarzom z działu wiadomości. – Dobra robota, Kate. Świetnie ci idzie.

Udało jej się dostać do samego jądra sprawy, ale musiała uważać. Jeśli Sparkes dowie się o potajemnych telefonach, nie będzie zadowolony.

Lubiła go. Pomagali sobie wzajemnie przy kilku sprawach: on zdradzał jej czasem szczegóły, dzięki którym jej teksty wyróżniały się na tle konkurencji, ona informowała go o ciekawych odkryciach. Uważała, że to coś w rodzaju symbiotycznej przyjaźni. Dogadywali się, ale nic więcej. Prawie się zarumieniła, kiedy przypomniała sobie, jak była nim zauroczona, kiedy spotkali się pierwszy raz, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Pociągały ją jego brązowe oczy i małomówność. Poczuli się wyróżniona, kiedy kilka razy zaprosił ją na drinka.

Szef działu kryminalnego w poprzedniej gazecie podśmiewał się z jej bliskiej przyjaźni ze Sparkesem, chociaż oboje wiedzieli, że w przeciwieństwie do niektórych policjantów Bob nie jest kobieciarzem. Słyszał z wierności żonie, a Kate nie miała ani czasu, ani ochoty na romanse.

– To porządny gliniarz – stwierdził jej kolega. – Jeden z ostatnich.

Kate wiedziała, że zadając się z Dawn za plecami komisarza, ryzykuje ich układ, ale dostęp do poufnych informacji był tego wart. Ta historia mogła okazać się sprawą jej życia.

W drodze do pracy przećwiczyła sobie w głowie argumenty. „To wolny kraj, Dawn może rozmawiać, z kim chce, Bob”. „Nie mogę jej zabronić telefonowania do mnie”. „Ja do niej nie dzwonię”. „Nie zadaję żadnych pytań związanych ze śledztwem. Sama opowiada mi różne rzeczy”. Wiedziała, że ze Sparkesem to nie przejdzie. Przecież dzięki niemu poznała Dawn.

„Cóż, wszystkie chwytty dozwolone” – pomyślała ze złością, obiecując sobie, że przekaże Bobowi wszystkie potencjalnie użyteczne informacje. Jednocześnie skrzyżowała palce jak dziecko, kiedy kłamie.

Nie musiała długo czekać na telefon Sparkesa.

Odebrała połączenie i wyszła na korytarz, żeby zapewnić sobie trochę prywatności.

– Cześć, Bob. Co słychać?

Detektyw nie krył żalu. Policjantka podsłuchiwała ostatnią rozmowę Dawn z reporterką. Sparkes był rozczarowany zachowaniem Kate. Dziwne – wolałaby chyba, żeby się wściekał.

– Chwileczkę, Bob. Dawn Elliott to dorosła kobieta. Może rozmawiać, z kim chce. To ona do mnie zadzwoniła.

– Nie wątpię. Kate, nie tak się umawialiśmy. To ja cię tam wprowadziłem, a ty zaczęłaś kombinować za moimi plecami. Nie rozumiesz, że możesz zaszkodzić śledztwu?

– Posłuchaj, ona chce gadać ze mną o wszystkim poza śledztwem. Potrzebuje wytchnienia, nawet na kilka minut.

– A ty potrzebujesz artykułów. Nie zgrywaj mi tu pani z opieki społecznej, Kate. Trochę cię znam.

Było jej głupio. Rzeczywiście dobrze ją znał.

– Przykro mi, że cię zdenerwowałam. Może pójdziemy na drinka i porozmawiamy o całej tej sprawie?

– Jestem teraz strasznie zajęty, może za tydzień. Kate...

– Wiem, wiem. Na pewno zabroniłaś Dawn do mnie dzwonić. Wiedz, że nie zamierzam jej spławić, jeśli cię nie posłucha.

– Rozumiem. Zrobisz, co uważasz. Mam nadzieję, że przynajmniej ona przejrzy na oczy. Ktoś tu musi zachowywać się odpowiedzialnie.

– Bob, ja wykonuję swoją pracę, ty swoją. Nie działałam na szkodę śledztwa. Dzięki gazetom ono pozostaje żywe.

– Obyś miała rację, Kate. Muszę lecieć.

Kate oparła się o ścianę. Spodziewała się zupełnie innego przebiegu kłótni ze Sparkesem. W jej wersji to ona była górą, a Bob płaszczył się i błagał o wybaczenie.

„Kiedy Bob się uspokoi, zrozumie mój punkt widzenia”, pomyślała i napisała do Dawn z przeprosinami za zaistniałą sytuację.

Dawn natychmiast odpisała i zakończyła wiadomość słowami „Do usłyszenia”. Ich umowa pozostała zatem aktualna. Kate wyszczerzyła zęby w uśmiechu i postanowiła uczcić to podwójnym espresso i muffinką.

– Za małe zwycięstwa w życiu – powiedziała w stołówce, wznosząc tekturowy kubek.

Jutro pojedzie do Southampton i spotka się z Dawn w centrum handlowym.

## Rozdział 9

*Środa, 9 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Kate wsiada do furgonetki Micka kilka kilometrów od mojego domu, na parkingu przed supermarketem. Pęka ze śmiechu, kiedy opowiada nam, jak „wataha” rzuciła się do drzwi, żeby sprawdzić, czy jestem w domu, kiedy odjechała sama.

– Idioci – kwituje. – Nabrać się na taki numer...

Odwraca się na przednim siedzeniu, tak że widzę jej twarz.

– Wszystko w porządku, Jean? – pyta delikatnym, pełnym troski tonem.

Nie oszuka mnie. Wiem, że nie zależy jej na mnie. Liczy się tylko artykuł. Potakuję w milczeniu.

W drodze rozmawiam z Mickiem o „firmie”. Jej szef to najwyraźniej straszny tyran, bez przerwy krzyczy i bluzga na podwładnych.

– Tak często używa słowa na „p”, że poranne spotkania redakcyjne nazywamy monologami waginy – mówi i oboje wybuchają śmiechem.

Nie mam pojęcia, co to są „monologi waginy”, ale nie daję nic po sobie poznać.

Zdają się żyć z Mickiem w zupełnie innym świecie. Kate ciągle powtarza, jak bardzo szef działu wiadomości – ten Terry, z którym rozmawiała przez telefon – się cieszy. Pewnie z tego, że złapała wdowę.

– Biedak będzie musiał co chwilę latać do naczelnego, ale może przynajmniej przestanie się czepiać pozostałych reporterów. Dziwny koleś: w pubie rozkręci każdą imprezę, za to w pracy potrafi spędzić dwanaście godzin przykuty do biurka. Odrywa wzrok od ekranu komputera tylko po to, żeby kogoś opieprzyć. Jak jakiś żywy trup.

Mick wybuchają śmiechem.

Kładę się na śpiworze. Jest trochę uświniony, ale pachnie



w porządku, więc zapadam w drzemkę. Głosy dziennikarzy zmieniają się w szum tła. Budzę się już na miejscu.

Hotel należy do tych dużych i luksusowych, gdzie we foyer stoi pełno olbrzymich wazonów z bukietami, a na ladzie recepcji leżą jabłka. Nie wiem, czy kwiaty są żywe, czy sztuczne, ale jabłka na pewno są prawdziwe. Można się nawet nimi poczęstować.

Kate znów przejmuje inicjatywę.

– Dzień dobry. Mamy zarezerwowane trzy pokoje na nazwisko Murray – mówi recepcjonistce.

Ta uśmiecha się i patrzy na monitor.

– Dzwoniliśmy parę godzin temu – dodaje Kate niecierpliwie.

– Zgadza się – oznajmia w końcu recepcjonistka.

Pewnie Mick nazywa się Murray. Wręcza kobiecie kartę kredytową, a ona patrzy na mnie.

Nagle dociera do mnie, że muszę wyglądać jak nieboskie stworzenie. Włosy sterczą mi na wszystkie strony od marynarki zarzuconej na głowę i drzemki w furgonetce. W ubraniu, które mam na sobie, nie wyszłabym nawet do sklepu na rogu, nie mówiąc o eleganckim hotelu. Stoję więc w starych spodniach i koszulce, wbijając wzrok w swoje tanie japonki, a oni zajmują się formalnościami. Kiedy meldują mnie jako Elizabeth Turner, patrzę pytająco na Kate.

– Dzięki temu nikt cię nie znajdzie. Na pewno będą nas szukać.

Zastanawiam się, kim jest prawdziwa Elizabeth Turner i jak spędza popołudnie. Mogę się założyć, że nie musi chować się przed prasą. Raczej przegląda ciuchy w TK Maxx.

– Bagaże? – pyta recepcjonistka.

Kate spokojnie odpowiada, że zostały w samochodzie i wypakujemy je później. W windzie patrzę na nią i pytająco unoszę brwi. Odpowiada mi uśmiechem. Nie rozmawiamy, bo jedzie z nami boy hotelowy. Bez sensu, skoro nie mamy żadnych walizek, ale upiera się, żeby odprowadzić nas do pokoi. I pewnie dostać napiwek. Dostaję pokój 142, przez ścianę z Kate w 144. Boy odgrywa cały spektakl z otwieraniem drzwi i zapraszaniem mnie do środka. Wchodzę i rozglądam się po pięknym przestronnym pokoju oświetlonym żyrandolem. Kanapa, stolik kawowy, lampy i jeszcze więcej jabłek...

Muszą chyba mieć korzystną umowę z Sainsbury's albo innym sklepem, skoro opłaca im się rozkładać wszędzie tyle owoców.

– Może być? – pyta Kate.

– Och, tak – odpowiadam, siadam na kanapie i jeszcze raz chłonę otoczenie.

Nawet hotel, w którym zatrzymaliśmy się w podróży poślubnej – rodzinny interes w Hiszpanii – nie był tak luksusowy. I tak świetnie się bawiliśmy. Kiedy przyjechaliśmy, wciąż miałam we włosach resztki confetti. Obsługa skakała wokół nas, na powitanie otworzono szampana – hiszpańskiego, lekko mdławego – a kelnerki co chwilę podchodziły, żeby nas ucałować.

Spędzaliśmy całe dni nad basenem wpatrzeni w siebie. Zakochani po uszy. Ile czasu minęło od tej pory!

Kate mówi, że tu też jest basen. I spa. Nie mam ze sobą kostiumu – nie zabrałam praktycznie niczego – ale ona pyta mnie o rozmiar i jedzie kupić mi „parę drobiazgów”.

– Gazeta stawia – mówi.

Przed wyjściem zapisuje mnie jeszcze na masaż.

– Dla relaksu – tłumaczy. – To cudowne doświadczenie. Używają olejków eterycznych: jaśmin, lawenda... Można zasnąć. Przyda ci się trochę luksusu, Jean.

Nie wiem, czy chcę tak sobie dogadzać, ale nie protestuję. Nie pytam, jak długo mam tu zostać. Na razie nie ma o tym mowy, a oni traktują to jak weekendowy wypad.

Godzinę później w hotelowym szlafroku leżę na łóżku i czuję się tak odprężona, że niemal lewituję. Glen powiedziałby, że pachnę jak „buduar kurtyzany”, ale mnie się to podoba. Pachnę bogactwem. Potem Kate puka do drzwi i wracam do punktu wyjścia. Wracam do rzeczywistości.

Ona wchodzi do pokoju z naręczem toreb i reklamówek.

– Proszę bardzo, Jean – mówi. – Przymierz, zobaczymy, czy pasują.

Zauważam, że ciągle zwraca się do mnie po imieniu. Jak pielęgniarka albo oszust.

Wybrała dla mnie piękne ubrania. Bładoniebieski kaszmirowy

sweter, na który sama nigdy nie mogłabym sobie pozwolić, elegancką białą koszulę, zwiewną sukienkę i parę świetnie skrojonych szarych spodni, majtki, buty, kostium kąpielowy, płyn do kąpieli z najwyższej półki, piękną, długą koszulę nocną... Patrzy, jak rozpakowuję to wszystko.

– Uwielbiam ten kolor, Jean, a ty? – pyta i podnosi sweter.  
– Lazurowy błękit.

Wie, że mnie też się podoba, choć próbuję tego po sobie nie pokazywać.

– Dziękuję – mówię. – Naprawdę nie potrzebuję tego wszystkiego. Zostaję tu tylko na jedną noc. Może powinnaś zwrócić część rzeczy?

W odpowiedzi uśmiecha się tylko i zbiera puste torby.

Dawno minęła pora obiadu, więc postanawiają zamówić coś do pokoju Kate. Ja mam ochotę tylko na kanapkę, ale Mick zamawia stek i butelkę wina – jak się potem okazało, za trzydzieści dwa funty. W supermarkecie tyle kosztuje osiem butelek chardonnay. Mick stwierdził, że wino jest „zarabiste”. Dużo przeklina. Kate zdaje się tego nie zauważać. Całą uwagę skupia na mnie.

Po posiłku wystawiamy talerze za drzwi. Mick idzie do siebie przygotować sprzęt, Kate rozsiada się w fotelu i zaczyna rozmowę. Zwykłą pogawędkę, jaką prowadziłam z klientką w salonie przy myciu włosów. Wiem jednak, że w końcu zmieni ton.

– Śmierć Glena musiała być dla ciebie niezmiernie trudna – zaczyna.

Kiwam głową i przybieram smutny wyraz twarzy. Nie mogę jej powiedzieć, że wcale tak nie jest. W rzeczywistości odczułam nieopisaną ulgę.

– Jak sobie radzisz, Jean?

– Ostatnie tygodnie były straszne – odpowiadam łamiącym się głosem i przełączam się z powrotem na tryb Jeanie, kobiety, którą byłam tuż po ślubie.

Jeanie mnie uratowała. Żyła dalej swoim nudnym życiem, gotowała kolację, myła włosy klientkom, zamiatała podłogi i ścieliła łóżka. Wiedziała, że Glen padł ofiarą spisku policji. Trwała przy swoim mężu. Mężczyźnie wybranym na dobre i na złe.

Z początku Jeanie wracała tylko wtedy, gdy rodzina albo policja zadawała pytania, ale z czasem, w miarę jak coraz więcej zła zaczęło wpełzać do naszego życia przez szparę pod drzwiami, wprowadziła się na stałe, żebyśmy mogli z Glenem żyć jak wcześniej.

– To był straszny szok – opowiadam. – Wpadł pod autobus na moich oczach. Nie miałam nawet czasu, by krzyknąć. Zginął. Potem przybiegli ludzie i wzięli sprawy w swoje ręce. Szok mnie sparaliżował, więc zabrali mnie do szpitala, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wszyscy byli niezwykle pomocni.

Dopóki nie poznali tożsamości ofiary.

Bo wiecie, policja twierdziła, że Glen porwał Bellę.

Usłyszałam jej imię, kiedy przyszli do nas do domu. Mogłam wtedy myśleć tylko o jej zdjęciu – tej buzi z okrągłymi okularami i plastrem na oku. Wyglądała jak mała piratka, tak słodka, że chciałabym ją zjeść. Od miesięcy ludzie nie mówili o niczym innym – w salonie, w sklepie, w autobusie... Mała Bella. Bawiła się przed domem w Southampton, a ktoś po prostu wszedł do ogródka i ją porwał.

Nigdy nie pozwoliłabym dziecku bawić się samemu na dworze. Na litość boską, miała tylko dwa i pół roku! Matka powinna lepiej jej pilnować. Pewnie oglądała Jeremy'ego Kyle'a czy innego Jerry'ego Springera. Glen mówi, że takie rzeczy zawsze przytrafiają się tego rodzaju ludziom. Lekkomyślnym i nieuważnym.

Stwierdzili, że to Glen uprowadził Bellę. I zabił. Nie mogłam oddychać, kiedy to usłyszałam – to policja pierwsza o tym powiedziała, dopiero potem inni zaczęli to powtarzać.

Staliśmy w przedpokoju z rozdziawionymi ustami. Chociaż nie, twarz Glena zupełnie straciła wszelki wyraz. Nie wyglądał nawet jak Glen.

Policjanci nie robili hałasu. Żadnego walenia w drzwi jak na filmach. Zapukali, puk-puk-stuku-puk-puk. Glen właśnie wrócił z myjni. Otworzył drzwi, a ja wyjrzałam z kuchni, żeby zobaczyć kto to. Za progiem stało dwóch facetów. Zapytali, czy mogą wejść. Jeden wyglądał jak mój nauczyciel geografii, pan Harris. Nosił taką samą tweedową marynarkę.

– Pan Glen Taylor? – zapytał, cicho i spokojnie.

– Tak – odparł Glen i spytał, czy coś sprzedają. Na początku nie dosłyszałam ich odpowiedzi, ale potem weszli do środka. Policjanci: komisarz Bob Sparkes i jego podwładny, sierżant.

– Chciałbym porozmawiać z panem o zaginięciu Belli Elliott – powiedział komisarz Sparkes.

Otworzyłam usta. Chciałam powiedzieć, żeby przestał mówić takie rzeczy, ale nie mogłam wydusić słowa. I wtedy twarz Glena straciła wyraz.

Przez cały ten czas nawet raz na mnie nie spojrzął. Nie objął mnie ramieniem, nie wziął za rękę. Potem twierdził, że doznał szoku. Rozmawiał z policjantami, ale ich słowa do mnie nie docierały. Widziałam, że poruszają ustami i nic nie słyszałam. Co Glen mógł mieć wspólnego z Bellą? Nigdy nie skrzywdziłby dziecka. Uwielbia maluchy.

Na koniec policjanci zabrali Glena. Mówił mi potem, że pożegnał się ze mną i kazał mi się nie martwić, że obiecał wyjaśnić to głupie nieporozumienie. Nie pamiętam tego. Inni policjanci zostali ze mną i zadawali masę pytań, grzebali w naszym życiu. Ja przez cały czas miałam w głowie tylko twarz Glena i wspomnienie chwili, w której poczułam, że zupełnie go nie znam.

Jak się później okazało, ktoś zgłosił, że Glen dostarczał towar niedaleko domu Belli, ale to nic nie znaczyło. Zwykły zbieg okoliczności, twierdził. Setki ludzi musiały być tamtego dnia w okolicy.

Glen nawet nie zbliżył się do miejsca zbrodni, dostarczył przesyłkę pod adres odległy o kilkanaście kilometrów. Ale policja przesłuchiwała wszystkich po kolei, żeby sprawdzić, czy czegoś nie widzieli.

Został kurierem po zwolnieniu z banku. Redukowano etaty, mówił znajomym, a on potrzebował zmiany. Zawsze marzył o swojej firmie, szansie bycia własnym szefem.

Pamiętam, że prawdziwą przyczynę poznałam pewnego środowego wieczoru. Miałam aerobik, więc jedliśmy obiad dopiero wieczorem. Zrobił mi awanturę, że wróciłam później niż zwykle, obrzucił mnie stekiem okropnych wyzwisk. Nigdy nie używał takich słów. Wszystko było nie tak. Miotał oskarżenia, jego gniew zdawał się wypełniać całą kuchnię. Patrzył na mnie martwymi oczami jak na obcą osobę. Bałam się, że mnie uderzy. Widziałam, jak rozwiera i zaciska pięści.

Znieruchomiałam przy kuchence z łąpatką do przewracania placków w dłoni.

Moja kuchnia, moje zasady – żartowaliśmy czasem. Nie tamtej środy. Tamtego dnia nie było nam do śmiechu.

Kłótnia skończyła się trzaśnięciem drzwi – Glen odmaszerował do łóżka w pokoju gościnnym, z dała ode mnie. Pamiętam, jak stałam u stóp schodów i nie czułam nic. O co mu chodzi? Co się stało? Nie chciałam nawet myśleć, co to mogło dla nas oznaczać.

„Przestań się zadręczać” – mówiłam sobie. „Wszystko będzie dobrze. Pewnie miał zły dzień. Wyśpi się i mu przejdzie”.

Zacząłam sprzątać – zebrałam jego szalik i płaszcz z poręczy schodów i odwiesiłam na haczyk przy drzwiach. W kieszeni poczułam coś twardego – list. Białą kopertę z okienkiem. W okienku jego nazwisko i nasz adres. Pismo z banku utrzymane w bardzo oficjalnym tonie, tak sztywnym jak koperta: „nieprofesjonalne zachowanie”, „nieodpowiednie”, „postępowanie dyscyplinarne”, „zwolnienie ze skutkiem natychmiastowym”. Pogubiłam się trochę w tym formalnym żargonie, ale zrozumiałam, że oznacza to wstyd i hańbę. Koniec z naszymi marzeniami. Naszą przyszłością. Wbiegłam po schodach z listem w zaciśniętej dłoni. Wpadłam do pokoju gościnnego i zapaliłam światło. Na pewno słyszał moje wejście, ale udawał, że śpi, dopóki nie wrzasnęłam:

– Co to ma być?

Spojrzał na mnie jak na śmiecia.

– Zwolnili mnie – powiedział i obrócił się na drugi bok.

Następnego ranka wszedł do sypialni z herbatą w moim ulubionym kubku. Wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka, i przeprosił. Usiadł na łóżku i zaczął tłumaczyć, że był pod dużą presją, że to jakieś nieporozumienie, że nigdy nie dogadywał się z szefem. Twierdził, że ktoś go zrobił i niesłusznie oskarżył. O jakiś głupi błąd, mówił. Nie zrobił nic złego. Szef zazdrościł mu przebojowości. Mówił, że ma wielkie plany na przyszłość, ale nie wyobraża jej sobie beze mnie.

– Jesteś całym moim światem, Jeanie – oznajmił i mocno mnie przytulił.

Odwzajemniłam uścisk i przestałam się bać.

Mike, znajomy z Internetu, powiedział mi o posadzie kierowcy – „tylko dopóki nie dopracuję pomysłu własnej firmy, Jeanie”. Na początku dostawał pieniądze do ręki za każdy kurs, ale po jakimś czasie zatrudnili go na stałe. Przestał snuć plany o własnej działalności.

Dostał strój służbowy, całkiem ładny: błękitną koszulę z logo firmy na kieszeni i granatowe spodnie. Glenowi nie podobał się obowiązek noszenia uniformu – „To poniżające, Jeanie, jak w szkole”. W końcu przyzwyczał się i wydawał całkiem zadowolony. Wychodził rano, machał mi na pożegnanie i jechał po furgonetkę. „Komu w drogę, temu czas” – mawiał.

Tylko raz zabrał mnie ze sobą. Szef zlecił mi specjalne zadanie, w niedzielę tuż przed Bożym Narodzeniem. To musiały być ostatnie święta przed jego aresztowaniem. Miał kurs niedaleko, do Canterbury, a ja chciałam się przejechać. Przez całą drogę siedzieliśmy w milczeniu. Przejrzałam zawartość schowka. Zwykle rzeczy. Jakieś słodycze. Zjadłam trochę i poczęstowałam Glena, żeby poprawić mu humor. Nie skusił się i kazał mi schować opakowanie.

Furgonetka wyglądała czysto i schludnie. Nieskazitelnie. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Parkowała w firmie, Glen co rano jechał po nią swoim samochodem.

– Ładne auto – skomentowałam.

Odburknął coś niezrozumiałego.

– Co jest z tyłu?

– Nic – odparł i pogłośnił radio.

Faktycznie – zajrzałam, kiedy rozmawiał z klientem. Tył furgonetki był pusty i czysty jak liza. Prawie. Spod wycieraczki wystawał oderwany róg opakowania po cukierkach oblepiony kurzem. Wydłubałam go paznokciem i schowałam do kieszeni. Glen nauczył mnie porządku.

Wydaje się, jakby całe wieki minęły od tej przejażdżki dwojga zwykłych ludzi.

– Glen Taylor? – pyta pielęgniarka, wyrrywając mnie z zamyślenia. Marszczy czoło, kiedy wpisuje nazwisko do formularza. Próbuje sobie przypomnieć. Czeka na nieuniknione.

Trybiki zaskakują.

– Glen Taylor? Ten, co miał porwać małą Bellę? – mówi cicho do jednego z sanitariuszy, a ja udaję, że nie słyszę. Kiedy się do mnie odwraca, nie ma już tak miłego wyrazu twarzy. – Ach tak – mówi i odchodzi. Pewnie poszła zadzwonić, bo pół godziny później w szpitalu pojawiają się dziennikarze – próbują wmieszać się w tłum pacjentów na izbie przyjęć. Potrafię wyczuć ich na kilometr.

Wbijam wzrok w ziemię i nie chcę rozmawiać z żadnym z nich. Co za ludzie prześladowają kobietę, której mąż zginął właśnie na jej oczach?

Policja też tu jest, z powodu wypadku. To nie ci co zwykle. Funkcjonariusze z miejscowej komendy, nie oficerowie z hrabstwa. Przeprowadzają rutynowe działania: przesłuchują świadków, mnie, kierowcę. Jego też tu przywieziono. Okazuje się, że mocno uderzył się w głowę, kiedy zahamował, i nawet nie widział Glena.

Pewnie mówi prawdę, wszystko stało się błyskawicznie.

Pojawia się komisarz Bob Sparkes. Wiedziałam, że prędzej czy później wypłynie jak oliwa, ale nie spodziewałam się, że tak szybko – musiał pędzić tu z Southampton jak błyskawica. Składa mi kondolencje ze zbolałym wyrazem twarzy, choć myślę, że bardziej żał mu samego siebie. Śmierć Glena na pewno pokrzyżowała mu szyki – teraz nie uda mu się rozwiązać sprawy. Biedny Bob. Do końca życia będzie musiał żyć z tą porażką.

Siada obok na plastikowym krześle i ujmuje moją dłoń. Jestem w takim stanie, że mu na to pozwalam. Nigdy wcześniej nie dotknął mnie w taki sposób, jakby mu na mnie zależało. Trzyma mnie za rękę i przemawia cichym, spokojnym głosem. Wiem, co mówi, choć nie słyszę słów, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Pyta, czy wiem, co Glen zrobił z Bellą. Mówi to oględnie, tłumaczy, że teraz mogę wszystko wyznać. Koniec z tajemnicami. Ja też byłam ofiarą Glena, tak jak Bella.

– Nic nie wiem na temat Belli, Bob. Glen też nic nie wiedział – odpowiadam i zabieram dłoń, pozornie by otrzeć łzę. Potem wymiotuję w szpitalnej toalecie. Doprowadzam się do porządku i siadam na sedesie, opierając czoło o cudownie chłodne kafelki na ścianie.



## Rozdział 10

*Czwartek, 12 października 2006 roku*

### **Detektyw**

Komisarz Bob Sparkes stał przed tablicami rozwieszonymi w centrum koordynacyjnym, przyglądając się im w nadziei odkrycia charakterystycznych układów lub powiązań. Zdjął okulary i zmrużył oczy, jakby zmiana ostrości mogła pomóc mu coś dostrzec.

Jeśli gorączkowe działania podejmowane przez policję porównać do huraganu, to Bella wciąż pozostawała brakującym elementem w jego epicentrum.

„Tyle różnych informacji, a tej małej ciągle ani śladu” – myślał. „Musi gdzieś tu być. Coś przeoczyliśmy”.

Specjaliści od kryminalistyki dokładnie przebadali każdy skrawek muru otaczającego ogródek i malowanej metalowej furtki, licząc na znalezienie odcisków palców i materiału do badania DNA. Sam ogródek został przeczesany z lupą przez cały zastęp policjantów, którzy na kolanach, nabożnie wkładali do plastikowych torebek włókna z ubrań dziewczynki, złote włosy, kawałki zabawek i porzucone papierki po cukierkach niczym najświętsze relikwie. Nie trafiono jednak na żaden ślad porywacza.

– Sukinsyn musiał sięgnąć nad murkiem, przenieść ją górą i od razu wsadzić do auta – stwierdził Sparkes. – Zajęło mu to parę sekund. W jednej chwili bawiła się w ogródku, w następnej już jej nie było.

Pod murkiem w ogródku znaleziono na wpół wyspany czerwony cukierek.

– Może wypadł jej z ust, kiedy ją podniósł? – zasugerował Sparkes. – To smarties?

– Nie jestem ekspertem od słodczy, szefie, ale poproszę, żeby ktoś to sprawdził – odparł sierżant Matthews.

Laboratorium orzekło, że to skittles. Na cukierku odkryto ślinę

Belli – DNA pasowało do próbki pobranej ze smoczka, który ssała w nocy.

– Nigdy nie dawałam jej skittlesów – oświadczyła Dawn.

„Dał jej cukierek, żeby ją uciszyć” – pomyślał Sparkes.

Bardzo staroświeckie podejście. Pamiętał, jak mama ostrzegała go w dzieciństwie: „Nigdy nie bierz słodyczy od nieznajomych”. Mówiła też coś o panach ze szczeniaczkami.

Po raz kolejny przeglądał materiał dowodowy i jego optymizm stygł. Nie wyglądało to najlepiej. Ulicy nie monitorowały kamery – wyłącznie stary dobry pan Spencer – a te zamontowane w okolicy nie zarejestrowały żadnego niechlujnego mężczyzny.

– Może po prostu miał szczęście? – zauważył Sparkes.

– Zajebiste szczęście.

– Dzwon do telewizji, Matthews, i dowiedz się, kiedy mają wolny termin w *Crimewatch*. Powiedz im, że to pilne.

Przygotowanie telewizyjnej rekonstrukcji zdarzeń zdawało się ciągnąć latami, choć w rzeczywistości trwało zaledwie osiem dni. Dziewczynki grającej Bellę musieli szukać w przedszkolach w innych miastach, bo żadne z rodziców mieszkających w pobliżu osiedla Westland nie pozwoliłoby córce na udział w przedsięwzięciu.

– W sumie trudno ich winić – powiedział Sparkes sfrustrowanemu reżyserowi. – Nie chcą widzieć dziecka w roli ofiary porwania, nawet na niby.

Stali na końcu Manor Road, czekając, aż ekipa się rozstawi, i omawiali treść prośby Sparkesa o informacje.

– To pójdzie na żywo ze studia, Bob – tłumaczył reżyser – więc musisz mieć przygotowany tekst. Powiemy ci, jakich pytań się spodziewać.

Sparkes miał zbyt wiele na głowie, żeby przyswoić sobie to wszystko. Właśnie wysyłał Dawn Elliott radiowozem do matki, kiedy przyjechała grająca ją aktorka.

– Wygląda jak ja – wyszeptła Dawn. Nie mogła nawet spojrzeć na dziecko grające Bellę. Porozkładała na kanapie komplet ubranek, małą opaskę i zapasowe okulary Belli. Głaskała przy tym każdy przedmiot i powtarzała imię córeczki. Sparkes pomógł jej wstać i zaprowadził ją do

samochodu. Usiadła obok Sue Blackman i ani razu się nie odwróciła.

Ulica była cicha i opuszczona, tak jak tamtego dnia. Sparkes obserwował rekonstrukcję zdarzeń – reżyser spokojnie tłumaczył „Belli”, jak ma wybiec do ogródka za wypożyczonym szarym kotem. Matka stała tuż za kamerą z czekoladą – na wypadek gdyby trzeba było dodatkowej zachęty. Uśmiechała się do córeczki i z trudem powstrzymywała łzy.

Pani Emerson zgłosiła się na ochotnika do odegrania swojej własnej roli: sztywnym krokiem przemierzyła ścieżkę od drzwi, udając, że rozgląda się za małą sąsiadką, potem zareagowała na wołanie Dawn o pomoc. Po drugiej stronie ulicy pan Spencer „zauważył” aktora w długiej peruce, który przechadzał się wzdłuż jego domu. Kamerzysta stojący w grządce akсамitek pani Spencer sfilmował przez okno wykuszowe ostentacyjnie zdziwiony wyraz twarzy staruszka.

„Uprowadzenie” trwało zaledwie kilka minut, ale minęły trzy godziny, zanim reżyser oznajmił, że jest zadowolony i wszyscy zebrali się wokół monitora w furgonietce, żeby obejrzeć efekt końcowy. Nikt nie odezwał się ani słowem, kiedy „Bella” bawiła się w ogrodzie. Pan Spencer jako jedyny został, żeby porozmawiać z ekipą.

Później jeden ze starszych oficerów wziął Sparkesa na stronę.

– Zauważyłeś, że ten nasz pan Spencer ciągle kręci się koło śledczych i udziela wywiadów reporterom? Powtarza im, że widział porywacza. Według mnie trochę ma parcie na szkło.

Sparkes uśmiechnął się wyrozumiale.

– Zawsze musi się jeden taki trafić, co? Pewnie mu się nudzi. Poproszę Matthews, żeby miał go na oku.

Tak jak się spodziewano, program wyemitowany dwadzieścia trzy dni po zniknięciu Belli uruchomił lawinę telefonów do studia i centrum koordynacyjnego. Film rozпалиł emocje widowni i wywołał potok komentarzy w rodzaju: „Z całego serca łączę się w tych trudnych chwilach z...” i „Mój Boże, jak to możliwe?”, publikowanych na stronie internetowej programu.

Kilkunastu dzwoniących twierdziło, że widziało Bellę. Wielu było przekonanych, że zauważyło ją w kawiarni, autobusie, na placu zabaw. Każdą informację natychmiast sprawdzano. Entuzjazm Sparkesa zaczął

gwałtownie opadać, kiedy przyszła jego kolej na odbieranie telefonów w studiu.

Tydzień później Sparkes szedł korytarzem i usłyszał ożywione głosy z centrum koordynacyjnego.

– Mamy ekshibicjonistę na placu zabaw, panie komisarzu – raportował oficer dyżurny. – Jakieś dwadzieścia pięć minut drogi od domu Dawn Elliott.

– Kto to? Znamy go?

Lee Chambers był rozwiedzionym taksówkarzem w średnim wieku, przesłuchiwanym pół roku wcześniej w związku z obnażeniem się przed dwiema pasażerkami. Twierdził, że wyskoczył na szybkie siku i pasażerki zauważyły co nieco, kiedy zasuwiał rozporek. Zupełnie przypadkowo. Kobiety nie chciały robić wielkiej afery i policja puściła go wolno.

Dziś złapano go w krzakach za huśtawkami i zjeżdżalnią w Royal Parku; na placu bawiły się dzieci.

– Chciałem się tylko wysikać – powiedział policjantowi wezwanemu przez jedną z przerażonych matek.

– Zawsze ma pan erekcję podczas oddawania moczu? To musi być strasznie niewygodne – odparł policjant i zaprowadził go do radiowożu.

Chambersa zawieziono na komendę główną policji w Southampton i umieszczono w pokoju przesłuchań.

Sparkes zajrzał przez szybę z hartowanego szkła umieszczoną w drzwiach i zobaczył chudego faceta z długimi, przetłuszczonymi włosami związanymi w kucyk, ubranego w spodnie od dresu i koszulkę FC Southampton.

– Niechlujny długowłosey – stwierdził Matthews.

„To ty porwałś Bellę?” – pomyślał Sparkes automatycznie. „Trzymasz ją gdzie?”

Gdy Sparkes i Matthews weszli do pokoju, podejrzany spojrzał na nich wyczekująco.

– To jakaś pomyłka – oznajmił.

– Gdybym dostawał funta za każdym razem... – wymamrotał Matthews. – W takim razie proszę nam opowiedzieć, co zaszło – zaproponował, przysuwając się bliżej do stołu.

Chambers zaczął opowiadać swoją zmyśloną historię. Szybkie siku. Nie wybrał specjalnie placu zabaw. Nie zauważył dzieci. Nie odzywał się do nich. Głupi, niewinny błąd.

– Czy może mi pan powiedzieć, gdzie pan był w poniedziałek drugiego października? – zapytał Sparkes.

– Jezu, nie wiem. Pewnie w pracy. W poniedziałki zazwyczaj jeżdżę. Dyspozytorka będzie wiedziała. A czemu?

Pytanie na chwilę zawisło w powietrzu, a potem oczy Chambersa zrobiły się wielkie jak spodki. Sparkes niemal spodziewał się zobaczyć żarówkę rozbłyskującą nagle w jego głowie.

– Wtedy porwali tę małą, prawda? Nie myślicie chyba, że miałem z tym coś wspólnego? Jezu, nie możecie tak myśleć.

Zostawili go, żeby trochę zmiękł, i dołączyli do oficerów przeszukujących jego mieszkanie – kawalerkę w starym wiktoriańskim budynku w zapuszczonej dzielnicy czerwonych latarni w pobliżu doków.

Matthews przekartkował mocno pornograficzne gazety spod łóżka Chambersa i westchnął.

– Może i nienawidzi kobiet, ale nie widzę tu niczego o seksie z dziećmi. Co znalazłeś?

Sparkes milczał. Na podłodze szafy leżała przezroczysta plastikowa teczka z wyciętymi z gazet zdjęciami Dawn i Belli.

Dyspozytorka – wyglądająca na znudzoną kobietę po pięćdziesiątce – siedziała skulona z chłodu w nieogrzewanym biurze, ubrana w zielony sweter z warkoczami i mitenki.

– Lee Chambers? A co on nawyrabiał? Znowu się niechcący rozebrał? – roześmiała się i wysiorbała łyk red bulla. – Nieprzyjemny typ – stwierdziła, przerzucając rejestr. – Wszyscy tak uważają. Co z tego? Kumpluje się z kolegą szefa.

Przerwało jej trzeszczenie radia i metaliczny głos zniekształcony przez kiepskie głośniki. Odpowiedziała serią niezrozumiałych instrukcji.

– Zaraz, o czym mówiliśmy? Aha. Poniedziałek, drugiego października. Mam. Rano Lee pojechał do Fareham. Kurs do szpitala, stały klient. Spokój aż do obiadu, potem zgarnął parę z lotniska w Eastleigh do Portsmouth. Dowiózł ich na miejsce koło drugiej. Ostatni kurs tego dnia.

Wydrukowała im wszystkie informacje i wróciła do mikrofonu. Wyszli bez pożegnania.

– W klubach mówią o tej korporacji „taksówki gwałtówki”  
– powiedział sierżant Matthews. – Zabroniłem swoim dziewczynom z nimi jeździć.

Cały zespół skrupulatnie badał życie Chambersa. Była żona już czekała na rozmowę ze Sparkesem i Matthewsem, przesłuchiowano kolegów z pracy i właściciela mieszkania.

Donna Chambers, kobieta o surowych, pospolitych rysach twarzy i włosach rozjaśnionych grubymi pasemkami, najwyraźniej własnej roboty, szczerze nie znosiła eksmeża. Mimo to nie uważała, że mógłby skrzywdzić dziecko.

– To tylko głupi, niewyżyty pies na baby.

Detektywi przezornie unikali wzajemnie swojego wzroku.

– Trochę z niego donżuan, co?

Tutaj nastąpiła długa i robiąca spore wrażenie litania wszystkich przyjaciółek, koleżanek i znajomych żony, z którymi przespał się Lee Chambers. Nie darował nawet fryzjerce.

– Za każdym razem obiecywał, że to się już nie powtórzy  
– opowiadała zdradzona. – Twierdził, że ma silny popęd. Kiedy go w końcu zostawiłam, strasznie się wkurzył i groził, że policzy się z każdym moim nowym facetem, ale nic z tego nie wyszło. Mocny w gębie. Urodzony kłamca. Nie potrafi powiedzieć prawdy.

– A co z obnażaniem się w miejscach publicznych? To coś nowego?

Pani Chambers wzruszyła ramionami.

– Nie robił tego, jak byliśmy razem. Może skończyły się babki, co lecą na jego teksty? To trochę żalodne. Okropne zachowanie, ale i on jest okropny.

Właściciel mieszkania niewiele wiedział o najemcy. Chambers płacił czynsz w terminie, nie hałasował i wyrzucał śmieci. Lokator idealny. Natomiast inni taksówkarze chętnie dzielili się historiami o koledze. Jeden opowiedział detektywom o gazetkach sprzedawanych przez Lee z bagażnika samochodu.

– Rozkładał się na parkingach dla tirowców przy autostradach.

Niektórzy goście lubią takie rzeczy. Wiecie, brutalny seks, gwałty, porwania. Tego typu sprawy. Chwalił się, że całkiem nieźle na tym zarabia.

Wszyscy zgodnie określali go jako odrażającego typa, ale to nie czyniło z niego porywacza dzieci, jak z żalem stwierdził Sparkes w rozmowie z sierżantem.

Podczas drugiego przesłuchania, jeszcze tego samego popołudnia, Chambers twierdził, że trzymał wycinki, bo podobała mu się Dawn Elliott.

– Ciągle wycinam z gazet zdjęcia fajnych lasek. Wychodzi taniej niż świerszczyki – wyznał. – Mam silny popęd.

– Dokąd pan pojechał po kursie do Portsmouth?

– Do domu – oświadczył kategorycznie.

– Ktoś pana widział?

– Nie, wszyscy o tej porze pracują, a ja mieszkam sam. Jak mam wolne, oglądam telewizję i czekam na telefon z pracy.

– Ktoś widział długowłosego mężczyznę na ulicy, przy której mieszka Bella Elliott.

– To nie ja. Ja siedziałem w domu – powtórzył Chambers, nerwowo szarpiąc końce włosów.

Sparkes wyszedł na chwilę z pokoju przesłuchań. Czuł się brudny.

– Powinniśmy go zamknąć za samo to, że oddycha – stwierdził Matthews, kiedy dołączył do Sparkesa.

– Rozmawialiśmy z pasażerami. Mówią, że pomógł im z walizkami, zaproponowali mu nawet coś do picia, ale od razu pojechał. Potem nikt go nie widział.

Kiedy rozmawiali, Chambers przeparadował obok nich z policjantem.

– Dokąd to? – zdenerwował się Sparkes.

– Do kibla. Kiedy mnie wypuścicie?

– Zamknij się i wracaj do pokoju.

Detektywi zostali jeszcze przez chwilę na korytarzu.

– Poszukajmy go na filmach z kamer. Poszukajmy też klientów tych jego wyprzedaży na parkingach. To wszystko zboki krążące po lokalnych drogach. Jak się nazywają, Matthews? Może widzieli go

drugiego października. Skontaktuj się z drogówką, wypytaj o jakichś kandydatów.

W pokoju przesłuchań Chambers zmierzył ich zza stołu spojrzeniem zmrużonych oczu i powiedział:

– Nie przedstawiają mi się przecież, nie? Dyskrecja to podstawa.

Sparkes spodziewał się, że lada chwila Chambers opowie, jak to działał dla dobra społeczeństwa, bo dzięki niemu zboczeńcy nie chodzili po ulicach. Nie zawiódł się.

– Poznałbyś któregoś ze swoich klientów? – zapytał.

– Raczej nie. W tym biznesie lepiej się nie gapić.

Detektywi zaczęli tracić nadzieję. Kiedy przyszedł czas na kolejną przerwę, Sparkes uznał, że wystarczy.

– Poczekamy, zobaczymy. Na razie zatrzymajmy go za nieobyczajne zachowanie. Aha, Matthews: powiedz lokalnym mediom, żeby zainteresowały się nim w sądzie. Przyda mu się trochę reklamy.

Chambers uśmiechnął się pogardliwie na wieść, że przesłuchanie dobiegło końca. Nie triumfował jednak długo – za chwilę funkcjonariusz zaprowadził go do aresztu.

– Jezu, jeden ekshibicjonista. Tyle mamy z całego śledztwa – poskarżył się Sparkes.

– To dopiero początki, szefie – odparł Matthews.



## Rozdział 11

*Czwartek, 2 listopada 2006 roku*

### **Detektyw**

Matthews trzymał w ręku notes Stana Spencera i nie wyglądał na zadowolonego.

– Zbadałem to jeszcze raz, przejrzałem wcześniejsze zapiski. Są bardzo dokładne: warunki pogodowe, liczba samochodów zaparkowanych na ulicy i ich właściciele, kto wchodził do poszczególnych domów, kto wychodził. W tym Dawn.

Sparkes zastrzygł uszami.

– Niemal codziennie zapisywał dokładne godziny wejść i wyjść.

– Zwracał na nią szczególną uwagę?

– Raczej nie. Wspomina o wszystkich sąsiadach. Musimy go o coś zapytać. Zapiski urywają się w pół zdania w niedzielę i nagle zaczyna się poniedziałek, drugiego października, wraz z uwagami o długowłosym mężczyźnie. Wygląda na to, że może brakować jednej strony. Zapisał też pełną datę u góry strony. Zwykle tego nie robił.

Sparkes przyjrzał się uważnie zeszytowi i poczuł ucisk w żołądku.

– Jezus Maria, myślisz, że on sobie to wszystko wymyślił?

Matthews się skrzywił.

– Niekoniecznie. Może ktoś mu przerwał w niedzielę i już nie wrócił do zapisków. Ale...

– Co?

– Na okładce jest napisane, że zeszyt ma 32 strony. Teraz jest tylko 30.

Sparkes przeczesał włosy palcami.

– Po co miałyby to robić? Czy to on? To nasz porywacz? Pan Spencer ukrywał się na widoku?

Stan Spencer otworzył im w stroju do pracy w ogrodzie – starych spodniach, wełnianej czapce i rękawiczkach.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Witam pana sierżanta. Miło panów widzieć. Jakież wieści?

Zaprosił ich na werandę. Siedziała tam Susan Spencer, czytając gazetę.

– Popatrz, kto nas odwiedził – zaszczębiotał. – Zrób panom coś do picia, kochanie.

– Proszę pana – Sparkes postanowił nadać oficjalny ton spotkaniu, które nie powinno się zamienić w pogaduszki przy kawie – chcemy porozmawiać o pańskich notatkach.

– Oczywiście. Proszę bardzo.

– Zdaje się, że brakuje jednej strony.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł i oblał się rumieńcem.

Matthews rozłożył odpowiednie strony na stole.

– Tutaj kończą się zapiski z niedzieli, w połowie pańskich uwag o śmieciach przed domem Dawn Elliott. Na następnej stronie zaczyna się poniedziałek i zapiski o mężczyźnie, którego rzekomo pan widział.

– Naprawdę go widziałem – upierał się Spencer. – Wyrwałem stronę, bo się pomyliłem, to wszystko.

Przy stole zapadła cisza.

– Gdzie jest brakująca kartka? Zatrzymał ją pan? – zapytał łagodnie Sparkes.

Twarz Spencera skrzywiła się w grymasie.

Susan wkroczyła na werandę z tacą gustownych filiżanek i talerzem domowych ciastek.

– Proszę się częstować – powiedziała serdecznie, zanim uderzyła ją grobowa cisza panująca na werandzie. – Co się stało? – zapytała.

– Chcielibyśmy zamienić kilka słów z pani mężem.

Zatrzymała się na chwilę, popatrzyła na twarz Stana i odwróciła na pięcie, wciąż z tacą w rękach.

Sparkes ponownie zadał pytanie.

– Schowałem ją chyba do szuflady – powiedział Spencer i poszedł do domu poszukać.

Wrócił ze złożoną na pół kartką papieru w linie. Zobaczyli na niej resztę notatek z niedzieli. W połowie strony zaczynała się pierwotna wersja zapisków z poniedziałku.

– Pogoda przyjemna jak na tę porę roku – przeczytał na głos Sparkes. – Pojazdy legalnie parkujące na ulicy: rano – astra spod 44, samochód położnej pod 68. Po południu – furgonetka Petera. Pojazdy parkujące nielegalnie: rano – jak zwykle 7 samochodów przejezdnych. Po południu: jak wyżej. Ulotki o uciążliwym parkowaniu zatknięte za wycieraczki. Spokój.

– Widział pan długowłosego mężczyznę w dniu, kiedy wprowadzono Bellę?

– Nie... Nie jestem pewny.

– Nie jest pan pewny?

– Widziałem go, ale może innego dnia? Mogło mi się coś pomylić, panie komisarzu.

– A pańskie sporządzane na bieżąco notatki?

Znowu się zarumienił.

– Popęliłem błąd – przyznał cicho. – Tyle się działo tego dnia. Chciałem pomóc. Przydać się na coś Belli.

Sparkes miał ochotę skrócić mu kark. Ledwie udało mu się utrzymać profesjonalny ton przesłuchania.

– Uznał pan, że pomoże Belli, jeśli skieruje nas na fałszywy trop?

Staruszek skulił się w fotelu.

– Chciałem pomóc – powtórzył.

– Wie pan, ludzie, którzy kłamią, często mają coś do ukrycia.

– Nic nie ukrywam. Przysięgam. Jestem porządnym obywatelem. Chronię całą okolicę przed przestępcami. Powstrzymałem kradzieże z samochodów przy naszej ulicy. Sam jeden, w pojedynkę. Peter Tredwell potwierdzi, niech pan go zapyta.

Nagle zawiesił głos.

– Czy wszyscy dowiedzą się o mojej pomyłce? – zapytał z błagalnym wzrokiem.

– Nie to jest w tej chwili najważniejsze – nie wytrzymał Sparkes. – Musimy przeszukać pański dom.

Sparkes kazał swoim podwładnym przetrząsnąć mienie Spencerów, a sam wymknął się z domu z Matthewsem. Starsze małżeństwo mogło w samotności napawać się tym, że znalazło się w centrum uwagi.

Matthews potarł szczękę.

– Popytam o niego sąsiadów, szefie.

W domu Tredwellów pod niebiosa wysławiali „fachmana Stana” i jego czujność.

– W zeszłym roku przepłoszył jakiegoś łobuza, który włamał mi się do auta. Ukradłby mi narzędzia. Dobra robota – pochwalił pan Tredwell.

– Teraz parkuję w garażu. Bezpieczniej.

– W dniu porwania Belli Elliot pańska furgonetka stała przy Manor Road. Tak wynika z zapisków pana Spencera.

– Niemożliwe. Jeździłem do klientów, po robocie zostawiłem auto w garażu, tak jak zwykle.

Matthews szybko zanotował szczegóły i wyszedł.

Sparkes nadal stał pod domem Spencerów.

– W interesującym nas czasie przy ulicy parkowała nieznana niebieska furgonetka, szefie. To nie było auto Tredwella – poinformował go Matthews.

– Na miłość boską, co jeszcze ten Spencer źle zanotował? – zapytał Sparkes. – Niech nasi ludzie ponownie przejrzą zeznania świadków i nagrania z monitoringu w okolicy. I sprawdź, czy któryś z naszych zboków nie jeździ niebieską furgonetką.

Żaden z nich nie powiedział nic więcej. Nie musieli. Wiedzieli, że myślą o tym samym. Zmarnowali cały miesiąc. Prasa nie zostawi na nich suchej nitki.

Sparkes wyjął telefon i zadzwonił do biura prasowego, żeby trochę ograniczyć potencjalne skutki katastrofy.

– Powiedzmy dziennikarzom, że weszliśmy w posiadanie nowych informacji – powiedział. – I odwróćmy ich uwagę od sprawy faceta z długimi włosami. Pomińmy to milczeniem. Skupmy się na poszukiwaniu niebieskiej furgonetki. Jasne?

Media rzuciły się na nową informację i umieściły ją na czołówkach gazet. Tym razem brakowało jednak wypowiedzi z ich ulubionego źródła. Pan Spencer przestał otwierać drzwi.

## Rozdział 12

*Sobota, 7 kwietnia 2007 roku*

### **Detektyw**

Dopiero po kolejnych pięciu miesiącach czarnej roboty i śledzenia wszystkich niebieskich furgonetek jeżdżących po kraju nastąpił przełom.

W sobotę wielkanocną do centrum koordynacyjnego zadzwonił ktoś z firmy kurierskiej w południowym Londynie. Jedna z ich niebieskich furgonetek rozwoziła przesyłki w rejonie wybrzeża w dniu zniknięcia Belli.

Telefon odebrał jeden ze starych wyjadaczy i od razu przekazał informację Sparkesowi.

– To chyba coś dla pana, komisarzu – oznajmił i położył na biurku wypełniony formularz.

Sparkes natychmiast oddzwonił do Qwik Delivery, żeby dopytać o szczegóły. Kierownik, Alan Johnstone, przeprosił za marnowanie czasu policji: dopiero od niedawna pracuje w firmie, ale żona kazała mu zadzwonić.

– Non stop mówi o tej sprawie z Bellą. Parę dni temu wspomniałem, ile kosztowało nas malowanie furgonetek, a ona na to: „A jakiego koloru były wcześniej?”. Kiedy powiedziałem, że niebieskie, o mało nie oszalała. Teraz są srebrne. No i zapytała, czy policja nas sprawdzała. Nie dawała mi spokoju, więc w końcu przejrzałem papiery i faktycznie, jeden z kierowców był wtedy w Hampshire. Nie w samym Southampton i pewnie dlatego poprzednie kierownictwo się z wami nie skontaktowało. Widać uznali, że nie warto zawracać wam głowy. Jeszcze raz przepraszam, ale obiecałem żonie.

– Proszę nie mieć wyrzutów. Każda informacja może być na wagę złota – odparł zachęcająco Sparkes i na wszelki wypadek zacisnął kciuki.

– Jesteśmy ogromnie wdzięczni, że zdecydował się pan zadzwonić. Proszę teraz opowiedzieć mi o furgonetce, kierowcy i trasie.

– Pojechał wtedy Mike Doonan, stały pracownik. Teraz już go u nas nie ma. Brakowało mu jeszcze paru lat do emerytury, ale miał okropne problemy z plecami. Ledwo chodził, a co dopiero mówić o prowadzeniu auta czy dźwiganiu pudeł. No ale Mike zawoził paczki do Portsmouth i Winchester drugiego października. Części zapasowe do sieci warsztatów.

Sparkes pilnie wszystko notował, przyciskając telefon brodą, a jednocześnie lewą ręką wpisywał do komputera dane. Kierowca znajdował się w promieniu trzydziestu kilometrów od Manor Road, możliwe, że w krytycznych godzinach.

– Mike wyjechał z firmy tuż przed przerwą obiadową. Droga zajmuje jakieś półtorej, dwie godziny, o ile na M25 nie ma korka – powiedział pan Johnstone.

– O której dostarczył przesyłkę? – zapytał Sparkes.

– Chwila, oddzwonię do pana, jak znajdę to wszystko w papierach – oznajmił i się rozłączył.

Sparkes zawołał gromko:

– Matthews! Chodź tu do mnie! – i wręczył sierżantowi wyniki wyszukiwania.

Znowu zadzwonił telefon.

– Pierwszą dowiózł o 14.05 – poinformował Johnstone. – Podpisane, wszystko się zgadza. Brakuje poświadczenia drugiej dostawy. Nie wiem czemu. Z papierów wynika, że nikt nie widział, jak wrócił. Pracownicy biurowi wychodzą o piątej. Tu mam napisane, że furgonetka stała na dziedzińcu, umyta i odkurzona na następny dzień.

– Okej, świetnie. Musimy z nim porozmawiać, na wszelki wypadek. Może widział coś, co nam się przyda. Gdzie mieszka ten kierowca? – zapytał Sparkes, usiłując stłumić nutkę podniecenia, która zaczynała pobrzmiwać w jego głosie.

Zapisał w notatniku adres w południowo-wschodnim Londynie.

– Bardzo nam pan pomógł. Jeszcze raz dziękuję za telefon.

Godzinę później jechali z Matthewsem autostradą M3.

Na pierwszy rzut oka akta kierowcy z policyjnej kartoteki nie zawierały nic, co mogłoby spowodować przyśpieszone bicie serca. Mike Doonan zbliżał się do sześćdziesiątki, mieszkał sam, od lat pracował

jako kierowca i ociągał się z płaceniem mandatów za nieprawidłowe parkowanie. Ale kiedy Matthews przeszukał policyjną bazę danych, Doonan wyskoczył jako „osoba podejrzana” w operacji „Złoto”. Status osoby podejrzanej oznaczał, że wykryto potencjalne powiązania ze stronami z pornografią dziecięcą. Zespół biorący udział w operacji „Złoto” zajmował się metodycznym sprawdzeniem setek mężczyzn mieszkających na terenie Wielkiej Brytanii, właścicieli kart kredytowych użytych, by opłacić dostęp do konkretnych witryn. Najpierw wzięli pod lupę tych pracujących z dziećmi – nauczycieli, pracowników socjalnych, opiekunów, instruktorów harcerskich – potem zajęli się resztą. Nie dotarli jeszcze do Doonana (ur. 4.05.1952 r., zawód: kierowca, stan cywilny: rozwiedziony, trójka dzieci, lokal komunalny), przy obecnym tempie śledztwa nie zanosilo się, żeby zapukali do jego drzwi wcześniej niż za rok.

– Mam dobre przeczucie – powiedział Sparkes.

Wszystko zorganizował: londyńscy policjanci dyskretnie obserwowali mieszkanie, nie mieli jednak podejmować żadnych działań do czasu przyjazdu funkcjonariuszy z Hampshire.

Telefon komisarza zawibrował.

– Idziemy. Jest w domu – powiedział, kiedy skończył rozmowę.

Mike Doonan obstawiał właśnie wyniki wyścigów konnych na programie z „Daily Star”, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi.

Przeniósł niemały ciężar ciała do przodu, żeby podnieść się z fotela, i stęknął. Ból przeszył mu lewą nogę, zmuszając go, by przez chwilę stał nieruchomo.

– Chwila, już idę! – zawołał.

Kiedy uchylił drzwi na klatkę, zobaczył za nimi nie, jak się spodziewał, sąsiadkę samarytanę z sobotnimi zakupami (piwo i krojony chleb), ale dwóch mężczyzn w garniturach.

– Mormoni? Starczy mi moich byłych żon – burknął i chciał zamknąć drzwi.

– Pan Michael Doonan? – zapytał Sparkes. – Policja. Chcielibyśmy z panem chwilę porozmawiać.

– Nie chodzi chyba o te cholerne mandaty za parkowanie? Myślałem, że wszystkie zapłaciłem. Wchodźcie.

Zaprowadził ich do malutkiego pokoju dziennego, po czym powoli osunął się z powrotem na fotel.

– Plecy do kitu – stwierdził i aż zachłysnął się powietrzem z bólu.

Kiedy padło imię Bella, przestał się krzywić.

– Biedna mała. Byłem wtedy w Portsmouth z dostawą, tak w porze obiadu. Dlatego tu jesteście? Mówiłem szefowi, żeby zadzwonił, kiedy gazety pisały o poszukiwaniach niebieskiej furgonetki, bo taką jeździłem. Stwierdził, że nie chce, żeby mu się policja kręciła po firmie. Nie wiem czemu, musicie go zapytać. Tak czy siak, nawet się nie zbliżyłem do domu dziewczynki. Zrobiłem dostawę i wróciłem.

Doonan był pomocny niczym wzorowy obywatel – dzielił się z policją swoją opinią na temat sprawy i sugerował, co powinno się zrobić z „tym sukinsynem, co ją porwał”.

– Chciałbym go dorwać. Chociaż za wiele bym mu nie zrobił, nie w tym stanie.

– Od jak dawna ma pan te dolegliwości? – zapytał sierżant Matthews.

– Od lat. Niedługo czeka mnie wózek.

Policjanci słuchali go cierpliwie, po czym poruszyli kwestię jego rzekomego zainteresowania pornografią dziecięcą. Doonan skwitował całą sprawę śmiechem.

– Nawet nie mam komputera. Nie znam się na tych internetach. Szczerze? Trochę ze mnie technofob. Zresztą to śledztwo jest bez sensu, co nie? W gazetach pisali, że cwaniaki z Rosji kradną numery kart i sprzedają je z bokom. Mogą się panowie rozejrzeć, proszę bardzo. Sprawdzić, czy mówię prawdę.

Sparkes i Matthews skorzystali z propozycji – przekopali się przez ubrania upchnięte w szafie, podnieśli materac, żeby przejrzeć worki schowane pod łóżkiem.

– Sporo pan ma damskich ubrań – zauważył Matthews.

– Tak, lubię się czasem poprzebierać, jak mnie najdzie ochota – zaśmiał się bez troski Doonan.

„Zbyt bez troski” – pomyślał Sparkes.

– Nieee, te ciuchy to po ostatniej małżonce. Jakoś się jeszcze nie zebrałem, żeby je wyrzucić.



Ani śladu dziecka.

– Ma pan dzieci?

– Dorosłe. Nie widuję ich. Wzięły stronę matek.

– Rozumiem. Zajrzemy jeszcze szybko do łazienki.

Sparkes zerknął na sierżanta, który przekopywał się właśnie przez kosz na rzeczy do prania i starał się nie oddychać.

– Tu jej nie ma, ale nie podoba mi się ten gość – wycedził Matthews przez zęby. – Jakiś taki zbyt przyjacielski. Nieprzyjemny typ.

– Musimy jeszcze pogadać z chłopakami od „Złota” – stwierdził Sparkes i zamknął szafkę nad umywalką. – I poszukać śladów w jego furgonetce.

Wrócili do pokoju. Doonan uśmiechnął się do nich szeroko.

– Już po wszystkim? Przepraszam za te brudy. To teraz pewnie jedziecie do Glena Taylora?

– Do kogo? – zapytał Sparkes.

– Taylora. To kierowca od nas. Tego samego dnia miał kurs w okolicy. Nie wiedzieliście?

Sparkes przerwał zakładanie płaszcza i podszedł do Doonana.

– Nie. Pan Johnstone nie wspominał o drugim kierowcy. Na pewno było was dwóch?

– Taaa, miałem zrobić oba kursy, ale musiałem wrócić do miasta przed wpół do piątej na wizytę u lekarza. Glen powiedział, że weźmie tę drugą dostawę. Może nie wpisał do papierów. Powinniście go zapytać.

– Nie omieszkamy.

Sparkes gestem dał Matthewsowi do zrozumienia, żeby zadzwonił do Johnstone’a i dopytał o szczegóły.

Kiedy za sierżantem zamknęły się drzwi, Sparkes obrzucił Doonana surowym wzrokiem.

– Ten drugi kierowca to pański kolega?

Doonan pociągnął nosem.

– Nie bardzo. Szczerze, jest taki trochę tajemniczy. Bystry facet. Głęboki.

Sparkes notował.

– Jak to: „głęboki”?

– Taki niby miły i uczynny, ale nigdy nie wiadomo, co sobie myśli.

Jak gadaliśmy z chłopakami na stołówce, to on tylko słuchał. Można powiedzieć, że skryty.

Matthews zapukał w szybę w drzwiach i obaj aż podskoczyli. Sparkes schował notatki i pożegnał się bez uścisku dłoni.

– Jeszcze się zobaczymy, panie Doonan.

Kierowca przeprosił, że nie wstanie, żeby go odprowadzić.

– Proszę zatrzasnąć za sobą drzwi. Zapraszam, kiedy panom będzie wygodnie! – zawołał za nim.

Policjanci wsiedli do śmierdzącej windy i wymienili spojrzenia.

– Johnstone twierdzi, że w dokumentach nie ma nic o kursach Glana Taylora tamtego popołudnia – powiedział Matthews. – Szuka potwierdzenia dostawy, żeby sprawdzić, kto się na nim podpisał. Dał mi adres Taylora.

– Jedźmy od razu – postanowił Sparkes i sięgnął po kluczyki.

– Sprawdź też, czy Doonan stawiał się wtedy u lekarza.

Mike Doonan odczekał godzinę, a potem poczłapał ciężko do wieszaka w przedpokoju i wygrzebał w kieszeni płaszcza klucz do kłódki. Wytrząsnął dwa specjalne proszki przeciwbólowe z białego pudełka i popił solidnym łykiem zimnej kawy. Poczekał, aż zaczną działać, po czym ruszył powoli do garażu sąsiada, żeby opróżnić swoją szafkę ze zdjęć i magazynów.

– Pieprzone gliny – warczał, opierając się o ścianę windy.

Musi spalić te zdjęcia. Głupio było je w ogóle trzymać, ale tylko to mu zostało po jego małym hobby. Z komputerami skończył dawno temu, kiedy kręgosłup zaczął odmawiać mu posłuszeństwa i nie pozwalał chodzić do ulubionej kafejki internetowej.

– Zbyt schorowany na pornosy – zaśmiał się sam do siebie, wesolutki i lekko zamroczony po lekach przeciwbólowych. – Prawdziwa tragedia.

Otworzył szarą metalową szafkę i ściągnął z górnej półki sfatygowaną niebieską teczkę. Odbitki miały ośle rogi od ciągłego przeglądania, kolory zaczęły blaknąć. Kupił je od innego kierowcy, taksówkarza z wybrzeża, który sprzedawał świerszczyki z bagażnika auta. Doonan znał na pamięć te zdjęcia, twarze i pozy na tle domowych pomieszczeń – salonów, sypialni, łazienek.

Miał nadzieję, że detektywi porządnie przetrzepią Glena Taylora.  
Zasłużył sobie, nadęty dupek.

Ten starszy wyglądał na zaciekawionego, kiedy nazwał Taylora „głębokim”. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

## Rozdział 13

*Sobota, 7 kwietnia 2007 roku*

### **Detektyw**

Kiedy Sparkes szedł ścieżką do domu Taylorów, serce waliło mu jak młotem, wszystkie zmysły miał wyostrzone. Mimo że przebywał podobną drogę setki razy, jego reakcja pozostawała tak samo gwałtowna.

Dom zajmował połowę zadbanego i odmalowanego bliźniaka z podwójnymi szybami i czystymi firankami w oknach.

„Jesteś tu, Bello?” – powtarzał w głowie pytanie, kiedy podnosił rękę, żeby zapukać do drzwi. „Cicho, spokojnie” – napominał się. „Nie chcemy nikogo wystraszyć”.

I wtedy zobaczył Glena Taylora.

„Wygląda jak typowy chłopak z sąsiedztwa” – pomyślał w pierwszej chwili Sparkes. Z drugiej strony najgorszych zbrodniarzy rzadko można poznać na pierwszy rzut oka. Ludzie chcą wierzyć, że zło można wyczuć z daleka. Często mawiał, że cholernie ułatwiłoby to pracę policji. Ale zło było nieuchwytnie, ujawniało się tylko od czasu do czasu i to czyniło je najbardziej przerażającym.

Detektyw szybko obrzucił wzrokiem przestrzeń za plecami Taylora, szukając śladów obecności dziecka, ale przedpokój i schody lśniły czystością – wszystko w najlepszym porządku.

– Tak normalnie, że aż nienaturalnie – powiedział później Eileen. – Wyglądało to jak pokazowy dom z katalogu.

Niechący obraził Eileen, która wzięła tę uwagę za krytykę porządku panującego w ich domu i syknęła z niezadowoleniem.

– Do jasnej cholery, Eileen, o co ci chodzi? Nie mam przecież na myśli ciebie ani naszego domu. Mówię o podejrzanym. Myślałem, że cię to zainteresuje.

Coż, mleko się rozlało. Eileen poszła do kuchni i zaczęła głośno sprzątać. „Zanosi się na kolejny cichy tydzień” – pomyślał i pogłośnił

telewizor.

– Pan Glen Taylor? – zapytał Sparkes cicho i uprzejmie.

– Tak, to ja. Czym mogę służyć? Coś sprzedajecie?

Sparkes podszedł nieco bliżej, tuż za nim stanął Ian Matthews.

– Komisarz Bob Sparkes z policji hrabstwa Hampshire. Mogę wejść?

– Policja? O co chodzi?

– Chciałbym porozmawiać z panem w związku z zaginięciem dziecka. Chodzi o Bellę Elliott – wyjaśnił Sparkes, starając się mówić bez emocji. Glen Taylor zbladł jak ściana i cofnął się, jakby dostał cios pięścią.

Żona Taylora wyszła z kuchni i właśnie wycierała ręce w ścierkę, kiedy padły słowa „Bella Elliott”. Sparkes uznał, że wygląda na sympatyczną, porządną kobietę. Zachłysnęła się powietrzem, a jej dłonie pofrunęły do twarzy. To ciekawe, jak uniwersalne są ludzkie reakcje. Gest zakrycia twarzy jest chyba w nas zaprogramowany. „Wstydzimy się? Czy nie chcemy na coś patrzeć?” – zastanawiał się, czekając na zaproszenie do salonu.

„To dziwne” – pomyślał. Przez cały ten czas facet ani razu nie spojrzał na żonę. Jakby w ogóle jej tam nie było. Biedna kobieta, chyba zaraz się przewróci.

Taylor szybko wziął się w garść i zaczął odpowiadać na pytania.

– Z tego, co wiemy, dostarczył pan przesyłkę niedaleko miejsca uprowadzenia Belli.

– Chyba tak.

– Pana kolega, pan Doonan, twierdzi, że tak było.

– Doonan? – Glen Taylor zacisnął usta. – To nie mój kolega, ale... zaraz, zaraz. Tak, chyba rzeczywiście.

– Proszę sobie przypomnieć. Chodzi o dzień, w którym porwano Bellę Elliott – naciskał Sparkes.

– Tak, tak, faktycznie. Miałem chyba dostawę wczesnym popołudniem, a potem wróciłem do domu. Koło czwartej, z tego co pamiętam.

– Zdążył pan wrócić do domu na czwartą? Świetny czas. Jest pan pewien, że to była czwartą?

Taylor pokiwał głową. Marszczył czoło, jakby udawał głęboki namysł.

– Tak, na pewno. Wróciłem o czwartej. Jean może potwierdzić.

Jean Taylor nie zareagowała. Zdawała się nie słyszeć całej rozmowy. Dopiero gdy Sparkes powtórzył pytanie, spojrzała mu w oczy i przytaknęła.

– Tak – powiedziała, jakby działała na autopilocie.

Sparkes wrócił do Glena Taylora.

– Chodzi o to, że pańska furgonetka pasuje do opisu pojazdu zauważonego przez sąsiada tuż przed zniknięciem Belli. Pewnie pan coś czytał na ten temat, pisały o tym gazety. Sprawdzamy wszystkie niebieskie furgonetki.

– Myślałem, że szukacie mężczyzny z kucykiem. Ja mam krótkie włosy. Poza tym nie byłem w Southampton, tylko w Winchesterze – stwierdził Taylor.

– Na pewno nie wybrał się pan na przejażdżkę po dostarczeniu paczki?

Taylor wyśmiał sugestię detektywa.

– Nie jeżdżę, jeśli nie muszę. To dla mnie żadna rozrywka. Panowie, to jakaś okropna pomyłka.

Sparkes w zamyśleniu pokiwał głową.

– Na pewno rozumie pan powagę sytuacji i nie będzie miał nic przeciwko temu, że się trochę rozejrzemy.

Natychmiast przeszukano dom. Funkcjonariusze szybko sprawdzali kolejne pomieszczenia, wołali imię Belli i zaglądali do szafek, pod łóżka i za kanapy. Nic.

Coś jednak zgrzytało w zeznaniach Taylora. Jakby przećwiczył opowiadanie swojej wersji wydarzeń. Sparkes postanowił zabrać go na przesłuchanie, żeby jeszcze raz ustalić wszystkie szczegóły. Był to winien Belli.

Policjanci robili swoje, a tymczasem Jean Taylor łkała na schodach.

## Rozdział 14

*Czwartek, 10 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Zostawiają mnie samą, żebym mogła trochę odpocząć, a potem jemy razem kolację w pokoju Kate przy wielkim oknie z widokiem na ogród. Zjawia się kelner ze stolikiem na kółkach nakrytym białym obrusem i z kwiatami w wazonie. Talerze przykryto eleganckimi srebrnymi kloszami. Kate i Mick zamówili przystawki, dania główne i desery – dolna półka stolika ugina się pod ciężarem jedzenia.

– No, możemy zaszaleć – mówi Kate.

– Pewnie – potwierdza Mick. – Zasłużyliśmy.

Kate go ucisza, choć widać, że są z siebie bardzo zadowoleni. Trafiła im się główna nagroda – wywiad z wdową.

Grzebię w swojej porcji kurczaka. Nie mam apetytu ani powodów do świętowania. Oni hojnie częstują się winem i wkrótce zamawiają drugą butelkę. Ja pilnuję, żeby nie wypić więcej niż lampkę. Muszę zachować kontrolę.

Ogarnia mnie zmęczenie, więc zaczynam udawać, że płaczę. Mówię, że potrzebuję czasu dla siebie. Kate i Mick wymieniają spojrzenia. Najwyraźniej nie taki był plan. Nie zwracam na nich uwagi, wstaję i mówię:

– Dobranoc. Do zobaczenia rano.

Odsuwają krzesła i niezgrabnie zrywają się na nogi. Kate odprowadza mnie pod drzwi i pilnuje, żebym bezpiecznie znalazła się w swoim pokoju.

– Nie odbieraj telefonu – mówi. – Jeśli będę chciała porozmawiać, zapukam do drzwi.

Kiwam głową na znak zgody.

W pokoju jest gorąco jak w saunie, więc otwieram szeroko okno, żeby wypuścić powietrze nagrzane przez kaloryfery. Leżę na łóżku

i wciąż od nowa odtwarzam w głowie wydarzenia całego dnia. Kręci mi się w głowie. Czuję się, jakbym straciła panowanie nad sobą, jakbym za dużo wypila.

Siadam, żeby powstrzymać zawroty głowy, i widzę swoje odbicie w oknie.

Wygląda jak zupełnie inna osoba, ktoś, kto pozwolił zabrać się z domu obcym ludziom. Ludziom, którzy wcześniej prawdopodobnie walili do drzwi i wypisywali kłamstwa na mój temat. Pocieram policzek, a kobieta w szybie robi to samo. Bo to ja nią jestem.

Wpatruję się w swoje odbicie.

Nie mogę uwierzyć, że tu jestem.

Nie mogę uwierzyć, że zgodziłam się tu przyjechać. Po tych wszystkich przejściach z dziennikarzami. Po ostrzeżeniach Glena.

Chciałabym mu powiedzieć, że nie pamiętam, czy wyraziłam na to wszystko zgodę. Pewnie stwierdziłby, że musiałam udzielić przyzwolenia, w przeciwnym razie nie wsiadłabym z nimi do furgonetki.

Ale jego już nie ma i nie może nic powiedzieć. Zostałam sama.

Potem słyszę rozmowę Kate i Micka na sąsiednim balkonie.

– Biedaczka – mówi Kate. – Pewnie pada z nóg. Załatwimy to rano.

Co „załatwimy”? Domyślam się, że wywiad.

Znów zaczyna kręcić mi się w głowie. Mam mdłości, bo wiem, co mnie czeka. Jutro nie będzie masaży ani prezentów. Koniec z pogawędkami o szafkach kuchennych. Będzie chciała dowiedzieć się wszystkiego o Glenie. I o Belli.

Idę do łazienki, zwracam zjedzonego przed chwilą kurczaka. Potem siedzę na podłodze, wspominając pierwszy wywiad, jakiego udzieliłam – a raczej przesłuchanie na policji, kiedy Glen siedział w areszcie. Przyszli po niego w Wielkanoc. Planowaliśmy wybrać się następnego dnia do Greenwich Park, żeby zobaczyć polowanie na pisanki. Chodziliśmy co roku – to moje ulubione święto, drugim jest Dzień Guya Fawkesa. Zabawne, jakie rzeczy się pamięta. Uwielbiałam takie imprezy – tłumy podekscytowanych maluchów szukały jajek albo, w ciepłych wełnianych czapkach, zimnymi ogniami wypisywały swoje imiona w powietrzu. Zawsze stawałam blisko dzieci i przez chwilę



mogłam udawać, że są moje.

Tamtej niedzieli wielkanocnej siedziałam na kanapie w swoim salonie, dwóch policjantów przeszukiwało moje rzeczy, a Bob Sparkes mnie przesłuchiwał. Chciał wiedzieć, czy mieliśmy z Glenem normalne życie seksualne. Ujął to jakoś inaczej, ale to miał na myśli.

– Oczywiście – odparłam.

Nie wiedziałam, o co tak naprawdę mu chodzi ani dlaczego mnie o to pyta.

Nie chcieli odpowiedzieć na żadne moje pytanie, zarzucali mnie tylko swoimi. Pytaniami o dzień zniknięcia Belli. Dlaczego o czwartej po południu siedziałam w domu, a nie w pracy? O której godzinie wrócił Glen? Skąd wiedziałam, że była dokładnie czwarta? Co jeszcze działo się tamtego dnia? Wszystko sprawdzali i wciąż od nowa wracali do tych samych szczegółów. Czyhali na mój błąd, ale nie pomyliłam się. Trzymałam się swojej wersji. Nie chciałam zaszkodzić Glenowi.

Wiedziałam, że mój Glen nigdy nie mógłby zrobić czegoś takiego.

– Czy używa pani komputera, który zabraliśmy z gabinetu pani męża? – zapytał nagle komisarz Sparkes.

Wzięli go dzień wcześniej, po przeszukaniu pokojów na górze.

– Nie – pisnęłam.

Gardło mnie zawiodło i zdradziło mój strach.

Poprzedniego dnia zaprowadzili mnie na górę. Jeden z nich usiadł przed klawiaturą i próbował uruchomić komputer. Ekran się włączył. Potem nic się nie działo. Zapytali mnie o hasło. Nie wiedziałam nawet, że jest jakieś hasło. Próbowali wpisywać moje imię, datę urodzenia i nazwę ulubionej drużyny Glena, Arsenal. Na próżno. W końcu odłączyli komputer i zabrali, żeby dostać się do niego inaczej.

Wyglądałam za nimi przez okno. Wiedziałam, że coś znajdą, tylko nie wiedziałam co. Nawet nie chciałam sobie wyobrazić. Potem się okazało, że nigdy nie przyszłoby mi do głowy coś takiego. Następnego dnia komisarz Sparkes, kiedy wrócił na kolejne przesłuchanie, powiedział mi o zdjęciach. Okropnych zdjęciach dzieci. Odparłam, że Glen na pewno ich tam nie umieścił.

Ktoś z policji musiał zdradzić prasie nazwisko Glena, bo dziennikarze zapukali do naszych drzwi już następnego ranka po jego

powrocie z komisariatu.

Poprzedniego wieczoru wrócił brudny i wykończony. Zrobiłam grzanki i przysunęłam się z krzesłem jak najbliżej, żeby móc go objąć.

– To było straszne, Jeanie. W ogóle mnie nie słuchali. Ciągłe tylko mnie atakowali.

Nie mogłam powstrzymać łez. Wydawał się zupełnie załamany.

– Nie płacz, kochanie. Wszystko będzie dobrze – powiedział i otarł moje łzy kciukiem. – Oboje wiemy, że nie mógłbym skrzywdzić dziecka.

Wiedziałam, że to prawda, ale kiedy usłyszałam te słowa z jego ust, poczułam tak ogromną ulgę, że znów go objęłam. Niechcący zaplamiłam sobie przy tym rękaw masłem.

– Wiem, że nie mógłbyś tego zrobić, Glen. I nie powiedziałam im nic o twoim późnym powrocie do domu – dodałam. – Potwierdziłam, że wróciłeś o czwartej.

Spojrzał na mnie z ukosa.

Prosił mnie, żebym skłamała, dzień po ogłoszeniu informacji o poszukiwaniach kierowcy niebieskiej furgonetki. Przy kolacji zasugerowałam, by zgłosił, że w dniu zaginięcia dziewczynki jeździł po Hampshire niebieskim samochodem dostawczym – mogliby wykluczyć go z kręgu podejrzanych.

Glen długo mi się przyglądał.

– Prosiłbym się tylko o kłopoty, Jeanie.

– Jak to?

– Zrobiłem wtedy przy okazji jeszcze jedną dostawę na boku, za kolegę. Chciałem trochę dorobić. Jak szef się dowie, to mnie zwolni.

– A co jeśli twój szef zgłosi, że byłeś wtedy w okolicy?

– Nie zgłosi – odparł Glen. – Nie przepada za policją. Gdyby jednak, to powiemy, że wróciłem przed czwartą. I wszystko będzie w porządku. Dobrze, kochanie?

Pokiwałam głową. Zresztą dzwonił do mnie koło czwartej, że już wraca. Podobno komórka mu padła i dzwonił z budki.

Praktycznie na jedno wychodzi, prawda?

– Dziękuję, kochanie – powiedział. – To nawet nie jest kłamstwo, rzeczywiście byłem już w drodze. Po co szef ma wiedzieć, że przy okazji

chciałem sobie dorobić? Nie chcemy chyba, żebym stracił pracę, ani żadnych innych problemów.

– Oczywiście, masz rację.

Włożyłam kolejne kromki do tosterka i wdychałam przyjemny, kojący zapach.

– Gdzie miałeś tę dodatkową dostawę? – zapytałam tak z ciekawości.

– Koło Brighton.

Potem siedzieliśmy w milczeniu.

Następnego ranka do drzwi zapukał pierwszy reporter – chłopak z lokalnej gazety. Wyglądał na sympatycznego i ciągle przepraszał.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mógłbym porozmawiać z panem Taylorem?

Glen wyszedł z salonu, właśnie kiedy pytałam chłopaka, kim jest. Odpowiedział, że dziennikarzem. Wtedy Glen obrócił się na pięcie i zniknął w kuchni. Stałam na progu i nie wiedziałam, co robić. Bałam się, że cokolwiek powiem, zabrzmie nieodpowiednio. W końcu Glen zawołał:

– Nie mam nic do powiedzenia. Żegnam!

Zamknęłam drzwi.

Z czasem zaczęliśmy coraz lepiej radzić sobie z prasą. Nie otwieraliśmy drzwi. Siedzieliśmy cicho w kuchni i czekaliśmy, aż kroki oddalą się od domu i ucichną. Myśleliśmy, że to wystarczy. Niestety. Chodzili do sąsiadów obok i po drugiej stronie ulicy, do kiosku i pubu. Pukali do wszystkich drzwi w poszukiwaniu choć strzępków informacji.

Lisa zza ściany z początku chyba nic nie mówiła reporterom. Z kolei inni sąsiedzi nie wiedzieli zbyt wiele, lecz to ich nie powstrzymywało. Byli zachwyceni całą sytuacją i w zaledwie dwa dni po wypuszczeniu Glena trafiliśmy na czołówki gazet.

„Nareszcie przełom w sprawie Belli?” – głosił jeden z nagłówków. Inna gazeta wydrukowała nieostre zdjęcie Glena z meczu drużyny piłkarskiej lokalnego pubu, a pod spodem stek kłamstw.

Razem przeglądaliśmy pierwsze strony gazet. Glen wyglądał na ogłuszonego. Wzięłam go za rękę, żeby dodać mu otuchy.

W artykułach aż roiło się od błędów. Błędnie podawali wiek

i zawód Glena, robili nawet literówki w imieniu i nazwisku.

Glen uśmiechnął się słabo.

– To dobrze, Jeanie – stwierdził. – Może nikt mnie nie rozpozna.

Oczywiście wszyscy wiedzieli, kogo to wszystko dotyczy.

Zadzwoiła jego matka.

– O co w tym wszystkim chodzi, Jean? – zapytała.

Glen nie chciał podejść do telefonu. Zamknął się w łazience i zrobił sobie kąpiel. Biedna Mary zanosila się płaczem.

– To jedno wielkie nieporozumienie, Mary – uspokajałam ją.

– Glen nie ma z tym nic wspólnego. Ktoś widział taką furgonetkę jak jego w dniu zniknięcia Belli. To wszystko. Zbieg okoliczności. Policja musi po prostu sprawdzić każdy trop, taka ich rola.

– To dlaczego piszą o tym w gazetach?

– Nie wiem, Mary. Dziennikarze nagłaśniają wszystko, co ma związek z Bellą. Ktoś mówi, że ją widział, a oni natychmiast się tam rzucają i węszą. Wiesz, jacy są.

Nie wiedziała. Ja zresztą tak naprawdę też nie. Przynajmniej jeszcze nie wtedy.

– Nie martw się, proszę. Ważne, że my znamy prawdę. Za tydzień to się rozejdzie po kościach. Trzymaj się i ucałuj ode mnie George’a.

Odłożyłam słuchawkę i zamarłam w bezruchu. Wciąż stałam tak, oszołomiona, kiedy Glen wyszedł z łazienki. Miał mokre włosy. Pocałował mnie i poczułam wilgoć na jego skórze.

– Jak tam mama? Pewnie histeryzuje? Co jej powiedziałaś?

Powtórzyłam mu całą rozmowę, przygotowując śniadanie. Odkąd wrócił z komisariatu, prawie nic nie jadł. Nie mógł przełknąć nic poza grzankami.

– Jajka na bekonie? – zapytałam.

– Brzmi świetnie – odparł.

Usiadł za stołem, więc próbowałam rozmawiać z nim o zwykłych sprawach. Brzmiało to strasznie fałszywie.

W końcu Glen zamknął mi usta pocałunkiem i powiedział:

– Czekają nas trudne dni, Jeanie. Ludzie będą mówili okropne rzeczy o nas, może nawet do nas. Musimy być na to gotowi. Nie możemy pozwolić, żeby ta straszna pomyłka zniszczyła nam życie.

Trzymajmy się, dopóki prawda nie wyjdzie na jaw. Myślisz, że dasz radę?

Odwzajemniłam pocałunek.

– Oczywiście. Będziemy wzajemnie się wspierać. Kocham cię, Glen.

Dopiero wtedy naprawdę się uśmiechnął. Przytulił mnie mocno, żebym nie widziała wzruszenia malującego się na jego twarzy.

– No dobra, będzie dokładka bekonu?

Miał rację, jeśli chodzi o niszczenie życia. Po przesłuchaniach straciłam pracę. Próbowałam udawać, że nic się nie stało, mówiłam klientkom, że to okropne nieporozumienie, ale ludzie zaczęli milknąć na mój widok. Stałe klientki przestały zapisywać się na wizyty i przeniosły się do innego salonu. Któregoś sobotniego wieczoru Lesley wzięła mnie na stronę i powiedziała, że choć sama lubi Glena i jest przekonana o jego niewinności, to „dla dobra interesu” musi mnie zwolnić.

Wybuchnęłam płaczem. W tamtej chwili zrozumiałam, że to dopiero początek i moje życie już nigdy nie będzie takie, jak dawniej. Zawinęłam nożyczki i grzebienie w kitel, który wkładałam do farbowania włosów, wepchnęłam wszystko do torby i wyszłam.

Próbowałam nie obwiniać Glena. Wiedziałam, że to nie jego wina. Mówił, że oboje jesteśmy ofiarami tej sytuacji, i próbował mnie pocieszać.

– Nie martw się, Jean. Wszystko będzie dobrze. Znajdziesz inną pracę, kiedy sprawa przycichnie. Zresztą zmiana może wyjść ci na dobre.

## Rozdział 15

*Sobota, 7 kwietnia 2007 roku*

### **Detektyw**

Z pierwszym przesłuchaniem Glena Taylora musieli poczekać na przyjazd wszystkich z Southampton. Odbyło się w dusznym pomieszczeniu niewiele większym od szafy, z drzwiami pomalowanymi farbą w szpitalnym odcieniu zieleni.

Sparkes zajrzał przez szybę w drzwiach. Taylor siedział wyprostowany jak uczeń czekający na rozmowę z dyrektorem, jego dłonie wystukiwały jakiś nieznany rytm na kolanach. Wtórowały im stopy.

Detektyw popchnął drzwi i zajął swoje miejsce na malutkiej scenie. Najważniejsza jest mowa ciała – tak przynajmniej przeczytał w jednym z podręczników do psychologii leżących na szafce nocnej. Przesłuchiwanego można zdominować poprzez górowanie nad nim i wypełnianie w całości jego pola widzenia. Sparkes stał więc nieco dłużej, niż było to konieczne, przeglądając jakieś papiery. W końcu opadł na krzesło. Taylor nawet nie czekał, aż detektyw wygodnie się rozsiądzie.

– Ciągłe powtarzam, że to jakaś pomyłka. Po drogach jeżdżą tysiące niebieskich furgonetek – oznajmił ze skargą w głosie i uderzył dłońmi w pokryty plamami kawy blat. – A co z Mikiem Doonanem? Dziwny facet. Wiecie, że mieszka sam?

Sparkes powoli nabrał powietrza. Nigdzie mu się nie śpieszyło.

– No dobrze. Skupmy się jednak na panu i pańskiej podróży drugiego października. Musimy mieć pewność, że wszystko się zgadza, jeśli chodzi o czas.

Taylor przewrócił oczami.

– A o czym tu jeszcze gadać? Pojechałem, zostawiłem paczkę, wróciłem do domu. Koniec historii.

– No tak. Twierdzi pan, że wyjechał z firmy o dwunastej dwadzieścia. Nie zostało to odnotowane w dzienniku. Dlaczego nie wpisał pan wyjazdu?

Taylor wzruszył ramionami.

– Zastępowałem Doonana.

– Myślałem, że pan za nim nie przepada?

– Byłem mu winny przysługę. Wszyscy kierowcy tak robią.

– Gdzie jadł pan tego dnia obiad? – zapytał Sparkes.

– Obiad? – powtórzył Taylor i zaśmiał się krótko.

– Tak. Zatrzymał się pan gdzieś po drodze?

– Zjadłem pewnie jakiegoś batona, marsa czy coś takiego. Nie jem zbyt wiele w przerwie obiadowej, nie cierpię kupnych kanapek. Wolę poczekać i zjeść w domu.

– Gdzie pan kupił tego marsa?

– Nie wiem. Pewnie na stacji benzynowej.

– W tamtą stronę czy z powrotem?

– Nie jestem pewny.

– Tankował pan?

– Nie pamiętam. To było wieki temu.

– Czy przebieg samochodu spisuje się na początek i koniec każdego dnia roboczego? – zapytał Sparkes, choć dobrze znał odpowiedź.

Taylor zamrugał.

– Tak.

– Czyli gdybym pokonał trasę, którą pan opisał, mój licznik powinien pokazać taki sam przebieg? – logicznie rozumował Sparkes.

Mrugnięcie.

– Tak, ale... Przy wjeździe do Winchesteru zrobił się korek i próbowałem znaleźć objazd. Trochę się zgubiłem, zanim udało mi się wrócić na obwodnicę, i musiałem zawrócić, żeby dojechać pod wskazany adres wysyłki.

– Rozumiem – skwitował Sparkes i przesadnie długo notował odpowiedź. – Zgubił się pan też w drodze powrotnej?

– Nie, skąd. To tylko ten korek.

– Droga powrotna zajęła panu dość dużo czasu, prawda?

Taylor wzruszył ramionami.

– Raczej nie.

– Dlaczego nikt nie widział, jak oddaje pan furgonetkę, skoro wrócił pan tak wcześniej?

– Najpierw pojechałem do domu. Mówiłem wam już. Skończyłem pracę i wpadłem do domu.

– Dlaczego? Z rejestru wynika, że zazwyczaj wraca pan prosto do firmy – naciskał Sparkes.

– Chciałem zobaczyć się z Jean.

– Tak, z żoną. Romantyk z pana, co? Lubi pan robić jej niespodzianki?

– Nie, chciałem jej tylko powiedzieć, że nie jadłem lunchu i zrobię zakupy.

Lunchu. Nie drugiego śniadania ani obiadu. Najwidoczniej dzięki pracy w banku Glen Taylor zaczął aspirować do pewnego stylu życia, pomyślał Sparkes.

– Nie mógł pan zadzwonić?

– Bateria mi padła, zresztą i tak przejeżdżałem koło domu. No i chciałem się napić herbaty.

Trzy argumenty. Sparkes uznał, że Taylor musiał długo obmyślać tę historię. Zaraz po przesłuchaniu sprawdzi wążek komórki.

– Myślałem, że kierowcy muszą być w stałym kontakcie z centralą? Ja mam ładowarkę samochodową.

– Ja też, ale zapomniałem wziąć ją ze swojego samochodu do furgonetki.

– Kiedy padła panu bateria?

– Zauważyłem to dopiero po zjeździe z M25. Chciałem wtedy zadzwonić do Jean. Mogła nie działać od pięciu minut albo dwóch godzin.

– Ma pan dzieci?

Taylor ewidentnie nie spodziewał się tego pytania. Zacisnął wargi i próbował zebrać myśli.

– Nie, a dlaczego? – warknął. – Co to ma wspólnego z tą sprawą?

– Lubi pan dzieci?

– Pewnie, że tak. Kto nie lubi dzieci? – Założył ręce na piersi.



– Widzi pan, niektórzy lubią dzieci trochę inaczej. Wie pan, co mam na myśli?

Taylor mocniej zacisnął dłonie na ramionach i przymknął oczy. Trwało to ułamek sekundy, ale Sparkesowi wystarczyło.

– Dzieci podobają im się jako obiekty seksualne.

– To nie ludzie, to zwierzęta – wypalił Taylor.

– Więc pan nie lubi dzieci w tym sensie?

– To obrzydliwe. Oczywiście, że nie. Za kogo mnie pan uważa?

– To właśnie próbujemy ustalić – odparł Sparkes i pochylił się do przodu, osaczając zwierzynę. – Kiedy zaczął pan pracować jako kierowca? Trochę dziwna zmiana kariery, przecież miał pan wcześniej niezłą pracę w banku, prawda?

Taylor znów zmarszczył czoło jak w pantomimie.

– Potrzebowałem zmiany. Nie dogadywałem się z szefem i postanowiłem otworzyć własną firmę kurierską. Chciałem zdobyć doświadczenie w każdym aspekcie działalności, więc zacząłem od posady kierowcy...

– A co z tą sprawą z komputerami w banku? – przerwał mu Sparkes. – Rozmawialiśmy z pańskim dawnym przełożonym.

Taylor poczerwieniał.

– Nie został pan przypadkiem zwolniony z powodu wykorzystywania komputerów do nieodpowiednich celów?

– Wrobili mnie – odparł szybko Taylor. – Szef chciał się mnie pozbyć. Czuł chyba, że jako młodszy i lepiej wykształcony stanowię dla niego zagrożenie. Każdy mógł skorzystać z mojego komputera. Zabezpieczenia były żałosne. Sam podjąłem decyzję o odejściu.

Założonymi ramionami tak mocno uciskał sobie pierś, że z trudem oddychał.

– Aha, rozumiem – odparł Sparkes i z powrotem się oparł, zapewniając Taylorowi przestrzeń na upiększenie kłamstwa. – Do jakich „nieodpowiednich celów” miał pan używać komputera? – spytał swobodnym tonem.

– Chodziło o pornografię. Ktoś oglądał pornosy na komputerze służbowym w godzinach pracy. Co za kretyn – Taylor zapędział się w przekonaniu o własnej wyższości. – Nigdy nie zrobiłbym czegoś tak

głupiego.

– A pan gdzie ogląda pornografię?

Pytanie zatkało Taylora.

– Chcę się spotkać z adwokatem – powiedział, a jego stopy zaczęły znów tańczyć pod stołem.

– Nie ma problemu. Swoją drogą, właśnie przeglądamy zawartość pańskiego prywatnego komputera. Jak pan myśli, co na nim znajdziemy? Chce nam pan o czymś powiedzieć?

Taylor zamknął się w sobie. Siedział w milczeniu ze wzrokiem wbitym w dłoń. Na propozycję podania czegoś do picia pokręcił tylko głową.

W ten weekend dyżur adwokata z urzędu pełnił Tom Payne. Godzinę później wkroczył do pokoju: mężczyzna w średnim wieku ubrany w ciemny, sprawiający wrażenie zakurzonego garnitur, z blokiem żółtego papieru pod pachą i niedomkniętą teczką.

– Potrzebuję chwili na osobności z panem Taylorem – oznajmił Sparkesowi i wszyscy opuścili pomieszczenie.

Wychodząc, Sparkes spojrzał na Payne'a i przez chwilę mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Potem prawnik ucisnął dłoń nowego klienta.

– No dobrze, zobaczmy, jak mogę panu pomóc – powiedział i pstryknął długopisem.

Po trzydziestu minutach detektywi znów siedzieli w pokoju przesłuchań i niczym psy myśliwskie obwąchiwali każdy najdrobniejszy szczegół opowieści Taylora z nosami wyczulonymi na najłżejszą nawet woń fałszu.

– Wróćmy do zwolnienia z banku. I tak będziemy z nimi rozmawiać, więc równie dobrze może pan nam wszystko powiedzieć – zaproponował Sparkes.

Podejrzany podtrzymał swoją wcześniejszą wersję, twarz mecenasa nie zdradzała żadnych emocji. Najwyraźniej wszyscy byli winni poza Glenem Taylorem. Pojawił się też problem z alibi – choć detektywi przypuszczali atak z każdej strony, okazywało się niezbite. Pukali do drzwi wszystkich sąsiadów. Niestety, nikt nie widział powrotu Taylora w dniu wprowadzenia Belli. Nikt oprócz żony.

Po kolejnych dwóch bezowocnych godzinach pobrano odciski

palców i próbki DNA, po czym zamknięto Taylora w celi. Tymczasem policja sprawdzała jego wersję wydarzeń.

Przez chwilę – sierżant kazał mu opróżnić kieszenie i zdjąć pasek, więc Taylor zdał sobie sprawę, że nie wróci do domu – wyglądał na młodego i zagubionego.

– Niech pan zadzwoni do Jean, mojej żony – poprosił adwokata łamiącym się głosem.

W pustej, sterylnej celi opadł na odbarwioną plastikową ławkę stojącą pod ścianą i zamknął oczy.

Sierżant zajrzał przez wizjer w drzwiach.

– Wygląda na spokojnego – powiedział do kolegi – mimo to miejmy go na oku. Cicha woda. Boję się takich.

## Rozdział 16

*Czwartek, 10 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Dawniej uwielbiałam niedzielne obiady. Zawsze piekłam kurczaka i przygotowywałam całą masę dodatków. Czuliśmy się wtedy jak rodzina i zapraszaliśmy też rodziców, żeby mogli cieszyć się tymi chwilami razem z nami, nowożeńcami. Bliscy siedzieli wokół kuchennego stołu, jednym uchem słuchali niedzielnej audycji *Desert Island Discs* i przeglądali weekendowe wydania gazet, a ja wkładałam ziemniaki do piekarnika i parzyłam kolejne filiżanki herbaty.

Przyjemnie żyło mi się w tym świecie, w którym mogłam zaprosić rodziców na obiad. Jedni czują się dorośli pierwszego dnia pracy, inni – po wprowadzeniu się do własnego mieszkania. Ja poczułam się dorosła dopiero podczas tych niedzielnych obiadów.

Uwielbialiśmy nasz dom. Pomalowaliśmy salon farbą w odcieniu magnolii (Glen twierdził, że to „stylowo”) i kupiliśmy na kredyt zielony komplet wypoczynkowy. W rezultacie kosztował nas pewnie kilkaset funtów, ale wyglądał idealnie, więc Glen musiał go mieć. Dłużej odkładaliśmy na remont kuchni. W końcu zgromadziliśmy odpowiednią kwotę. Wybraliśmy białe meble. Trzymając się za ręce, godzinami chodziliśmy po sklepie jak wiele innych par. Mnie podobały się szafki z sosny, Glen wolał coś „czystego”. Zdecydowaliśmy się na biel. Szczerze mówiąc, kiedy zamontowaliśmy szafki, przywodziły na myśl salę operacyjną, dlatego dobraliśmy do nich czerwone uchwyty, ozdobne słoiki i inne dekoracje, żeby ożywić wnętrze. Kochałam tę kuchnię – „moją działkę”, jak mawiał Glen. Sam nigdy nie gotował:

– Tylko narobiłbym bałaganu – żartował i zbywaliśmy sprawę śmiechem.

Więc to ja przygotowywałam posiłki.

Glen nakrywał do stołu, przekomarzając się z moim tatą, żeby

przesunął łokieć, i żartując z upodobania matki do horoskopów.

– Spotkasz w tym tygodniu jakiegoś księcia z bajki, mamo?

George, jego ojciec, nie odzywał się zbyt wiele, ale zawsze przychodził. Ich wspólne zainteresowania ograniczały się do piłki nożnej, a i na ten temat mieli odmienne zdania: Glen wołał oglądać mecze w telewizji, ojciec chodził na stadion. Glen nie przepadał za tłumem, natłokiem spoconych ciał, wulgarnymi okrzykami.

– Jestem purystą, Jean. Lubię ten sport, ale nie całą tę społeczną otoczkę.

Ojciec nazywał go „ciotą”.

George zupełnie nie rozumiał Glena. Wszyscy uważaliśmy, że onieśmiela go wykształcenie syna. Glen dobrze sobie radził w szkole, zawsze był w gronie najlepszych uczniów, i ciężko pracował, żeby nie skończyć jako taksówkarz, tak jak ojciec. Ironia losu – skończył tak samo. Zażartowałam raz na ten temat, ale Glen oświadczył, że kierowca a taryfiarz to jak niebo a ziemia.

Ja sama nie wiedziałam, kim chciałabym być. Może jedną z tych ładnych dziewczyn, które nie muszą się przemęczać? W sumie nigdy się nie przemęczałam, a Glen zawsze chwalił moją urodę, więc praktycznie spełniłam swoje marzenie. Zawsze starałam się ładnie dla niego wyglądać, ale nie przesadzać z makijażem. Nie przepadał za tym. „To dla pańienek spod latarni, Jeanie”.

Na niedzielne spotkania Mary zawsze przynosiła szarlotkę, a moja mama – bukiet kwiatów. Nie umiała gotować. Wołała warzywa z puszek od świeżych. Trochę dziwactwo. Tata tłumaczył mi, że wychowała się na takim jedzeniu, a on się przyzwyczaił.

W szkole czasem gotowaliśmy coś na zajęciach praktyczno-technicznych. Przynosiłam wtedy swoje dania do domu. Nie były złe, ale jeśli trafiło się coś „zagranicznego”, jak lasagne albo chili con carne, mama podejrzliwie grzebała widelcem w talerzu.

Kurczaka lubili wszyscy. Specjalnie dla mamy zawsze podawałam groszek konserwowy.

Pamiętam, że dużo się śmialiśmy. Z niczego konkretnego. Ze śmiesznych anegdotek z salonu fryzjerskiego

albo banku, z plotek o sąsiadach czy z *EastEnders*. Kiedy

odcedzałam marchewkę i kapustę, okna w kuchni zachodziły parą i Glen malował palcem po szybie. Czasem rysował serduszka, a wtedy Mary się do mnie uśmiechała. Z całego serca marzyła o wnukach i zawsze podczas zmywania zagadywała mnie szeptem, czy nie mam jakichś nowin w tej sprawie. Z początku odpowiadałam zawsze:

– Mamy jeszcze czas na dzieci. Dopiero wzięliśmy ślub.

Potem zaczęłam udawać, że nie słyszę, i jak gdyby nigdy nic łądowałam zmywarę, więc przestała pytać. Chyba domyśliła się, że problem leży po stronie Glena. Zżyłam się z nią dużo bardziej niż z własną matką i wiedziała, że zwierzyłabym się, gdyby chodziło o mnie. Nigdy nie zdradziłam jej przyczyny naszej bezdzietności, ale Glen mimo to miał do mnie pretensje.

– To tylko i wyłącznie nasza sprawa, Jeanie.

Tradycja niedzielnych obiadów zaczęła zamierać, bo Glen nie mógł przebywać w jednym pomieszczeniu z ojcem.

George dowiedział się o naszych problemach z płodnością i w Boże Narodzenie, po tym jak poznaliśmy diagnozę, postanowił sobie zażartować.

– Popatrz, Glen. – Wziął bezpestkową mandarynkę z półmiska z owocami. – Jest taka jak ty. Bez nasionek.

Mimo paskudnego charakteru nawet George zrozumiał, że przesadził. Nikt się nie odezwał. Zapanowała okropna, przytłaczająca cisza. Nie wiedzieliśmy, jak zareagować, więc tylko gapiliśmy się w telewizor i podawaliśmy sobie bombonierkę. Udawaliśmy, że nic się nie stało. Glen był biały jak ściana. Siedział tam taki biedny. Bałam się go nawet dotknąć. Bez nasionek.

W drodze powrotnej oznajmił, że nigdy nie wybaczy ojcu. I nie wybaczył. Nigdy więcej nie wracaliśmy do tej sprawy.

Bardzo pragnęłam dziecka, lecz Glen nie chciał rozmawiać o „naszym problemie” – jak musiałam go nazywać – ani o adopcji. Zamknął się w sobie. Staralam się nie wchodzić mu w drogę. Przez jakiś czas żyliśmy pod jednym dachem jak obcy sobie ludzie.

W niedzielę Glen przestał malować na szybach – uchylał drzwi kuchenne i wypuszczał parę. Goście wychodzili coraz wcześniej, wreszcie zaczęliśmy wymyślać wymówki. „Jesteśmy okropnie zajęci

w ten weekend, Mary. Może przełożymy na przyszłą niedzielę?”. Potem na „przyszły miesiąc”. W końcu jedliśmy obiad w rodzinnym gronie tylko z okazji urodzin i Bożego Narodzenia.

Gdybyśmy mieli dzieci, nasi rodzice byliby dziadkami i wszystko wyglądałoby inaczej. Przymus grania przed rodzicami okazał się dla nas zbyt trudny do zniesienia. To na nas skupiali całą uwagę. Glen nie mógł znieść tak wnikliwej obserwacji naszego życia.

– Do wszystkiego chcą się mieszać – stwierdził raz po obiedzie, kiedy nasze matki radziły mi, gdzie najlepiej kupić nową kuchenkę.

– Chcą nam pomóc, kochanie – odparłam pojednawczo.

Nie mogłam nie dostrzec czarnych chmur zbierających się nad jego głową. Do końca dnia pozostał milczący i zamyślony.

Nagle zaczął się o wszystko obrażać, brać do siebie każdą błażostkę. Najmniejsze głupstwa – uwaga kioskarza na temat przegranej Arsenalu czy bezczelna odzywka dzieciaka w autobusie – potrafiły zdenerwować go na długie dni. Próbowałam go pocieszyć, rozbawić, ale wykończyły mnie te bezowocne próby i uznałam, że sam musi sobie z tym poradzić.

Zacząłam podejrzewać, że Glen specjalnie szuka powodów do złości. Znajomi z pracy, za którymi do tej pory przepadał, nagle zaczęli go irytować i codziennie po powrocie strasznie na nich narzekał. Wiedziałam, że chce sam się nakręcić na awanturę, więc próbowałam spokojną rozmową wybić go ze złego nastroju. Kiedyś, gdy byliśmy młodszy, pewnie by mi się to udało. Teraz wszystko się zmieniło.

Jedna z klientek w salonie mówiła, że we wszystkich małżeństwach po okresie szalonej, namiętnej miłości przychodzi czas na ustawkowanie. Czy właśnie to miała na myśli?

Chyba wtedy Glen zaczął coraz częściej znikać na górze w pokoju z komputerem. Zamykał się przede mną. Wolał te swoje bzdury ode mnie.

## Rozdział 17

*Niedziela, 8 kwietnia 2007 roku*

### **Detektyw**

Chłopaki z laboratorium kryminalistycznego w Southampton rozebrali furgonetkę dostawczą Taylora i zbadali każdy jej centymetr. To samo zrobili z uniformem i butami, pobrali też odciski palców, ślinę do badania DNA, próbki spod paznokci i z genitaliów oraz próbki włosów.

Jednocześnie informatycy próbowali zgłębić ciemną otchłań jego komputera.

Osaczali go ze wszystkich stron. Teraz Sparkes chciał spróbować szczęścia z żoną Taylora.

O ósmej rano w niedzielę wielkanocną, prosto po śniadaniu w Premier Inn w południowym Londynie, Sparkes i Matthews zapukali do drzwi Taylorów.

Jean Taylor otworzyła im na wpół ubrana do wyjścia.

– Boże – westchnęła na widok Sparkesa. – Coś się stało? Adwokat mówił, że dzisiaj wszystko się wyjaśni i Glen będzie mógł wrócić do domu.

– Niezupełnie – odparł Sparkes. – Muszę zamienić z panią kilka słów. Możemy porozmawiać tutaj, nie musimy jechać na komisariat.

Na wzmiankę o komisariacie oczy Jean Taylor zaokrągliły się i stały wielkie jak spodki. Szybko wpuściła detektywów, żeby nie zauważyli ich sąsiedzi, i zrezygnowana wysunęła ramię z rękawa kurtki.

– Proszę dalej – powiedziała i zaprowadziła ich do salonu.

Tam stanęła niepewnie koło poręczy kanapy. Sprawiała wrażenie niewyspanej. Włosy zwisały jej w strąkach. Lekko zachrypniętym głosem zaproponowała im, by usiedli.

– Wczoraj odpowiedziałam już na wszystkie pytania policji. To jakaś pomyłka.

Nerwowo zerwała się z miejsca i znowu usiadła, zagubiona we



własnym salonie.

– Panowie, śpieszę się do rodziców. W każdą niedzielę układam mamie włosy. Nie mogę jej zawieść – tłumaczyła. – Nie mówiłam im o Glenie...

– Może niech pani zadzwoni i powie, że źle się czuje – zasugerował Sparkes. – Musimy ustalić kilka rzeczy.

Jean zamknęła oczy, jakby chciała się rozplakać, po czym podeszła do telefonu.

– To nic takiego, tato, trochę boli mnie głowa, ale chyba zostanę dziś w łóżku. Powiedz mamie, że zadzwonię później.

– No dobrze – powiedział Sparkes. – Proszę mi opowiedzieć o pani życiu z Glenem.

– Co ma pan na myśli?

– Od jak dawna są państwo małżeństwem? Pochodzą państwo z tej okolicy?

Jeanie opowiedziała o spotkaniu na przystanku autobusowym. Sparkes z uwagą słuchał relacji z kolejnych etapów związku, przez ślub jak z bajki, po usłane różami życie małżeńskie.

– Pracował w banku, prawda? – zapytał Sparkes. – To chyba dobra praca, z perspektywami...

– Owszem – przytaknęła Jeanie. – Był bardzo dumny ze swojego stanowiska. Odszedł, żeby rozkręcić własną firmę. Glen zawsze miał mnóstwo pomysłów i planów, jest ambitny. A do tego nie dogadywał się z szefem. Zawsze uważaliśmy, że był zazdrosny o Glena.

Sparkes zrobił pauzę.

– A co z tą sprawą z komputerem w pracy?

Jean znów szeroko otworzyła oczy.

– O czym pan mówi? – zapytała. – Co z komputerem?

„Psiakrew, ona nie ma pojęcia o tych pornosach” – pomyślał Sparkes. „Chryste, no to jazda”.

– Chodzi mi o nieprzyzwoite zdjęcia znalezione na jego komputerze w banku.

Słowo „nieprzyzwoite” zawisło w powietrzu. Jean oblała się rumieńcem.

– Znalaziono takie zdjęcia na komputerze męża w pracy. My

znaleźliśmy je także na tym, który wczoraj zabraliśmy – naciskał Sparkes. – Korzysta pani czasem z tego komputera?

Przecząco pokręciła głową.

– Na obu tych komputerach znaleziono pornograficzne materiały z dziećmi.

Gwałtownie zamachała rękami, żeby go uciszyć.

– Nie wiem nic na temat żadnej pornografii ani komputerów – odparła, a na szyi rozlały się jej purpurowe plamy. – Glen też na pewno nie ma z tym nic wspólnego. On nie jest taki.

– A jaki jest? Jak by go pani opisała?

– Mój Boże, a co to za pytanie? Chyba użyłabym słowa „normalny”. Normalny. Pracowity, dobry mąż...

– W jakim sensie jest dobrym mężem? – podchwycił Sparkes, pochylając się ku niej. – Powiedziałyby pani, że jesteście szczęśliwym małżeństwem?

– Tak, bardzo szczęśliwym. Niemal nigdy się nie kłócimy.

– Mielicie jakieś problemy? Finansowe? Intymne?

Sam nie wiedział, czemu nie odważył się zapytać wprost o życie seksualne, ale kobietę i tak wyraźnie zawstydziło to pytanie.

– Co ma pan na myśli? Jakie problemy intymne?

– Problemy łóżkowe – wyjaśnił oględnie.

Wyglądała, jakby splunął jej w twarz.

– Nie, żadnych problemów – wykrztusiła, po czym wybuchnęła płaczem.

Matthews podał jej pudełko chusteczek ze stolika.

– Proszę. Przyniosę pani wody.

– Nie chciałem pani zdenerwować – usprawiedliwił się Sparkes.

– Muszę jednak zadać te pytania. Prowadzę śledztwo w bardzo poważnej sprawie. Rozumie pani?

Pokręciła głową. Nie rozumiała.

– A co z dziećmi? – Detektyw poruszył kolejny niewygodny temat.

– Nie mamy.

– To państwa świadoma decyzja?

– Nie, oboje bardzo chcieliśmy mieć dzieci, ale nie mogliśmy.

Sparkes odczekał chwilę.

– Glen ma jakiś problem fizjologiczny. Tak powiedział lekarz – głos jej się załamał. – Uwielbiamy dzieci. Dlatego wiem, że Glen nie mógł mieć nic wspólnego z porwaniem Belli.

Skoro padło imię dziewczynki, Sparkes mógł zadać pytanie, z którym wstrzymywał się od samego początku.

– Gdzie był pani mąż o szesnastej w dniu zaginięcia Belli?

– Tutaj, panie komisarzu – odparła Jean bez namysłu. – Ze mną w domu. Chciał się ze mną zobaczyć.

– Dlaczego chciał się z panią zobaczyć?

– Tak po prostu, bez powodu. Nic szczególnego. Wypiliśmy herbatę i pojechał po samochód.

– Ile czasu spędził w domu?

– Jakieś... Jakieś czterdzieści pięć minut – odpowiedziała nieco zbyt wolno.

„Szybkie obliczenia?” – pomyślał Sparkes.

– Mąż często wpadał do domu przed powrotem do pracy?

– Zdarzało mu się.

– Kiedy ostatnio mu się zdarzyło?

– Nie jestem pewna... Nie pamiętam... – zająknęła się, a plamy czerwieni spłynęły jej na dekolcie.

(„Mam nadzieję, że nie gra w pokera” – stwierdził potem Matthews. „Dawno nie widziałem, żeby ktoś aż tak kiepsko kłamał”).

– Skąd pani wie, że była akurat czwarta? – dopytywał się Sparkes.

– Miałam wolne popołudnie, bo pracowałam w niedzielę rano. Słyszałam w radiu wiadomości o czwartej.

– To mogły być wiadomości o piątej. Serwis informacyjny nadają co godzinę. Skąd pewność, że to akurat czwarta?

– Pamiętam, jak spiker powiedział: „Minęła szesnasta, czas na wiadomości BBC”.

Urwała i pociągnęła łyk wody.

Sparkes zapytał o reakcję Glena na wieść o zniknięciu Belli. Jean odparła, że kiedy dowiedzieli się o tej sprawie z wiadomości, oboje byli oburzeni i zszokowani.

– Co dokładnie powiedział? – zapytał Sparkes.

– „Biedna mała. Mam nadzieję, że ją znajdą” – odparła i ostrożnie

odstawiła szklankę na stolik. – Uważał, że pewnie jakieś małżeństwo, które straciło dziecko, porwało ją i wywiozło za granicę.

Sparkes dał Matthewsowi czas, żeby wszystko zanotował, po czym znów zwrócił się do Jean Taylor.

– Jechała pani kiedyś z Glenem furgonetką?

– Raz. Woli jeździć sam, żeby się skupić. Rok temu przed świętami zabrałam się z nim do Canterbury.

– W tej chwili dokładnie badamy furgonetkę. Zechciałaby pani pojechać z nami na komisariat? Pobierzemy odciski palców, żeby móc panią wyeliminować z kręgu podejrzanych.

Otarła łzę.

– Glen utrzymuje furgonetkę w czystości. Wszystko musi być nieskazitelne.

Kiedy Matthews pomógł jej włożyć płaszcz i otworzył drzwi, dodała:

– Znajdą ją, prawda?

## Rozdział 18

*Niedziela, 8 kwietnia 2007 roku*

### **Detektyw**

Glen Taylor miał odpowiedź na wszystko. Nie sposób odmówić mu bystrego umysłu. Kiedy minął pierwszy szok związany z aresztowaniem, zdawał się wręcz cieszyć z wyzwania.

– Bezczelny gnojek. Ja na jego miejscu nie byłbym taki pewny siebie – mówił Sparkes żonie.

Eileen pogłaskała go po ramieniu i podała tradycyjną wieczorną lampkę czerwonego wina.

– Nie, ty od razu do wszystkiego byś się przyznał. Nie nadajesz się na przestępcę. Co chcesz na kolację, kotlety czy rybę?

Sparkes przysiadł na wysokim stołku – Eileen uparła się przy bufecie, kiedy takie rozwiązanie stanowiło ostatni krzyk mody – i poczęstował się surową marchewką z garnka na blacie. Uśmiechnął się do żony, ciesząc się *entente cordiale* panującą tego wieczoru w kuchni. Ich małżeństwo przetrwało wszystkie wzloty i upadki wspólnego życia, ale choć żadne z nich nie przyznałoby tego na głos, odejście dzieci z domu niespodziewanie mocno odbiło się na związku. Wcześniej snuli niezliczone plany: co wreszcie będą mogli zrobić, dokąd pojechać, ile pieniędzy wydawać na własne potrzeby. W końcu nadeszła ta wyczekiwana chwila. Wtedy okazało się, że nagła wolność kazała im po raz pierwszy od lat uważnie przyjrzeć się sobie nawzajem. Bob podejrzewał, że Eileen mocno się rozczarowała.

Na początku związku i w pierwszych latach małżeństwa wspierała jego ambicje. Kiedy uczył się do egzaminów na sierżanta, donosiła mu kolejne kubki kawy i talerze kanapek, żeby miał siłę do nauki.

Parł więc naprzód, znosząc do domu kolejne sukcesy i porażki, a czas mijał wraz z niewielkimi awansami i kolejnymi rocznicami. Podejrzewał jednak, że teraz Eileen przyjrzała się jego dokonaniom

w zimnym świetle późnego wieku średniego i zaczęła się zastanawiać, czy to już wszystko.

Eileen precyzyjnie się obok z zamrożonymi kotletami i zabroniła mu podjadać warzywa.

– Ciężki dzień, kochanie? – zapytała.

Mało powiedziane – czuł się wykończony po przeczyszczeniu zeznań Taylora w poszukiwaniu luk i nieścisłości.

Podejrzany utrzymywał, że zdjęcia przedstawiające wykorzystywanie seksualne dzieci pojawiły się na jego komputerze „przez przypadek – to wina Internetu” – i bez jego wiedzy. Za dostęp do pornografii płacił jego kartą kredytową ktoś, kto ją skopiował:

– Nie wiecie, że kwitnie handel danymi z kart? – zapytał z pogardą.  
– Jean w zeszłym roku zgłosiła kradzież naszej karty. Zapytajcie ją. Powinno być zgłoszenie na policji.

Rzeczywiście, było.

„Ciekawe, że zgłosili kradzież akurat w czasie, kiedy gazety zaczęły pisać o powiązaniu między kartami kredytowymi a pornografią dziecięcą” – pomyślał Sparkes, przeglądając później zapis przesłuchania. Ale to tylko poszlaki.

„Wydaje mu się, że to już ostatnia prosta” – pomyślał Sparkes podczas przerwy na kawę. „Myśli, że ma mocne alibi, ale jeszcze z nim nie skończyliśmy”.

Taylor pozostawał niewzruszony aż do kolejnego przesłuchania. Pokazali mu wówczas zeszyt ze zdjęciami dzieci powycinanymi z gazet i magazynów, który znaleźli za bojlerem w komórce w ich domu.

Tym razem nie odgrywał pantomimy. Ewidentnie nigdy wcześniej go nie widział i opadła mu szczęka. Przerzucał kolejne strony pełne zdjęć uroczych cherubinków w ślicznych ubrankach i kostiumach.

– Co to jest? – zapytał wreszcie.

– Liczyliśmy, że ty nam to powiesz.

Mówili mu na ty. Glen nie protestował, choć sam zwracał się do detektywa per pan, żeby zachować dystans.

– To nie moje – odparł. – Na pewno znaleźliście to u nas?

Sparkes pokiwał głową.

– Widocznie zostało po poprzednich właścicielach – stwierdził

Glen.

Skrzyżował ramiona na piersi i potupywał stopą. Sparkes zamknął zeszyt i odsunął go na bok.

– Nie sędzę. Od ilu lat tam mieszkacie? To pewnie twoje albo Jean.

– Na pewno nie moje.

– W takim razie Jean. Po co jej takie wycinki?

– Nie wiem, ją o to pytajcie – zdenerwował się Taylor. – Ma obsesję na punkcie dzieci. Wiecie, że nie możemy mieć swoich, ona ciągle z tego powodu płakała. W końcu kazałem jej przestać, niszczyło nam to życie. Mamy zresztą siebie nawzajem. To wielkie szczęście.

Sparkes pokiwał głową, zastanawiając się jednocześnie, czy to rzeczywiście szczęście mieć Glena za męża.

„Biedna kobieta” – pomyślał.

Psycholog kryminolog, z którym konsultowali się w tej sprawie, ostrzegł ich, że zeszyt najprawdopodobniej nie należy do pedofila.

– To nie są wycinki zboczeńca – zaopiniował. – Zdjęcia nie mają w sobie nic erotycznego. To zbiór fantazji, ale stworzony przez osobę, która nie uprzedmiotawia dzieci. Rodzaj listy życzeń, coś, co mogłaby stworzyć nastolatka.

„Albo bezdzietna kobieta” – pomyślał Sparkes.

Sekretne życie Jean najwyraźniej wstrząsnęło Taylorem. Pograżył się w rozmyślaniach – pewnie zastanawiał się, czego jeszcze nie wiedział o żonie. Sparkes i Matthews stwierdzili później zgodnie, że pojawiła się wtedy cieniutka rysa w jego przekonaniu o władzy nad żoną. Sekrety były niebezpieczne.

Podczas spotkania z przełożonymi, z majaczącym na horyzoncie widmem upływu trzydziestu sześciu godzin, Sparkes czuł się pokonany. Sprawdzili wszystko. Nie znaleźli nic w furgonetce i nie mogli postawić Taylorowi żadnych zarzutów, jeśli nie liczyć zdjęć z Internetu, które nie mogły być podstawą do aresztowania.

Dwie godziny później Glen Taylor został zwolniony za kaucją i wyszedł z komisariatu z telefonem komórkowym przy uchu. Bob Sparkes obserwował go przez okno.

– Nie przyzwyczajaj się za bardzo do domowych obiadków. Jeszcze się zobaczymy – rzucił w stronę oddalającej się sylwetki.

Nazajutrz Taylor wrócił do pracy, jak donieśli członkowie zespołu odpowiedzialnego za całodobową obserwację.

Sparkes zastanawiał się, co na to szef Glena.

– Założę się, że zwolnią go do końca miesiąca – powiedział do Matthews. – I dobrze. Jeżeli będzie miał dużo wolnego czasu, w końcu popełni jakiś błąd. Na pewno narozrabia.

Detektywi wymienili spojrzenia.

– Może zadzwonimy do Alana Johnstone’a i poprosimy o wgląd w papiery? A nuż popchnie go to w odpowiednim kierunku – zaproponował Matthews.

Johnstone ponownie przywitał ich w swoim gabinecie i pośpiesznie zgarnął stosy papierów z wysiedzianych foteli.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Znowu u nas? Glen mówił, że wszystko się wyjaśniło.

Detektywi ślęczeli nad rejestrami godzin pracy, znów spisując przebieg samochodów, a Johnstone stał nad nimi i najwyraźniej czuł się niezręcznie.

– To pańskie? – zapytał Sparkes i podniósł z biurka zdjęcie dwóch chłopców w koszulkach piłkarskich. – Urocze dzieciaki. – Słowa zawisły w powietrzu.

Johnstone odstawił zdjęcie na miejsce.

– Do zobaczenia! – zawołał Matthews pogodnie.

Glen Taylor został zwolniony przed upływem tygodnia. Alan Johnstone telefonicznie zawiadomił o tym Sparkesa.

– Inni kierowcy czuli się nieswojo. Większość z nich ma dzieci. Taylor nie robił scen, wzruszył tylko ramionami i zabrał swoje rzeczy z szafki.

Matthews wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zobaczymy, co teraz robi.



## Rozdział 19

*Sobota, 21 kwietnia 2007 roku*

### **Wdowa**

W weekend po tym, jak Glen stracił pracę, przyjechali jego rodzice. Dawno ich nie widzieliśmy. Kiedy stali pod drzwiami, dziennikarze próbowali czegoś się od nich dowiedzieć i robić zdjęcia. George się wściekł i zaczął miotać wyzwiskami, Mary wybuchnęła płaczem. Otworzyłam drzwi, przytuliłam ją w przedpokoju i zaprowadziłam do kuchni.

George i Glen przeszli do salonu, my siadłyśmy przy stole kuchennym. Mary nadal zalewała się łzami.

– Co się dzieje, Jean? Jak ktokolwiek może myśleć, że mój Glen mógłby zrobić coś takiego? Niemożliwe, żeby zachował się tak okrutnie. Był takim miłym dzieckiem. Słodkim i bystrym.

Próbowałam ją uspokoić, wytłumaczyć jej wszystko. Nie dawała mi dojść do słowa, w kółko powtarzając: „Nie mój Glen”. W końcu zaparzyłam herbatę, żeby się czymś zająć, i zniosłam tacę do salonu.

Panowała tam nieprzyjemna atmosfera. George z purpurową twarzą stał przed kominkiem i wpatrywał się w Glena, który siedział w fotelu ze spuszczonego wzrokiem.

– Jak się miewasz, George? – zapytałam i podałam mu filiżankę.

– Miewałbym się dużo lepiej, gdyby ten kretyn nie wmieszał się w jakąś policyjną sprawę. Dzięki, Jean. Od rana do nocy dobijają się do nas cholerni reporterzy, pod drzwiami i przez telefon. Musieliśmy zdjąć słuchawkę z widełek, żeby mieć choć trochę spokoju. To samo z twoją siostrą, Glen. Koszmar.

Glen nie odpowiedział. Może wszystko zostało powiedziane przed moim przyjściem?

Nie mogłam tego tak zostawić.

– Dla Glena to też koszmar. Dla nas wszystkich. Nie zrobił nic

złego, a jeszcze stracił pracę. To niesprawiedliwe.

Niedługo potem Mary i George wyszli.

– Krzyż na drogę – stwierdził potem Glen.

Nie wiem, czy rzeczywiście było mu to obojętne. W końcu to jego matka i ojciec.

Potem przyszła kolej na moich rodziców. Przez telefon kazałam tacie zapukać do naszej sąsiadki Lisy i przejść przez furtkę między ogródkami, żeby dziennikarze dali im spokój. Biedna mama wpadła przez drzwi kuchenne, jakby gonił ją wściekły pies.

Bardzo kocham mamę i jednocześnie widzę, że nie radzi sobie z wieloma najzwyklejszymi codziennymi sprawami. Z trudem łapie właściwy autobus, by dojechać do lekarza, albo nawiązuje kontakt z kimś obcym. Tata jest wyrozumiały. Nie narzeka na te jej „paniczki”, jak pieszczotliwie je nazywają. Siada obok, głaszcze ją po dłoni i mówi do niej spokojnie, dopóki jej nie przejdzie. Naprawdę się kochają, od zawsze. Mnie też kochają, ale mama pochłania całą uwagę ojca.

– Ty zresztą masz Glena – mawiała.

Więc kiedy mama opadła na krzesło w kuchni, blada i zdyszana, tata zaraz usiadł przy niej i ujął za rękę.

– Już dobrze, Evelyn – uspokajał.

– Daj mi chwilę, Frank, muszę się uspokoić.

„Mama potrzebuje po prostu otuchy, Jean” – powiedział tata, kiedy zasugerowałam pewnego razu wizytę u lekarza. Postanowiłam więc również ją pokrzepić.

– Wszystko będzie w porządku, mamó. Cała ta sprawa się wyjaśni. To jakaś okropna pomyłka. Glen powiedział im, gdzie był i co robił. Policja wszystko wyprostuje.

Spojrzała na mnie badawczo.

– Jesteś pewna?

Byłam.

Potem nas nie odwiedzali. Ja jeździłam do nich.

– To zbyt duży wysiłek dla mamy – wyjaśnił tata przez telefon.

Co tydzień układałam jej włosy. Dawniej lubiła comiesięczne „wyprawy” do fryzjera, ale od czasu aresztowania Glena coraz rzadziej wychodziła z domu.

Choć to nie jego wina, czasem z trudem przychodziło mi obdarzanie go choć odrobiną sympatii.

Na przykład dzień, w którym powiedział mi, że widział moje wycinki – parę dni po wyjściu za kaucją. Wiedział przez cały ten czas, ale czekał. Czułam, że coś się szykuje.

Wybuchł, kiedy zobaczył, że patrzę na zdjęcie dziecka w gazecie.

Powiedział, że moja miłość do dzieci zakrawa na obsesję. Powiedział to ze złością. Wszystko dlatego, że znaleźli moje zeszyty w schowku za bojlerem. To tylko zdjęcia. Komu one szkodzą?

Glen zaczął na mnie krzyczeć, co rzadko mu się zdarzało. Zazwyczaj, kiedy wpadał w furję, zamykał się w sobie i przestawał odzywać. Nie lubił okazywania uczuć. Czasem oglądaliśmy razem jakiś film i kiedy ja wyplakiwałam oczy, on siedział niewzruszony. Z początku uważałam to za oznakę męstwa, teraz nie jestem już taka pewna. Może on po prostu nie odczuwa tak jak inni ludzie?

Tamtego dnia jednak krzyczał. Chodziło o trzy zeszyty pełne wycinków z kolorowych magazynów z mojej pracy, gazet i kartek urodzinowych. Na okładce każdego z nich napisałam „Moje dzieci”, bo tak właśnie je traktowałam. Pełno bobasów. Oczywiście miałam swoich ulubieńców: Becky w pasiastych śpioszkiach i opasce na głowę do kompletu oraz Theo – pulchnego malucha z uśmiechem, który wprawiał mnie w drżenie.

Moje dzieci.

W głębi duszy wiedziałam, że Glen uzna to za atak, aluzję do jego bezpłodności, więc schowałam album, ale nie mogłam się powstrzymać przed zbieraniem zdjęć.

– Jesteś chora! – wrzeszczał.

Poczułam wstyd. Może rzeczywiście coś ze mną nie tak?

Tyle że on nigdy nie chciał rozmawiać o tym, co nazywał „naszym problemem”.

To nie powinien być problem. Po prostu jedyne, czego chciałam od życia, to dziecko. Lisa zza ściany czuła dokładnie to samo.

Zamieszkała w domu obok ze swoim chłopakiem Andym parę miesięcy po nas. Była miła – niezbyt wścibska, ale okazywała zainteresowanie. Kiedy się wprowadzili, Lisa właśnie zaszła w ciążę,

a ja i Glen staraliśmy się o dziecko, więc nie brakowało nam tematów do rozmów i snucia wspólnych planów: wychowanie, kolor ścian w pokoju dziecięcym, imiona, szkoły w okolicy, konserwanty w jedzeniu...

Lisa bardzo różniła się ode mnie wyglądem. Miała krótkie, nastroszone czarne włosy z białymi końcówkami i trzy kolczyki w jednym uchu. Przypominała jedną z pięknych modelek na plakatach w salonie fryzjerskim. Glen nie mógł się do niej przekonać.

– Nie wydaje mi się, że to odpowiednie towarzystwo dla nas, Jean. Ona sprawia wrażenie trochę narwanej. Po co ją ciągle zapraszasz?

Był chyba trochę o mnie zazdrosny, poza tym nie mieli z Andym nic wspólnego. Andy zajmował się montażem rusztowań i ciągle gdzieś wyjeżdżał, nawet do Włoch. Podczas jednej z tych podróży poznał kobietę i odszedł do niej. Opuszczona Lisa ledwo wiązała koniec z końcem na zasiłku i bezskutecznie próbowała wyciągnąć od niego alimenty.

Świetnie się dogadywałyśmy. Ponieważ została sama, najczęściej to ja ją odwiedzałam, żeby nie drażnić Glena.

Opowiadałam jej historie zasłyszane w pracy, a ona pękała ze śmiechu. Przepadała za plotkami przy kawie. Mówiła, że to jej odskocznia od dzieci. Miała ich dwoje – chłopca i dziewczynkę, Kane'a i Daisy. Ja ciągle czekałam na swoją kolej.

Po drugiej rocznicy ślubu poszłam do lekarza, żeby się dowiedzieć, dlaczego nie mogę zajść w ciążę.

– Jest pani jeszcze bardzo młoda – wyjaśnił mi doktor Williams. – Proszę się odprężyć i nie myśleć o tym zbyt wiele. To najlepsza recepta.

Próbowałam zastosować się do tej rady – bez rezultatu. Po upływie kolejnego roku namówiłam Glena, żeby poszedł ze mną do lekarza. Powiedziałam, że na pewno coś jest ze mną nie tak. Zgodził się mi towarzyszyć, żeby mnie wspierać.

Doktor Williams wysłuchał tego, co miałam do powiedzenia, z uśmiechem potakując głową.

– Zrobimy kilka badań – zdecydował.

Tak zaczęły się nasze wędrówki po szpitalach.

Zaczęli ode mnie. Zgodziłabym się na wszystko, żeby zajść

w ciążę, więc cierpliwie znosiłam wzierniki, klucie, USG, niekończące się badania.

– Hydraulika w pełni drożna – oznajmił ginekolog po wykonaniu szeregu testów. – Pacjentka zdrowa jak rybka.

Przyszła kolej na Glena. Skoro ja tyle przetrwałam, nie wypadało mu odmówić. Potem powiedział, że to było okropne doświadczenie. Czuł się jak kawał mięsa. Próbkę, plastikowe pojemniki, stare, wymięte świerszczyki... Powtarzałam, jak bardzo jestem mu wdzięczna, ale nic to nie zmieniło. Potem czekaliśmy na wyniki.

Praktycznie nie miał plemników w nasieniu. Nic nie dało się na to poradzić. Biedny Glen. Z początku zupełnie się załamał. Bał się, że wszyscy będą uważali go za nieudacznika, nie w pełni mężczyznę – tak się na tym skupił, że chyba nawet nie pomyślał, co to oznacza dla mnie. Żadnych dzieci. Nikt nie nazwie mnie mamą, nie zaznam macierzyństwa, nie będę bawiła wnuków. Przez jakiś czas próbował pocieszać mnie, kiedy płakałam, ale szybko się znudził. Z czasem przestało go to wzruszać. Oświadczył, że to dla mojego dobra. Że powinnam żyć dalej.

Lisa zachowywała się wspaniale. Próbowałam nie nienawidzić jej za to, że jej się udało, ale nie przychodziło mi to łatwo. Rozumiała, co przeżywam, więc zaproponowała, żebym była „drugą mamą” jej dzieci. Chyba tylko żartowała, ale mimo to mocno ją uściskałam, z trudem powstrzymując łzy. Stałam się częścią ich życia, a oni – mojego.

Przekonałam Glena, żeby wstawił furtkę w ogrodzeniu między naszymi ogródkami – dzieci mogłyby bawić się u nas, kiedy chciały. Kupiłam nawet dmuchany basen na lato. Glen traktował je życzliwie, ale nie angażował się tak jak ja. Czasem wyglądał przez okno i machał. Nie miał nic przeciwko ich wizytom. Czasem,

kiedy Lisa szła na randkę – szukała księcia na portalach internetowych – dzieciaki zostawały na noc. Robiłam im na kolację paluszki rybne z groszkiem i keczupem, oglądaliśmy bajkę Disneya na DVD, a potem kładłam je spać w pokoju gościnnym.

Układały się w łóżku na waleta. Siadałam obok i patrzyłam, jak zasypiają. Chłonołam ten widok. Glenowi się to nie podobało. Twierdził, że zachowuję się dziwnie. Ja jednak ceniłam każdą spędzoną z nimi

chwilę. Nawet przewijanie, kiedy były małe. Potem podrosły i zaczęły wołać na mnie „Dzidzi”, bo nie potrafiły wymówić „Jean”. Kiedy przychodziły w odwiedzin, od progu się na mnie rzucały i przywierały do moich nóg, tak że musiałam chodzić z dzieckiem stojącym na każdej stopie. Nazywałam je „moimi małymi robaczkami”, a one zносиły się śmiechem.

Czasem zaczynaliśmy za bardzo szaleć, więc Glen zniknął w swoim gabinecie („Za głośno” – tłumaczył). Nie przeszkadzało mi to. Wolałam mieć je tylko dla siebie.

Rozważałam nawet odejście z salonu i zajmowanie się dziećmi przez cały dzień, żeby Lisa mogła poszukać pracy. Glen się nie zgodził.

– Potrzebujemy twojej pensji, Jean. To nie są nasze dzieci.

Przestał przeproszać za swoją bezpłodność, zamiast tego zaczął powtarzać:

– Przynajmniej mamy siebie. To wielkie szczęście.

Próbowałam tak na to spojrzeć. Nie potrafiłam.

Zawsze wierzyłam w łut szczęścia. To cudowne, kiedy w ułamku sekundy zmienia się całe życie. Na przykład dzięki wygranej w *Milionerach* albo w lotku. W jednej chwili zwykła kobieta z ulicy zostaje milionerką. Co tydzień kupuję los i potrafię spędzić cały poranek na marzeniach o wygranej. Dokładnie wiem, co bym zrobiła z pieniędzmi: kupiłabym wielki dom nad morzem – może gdzieś za granicą, gdzie zawsze świeci słońce – i przygarnęłabym sierotki. W moich planach nie ma miejsca dla Glena – wiem, że nie byłby zadowolony, a nie chcę psuć sobie marzeń wizją jego zmarszczonego czoła. Glen stanowi nieodłączną część rzeczywistości i niech tak zostanie.

Problem w tym, że mnie nie wystarczało nas dwoje, a on czuł się urażony, że potrzebuję kogoś więcej. Pewnie dlatego nie brał w ogóle pod uwagę adopcji („Nie chcę, żeby ktoś wtrącał się w nasze życie. To tylko i wyłącznie nasza sprawa, Jeanie”), nie mówiąc już o tak „radykalnych” rozwiązaniach jak sztuczne zapłodnienie czy dawca nasienia. Któregoś wieczoru rozmawiałyśmy z Lisą przy butelce wina i wszystkie te opcje wydawały nam się możliwe. Próbowałam dyskretnie przemycić temat w rozmowie z Glenem.

– Dla mnie to wszystko brzmi obrzydliwie – stwierdził kategorycznie.

Koniec tematu.

Przestałam więc przy nim płakać, ale za każdym razem, kiedy przyjaciółka albo krewna zachodziła w ciążę, czułam, jakby ktoś wyrwał mi serce. Nieustannie śniły mi się dzieci, niekończące się poszukiwania zaginionych dzieci. Czasem po przebudzeniu wciąż czułam ich ciężar w ramionach.

Zacząłam obawiać się nocy i tracić na wadze. Poszłam do lekarza, który przepisał mi leki na poprawę samopoczucia. Nie powiedziałam o tym Glenowi. Nie chciałam, żeby się mnie wstydził.

Wtedy zaczęłam gromadzić swoją kolekcję. Cichaczem wyrzywałam zdjęcia i chowałam w torebce. Szybko uzbierało się ich tyle, że zaczęłam wklejać je do zeszytów. Czekałam, aż zostanę sama w domu, siadałam z albumami na podłodze, głaskałam każde zdjęcie z osobna i zwracałam się do maluchów po imieniu. Godzinami mogłam udawać, że są moje.

Policjanci twierdzili, że Glen to samo robił na komputerze.

Tego dnia, kiedy zrobił mi awanturę o albumy z wycinkami, powiedział, że to przeze mnie zaczął szukać pornografii. W furii wyrwało mu się to paskudne oskarżenie.

Powiedział, że musiał szukać pocieszenia, bo zamknęłam się w sobie z powodu obsesji na punkcie dziecka.

– To tylko pornosy – powiedział, kiedy dotarło do niego, że posunął się za daleko. Kiedy zobaczył wyraz mojej twarzy. – Każdy facet lubi czasem popatrzeć na porno, nie? To nikomu nie szkodzi. Zwykła rozrywka.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Nie wiedziałam, czy wszyscy faceci lubią pornosy. Żadna z klientek nie poruszyła nigdy tego tematu w salonie.

Rozpłakałam się. Glen zaczął tłumaczyć, że to nie jego wina. To Internet wciągnął go w świat pornografii – takich rzeczy w ogóle nie powinno tam być. To pułapka na niewinnych mężczyzn. Uzależnił się – „to choroba, Jeanie, uzależnienie” – nie potrafił się powstrzymać, ale nigdy nie oglądał dzieci. Te zdjęcia i filmy po prostu znalazły się na jego

komputerze jak wirus.

Nie chciałam już o tym myśleć. Trudno mi było poukładać sobie to wszystko w głowie, oddzielić Glena od tego mężczyzny, o którym mówili policjanci. Potrzebowałam jasnych definicji.

Chciałam mu wierzyć. Kochałam Glena z całego serca. Mówił, że jestem jego całym światem, że należymy do siebie.

Czułam się winna, że sprowokowałam go do oglądania tych paskudstw. To uczucie spychało w kąt wszelkie pytania i wątpliwości. Dowiedziałam się o jego „uzależnieniu” dopiero po wielkanocnej wizycie policji, za późno, żeby cokolwiek zrobić.

Musiałam ukrywać sekrety zarówno jego, jak i swoje.



## Rozdział 20

*Piątek, 11 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Śniadanie jemy w hotelu: croissanty i sałatka owocowa, duże lniane serwetki i porządna kawa w kawiarni.

Kate nie chce, żebym jadła sama.

– Potowarzyszę ci – mówi i opada na krzesło przy stole. Bierze filiżankę z tacy pod telewizorem i nalewa sobie kawy.

Zrobiła się bardzo konkretna.

– Dziś naprawdę musimy załatwić kwestię umowy, Jean – mówi.  
– Redakcja chce mieć z głowy formalności, żebyśmy mogły wziąć się za wywiad. Już piątek, chcieliby jutro go opublikować. Wydrukowałam dla ciebie egzemplarz umowy do podpisu. Prosty układ: zgadzasz się udzielić nam wywiadu na wyłączność w zamian za honorarium.

Nie pamiętam, kiedy wyraziłam na to zgodę. Może wcale.

– Ale... – zaczynam.

Ona jednak wręcza mi stos papierów, więc zaczynam je czytać, bo nie wiem, co innego miałabym zrobić. Ciągłe tylko „strony to”, „strony tamto”, masa paragrafów.

– Nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy – przyznaję. To Glen zawsze zajmował się formalnościami i podpisywał wszystkie papiery.

Na jej twarzy maluje się niepokój. Kate próbuje wytłumaczyć mi prawniczy żargon.

– To naprawdę bardzo prosta umowa – powtarza.

Zależy jej na moim podpisie, szef pewnie wierci jej dziurę w brzuchu. Odkładam umowę i kręcę przecząco głową. Kate wzdycha.

– Chcesz się skonsultować z prawnikiem?

Kiwam głową.

– Znasz jakiegoś? – dodaje.

Potakuję i dzwonię do Toma Payne’a, adwokata Glena. Minęło

sporo czasu, pewnie ze dwa lata, ale nadal mam jego numer w telefonie.

– Jean! Co u ciebie? Słyszałem o wypadku Glena, bardzo mi przykro – mówi Tom, kiedy sekretarka w końcu mnie z nim łączy.

– Dziękuję, to miłe z twojej strony. Potrzebuję pomocy. „Daily Post” chce, żebym udzieliła im wywiadu na wyłączność, muszę podpisać umowę. Mógłbyś rzucić na nią okiem?

Po drugiej stronie zapada cisza. Oczami wyobraźni widzę zdumienie malujące się na jego twarzy.

– Wywiad? – powtarza. – Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Przemyślałaś to?

Nie pada pytanie, które tak naprawdę chce zadać, i jestem mu za to wdzięczna. Mówię, że dobrze to przemyślałam i że to jedyny sposób, by pozbyć się dziennikarzy spod drzwi. Zaczynam brzmieć jak Kate. Wcale nie potrzebuję tych pieniędzy. Glen dostał dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów zadośćuczynienia za podstęp policji (odłożyliśmy te brudne pieniądze w kasie oszczędnościowo-budowlanej), poza tym dostanę też wypłatę z ubezpieczenia na życie. Ale pięćdziesiąt tysięcy funtów – bo tyle chce mi zapłacić gazeta – piechotą nie chodzi.

Chociaż Tom nie wydaje się przekonany, zgadza się przejrzeć umowę i zaraz dostaje ją mejlem. Czekamy na odpowiedź, więc Kate próbuje namówić mnie na maseczkę czy coś w tym rodzaju. Nie chcę, żeby ktoś znów coś przy mnie majstrował, więc odmawiam. Potem siedzimy w milczeniu.

W dniu zakończenia sprawy Glena między mną a Tomem wytworzyła się szczególna więź.

Staliśmy ramię w ramię, czekając na zwolnienie go z ławy oskarżonych, a Tom nie mógł nawet na mnie spojrzeć. Chyba bał się tego, co zobaczy w moich oczach.

Widzę nas, jakby to było dzisiaj. Koniec udręki, choć tak naprawdę wcale nie koniec. Doceniałam ład i rutynę, które proces zaprowadził w moim życiu. Każdy dzień dokładnie zaplanowany. Co rano wychodziłam z domu o ósmej, elegancko ubrana, jakbym szła do pracy w biurze. Codziennie wracałam o wpół do szóstej. Moja rola polegała na udzielaniu wsparcia i milczeniu.

Sąd przypominał mi sanktuarium. Podobało mi się echo odbijające

się w przestronnych salach, podmuchy wiatru poruszające ogłoszenia przypięte do tablic i gwar rozmów w barku.

Pierwszy raz Tom zabrał mnie tam, zanim pojawił się Glen, więc mogłam dokładnie wszystkiemu się przyjrzeć. Znałam Old Bailey z telewizji – w wiadomościach reporterzy prosto przed budynkiem zdawali relacje z procesów morderców i terrorystów, w środku nagrywano sceny seriali kryminalnych. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna od moich oczekiwań – sąd był ciemny, mniejszy niż na ekranie, pachnący kurzem jak sala szkolna, staroświecko urządzone w ciemnym drewnie.

Przemierzaliśmy niemal puste korytarze przed godziną rozpoczęcia pracy, więc wszędzie panowała cudowna cisza. Zupełnie inaczej było, gdy Glen się stawił, żeby sąd mógł wyznaczyć datę rozpoczęcia procesu. Wtedy tłumy ludzi ustawiały się w kolejce, żeby go zobaczyć, mieli ze sobą kanapki i termosy, jakby czekali na nocną wyprzedzą. Reporterzy tłoczyli się za mną na miejscach dla prasy. Budynek pękał w szwach. Siedziałam z opuszczoną głową i udawałam, że szukam czegoś w torebce, aż do chwili przyprowadzenia Glena przez strażników więziennych. Wydawał się taki mały. Ogolił się, żeby zrobić dobre wrażenie, i włożył swój najlepszy garnitur, który mu przyniosłam. Mimo wszystko wydawał się mały. Spojrzał na mnie i puścił oczko. Jak gdyby nigdy nic. Próbowałam się uśmiechnąć. Nic z tego – zaschło mi w ustach, wargi przylgnęły do zębów.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie zdążyłam nawet znów na niego spojrzeć, bo zniknął w dole schodów. Później pozwolono mi go zobaczyć. Garnitur zamienił na więzienny uniform, coś w rodzaju dresu, i zdjął eleganckie buty.

– Dzień dobry, kochanie. Niezła farsa, prawda? Adwokat mówi, że cała ta sprawa to jedna wielka farsa.

„Nic dziwnego” – chciałam powiedzieć. „W końcu za to mu płacisz”.

Termin rozpoczęcia procesu został ustalony na luty, cztery miesiące później. Glen utrzymywał, że do tej pory sprawa zostanie oddalona.

– To wszystko bzdura, Jeanie. Dobrze o tym wiesz. Policja kłamie,

żeby zachować twarz. Muszą kogoś aresztować, a ja miałem pecha i akurat tego dnia jeździłem po okolicy niebieską furgonetką. – Uścisnął moją dłoń, a ja odwzajemniłam ten gest. Miał rację. To wszystko bzdury.

Wróciłam do domu i udawałam, że nic się nie zmieniło.

Za zamkniętymi drzwiami rzeczywiście tak było. Mój mały świat pozostał dokładnie taki sam: te same ściany, te same kubki, te same meble. Na zewnątrz jednak zaszła rewolucja. Chodnik przed domem przypominał plan opery mydlanej: co chwilę ktoś przychodził, siadał, patrzył na mój dom, chciał choć przelotnie mnie dojrzeć.

Od czasu do czasu musiałam wychodzić na zewnątrz. Ubierałam się wtedy jak najbardziej anonimowo, całkowicie zakrywałam twarz i głowę. Długo zbierałam siły przed wyjściem, zawsze nagłym, pośpiesznym. Choć nie dało się zupełnie uniknąć kamer, miałam nadzieję, że w końcu znudzi im się ciągle to samo ujęcie mnie idącej ścieżką. Zaczęłam też nucić sobie w głowie, żeby zagłuszyć ich uwagi i pytania.

Najgorsze były wizyty w więzieniu. Musiałam jechać autobusem, więc reporterzy szli za mną na przystanek i obfotografowali mnie i innych czekających pasażerów. Wszyscy denerwowali się na nich i na mnie. Nic tu nie zależało ode mnie, a i tak mnie obwiniali. Za bycie jego żoną.

Z początku próbowałam chodzić na różne przystanki, ale po jakimś czasie zaczęłam mieć dość tej zabawy w kotka i myszkę. W końcu się poddałam i czekałam, aż im się znudzę.

Jechałam 380 do Belmarsh z plastikową torbą na kolanach, jakbym wybierała się po zakupy. Czekałam, aż ktoś naciśnie przycisk „stop” przed przystankiem koło więzienia, po czym pośpiesznie szłam do drzwi. Wysiadały tam też inne kobiety, objuczone wózkami i wrzeszczącymi dziećmi. Trzymałam się zawsze daleko z tyłu, żeby nikt nie wziął mnie za jedną z nich.

Glen przebywał w areszcie śledczym, więc regulamin wizyt nie był zbyt rygorystyczny. Podobało mi się, że nie mogłam tam wejść w butach na wysokich obcasach, krótkiej spódniczce ani prześwitującym ubraniu. Chciało mi się śmiać. Wreszcie mogłam ubrać się w dzinsy i sweter. Wygodnie i bezpiecznie.

Za to Glen nie wyglądał na zachwyconego.

– Mam nadzieję, że się nie zapuścisz, Jean – powiedział, więc następnym razem uszminkowałam usta.

Przysługiwały mu trzy wizyty w tygodniu, ale umówiliśmy się na dwie, żebym nie musiała zbyt często użerać się z dziennikarzami. Poniedziałki i piątki.

– Mój tydzień dzięki temu zyska strukturę – stwierdził Glen.

W pokoju wizyt było głośno i bardzo jasno, aż bolały mnie uszy i oczy. Siadaliśmy naprzeciwko siebie. Po wymianie najnowszych wieści przysłuchiwaaliśmy się rozmowom innych i je komentowaliśmy.

Myślałam, że powinnam go pocieszać i zapewniać o swojej lojalności. Wyglądało na to, że on wcale tego nie potrzebuje.

– Przetrywamy to, Jeanie. Znamy prawdę, wkrótce pozna ją cały świat. Nic się nie martw – powtarzał przynajmniej raz podczas każdej wizyty.

Próbowałam się nie przejmować, choć czułam, że nasze życie wymyka mi się z rąk.

– A co, jeśli prawda nie wyjdzie na jaw? – zapytałam raz, a on wyglądał na rozczarowanego, że w ogóle mogłam tak pomyśleć.

– Wyjdzie – odparł z naciskiem. – Prawnik mówi, że policja dała dupy.

Sprawa nie została oddalona przed procesem. Glen stwierdził wtedy, że policja „chce się pokazać w sądzie”. Przy każdej wizycie wydawał się mniejszy, jakby zapadał się w sobie.

– Nie martw się, kochanie – usłyszałam swój głos. – Niedługo będzie po wszystkim.

Na jego twarzy odmalowała się wdzięczność.

## Rozdział 21

*Poniedziałek, 11 czerwca 2007 roku*

### **Detektyw**

Sparkes dokonał przeglądu sytuacji. Minęły dwa miesiące, odkąd po raz pierwszy zapukał do drzwi Glena Taylora, a nie zrobili żadnych postępów. I wcale nie dlatego, że nie szukali. Cały zespół uważnie badał każdy szczegół życia Taylora – a także Mike’a Doonana i Lee Chambersa – ale na razie niewiele z tego wynikło.

Doonan najwyraźniej prowadził dość nudne życie – monotonii nie ubarwiały nawet rozwody. Jedynym ciekawym elementem był fakt, że obie ekszony bardzo się zaprzyjaźniły i teraz jedna przez drugą opowiadały o wadach Mike’a.

– Trochę z niego egoista – stwierdziła Marie Doonan.

– Tak, egoista – zawtórowała jej Sarah Doonan. – Lepiej nam bez niego.

Nawet dzieci nie wydawały się szczególnie zainteresowane potencjalnym zamieszanym ojca w przestępstwo.

– Nie widuję go – oświadczyła najstarsza córka. – Odszedł, zanim zdążyłam zarejestrować jego obecność.

Matthews niezmiernie drażnił dalej. Serce zabiło mu mocniej, kiedy się okazało, że Doonan nie dotarł do lekarza w dniu zniknięcia Belli. Mężczyzna wyjaśnił, że z powodu silnego bólu kręgosłupa nie mógł ruszyć się z domu. Lekarz potwierdził jego słowa:

– Czasami ledwo może ustać na nogach. Biedny człowiek.

Nadal nie dało się całkowicie go wykluczyć, ale Sparkes zaczynał tracić cierpliwość i upierał się, żeby Matthews skoncentrował się raczej na Taylorze.

– Doonan to kaleka, ledwie chodzi, więc jak niby miał porwać dziecko? – zapytał Sparkes. – Ze sprawą nie wiąże go nic poza niebieską furgonetką, prawda?

Matthews pokręcił głową.

– Nic, szefie, jeśli nie liczyć operacji „Złoto”.

– Gdzie dowody, że w ogóle oglądał te zdjęcia? Brak. Taylor ma pornografię dziecięcą na komputerze. To na nim powinniśmy się skupić. Tym masz się zająć, Matthews.

Sierżant nie był przekonany do zamknięcia sprawy Doonana, ale wiedział, że szef już podjął decyzję.

Sparkes nie mógł się pozbyć przeczucia, że złapali sprawcę. Bał się, że jeśli go nie powstrzymają, zaczną szukać następnej Belli.

Detektyw zaczął zwracać uwagę na dzieci w jej wieku – na ulicy, w sklepach, samochodach i kawiarniach – i natychmiast sprawdzał, czy w okolicy nie ma potencjalnych porywaczy. Zaczął też tracić apetyt, ale nie tracił z oczu celu. Wiedział, że sprawa zaczyna dominować nad innymi aspektami jego życia, nie umiał jednak działać inaczej.

– Masz obsesję, Bob – powiedziała Eileen któregoś wieczoru. – Możemy po prostu wyjść na drinka, żebyś nie pogrążał się w rozmyślaniach? Musisz odpocząć.

Chciał wrzasnąć: „Mam sobie pić wino, kiedy ktoś może właśnie uprowadza następne dziecko?”, ale się powstrzymał. To nie wina Eileen, że nie rozumie. Wiedział, że nie może ochronić wszystkich dziewczynek w mieście. Musiał przynajmniej spróbować.

W pracy spotkał się z wieloma sprawami dotyczącymi dzieci. Laura Simpson, mały W. śmiertelnie pobity przez ojczyrna, syn Voulesów, który utonął w sadzawce w parku na oczach innych dzieci, wypadki samochodowe i ucieczki z domu... Z żadnym z tych dzieciaków nie czuł jednak takiej więzi jak z Bellą.

Pamiętał to uczucie bezradności, kiedy pierwszy raz wziął na ręce Jamesa, przeświadczenie, że tylko on odpowiada za zdrowie i bezpieczeństwo syna w świecie pełnym groźnych, złych ludzi. To samo czuł w stosunku do Belli.

Zaczęła mu się śnić – to nigdy nie jest dobry znak.

Zastanawiał się, czy niebieska furgonetka odciąga jego uwagę od innych wskazówek. Dlaczego kierowca się nie zgłosił? Wszyscy pomagali odnaleźć dziewczynkę. Gdyby po prostu odwiedzał kogoś przy tamtej ulicy, zadzwoniłby, prawda?

„O ile nie był to Glen Taylor” – pomyślał.

Ekipa niezwykle dokładnie prowadziła poszukiwania, sprawdzono każdy najdrobniejszy szczegół. Koszulkę porzuconą w krzakach, pojedynczy but, jasnowłose dziecko wyrrywające się dorosłemu w centrum handlowym. Detektywi siedzieli jak na szpilkach, a tymczasem mijały godziny, dni, w końcu tygodnie bez rezultatów. Wszyscy padali z wycieńczenia, ale nikt nie chciał przyznać, że to koniec.

Każda kolejna poranna odprawa trwała krócej i upływała w bardziej ponurej atmosferze. Znaleziona koszulka pasowała na ośmiolatkę, but nie należał do Belli, blondyneczka w centrum po prostu robiła rodzicom sceny. Kiedy tylko próbowali uchwycić jakiś trop, natychmiast znikał.

Sparkes starał się nie okazywać rozpaczy. Gdyby on spuścił nos na kwintę, cały zespół by się poddał. Co rano wygłaszał sam do siebie przemowę motywacyjną, w gabinecie lub przed lustrem w łazience, i pilnował, żeby nikt nie wyczytał przeświadczenia o porażce w jego coraz bardziej podkrążonych oczach. Potem wkraczał dziarsko na zebranie i dopingował zespół do działania.

– Wróćmy do podstaw – zaproponował tamtego poranka. Wraz z nim przejrzeni więc od nowa zdjęcia, mapy, nazwiska i listy. – Co nam umyka? – zapytał wyzywająco. Odpowiedziały mu zmęczone twarze. – Kto porywa dzieci? Co wiemy z innych spraw tego typu?

– Pedofile.

– Szajki pedofilów.

– Porywacze dla okupu.

– Albo dla zemsty.

– Kobiety, które straciły dzieci.

– Albo które nie mogą mieć dzieci.

– Szaleni marzyciele, dla których dziecko jest elementem jakiejś fantazji.

Sparkes przytaknął.

– Podzielmy się na pary. Niech każdy dobierze sobie partnera albo partnerkę i przyjrzy się świadkom i podejrzanym. Zobaczmy, czy ktoś pasuje do tych kategorii.



W pokoju rozległ się gwar rozmów i Sparkes zostawił zespół z Ianem Matthewsem.

Zastanawiał się, jak szybko wypłynie postać Jean Taylor; sam chciał jeszcze to przemyśleć. Jean stanowiła wielką niewiadomą. Przypominał sobie swoje pierwsze spotkanie z nią, szok malujący się na jej twarzy, trudne przesłuchania, niewzruszone odpowiedzi. Do tej pory sądził, że kryje Glena i oceniał jej zachowanie jako dowód ślepej lojalności. Może była zamieszana w sprawę jakoś inaczej?

Kobiety rzadko zabijały dzieci, a jeśli już, to niemal wyłącznie swoje – tyle statystyki. Jednak nieco częściej zdarzało im się je porwać.

Wiedział, że niepłodność mogła stanowić silny motyw. W niektórych kobietach niemożność posiadania dzieci płonąła żywym ogniem, żal i tęsknota za potomstwem doprowadzały je do obłądu. Sąsiadka i koleżanki z pracy zgodnie twierdziły, że Jean bardzo źle zniosła tę wiadomość. Kiedy jakaś klientka wspominała o ciąży, Jean z płaczem uciekała na zaplecze. Nic jednak nie wskazywało na to, żeby w dniu porwania Belli miała znajdować się w Southampton.

Sparkes bazgrał w zamyśleniu, pokrywając leżący na biurku blok rysunkami pajaków.

Jeśli Jean tak bardzo kocha dzieci, jak mogła zostać z mężczyzną, który szuka w Internecie pornografii dziecięcej? Jak mogła pozostawać lojalna wobec niego? Eileen na jej miejscu natychmiast by się wyniosła i nie mógłby jej za to winić. Dlaczego Glen sprawował nad żoną taką kontrolę?

– Może zabraliśmy się do tego ze złej strony – powiedział do swojego odbicia w lustrze, myjąc ręce w męskiej toalecie. – Może to ona ma władzę nad Glenem? Może to ona go namówiła?

Tak jak przewidywał: po powrocie do centrum koordynacyjnego zobaczył na tablicy imię Jean. Funkcjonariusze przydzieleni do grupy „kobiet, które nie mogą mieć dzieci” omawiali inne podobne sprawy.

– Problem w tym, komisarzu – zauważył jeden z nich – że kobiety zwykle działają w pojedynkę i raczej nie porywają kilkulatek. Często symulują ciążę przed partnerem i rodziną, wypychają brzuch i noszą ubrania ciążowe, a potem porywają dzieci z porodówki albo wózka zostawionego pod sklepem, żeby dopełnić dzieła. Uprowadzenie

dwulatki wiąże się z dużym ryzykiem. Przestraszony maluch potrafi zaciekle się bronić, a płacz dziecka zawsze zwraca uwagę otoczenia.

Dan Fry, świeżo upieczony absolwent uniwersytetu, podniósł rękę. Matthews skinieniem oddał mu głos. Fry był młody, sprawiał wrażenie, jakby dopiero wyszedł z akademika. Wstał, odchrząknął i zaczął mówić do grupy, nieświadomy, że zwyczaj kazał siedzieć i zwracać się w stronę biurka.

– Jest jeszcze kwestia ukrywania starszego dziecka. Trudno wytłumaczyć rodzinie nagłe pojawienie się dwulatki. Gdyby ktoś porwał takie dziecko, żeby wychować je jako swoje, również musiałby zniknąć. A Taylorowie nigdzie się nie ruszyli.

– Słuszna uwaga, eee... Fry, zgadza się? – powiedział Sparkes i gestem nakazał mu usiąść.

Pozostałe pary wykluczyły porwanie dla okupu czy zemsty. Dawn Elliott nie miała pieniędzy, zbadali też dokładnie jej przeszłość w poszukiwaniu byłych chłopaków, narkotyków i prostytucji – związków z przestępczością zorganizowaną. Nic z tych rzeczy. Zwykła dziewczyna z małego miasteczka, która pracowała w biurze, zakochała się w żonatym mężczyźnie i zaszła w ciążę.

Nadal nie znaleźli ojca Belli – najwyraźniej podał Dawn fałszywe nazwisko, a numer telefonu (na kartę) okazał się dawno nieaktywny.

– Cwaniak, jakich wielu – stwierdził Matthews. – Zabawił się trochę na boku i zniknął jak tysiące przedstawicieli handlowych. Bzykanko w każdym mieście.

Na tablicy zostali już tylko „pedofile”.

Z wszystkich wyparowała energia.

– No i wracamy do Glena Taylora – oznajmił Sparkes.

– I Mike’a Doonana – dodał Matthews pod nosem. – Co z operacją „Złoto”?

Przełożony zdawał się go nie dostrzegać. Wsluchiwał się we własne lęki.

Sparkes był przekonany, że Glen Taylor już rozgląda się za następną ofiarą. Podsyca fantazje pornosami z Internetu. Oglądanie takich zdjęć z czasem przeradzało się w uzależnienie – zdaniem psychologów równie ciężkie do zwalczenia jak uzależnienie od

narkotyków.

Sparkes znał wszystkie przyczyny uzależnienia od pornografii internetowej – depresja, lęki, problemy finansowe, kłopoty w pracy – i niektóre teorie o „nagrodzie hormonalnej”, czyli haju wywoływanym przez adrenalinę, serotoninę i dopaminę. W jednym z raportów, które czytał dla poszerzenia horyzontów, porównywano oglądanie pornosów do „rozkoszy jak przy pierwszym razie” – niektórzy mężczyźni uparcie próbowali potem odtworzyć to uczucie za pomocą coraz bardziej drastycznych obrazów. „Podobnie swój nałóg opisują kokainiści” – dodali autorzy.

Internet oferował bezpieczny świat podniecających fantazji, dawał możliwość stworzenia prywatnej przestrzeni, gdzie można się wyżyć.

– Co ciekawe – powiedział Sparkes, kiedy siedzieli potem z Matthewsem w stołówce – nie wszystkim porno-nałogowcom staje.

Ian Matthews uniósł brew i odłożył kanapkę z kiełbasą na blat z laminatu.

– Mógłby szef nie przy jedzeniu? Co szef czyta? To jakieś totalne brednie.

– Dziękuję za cenną uwagę, profesorze – odparł ze złością.  
– Próbuję wniknąć do mrocznego świata Glena Taylora. Przesłuchania nic nie dają, ale wiem, że nie uda mu się zerwać z nałogiem, a ja będę na niego czekał. W końcu go dorwiemy.

Sierżant oparł się ciężko i zaczął znowu żuć kanapkę.

– No dobrze, jak?

– Wczoraj przyszedł do mnie Fry, jeden z tych młodych zdolnych, których nam podesłali, żeby doprowadzić nas do jako takiej formy. Twierdzi, że przegapiliśmy okazję. Czaty. To tam uzależnieni od porno i przestępcy seksualni nawiązują znajomości i wyzbywają się zahamowań.

Dzień wcześniej detektyw Fry wszedł do gabinetu przełożonego, przysunął sobie krzesło, nie czekając na zaproszenie, i zaczął prowadzić rozmowę jak z promotorem na studiach.

– Rozumiem, że musimy złapać Glena Taylora.

„Poważnie, Sherlocku?” – pomyślał Sparkes.

– I co w związku z tym? – zapytał na głos.

– Może powinniśmy wejść do jego świata i schwytać go w chwili, kiedy będzie zupełnie bezbronny?

– Wybacz, Fry, ale czy mógłbyś przejść do rzeczy? Do jakiego znowu „jego świata”?

– Założę się, że poluje na czatach, szuka nowych ofiar. Gdybyśmy podszyli się pod jedną z nich, mógłby zdradzić nam kluczowe informacje. Powinniśmy wykorzystać TZW.

Sparkes uniósł brwi.

– Te co?

– Tajne źródło wywiadowcze, komisarzu. Dzięki temu będziemy mieli szansę złapać go na gorącym uczynku. Przerabialiśmy to w szkole i myślę, że warto spróbować.

Wyprostował długie nogi i oparł się o biurko Sparkesa.

Sparkes cofnął się odruchowo, fizycznie i psychicznie. Nie chodziło tylko o to, że Fry był od niego bystrzejszy. Najbardziej dokuczala mu pewność siebie chłopaka, przekonanie o własnej słuszności. „Tak to jest po studiach” – pomyślał.

„Pieprzone uniwerki” – słyszał głos ojca. „Strata czasu. Dobre dla ludzi z forszą i nadmiarem wolnego czasu”.

„Nie dla ciebie” – zrozumiał siedemnastolatek z podaniem w rękę.

Koniec dyskusji. Ojciec pracował jako urzędnik w radzie okręgu i najlepiej czuł się w swoim małym, dobrze znanym świecie. „Stabilność i poczucie bezpieczeństwa” stanowiły jego motto życiowe i chciał wpoić synowi to samo podejście, typowe dla niższej klasy średniej.

„Zdaj maturę i znajdź sobie posadkę w jakiejś firmie, Robert. Pracę do emerytury”.

Bob ukrywał fakt zgłoszenia się do pracy w policji przed rodzicami – zabawne, zawsze traktował ich jak jedną osobę, mamaitatę. Postawił ich przed *fait accompli*, kiedy został przyjęty. Nie użył wyrażenia *fait accompli*. Mamaitata nie przepadali za niczym, co zagraniczne.

Dobrze sobie radził, chociaż nie piął się błyskawicznie po szczeblach kariery. W jego czasach inaczej to wyglądało: w pochlebnych opiniach na temat jego pracy najczęściej przewijały się określenia „zaangażowany”, „skrupulatny” i „metodyczny”.

„Ci nowi absolwenci, nastawieni na szybki awans, skrzywiliby się

na taką charakterystykę” – pomyślał Sparkes.

– Opowiedz mi o tych czatach.

Fry, który wyglądał, jakby jeszcze nie zaczął się golić, a co dopiero mówić o szukaniu seksu w sieci, oznajmił, że napisał na ten temat pracę zaliczeniową.

– Moja profesorka od psychologii zajmuje się badaniem wpływu pornografii na osobowość. Na pewno chętnie nam pomoże – dodał.

W tym samym tygodniu Sparkes, Matthews i Fry wybrali się z wizytą do alma mater młodego policjanta w środkowej Anglii. Doktor Fleur Jones przywitała ich przy wyjściu z windy. Wyglądała tak młodo, że Sparkes wziął ją za studentkę.

– Jesteśmy umówieni z doktor Jones – powiedział Matthews. Fleur wybuchnęła śmiechem. Nie tylko do tego przywykła, ale wręcz bawiła ją konsternacja, w jaką jej czerwone włosy, kolczyk w nosie i miniówka wprawiały nowo poznane osoby.

– To ja. Panowie to pewnie komisarz Sparkes i sierżant Matthews. Miło mi. Cześć, Dan.

Trzej mężczyźni z trudem wcisnęli się do utilitarnego boks służącego Fleur Jones za gabinet. Sparkes i Matthews zaczęli odruchowo rozglądać się po ścianach. Tablicę korkową pokrywało coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak dziecięce rysunki. Przyjrzeni się bliżej i wtedy dostrzegli pornograficzne szczegóły.

– Chryste, kto to narysował? Nie wygląda na obrazki z przedszkola – stwierdził Sparkes.

Doktor Jones uśmiechnęła się wyrozumiale, a Fry prychnął.

– To część moich badań – wyjaśniła. – Kiedy uzależnieni od pornografii muszą sami narysować, co oglądają w Internecie, możemy poznać ich osobowość. Pozwala im to również zmienić perspektywę, może nawet dostrzec ludzi w obiektach seksualnych.

– Rozumiem – powiedział Sparkes, jednocześnie zastanawiając się, co stworzyliby przestępcy seksualni z jego rewiru, gdyby dać im kredki.

– No dobrze, nie chcemy zajmować zbyt wiele pani cennego czasu, więc może przejdźmy od razu do rzeczy?

Psycholożka skrzyżowała gołe nogi i potaknęła głową, ciągle utrzymując z nimi kontakt wzrokowy.

Sparkes próbował naśladować język jej ciała. Gdyby skrzyżował nogi, kopnąłby przy tym Matthewsą. Zaczęło mu też być gorąco.

Doktor Jones wstała i otworzyła okno.

– Robi się trochę duszno. Przepraszam, mało tu miejsca.

Sparkes odchrząknął i oświadczył:

– Jak powiedział pani detektyw Fry, prowadzimy śledztwo w sprawie zniknięcia Belli Elliott. Mamy podejrzanego, ale szukamy sposobu, żeby się dowiedzieć, czy to on porwał dziewczynkę. Przejawia wyraźne zainteresowanie erotycznymi wizerunkami dzieci i dorosłych przebranych za dzieci. Znaleźliśmy takie materiały na jego komputerze. Twierdzi, że nie ściągnął ich umyślnie.

Doktor Jones pozwoliła sobie na uśmiezek, bo relacja brzmiała znajomo.

– Potrafi świetnie manipulować ludźmi, przesłuchiwanie go przypomina mistrzostwa świata w unikach.

– Nałogowcy to wytrawni kłamcy, panie komisarzu. Najpierw oszukują samych siebie, potem całe otoczenie. Nie przyjmują do wiadomości swojego problemu i stają się ekspertami w dziedzinie wynajdywania wymówek i przerzucania winy na innych – objaśniła doktor Jones. – Dan mówił, że chciałby pan spróbować wejść w interakcję z podejrzanym na czatach erotycznych?

„Nie może mieć więcej niż trzydziestkę” – pomyślał Sparkes.

Psycholożka zauważyła pauzę i uśmiechnęła się, jakby czytała mu w myślach.

– Eee, tak, zgadza się. Musimy jednak dowiedzieć się więcej o tych czatach i sposobach dotarcia do naszego obiektu – odparł pośpiesznie.

Przyszła pora na wykład o poszukiwaniu partnerów przez Internet, przy czym obaj policjanci mieli wyraźny problem ze zrozumieniem prezentowanych treści. Bynajmniej nie zaliczali się do analfabetów komputerowych, ale bliskie sąsiedztwo doktor Jones i jej niespokojnych nóg utrudniało im koncentrację. W końcu Dan Fry przejął pałeczkę i na komputerze dawnej wykładowczynie pokazał szefom świat cyberfantazji.

– Jak pewnie pan wie, to zwykły komunikator – wyjaśnił.  
– Wystarczy zalogować się do pokoju przeznaczanego na przykład dla singli albo nastolatków, przyjąć nick ukrywający prawdziwą tożsamość

i już można rozmawiać: albo z wszystkimi obecnymi w danym „pokoju”, albo z wybraną osobą. Wysyła się po prostu krótkie wiadomości. Nikt nikogo nie widzi, więc można udawać, kogo się chce. To najsilniejszy wabik dla polujących na ofiary. Mogą zmieniać tożsamość, płeć i wiek. Są jak wilk w owczej skórze.

Po nawiązaniu kontaktu z potencjalnym celem, na przykład dwunasto-, trzynastolatką, można dostać od niej adres mejlowy i dalej uwodzić ją na osobności.

Od chwili podjęcia rozmowy sam na sam wszystko się może zdarzyć. W przypadku świadomych, dobrowolnie decydujących się na taki układ dorosłych nie ma problemu. Zdarza się jednak, że ktoś podstępem skłania dzieciaka do zrobienia sobie erotycznych zdjęć kamerką internetową, a potem szantażem zmusza do innych rzeczy. To może zrujnować całe życie młodego człowieka – zakończył Fry.

Po wprowadzeniu w temat Sparkes spróbował szczęścia w pokoju tylko dla dorosłych. Matthews zaproponował nick Superogier i parsknął pogardliwie, kiedy szef zdecydował się na Pana Darcy’ego – ulubionego bohatera Eileen. Okazało się, że liczne Elizabeth Bennet *in spe* natychmiast zasypały Pana Darcy’ego lawiną zalotnych wiadomości, które szybko zmieniły się w jednoznaczne oferty natury erotycznej.

– Jasna cholera – powiedział, przewijając dziesiątki nieprzyzwoitych propozycji. – Trochę zbyt śmiało jak na Jane Austen, co?

Doktor Jones zaśmiała się za jego plecami. Wylogował się i odwrócił w jej stronę.

– Jak znajdziemy Glena Taylora? – zapytał. – Takich pokojów muszą być setki.

Fry nie dał się zaskoczyć.

– Mamy jego komputer, więc wiemy, które najchętniej odwiedza. Taylor jest bystry, więc po operacji „Złoto” na pewno usunął wszystkie pliki i dane. Nie wie zapewne, że one i tak zostały na twardym dysku. On ich nie widzi. Informatycy z laboratorium kryminalistycznego bez problemu je odnaleźli. Wiemy, gdzie Taylor bywa.

Sparkes złapał się na tym, że bezwiednie potakuje, skuszony wizją miny Taylora w chwili aresztowania. Niemal czuł lisi zapach jego winy.

Spróbował skupić się na kwestiach praktycznych.

– „My”, czyli kto właściwie?

– Razem z Fleur stworzymy wiarygodną fikcyjną postać i opracujemy scenariusz ze słowami kluczami – odparł detektyw Fry, który aż poróżowiał na myśl o udziale w prawdziwym śledztwie.

Doktor Jones przystała na ten pomysł.

– To może wiele wnieść do moich badań.

Sprawa wydawała się przyklepana, kiedy Matthews wyrwał się z pytaniem, którego nikt wcześniej nie zadał:

– A czy to jest w ogóle legalne?

Pozostali w milczeniu wbili w niego wzrok.

– Będziemy mogli wykorzystać efekty jako dowód w sądzie, komisarzu? Mogą to uznać za prowokację – upierał się.

Sparkes zastanawiał się, czy Matthews nie reaguje w ten sposób na przemądrzałego nowego. Nie znał odpowiedzi na pytanie sierżanta, ale Fry przyszedł mu z pomocą:

– Na razie nie mamy czego zepsuć. Zobaczmy, czy coś z tego wyjdzie, potem w razie potrzeby wrócimy do problemu – zaproponował.

Choć Matthews nie wyglądał na zachwyconego, Sparkes wyraził zgodę skinieniem głowy.



## Rozdział 22

*Wtorek, 12 czerwca 2007 roku*

### **Wdowa**

Urodziny – ciekawe zjawisko. Wszyscy zdają się je uwielbiać, a ja nie cierpię tych przygotowań, presji, żeby się cieszyć i dobrze bawić, oraz rozczarowania, kiedy tak się nie dzieje. Kończę dziś trzydzieści siedem lat. Glen przygotowuje mi właśnie na dole śniadanie do łóżka. Tak wcześnie nie czuję głodu, więc jedzenie będzie smakowało jak trociny. Muszę jednak oznajmić, że jest wspaniałe. Że on jest wspaniały i go kocham. Kocham. Naprawdę. Jest całym moim światem, ale w każde urodziny marzę, że może w tym roku zdarzy się cud i zajdę w ciążę.

Staram się o tym nie myśleć, tylko że w urodziny to wyjątkowo trudne. Wtedy uświadamiamy sobie, że minął kolejny rok. Wiem, że mamy teraz wiele innych problemów, ale nic na to nie poradzę.

Moglibyśmy adoptować dziecko z zagranicy. W gazetach ciągle piszą o maluchach z Chin. Co z tego? Nie mogę nawet wspomnieć o tym Glenowi, bo zaraz się złości.

Oho, idzie. Słyszę brzęk naczyń na tacy. Uśmiecha się od ucha od ucha, obok jajka na miękko ustawił wazonik z czerwoną różą. Obchodzi łóżko i śpiewa „Sto lat” śmiesznym głosem, żeby mnie rozbawić.

– Jeszcze raz, jeszcze raz, niech żyje, żyje nam, niech żyje nam! – zawodzi i całuje mnie w czoło, nos i usta.

Zaczynam płakać, więc zdejmuje tacę z moich kolan, żeby móc mnie przytulić.

– Przepraszam, kochanie. Nie wiem, co się ze mną dzieje – mówię i próbuję się uśmiechnąć.

Ucisza mnie i idzie do szafy po kartkę z życzeniami i prezent.

To koszula nocna. Biała, koronkowa, z różowymi kokardkami. Jak dla małej dziewczynki.

- Piękna – mówię i całuję go. – Dziękuję, skarbie.
- Przymierz.
- Później. Muszę iść do łazienki.

Nie chcę jej zakładać. Idę do łazienki i zażywam pigułkę na bycie Jeanie. Nienawidzę urodzin.

Tuż przed urodzinami Belli w kwietniu – pierwszymi od czasu uprowadzenia – poszłam do księgarni po kartkę. Spędziłam tam całe wieki, przebierając wśród różnych obrazków i życzeń, aż w końcu wybrałam kartkę z Teletubisiami – czytałam w gazecie, że to jej ulubiona bajka – i przypinką „Mam 3 lata”.

Nie wiedziałam, co napisać, więc usiadłam na ławce w parku i pograżyłam się w rozmyślaniach. Nie martwię się o Bellę, bo wiem, że żyje. Ja i jej matka wierzymy, że tak jest. Glen również. Myślimy, że jakieś małżeństwo, które straciło dziecko, wywiozło Bellę za granicę. Ciekawe, czy policja na to wpadła. Glen pewnie podzielił się z nimi swoją teorią.

Piszę więc: „Kochana Bello! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Mam nadzieję, że wkrótce wrócisz do domu” i dodaję kilka buziaków. Adresuję list do „Panny Belli Elliott”. Nie znam numeru domu, ale myślę, że listonosz będzie wiedział. Jej matka dostaje codziennie dziesiątki listów. Skarżyła się w programie *Woman's Hour*, że niektóre z nich to okropne listy od „wariatów”, twierdzących, że zasłużyła sobie na stratę Belli. Jeden z nich był ode mnie.

Napisałam do niej na samym początku, wściekła, że zostawiła Bellę bez opieki, podczas gdy ja nie mogłam mieć dziecka. Chciałam uświadomić jej, jak wielki błąd popełniła. Tamtej wiadomości też nie podpisałam.

Przykleiłam znaczek na kopercie wyrzuszanej od przypinki dołączonej do kartki i wróciłam do domu, zahaczając po drodze o skrzynkę na listy.

W dniu urodzin Belli, 28 kwietnia, Dawn gościła w telewizji śniadaniowej. Trzymała mały tort z trzema świeczkami, obok znaczka „Znajdźmy Bellę” wpięła ten wysłany przeze mnie. Podziękowała wszystkim za piękne kartki oraz prezenty i dodała, że nie rozpakuje ich, dopóki Bella nie wróci do domu. Prowadzącej program głos uwiązał

w gardle ze wzruszenia.

Rozpakowałam prezent, który dla niej kupiłam – lalkę bobasa o złotych włosach, ubraną w biało-różową sukienkę – i położyłam na łóżku.

Pozwoliłam sobie na to, bo Glen pojechał gdzieś i miał długo nie wracać, więc mogłam cały ten czas spędzić z Bellą.

Mam jej zdjęcia z gazet i kolorowe, lepszej jakości, wycięte z magazynów. Postanowiłam nie wklejać ich do moich albumów, bo Bella jest prawdziwa, wyjątkowa i mam nadzieję kiedyś ją poznać. Gdy wróci do domu.

Planuję nasze spotkanie w parku. Od razu mnie rozpozna i podbiegnie roześmiana, o mało co się nie potknie, tak będzie się do mnie śpieszyć. Oplecie moje nogi łapkami, a ja się schylę, wezmę ją na ręce i podrzucę nad głowę.

Ta moja ulubiona fantazja zaczyna niebezpiecznie pożerać czas. Zdarza mi się zasiedzieć przy stole w kuchni i choć zegar mówi, że upłynęła godzina, w ogóle tego nie czuję. Czasem łapię się na tym, że płaczę, choć sama nie wiem dlaczego. Poszłam do lekarza. Nie wspominałam o Belli, ale dobrze wiedział o „sytuacji” z Glenem, jak się wyraził, i wyszłam z gabinetu z nową receptą.

– Przyda się pani spokój – powiedział, odrywając ją z bloczku.  
– Może powinna pani na jakiś czas odpocząć od tego wszystkiego?

Chce dobrze, ale nie ma takiej możliwości, żebym odpoczęła. To, że polecę gdzieś daleko stąd, nie powstrzyma prześladowających mnie myśli. Nie potrafię ich kontrolować, zresztą nie tylko ich. Mam ochotę powiedzieć lekarzowi, że jestem pasażerką, nie kierowcą. No ale tabletki powinny pomóc mi być Jeanie wtedy, kiedy trzeba.

Matka Belli non stop występuje w telewizji. Pojawia się w każdym talk show i bez przerwy powtarza te swoje banały o „ukochanym aniołku” i o tym, jak każdej nocy zalewa się łzami. Nie przepuszcza żadnej okazji. Ciekawe, czy jej za to płacą.

Poruszam tę kwestię w nocnej audycji radiowej. Chris z Catfordu natychmiast mnie popiera.

– Co z niej za matka? – skrzeczy.

Cieszę się, że inni ludzie też ją przejrżeli.

Odkąd „przeszłam na emeryturę”, jak mówi Glen, spędzam całe dnie na oglądaniu telewizji, rozwiązywaniu wykreślanek w zeszytach z łamigłówkami i dzwonieniu do audycji z udziałem słuchaczy. Dawniej uważałam, że radio jest dla intelektualistów – tyle tam gadania. Ale zaczęłam słuchać lokalnej rozgłośni komercyjnej i dałam się wciągnąć. Pewna grupa ludzi dzwoni regularnie – tydzień w tydzień te same głosy. Starszy facet chce wyrzucić z kraju wszystkich imigrantów. Słuchaczka, która nie wymawia „r”, żąda aheštowania wszystkich polityków. Młody chłopak obwinia kobiety o wzrost liczby przestępstw na tle seksualnym. Wściekłość to dla nich punkt wyjścia; potem jeszcze bardziej się nakręcają, ich głosy brzmią coraz głośniejsze i wyżej. Nieważne, o jaki temat chodzi, zawsze można się bulwersować. Uzależniłam się od tego oburzenia.

Któregoś dnia, kiedy omawiano możliwość leczenia pedofilii, w końcu sama podniosłam słuchawkę. Przedstawiłam się jako Joy i oznajmiłam, że pedofilów powinno się wieszać. Chyba odniosłam sukces, bo zaraz rozdzwoniły się telefony od słuchaczy podzielających moje zdanie. I tak stałam się jedną z nich. Mniej więcej co tydzień zmieniałam imię: Ann, Kerry, Sue, Joy, Jenny, Liz. To cudowne uczucie, kiedy choćby na półtorej minuty można stać się kimś innym i zostać wysłuchanym, kiedy nikt nie wie, czyją jestem żoną, i nie potępia mnie.

Odkryłam, że mam masę opinii na każdy temat. Mogłam być Panią Oburzoną albo „liberałką o miękkim sercu”, jak mówi Glen. Mogłam być, kim tylko zechciałam.

Dzięki temu zwalczyłam też samotność. Lisa oczywiście zniknęła z mojego życia. Z początku nic się nie zmieniło, odwiedzała mnie i zapraszała do siebie. Wypytywała o wszystko i traktowała bardzo miło. Powtarzała, że nie wierzy w oskarżenia pod adresem Glena. Przestałam jednak widywać jej dzieci. Zawsze znalazła się jakaś wymówka: Kane się przeziębił, Daisy ćwiczyła do egzaminu w szkole baletowej, siostra Lisy przyjechała w odwiedziny... Potem na stałe zamknęła furtkę między ogródkami. Wystarczył jeden wbity wysoko gwóźdź.

– Boję się włamywaczy – powiedziała. – Rozumiesz, Jeanie, prawda?

Próbowałam zrozumieć.



## Rozdział 23

*Poniedziałek, 18 czerwca 2007 roku*

### **Detektyw**

Przez weekend Dan Fry i Fleur Jones zdecydowali się na Jodie Smith. Uznali, że imię Jodie brzmi nieco dziecinnie, nazwisko Smith wybrali ze względu na anonimowość. Jodie była dwudziestosiedmiolatką z Manchesteru, asystentką w urzędzie. Ojciec wykorzystywał ją w dzieciństwie, teraz podniecał ją seks w przebraniu małej dziewczynki.

– To niezbyt subtelne – stwierdził Sparkes, kiedy przedstawiono mu pierwszą wersję tej wstrząsającej historii. – Od razu się domyśli. Nie możemy trochę spuścić z tonu? Dlaczego kobieta molestowana w dzieciństwie miałaby chcieć przeżywać to na nowo?

Fry westchnął ze zniecierpliwieniem. Chciał jak najszybciej zacząć, posmakować wreszcie prawdziwej policyjnej roboty, zamiast robić za chłopca do wszystkiego w centrum koordynacyjnym, ale wyczuł zmianę nastroju: komisarz się wycofywał.

– To bardzo dobre pytanie, panie komisarzu – pochwalił zgodnie ze swoją ulubioną techniką opartą na wzmocnieniu pozytywnym.

Sparkes uznał, że Fry zachowuje się jak protekcyjny kutas, ale postanowił go wysłuchać.

Młodszy policjant wyjaśnił, że Jodie ma swój prawdziwy pierwowzór, i przedstawił szczegółową analizę psychologiczną, tłumacząc motywacje pacjentki, zespół wstrząsu pourazowego, odreagowywanie traumy i ciemne strony ludzkiej seksualności. Udało mu się wzbudzić zainteresowanie Sparkesa i wyrzucić na nim wrażenie, a wątpliwości – przynajmniej na razie – zepchnąć na dalszy plan.

– Co na to doktor Jones? Wyraża zgodę? – zapytał.

– Praktycznie tak, komisarzu. Rano przeczytałem jej przez telefon ostateczną wersję i wydawała się zadowolona. Za chwilę prześlę ją do niej mejlem, żeby mogła ewentualnie nanieść jakieś uwagi.

– W porządku. Jak już zaakceptuje plan, przedstawimy strategię nadkomisarzowi.

Nadkomisarz Brakespeare uwielbiał nowinki. „Innowacyjność” oraz kilka innych frazesów stanowiły jego motto. Co najważniejsze, tak samo jak Sparkesowi zależało mu na złapaniu Taylora.

– Możemy przejść do historii – powiedział, zacierając ręce, kiedy ich wysłuchał. – Chodźmy z tym do nadinspektora.

Zdecydowano, że przed nadinspektorem Parkerem zespół stawi się w komplecie. Widok był bezcenny. Doktor Jones pojawiła się w stroju przypominającym piżamę i z błyszczącym diamentem w nosie. Naprzeciw niej Parker siedział za swoim imponującym biurkiem w zapiętym pod szyję mundurze i gładko zaczesanymi włosami lśniącymi od brylantyny.

W milczeniu wysłuchał nadkomisarza Brakespeare’a, który przedstawił ogólny zarys planu oraz ocenę ryzyka, a także odwołał się do odpowiednich przepisów o śledztwie prowadzonym przez tajnych agentów. Potem nadinspektor wydmuchał nos i zapytał:

– Mamy jakieś dowody, że ta akcja się uda? Ktoś już tego próbował? Mnie to pachnie policyjną prowokacją.

Brakespeare, Sparkes i Fry kolejno przedstawiali argumenty, doktor Jones dorzuciła dawkę danych naukowych i odrobinę wdzięku. W końcu nadinspektor Parker uniósł ręce i ogłosił werdykt:

– Spróbujmy. Jeśli nie zdobędziemy dowodów, najprawdopodobniej nigdy nie uda nam się postawić go przed ławą przysięgłych. Pilnujmy, żeby zachować czyste ręce: żadnego podpuszczania ani naprowadzania. Wszystko ma być zgodnie z prawem. Zdobędziemy dowody i zobaczymy, czy sąd je uzna. Nie oszukujmy się, jeśli Taylor doprowadzi nas do ciała, to nieważne, jaką drogą.

Kiedy wszyscy wyszli, zawołał jeszcze do siebie Sparkesa, żeby wypytać o Fleur Jones.

– Można na niej polegać? Wyglądała, jakby ubrała się po ciemku, a ma zeznawać jako ekspert. Poradzi sobie z pytaniami obrony?

Sparkes usiadł.

– Na pewno, proszę pana. Zna się na rzeczy, ma miliard tytułów naukowych i spis publikacji jak stąd na Księżyc.

Parker nie wyglądał na przekonanego.

– To specjalistka od dewiacji seksualnych, często pracuje z przestępcami – ciągnął Sparkes. – A mówię tu tylko o pracownikach uniwersytetu. – Dowcip zawisł na chwilę w powietrzu, po czym z hukiem roztrzaskał się o ziemię.

– No dobrze – odparł nadinspektor. – W porządku, ma kwalifikacje, ale dlaczego ona, a nie ktoś od nas?

– Bo Fry jej ufa, świetnie się dogadują i dobrze układa im się współpraca. Poza tym zrobi dobre wrażenie na ławie przysięgłych.

– Odpowiadasz za to, Bob. Zobaczymy, jak jej pójdzie. Pilnuj jej na każdym kroku.

Sparkes zamknął cicho drzwi.

W laboratorium kryminalistycznym wraz z Fleur i innymi wybrał się na wyprawę po wirtualnym placu zabaw Glena Taylora. Nie należało to do najprzyjemniejszych doświadczeń, ale doktor Jones nie zdawała się w najmniejszym stopniu poruszona. Stali za plecami technika, który przewijał listę stron i czatów znalezionych na twardym dysku Taylora, wynotowując te najchętniej odwiedzane, daty i godziny wizyt, długość pobytu oraz inne przydatne dane. Wśród stron z pornografią prym wiodła LolitaXXX, zaś na czatach najczęściej zaglądał do pokoiów „Nastolatki” i „Salon dla dziewcząt”. Używał pięciu różnych nicków, w tym SexyTatus i DuzyMis. Matthews uśmiechnął się złośliwie:

– Czyli jednak nie Pan Darcy, szefie.

Publicznie Taylor prowadził raczej niewinne rozmowy – żartobliwy flirt i pogaduszki jak na imprezie nastolatków. Ostrzejsze akcje działy się z dala od czatów. Skrzynka odbiorcza pod adresem wykorzystywanym przez Taylora wyłącznie do „sekskapad”, jak sam określał je w mejlach, odkrywała znacznie bardziej ponury obraz jego sekretnego życia. To tutaj namawiał inne osoby, żeby do niego dołączyły. Sądząc po przesyłanych fotografiach, część była nastolatkami, część – dorosłymi, ale wyglądającymi jak dzieci.

Sparkes poprosił o wydruk wszystkich rozmów na czatach i mejli, a Fry zabrał je do konsultacji z doktor Jones.

– Poradzi sobie? – zapytał Matthews. – Jest nowy, nie ma żadnego doświadczenia.



– Wiem, ale ma wiedzę... A my będziemy go wspierać. Dajmy mu szansę – odpowiedział Sparkes.

– Chcecie się nazwać Złotowłosa? Serio? – zapytał Matthews ze śmiechem, kiedy Fry wrócił z badaczką do gabinetu Sparkesa.

Fry przytaknął.

– Myślimy, że to zwróci jego uwagę. Odwołujemy się do jego zainteresowania dziećmi i skłonności do fantazjowania – wyjaśnił.

– Założę się, że za cholerę się na to nie nabierze.

A jednak. Przez tydzień Złotowłosa flirtowała nieśmiało z Dużym Misiem. Fry i Matthews spędzali długie godziny przed komputerem. Ich praca ograniczała się teraz do tkwienia w malutkim, oświetlonym brzęczącą jarzeniówką pokoju w laboratorium kryminalistycznym z przyczepioną do ściany biografią Jodie. Fry znalazł na Facebooku zdjęcie dziewczyny, w której kochał się na studiach, wydrukował je i powiesił tuż nad ekranem.

„Hej, Złotko”.

„Jak leci?”.

„Jak się dziś miewasz?”.

Kiedy Sparkes zaglądał mu czasem przez ramię, czuł mieszankę podniecenia i mdłości. Cowieczorny taniec z Glenem Taylorem trwał. Fleur Jones porządnie przeszkoliła Frya i w razie potrzeby zawsze była pod telefonem, ale Sparkes obawiał się, że nawet w towarzystwie Matthews'a młody musi się czuć samotnie.

Zagrał *va banque*. Dobrze wiedział, że zrobił to, by piąć się po drabinie kariery. Zdawał sobie też jednak sprawę, że jeśli coś pójdzie źle, może to oznaczać jego koniec.

– Uda się – powtarzał Fry, kiedy zaczynali upadać na duchu.

Od czasu do czasu do pokoju zaglądał ktoś z zespołu.

– Bzyknałeś się już z nim? – zapytał jeden.

– Pytał cię o kolor oczu? – rzucił drugi.

Matthews śmiał się z żartu, ale Sparkes zrozumiał, że młody detektyw stał się obiektem kpin. Któregoś wieczoru dostrzegł odbicie Frya w oknie za biurkiem. Odsunął się od klawiatury i rozwalił w fotelu, z szeroko rozstawionymi nogami i zgarbionymi plecami. Być może zorientował się, że kropka w kropkę przypomina podejrzanego, bo

odruchowo się wyprostował.

Żeby Taylor nie poczuł się wyróżniony, Fry musiał rozmawiać też z innymi użytkownikami czatów i miał już dość szczenięcego humoru oraz nieustających aluzji. Mówił, że wyobraża sobie tych wszystkich łysejących typów w koszulkach zespołów metalowych.

Sparkes zaczął się martwić, że bycie przynętą przerośnie chłopaka.

Na pewno nie można mu odmówić zaangażowania – zaczął przeglądać pisma kobiece, żeby lepiej wejść w rolę, a także, ku obrzydzeniu Matthews'a, opowiadać o zespole napięcia przedmiesiączkowego.

To wszystko trwało zbyt długo. Po piętnastu wieczorach na czacie Matthews coraz bardziej się niecierpliwił i w końcu oznajmił szefowi, że to strata czasu.

– Co ty na to, Daniel? – zapytał Sparkes.

Pierwszy raz zwrócił się do chłopaka po imieniu i ten zrozumiał, że przełożony przekazuje mu ster.

– Budujemy relację, to nie ma być szybki seks. Chcemy, żeby się otworzył i zaczął mówić. Może dajmy sobie jeszcze tydzień?

Sparkes wyraził zgodę. Fry, jak na skrzydłach dzięki poczuciu władzy, zadzwonił do dawnej wykładowczynie, żeby namówić ją do pójścia krok dalej. Z początku nie była przekonana, ale w końcu uzgodnili, że Jodie ma sprawiać wrażenie niedostępnej, zniknąć na kilka dni, a potem uderzyć.

„Gdzie się podziewałaś?” – zapytał Duży Miś po powrocie Złotowłosej. „Już myślałem, że zgubiłaś się w lesie”.

„Tata powiedział, że za dużo siedzę przy komputerze” – odpisała Złotowłosa. „Ukarał mnie”. Oboje wiedzieli, że ma dwadzieścia siedem lat, ale gra się zaczęła.

„Jak?”.

„Nie chcę mówić. Mogę znów narobić sobie kłopotów”.

„No, dalej”.

Posłuchała. DM, bo tak się teraz do niego zwracała, złapał się na haczyk.

„Może spotkamy się gdzieś indziej? W Internecie, ale tak, żeby Twój tata nas nie znalazł?” – zaproponował.



## Rozdział 24

*Wtorek, 10 lipca 2007 roku*

### **Detektyw**

Glen Taylor napisał swojej nowej przyjaciółce, że delikatnie naciska klawisze, bo oprócz niego wszyscy w domu już śpią.

Złotko, jak zaczął ją nazywać, wysłała mu wreszcie swoje zdjęcie w kusej piżamce. Teraz próbował namówić dziewczynę, żeby ją zdjęła.

Komisarz Sparkes poprosił Fleur Jones o obecność podczas wymiany mejli z Taylorem. Siedzieli teraz oboje za Fryem, w półmroku ledwo rozświetlanym przez blask monitora.

„Moje słodkie Złotko. Moja cudowna dziewczynka”.

„Twoja niegrzeczna dziewczynka. Mówiłam Ci, że zrobię, co zechcesz”.

„Słusznie. Moja niegrzeczna dziewczynka”.

Potem DM wydał cały szereg instrukcji, a Złotko twierdziła, że postępuje zgodnie z nimi i sprawia jej to przyjemność.

Po wszystkim Dan postanowił wreszcie zrobić następny krok. Nie przewidywał tego scenariusz doktor Jones, ale najwyraźniej skończyła mu się cierpliwość.

„Miałeś już kiedyś do czynienia z niegrzeczną dziewczynką?” – zapytał.

Sparkes uchwycił kątem oka odbicie Fleur w oknie: uniosła rękę w ostrzegawczym geście.

„Tak”.

„Z prawdziwą dziewczynką czy taką jak ja?”.

„Lubię i takie, i takie, Złotko”.

Doktor Jones dawała mu znaki, żeby wrócił do ustalonego planu. Posuwali się za szybko. Danowi wydawało się jednak, że Taylor wreszcie się otworzy.

„Opowiedz mi o innych niegrzecznych dziewczynkach. Co z nimi

robiłeś?”.

I Glen Taylor opowiedział jej o swoich conocnych przygodach w sieci, o spotkaniach, o podbojach i rozczarowaniach.

„Nigdy nie zrobiłeś tego na żywo?” – zapytał Dan i cała trójka wstrzymała oddech.

„A chciałybyś, Złotko?”.

Sparkes zaczął podnosić rękę, ale Dan już pisał odpowiedź.

„Tak, bardzo bym chciała”.

Odpowiedział, że owszem, raz znalazł prawdziwą dziewczynkę. Sparkesa opadły wątpliwości. To wszystko działo się za szybko, nie mógł rozsądnie myśleć. Popatrzył na Fleur, która podniosła się z krzesła i stanęła za plecami swojego studenta.

Z emocji Fry ledwo trafiał w klawisze.

„Strasznie mnie to podnieca. Opowiedz mi o tej dziewczynce”.

„Też miała złote włosy. Zgadniesz?”.

„Nie wiem, powiedz”.

W przytłaczającej ciszy odmierzali kolejne sekundy przed ostatecznym wyznaniem.

„Sorry, Złotko, muszę lecieć. Ktoś puka. Do napisania!”.

– Psiakrew – powiedział Fry i walnął czołem w biurko.

– Jak dla mnie i tak go mamy – stwierdził Sparkes i spojrzał na doktor Jones, która energicznie pokiwała głową.

– Mnie to wystarczy.

– Zapytajmy o zdanie dorosłych – powiedział Sparkes i wstał.

– Świetna robota, Fry. Naprawdę, pierwsza klasa.

Osiem godzin później cała trójka siedziała w gabinecie nadkomisarza i przedstawiała argumenty za aresztowaniem i oskarżeniem Glena Taylora.

Brakespeare najpierw wysłuchał ich uważnie, przeczytał zapisy rozmów i sporządził notatki, a potem oparł się wygodnie i zawyrokował:

– Nie padło imię Belli.

– Nie, nie padło... – zaczął Sparkes.

– Fry nie posunął się za daleko? Nie prowokował?

– Dział prawny jeszcze to sprawdza, ale wstępnie nie widzą problemu. To zawsze cienka granica, prawda?

– Przecież – zagłuszył go Brakespeare – przyznał się na piśmie, że zabawiał się kiedyś z prawdziwą dziewczynką o blond włosach. Wezwijmy go na komendę i zapytajmy o to. Powiemy, że mamy zeznania Złotowłosej.

Wszyscy przytaknęli.

– Mamy mocne podstawy: był tego dnia w okolicy w niebieskiej furgonetce, gromadził pornografię dziecięcą na komputerze, wizyty na czatach świadczą o skłonnościach do agresywnych zachowań seksualnych, alibi zapewnione przez żonę raczej trudno uznać za żelazne... Przede wszystkim występuje ryzyko recydywy.

Reszta znów tylko pokiwała głowami.

– Sądysz, że to jego szukamy, Bob? – zapytał w końcu Brakespeare.

– Tak, tak uważam – wychrypiał Sparkes. W ustach zaschło mu z emocji.

– Ja też. Ale to nie wystarczy, żeby go przyskrzynić. Kiedy go aresztujemy, jeszcze raz przyjrzyj się wszystkim szczegółom przez lupę. Coś musi go łączyć z miejscem zdarzenia.

Cały zespół został ponownie wysłany na południowe przedmieścia Londynu, żeby zacząć od nowa.

– Przywieźcie mi wszystko, co kiedykolwiek miał na sobie – zarządził Sparkes. – Wszystko. Opróżnijcie szafy.

Zupełnym przypadkiem zabrali też czarną puchówkę Jean Taylor. Zaplątała się między zimową kurtkę męża a elegancką koszulę i została wraz z nimi zapakowana i opisana.

Laborant podzielił ubrania ze względu na rodzaj i zaczął badania od odzieży wierzchniej, bo to z nią ofiara mogła mieć najbliższy kontakt.

Należało opróżnić kieszenie i popakować ich zawartość. Znaleźli tylko jeden przedmiot: skrawek czerwonego papieru mniej więcej wielkości paznokcia męskiego kciuka. W zaciśniętym laboratorium technik przebadał go pod kątem odcisków palców i włókien, zdjął ślady za pomocą specjalnej taśmy i skrupulatnie wszystko skatalogował.

Nie znalazł odcisków, tylko cząsteczki ziemi i włos, najprawdopodobniej zwierzęcy. Na pewno zbyt cienki jak na włos człowieka. Obserwacja pod mikroskopem była konieczna do określenia

gatunku zwierzęcia i koloru sierści.

Technik zdjął rękawiczki i podszedł do wiszącego na ścianie telefonu.

– Proszę z komisarzem Sparkesem.

Sparkes biegł w dół schodów, przeskakując po dwa stopnie. Laborant powiedział mu, żeby się nie fatygował („Za wcześnie, żeby cokolwiek stwierdzić na pewno”), ale Sparkes chciał na własne oczy zobaczyć papierek. Upewnić się, że rzeczywiście istnieje i nie rozplynie się nagle w powietrzu.

– Porównujemy cząsteczki ziemi i kurzu z tymi pobranymi za pierwszym razem z furgonetki Taylora – wyjaśniał rzeczowo technik. – Jeśli będą pasować, pozwoli nam to uznać, że papierek kiedyś tam leżał. Określimy też, co to za papier, panie komisarzu.

– Założę się, że to kawałek opakowania skittlesów – stwierdził Sparkes. – Wystarczy spojrzeć na kolor. Żadna filozofia. Czy wiadomo, od jakiego zwierzęcia pochodzi włos? Mógł to być kot?

– To akurat szybko można sprawdzić. Zaraz zbadam włos pod mikroskopem. Nie będziemy mogli jednak określić, od którego konkretnie kota pochodzi. Ze zwierzętami nie jest tak samo jak z ludźmi. Nawet jeśli będziemy mieli próbki do porównania, nie możemy ze stuprocentową pewnością stwierdzić, czy pochodzą od jednego zwierzęcia. Co najwyżej, i to przy dużej dozie szczęścia, da się ustalić rasę – tłumaczył technik.

Sparkes nerwowo przecesał włosy rękami.

– Porównajcie z próbkami sierści Timmy’ego. Zobaczymy.

Siedział technikowi na karku, aż ten w końcu wygonił go z laboratorium.

– Proszę dać nam trochę czasu. Zadzwoń, jak tylko będziemy wiedzieć coś więcej.

Wrócił do gabinetu i narysował z Matthewsem diagram Venna: wpisali wszelkie potencjalne nowe dowody w zachodzące na siebie zbiory, żeby wyraźniej zobaczyć sytuację.

– Jeśli papierek to rzeczywiście kawałek torebki po skittlesach, a włos należy do kota tej samej rasy co Timmy, to mamy powiązanie między Jean Taylor a miejscem zbrodni – stwierdził Matthews. – To jej

kurtka. Nie ma innej opcji. Za mała na Glena.  
– Pojadę po nią – rzucił Sparkes.



## Rozdział 25

*Czwartek, 12 lipca 2007 roku*

### **Wdowa**

Oczywiście policja się nie poddaje. Uczepili się furgonetki Glena, niby-dziecięcej pornografii i „nieodpowiedniego zachowania”. Nigdy nie dadzą mu spokoju. Adwokat twierdzi, że nawet jeśli niczego nie znajdą, wytoczą mu sprawę o te zdjęcia.

Wizyty i telefony komisarza Sparkesa stały się częścią naszej codzienności. Policja zbiera materiały, my przyglądamy się temu z boku.

Próbuję przekonać Glena, żeby po prostu przyznał się do „roboty na boku” i powiedział, gdzie naprawdę był tamtego dnia. On się upiera, że to mogłoby nas tylko pogрузić.

– Stwierdzą, że od początku ich oszukiwaliśmy, Jeanie.

Panicznie się boję, że zrobię coś, co jeszcze pogorszy sytuację, powiem coś nie tak. W końcu jednak to Glen zawala, nie ja.

Policja znów zabrała go dziś na przesłuchanie do Southampton. Przed wyjściem pocałował mnie w policzek i kazał się nie martwić.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, a ja skinęłam głową. Potem czekałam.

Policjanci zebrali jeszcze więcej rzeczy Glena, wszystkie ubrania i buty, których nie wzięli wcześniej. Nawet te niedawno kupione. Próbowałam im to powiedzieć, ale stwierdzili, że zabierają wszystko. Przez pomyłkę wzięli nawet moją kurtkę. Powiesiłam ją po jego stronie szafy, bo u mnie zabrakło miejsca.

Następnego dnia przyjechał Bob Sparkes i poprosił, żebym pojechała z nim do Southampton i odpowiedziała na kilka pytań. Po drodze nie zdradził żadnych szczegółów, powiedział tylko, że chodzi o pomoc w śledztwie.

Dotarliśmy na komendę, tam posadził mnie za stołem w pokoju przesłuchań i przeczytał formułkę o przysługujących mi prawach. Potem

zapytał, czy porwałam Bellę. Czy pomogłam Glenowi ją uprowadzić?

Nie mogłam uwierzyć, że mógł w ogóle zadać mi takie pytanie. Powtarzałam tylko w kółko:

– Nie, oczywiście, że nie. Glen też jej nie porwał.

Wcale mnie nie słuchał. Zajął się już czym innym.

Wyciągnął skądś plastikową torebkę jak królika z kapelusza. W pierwszej chwili myślałam, że jest pusta, potem dostrzegłam na dnie skrawek czerwonego papieru.

– Znaleźliśmy to w kieszeni pani kurtki. Kawalek opakowania po skittlesach. Często jada pani cukierki?

Najpierw nie wiedziałam, o co chodzi, po chwili sobie przypomniałam. To pewnie ten paperek od słodyczy spod wycieraczki w furgonetce.

Dostrzegł chyba zmianę wyrazu mojej twarzy, bo zaczął naciskać. Ciągłe powtarzał imię Belli. Tłumaczyłam, że nie pamiętam. On wiedział, że nie mówię prawdy.

W końcu mu powiedziałam, żeby dał mi wreszcie spokój. Przyznałam, że mogłam znaleźć ten paperek w furgonetce. Zwykły śmieć, brudny i zakurzony. Schowałam go do kieszeni, żeby później wyrzucić, i zapomniałam o nim.

Powiedziałam, że to przecież tylko paperek po cukierkach. Sparkes odparł, że znaleźli na nim włos kota. Szarego kota. Takiego, z jakim Bella bawiła się w ogródku. Oznajmiłam, że to żaden dowód, że włos mógł się tam wziąć skądkolwiek. Musiałam jednak złożyć oficjalne zeznania.

Miałam nadzieję, że Glen o niczym się nie dowie, zanim nie zdążę mu się wytłumaczyć. W domu wyjaśnię mu, że zmusili mnie do zeznań. Że to nic nie znaczy. Nie dostałam jednak tej szansy. Glen nie wrócił do domu.

Okazało się, że znowu zaczął szukać pornosów w Internecie. Kiedy Payne, jego adwokat, mi o tym powiedział, nie mogłam uwierzyć w głupotę Glena. Przecież to on był zawsze tym bystrym.

Policja oczywiście skonfiskowała jego komputer, ale kupił sobie tani laptop i router bezprzewodowy („Do pracy, Jeanie”). Zamykał się w pokoju gościnnym i – jak się okazało – przesiadywał na sekszatach

czy jak to się tam nazywa.

Bardzo sprytnie to załatwili – ktoś z policji zagadał do niego w sieci, udając młodą kobietę. Nazywała się Złotowłosa. Kto by dał się na to nabrać? Cóż, najwyraźniej mój mąż.

Nie chodziło zresztą tylko o gadanie. Tom wolał mnie przygotować na rewelacje, które mogą trafić do gazet, więc przyznał, że Złotowłosa uprawiała z Glenem cyberseks.

– To taki seks bez dotykania – próbował wytłumaczyć mi Glen, kiedy pierwszy raz go odwiedziłam. – To tylko słowa, Jeanie. Słowa na ekranie. Nie rozmawialiśmy ani nawet nie widzieliśmy się wzajemnie. Wszystko działo się praktycznie tylko w mojej głowie. To taka fantazja. Rozumiesz, prawda? Jestem teraz pod straszną presją w związku z tymi oskarżeniami. Nie mogłem się powstrzymać.

Próbuję zrozumieć, naprawdę. Powtarzam sobie, że to uzależnienie. Nie jego wina. Koncentruję się na prawdziwych czarnych charakterach w tej historii. Oboje jesteśmy wściekli na policję.

Nie mogłam uwierzyć, że ktoś zrobiłby coś takiego w ramach obowiązków służbowych. Jak prostytutka. To samo mówił Glen, dopóki nie dowiedział się, że Złotowłosa to mężczyzna. Nie mógł się z tym pogodzić. Myślał, że policjanci chcą zrobić z niego geja czy coś w tym rodzaju. Ja nie skomentowałam tej sprawy – wystarczająco trudno było mi pojąć cyberseks, a co dopiero martwić się, z kim go uprawiał. Zresztą i tak miał dużo poważniejsze problemy.

Zdradził Złotowłosej zbyt wiele. Przyznał mi się, że – aby „jej” zaimponować – powiedział za dużo. Stwierdził, że wie coś o głośnej sprawie kryminalnej. Właściwie zmusiła go, żeby to powiedział.

Tym razem Bob Sparkes oskarżył Glena o uprowadzenie Belli. Twierdzili, że porwał ją i zamordował. Nie mogli jednak postawić mu zarzutu zabójstwa. Tom Payne wyjaśnił mi, że musieliby najpierw znaleźć ciało. Nie podobało mi się, że mówił w ten sposób o Belli, ale mimo to milczałam.

Wróciłam do domu sama. Wtedy znowu pojawili się dziennikarze.

Prawdę mówiąc, nie jestem zagorzałą czytelniczką gazet. Wolę kolorowe czasopisma. Uwielbiam prawdziwe historie – o rodzinie zastępczej, przez którą przewinęła się setka dzieci, o kobiecie, która nie

poddała się leczeniu onkologicznemu, żeby nie narażać nienarodzonego dziecka, i o innej, która urodziła dziecko siostrze. Gazety to zawsze była raczej działka Glena. Najbardziej lubi „Daily Mail” – potrafi rozwiązać krzyżówkę na ostatniej stronie, poza tym właśnie tę gazetę czytał jego szef w banku.

– Dzięki temu mamy coś wspólnego, Jeanie – wyjaśnił mi kiedyś.

Teraz huczą o nas gazety, radio i telewizja. Sprawa Glena wróciła na pierwsze strony, reporterzy znów walą do drzwi. Podobno nazywają to „proggingiem”. Niektórzy wręcz śpią w samochodach zaparkowanych pod naszym domem, żeby tylko usłyszeć ode mnie kilka zdań.

Siedzę na górze w sypialni od frontu i obserwuję ich ukradkiem zza zasłony. Wszyscy zachowują się dokładnie tak samo. To nawet trochę śmieszne. Najpierw przejeżdżają obok, obserwują dom i sprawdzają, kto już czeka pod drzwiami. Potem parkują i podchodzą do furtki z notatnikiem w dłoni. Pozostali wyskakują z samochodów, żeby dopaść nowego albo nową zanim dotrze do drzwi. Jak stado dzikich zwierząt, które wywęszyło obcego.

Po paru dniach wszyscy są już jednak w najlepszej komitywie i wysyłają się wzajemnie po kawę i kanapki z boczkiem do pobliskiej kawiarni. „Z cukrem czy bez? Kto chce sos do kanapki?”. Właściciel knajpki zbija na nich fortunę. Zauważyłam, że reporterzy tworzą jedną grupę, a fotografowie drugą. Ciekawe, czemu nie trzymają się razem. Łatwo można ich odróżnić po ubraniu – fotografowie noszą się modniej i bardziej nonszalancko: niechlujne kurtki, bejsbolówki. Większość wygląda, jakby od tygodni się nie goliła – mam na myśli facetów. Fotografki ubierają się tak jak faceci, w spodnie khaki i obszerne bluzy. Ta grupa jest też znacznie głośniejsza. Z początku żałowałam sąsiadów, martwiłam się, że muszą wysłuchiwać tych chóralnych śmiechów i pokrzykiwań. Potem jednak zaczęli wnosić czekającym napoje, nawiązywali z nimi pogawędki, pozwalali korzystać z toalety. Mam wrażenie, że traktują całą sytuację jak coś w rodzaju wielkiej imprezy ulicznej.

Reporterzy są dużo cichsi. Większość czasu spędzają przyssani do telefonów albo słuchając wiadomości w samochodzie. Wielu z nich to młode chłopaki w pierwszych dorosłych garniturach.

Po paru dniach mojego milczenia prasa wytacza cięższe działa. Pojawiają się starzy wyjadacze z brzuchami piwnymi oraz dziennikarki o ostrych rysach twarzy i w eleganckich płaszczach. Wsiadają z lśniących limuzyn z gracją godną członków rodziny królewskiej. Na widok niektórych nawet fotografowie przestają się wygłupiać. Jeden z nich wygląda, jakby zszedł prosto z witryny sklepowej. Tłum się przed nim rozstępuje, kiedy idzie do moich drzwi. Wali w nie i woła:

– Jak to jest być żoną mordercy niewinnych dzieci?

Siedzę na łóżku i płonę ze wstydu. Choć wiem, że nikt mnie nie widzi, czuję się wystawiona na widok publiczny.

Nie on pierwszy mnie o to pyta. Inny dziennikarz rzucił to pytanie tuż po ponownym aresztowaniu Glena, kiedy szłam do sklepu. Zjawił się, nie wiadomo skąd, musiał chyba iść za mną niezależnie od pozostałych reporterów. Próbował wzbudzić moją złość, sprowokować mnie do jakiegokolwiek wypowiedzi, żeby móc pochwalić się „wywiadem” z żoną. Nie dałam się nabrać. Omówiliśmy to wcześniej z Glenem.

– Po prostu milcz, Jeanie – poprosił, kiedy zadzwonił z komisariatu. – Nie pozwól im się podejść. Nie daj nic po sobie poznać. Nie musisz z nimi rozmawiać. To mendy. Nic nie napiszą, jeśli nie będą mieli o czym.

Oczywiście i tak pisali. Rezultat był okropny.

Kolejne kobiety twierdziły, że uprawiały z Glenem cyberseks i jedna przez drugą sprzedawały swoje historie. Nie wierzyłam ani jednemu słowu. Podobno na czatach występował jako Duży Miś i pod innymi absurdalnymi pseudonimami. Czasem przyglądałam mu się podczas wizyt i próbowałam wyobrazić sobie, że nazywam go Dużym Misiem. Na samą myśl robiło mi się niedobrze.

Pisano też coraz więcej o jego „hobby” – zdjęciach ściąganych z sieci. Jedna z gazet twierdziła, że według „dobrze poinformowanych źródeł” płacił za nie kartą kredytową, a kiedy policja zrobiła wielki nalot na pedofilów (właśnie dzięki numerom kart), wpadł w panikę. Pewnie dlatego kazał mi wtedy zgłosić zaginięcie karty. Skąd gazety znają takie szczegóły? Chciałam nawet spytać o to jednego z dziennikarzy, ale nie mogę tego zrobić, żeby jednocześnie nie zdradzić więcej, niż powinnam.

Kiedy podczas następnego widzenia zapytałam o to Glena, wszystkiemu zaprzeczył.

– To informacje wysane z palca, kochanie. Reporterzy zmyślają. Przecież sama wiesz – powiedział i wziął mnie za rękę. – Kocham cię – dodał.

Nie odpowiedziałam.

W kontaktach z prasą również zachowałam milczenie. Zaczęłam chodzić do innych supermarketów niż zazwyczaj, żeby mnie nie wyśledzili, i nosić zakrywające twarz kapelusze, aby uniknąć rozpoznania. „Jak Madonna” – powiedziałaaby Lisa, gdybyśmy nadal się przyjaźniły. Ale teraz nikt nie chciał z nami rozmawiać. Chcieli tylko o nas czytać.

## Rozdział 26

*Poniedziałek, 11 lutego 2008 roku*

### **Detektyw**

Na cztery miesiące przed rozpoczęciem procesu zlikwidowano centrum koordynacyjne. Ze ścian i tablic zniknęła mozaika zdjęć i map. Rozmontowano ją, spakowano w tekturowe pudła i przekazano prokuraturze.

Po tym, jak wyniesiono ostatni karton, Sparkes stanął na środku pokoju i rozejrzał się po ścianach, na których gdzieś dostrzegł odcinające się od tła prostokątne jaśniejsze ślady. „Jedynie, co zostało z całego dochodzenia” – pomyślał. Kiedyś zwierzył się Eileen, że ten moment kojarzył mu się zawsze ze smutkiem postkoitalnym.

– Post-co? – zapytała.

– No wiesz, tym smutnym uczuciem po seksie, że to już koniec – wyjaśnił i dodał pośpiesznie: – Czytałem o tym w jakiejś gazecie.

– Chyba tylko faceci tak mają – stwierdziła.

Choć ostatnie przesłuchania Taylora trwały długo, rezultaty okazały się rozczarowujące. Nie uznał fragmentu opakowania skittlesów za dowód, najwyżej za zbieg okoliczności.

– Skąd pewność, że Jean się nie pomyliła? Może znalazła ten papierek na ulicy albo w sklepie.

– Twierdzi, że leżał w twojej furgonetce. Dlaczego miałyby mówić nieprawdę?

Taylor zacisnął usta.

– Jest teraz pod dużą presją.

– A włos kota na papierku? Włos pochodzący od kota dokładnie takiego samego jak ten, z którym bawiła się Bella?

– Na miłość boską, mało jest w tym kraju szarych kotów? To jakiś absurd.

Taylor zwrócił się do adwokata:

– Ten włos mógł się tam wziąć skądkolwiek. Prawda, Tom?

Sparkes milczał przez chwilę, żeby nacieszyć się nutą paniki, tak rzadko pojawiającą się w głosie Taylora. Potem wymierzył cios, który – jak oczekiwał – mógł się okazać zabójczy. Chodziło o chwilę, gdy Taylor uświadomił sobie, że policja przejrzała go i załatwiła.

– No dobrze, a co z Dużym Misiem? – zapytał Sparkes.

Taylor aż rozdziawił usta, ale natychmiast je zamknął.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Wybrałeś się na przechadzkę do lasu w poszukiwaniu nowych znajomości. I udało ci się nawiązać przyjaźnie, prawda? No cóż, my też poznaliśmy Złotowłosą.

Taylor zaczął nerwowo przytupywać i wbił wzrok w kolana – przybrał typową dla siebie pozycję obronną.

Siedzący u jego boku Tom Payne wydawał się zaskoczony rozwojem sytuacji i przerwał Sparkesowi:

– Chciałbym ze swoim klientem zamienić kilka słów na osobności. Pięć minut wystarczyło im, żeby ustalić wspólną wersję.

– To była prywatna fantazja dwóch dorosłych osób – oznajmił Taylor. – Mam teraz dużo stresów.

– A co to za dziewczynka o blond włosach?

– To była prywatna fantazja dwóch dorosłych osób.

– Miałeś na myśli Bellę?

– To była prywatna fantazja...

– Co zrobiłeś z Bellą?

– To była prywatna fantazja...

Kiedy postawili mu zarzuty, przestał upierać się przy swojej prywatnej fantazji. Spojrzał detektywowi prosto w oczy i powiedział:

– Popełnia pan olbrzymi błąd.

Po tych słowach trafił do aresztu, gdzie miał czekać na proces.

Zima spędzona za kratkami nie skłoniła Taylora do współpracy i 11 lutego 2008 roku stanął przed sądem. Głośno, opanowanym tonem oświadczył, że nie przyznaje się do winy w sprawie o uprowadzenie.

Usiadł, ignorując stojących po obu stronach funkcjonariuszy, i utkwiał wzrok w komisarzu zmierzającym na miejsce dla świadków.

Sparkes czuł z tyłu głowy świdrujący wzrok Taylora i próbował



wziąć się w garść przed złożeniem przysięgi. Formułkę z kartki czytał leciutko drżącym głosem, ale potem rzetelnie przedstawił wszystkie fakty. W jego jasnych i zwięzłych odpowiedziach nie było nawet cienia pychy.

Długie miesiące brudnej roboty, podchodów, inwigilacji, przesłuchań i żmudnego gromadzenia materiału dowodowego znalazły teraz kulminację w krótkim występie przed nieliczną, starannie dobraną publicznością i zastępem krytyków.

Wśród tych ostatnich prym wiódł obrońca Glana Taylora, zaprawiony w bojach przedstawiciel wyższych sfer, ubrany w starą wytartą perukę i wystrzępioną togę. Właśnie wstał, żeby przesłuchać komisarza jako świadka strony przeciwnej.

Przysięgli – ośmiu mężczyzn i cztery kobiety, dobrani przez obronę tak, aby zapewnić empatię i przewagę męskiego punktu widzenia – zwrócili głowy w jego stronę niczym słoneczniki na polu.

Radca królewski Charles Sanderson stał z jedną ręką w kieszeni, w drugiej zaś trzymał notatki. Z wyraźną pewnością siebie zaczął podważać kolejne dowody oskarżenia, próbując zasiać ziarno wątpliwości w umysłach przysięgłych.

– Kiedy pan Spencer sporządził notatkę o niebieskiej furgonetce? Zanim wymyślił długowłosego mężczyznę?

– Pan Spencer przyznał, że pomylił się w kwestii tego mężczyzny – odparł Sparkes rzeczowo.

– Ach tak, rozumiem.

– Świadek zeznał, że kiedy zapisywał swoje obserwacje po południu drugiego października, zanotował, że zauważył niebieską furgonetkę, którą uznał za należącą do Petera Tredwella.

– I jest pewien, że nie wymyślił... Przepraszam, że się nie pomylił w kwestii niebieskiej furgonetki?

– Tak, jest tego pewien. Sam może to panu powiedzieć, kiedy będzie zeznawał.

– Ach tak.

„Jak daleko był świadek, kiedy zobaczył niebieski samochód dostawczy?“, „Czy pan Spencer nosi okulary?“, „Ach tak“, „Ile niebieskich furgonetek jeździ po brytyjskich drogach, panie

komisarzu?”, „Ach tak”. Najwięcej szkody wyrządzały właśnie te „ach tak”. Pozornie niewinne, w rzeczywistości miały wydźwięk: „Ojej, znowu punkt dla nas”.

Sparkes cierpliwie parował ciosy przeciwnika, niemal dało się słyszeć szczęk broni. Przez lata wielokrotnych starć z takimi Sandersonami, wiecznie sądzącymi się absolwentami elitarnych szkół, nauczył się, że przysięgli nie reagują przychylnie na takie popisy.

Przyszła kolej na pytania o opakowanie po skittlesach. Zgodnie z przewidywaniami Sanderson wybrał linię argumentacji wykazującą możliwości kontaminacji materiału dowodowego.

– Panie komisarzu, jak długo fragment opakowania znajdował się w kieszeni kurtki Jean Taylor?

Sparkes odpowiedział spokojnym, opanowanym głosem, patrząc prosto na ławę przysięgłych, żeby podkreślić swoje racje.

– Siedem miesięcy, wedle naszych ustaleń. Żona oskarżonego zeznała, że znalazła go w furgonetce siedemnastego grudnia. Dokładnie pamięta tę datę, ponieważ mąż tylko raz zabrał ją w trasę.

– Siedem miesięcy? Przez ten czas do papierka mogło przykleić się sporo kłaczek i włosów, prawda?

– Akurat z sierści szarego półburmańczyka, takiego jak kot Belli Elliott? Przedstawimy zeznanie specjalisty, zgodnie z którym prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności jest bardzo nikłe. Prawdopodobieństwo jeszcze się zmniejsza, kiedy taki włos zostaje znaleziony na opakowaniu skittlesów. Na miejscu zdarzenia obecny był zarówno kot burmański, jak i cukierek tej marki.

Sparkes zauważył, że przysięgli notują jego słowa. Sanderson płynnie przeszedł dalej. Komisarz pociągnął łyk wody ze stojącej przed nim szklanki. Wiedział, że przeciwnik szykuje się do wielkiego finału: pytań o rozmowy ze Złotowłosą.

Prawnicy pomogli Sparkesowi się przygotować i czuł, że jest gotowy. Znał w najdrobniejszych szczegółach ustawę z 2000 roku o uprawnieniach organów śledczych, każdy krok procedury autoryzacji, a także zasady współpracy z tajnymi źródłami wywiadowczymi i zachowania ciągłości łańcucha dowodowego.

Koledzy poświęcili sporo czasu na przygotowanie go tak, by

odpowiednio uwypuklił uzależnienie Taylora od pornografii i jego skłonność do odwiedzania chatów erotycznych.

– Przysięgłych nie obchodzą artykuły i paragrafy ani zezwolenia. Musimy uświadomić im niebezpieczeństwo, z jakim wiąże się apetyt Taylora na dziewczynki – nalegał lider zespołu oskarżenia, a Sparkes przyznał mu rację.

Komisarz czuł się więc pewnie, kiedy obrońca wmaszerował na pole minowe, jakim był temat uzależnienia od pornografii, i krytykował każdy kolejny krok policji. Sanderson chciał skłonić go do przyznania, że Taylor mógł niechcący ściągnąć niektóre z ostrzejszych zdjęć znalezionych na jego komputerze.

– Chodzi o zdjęcia dzieci wykorzystywanych seksualnie? – odparł Sparkes. – Naszym zdaniem oskarżony ściągnął je umyślnie, nie mógł zrobić tego przez przypadek. Potwierdzą to eksperci.

– Nasi eksperci zeznają, że mogło do tego dojść przez przypadek, komisarzu.

Sparkes zdawał sobie sprawę, że obronie pomagała aparycja Taylora – w niczym nie przypominał zboczeńców, którzy zwykle zasiadali na ławie oskarżonych. Oskarżyciele mówili mu, że Sanderson pokazał zdjęcie klienta innym prawnikom i pracownikom swojej kancelarii. Najczęstsze określenie, jakie padało z ust członków tej zaimprovizowanej grupy fokusowej, brzmiało: „Dobrze mu z oczu patrzy”.

Kiedy rozprawili się z kwestią zdjęć, Sanderson wytoczył cięższe działa: zapytał wprost o zniknięcie Belli Elliott.

– Panie komisarzu, czy to prawda, że Belli Elliott nigdy nie odnaleziono?

– Tak, to prawda.

– Pański zespół nie trafił na żaden ślad mogący świadczyć o miejscu jej przebywania?

– Nie, to niesłuszne stwierdzenie. Śledztwo doprowadziło nas do oskarżonego.

– Ale cała sprawa opiera się na podejrzeniach, domysłach i poszlakach, nie faktach, prawda?

– Mamy solidne dowody świadczące o zaangażowaniu

oskarżonego w zniknięcie Belli Elliott.

– Ach, solidne dowody. Ma pan na myśli zgadywanki i zeznania niewiarygodnych świadków. Wszystko to dość słabe argumenty, bo od początku ścigaliście niewłaściwą osobę. W końcu byliście tak zdesperowani, że uciekliście się do obłudnej i perfidnej mistyfikacji.

Przysięgli nie sprawiali wrażenia, że rozumieją znaczenie słów „obłudna i perfidna mistyfikacja”, ale wyglądali na żywo zainteresowanych spektaklem. „»Telegraph« dałby cztery gwiazdki i pochwalił »porywające kreacje«” – pomyślał Sparkes, kiedy przyszedł wreszcie czas przerwy na obiad i mógł wrócić na swoje miejsce.

Najbardziej udany występ miał miejsce tego popołudnia. Nieco ospali po stołówkowym obiedzie przysięgli wrócili na salę i opadli ciężko na krzesła. Nie zostali tam jednak na długo.

Za barierką dla świadków stanęła matka ofiary ubrana na czarno, z czerwoną przypinką „Znajdźmy Bellę” jako jedyną ozdobą.

Sparkes uśmiechnął się do niej pokrzepiająco. Nie podobała mu się ta przypinka – obawiał się, że może sprowokować niewygodne pytania.

Prokuratorka, drobna kobieta wyglądająca przy swoim oponentie jak mysz przy słoniu, przeprowadziła Dawn Elliott przez zeznania, pozwalając jej opowiedzieć wszystko prosto i własnymi słowami, co okazało się niezwykle skuteczne.

Dawn rozkleiła się, opisując moment, w którym zdała sobie sprawę, że jej córka zniknęła. Przysięgli siedzieli wtedy jak zahipnotyzowani, niektórzy zdawali się równie bliscy łez. Sędzia zaproponowała jej szklankę wody i woźny spełnił prośbę. Tymczasem prawnicy szeleścili niecierpliwie papierami, gotowi kontynuować.

Przyszła kolej Sandersona.

– Czy Bella często bawiła się sama na dworze? Przed domem, gdzie nie mogła jej pani pilnować?

– Czasami. Zawsze najwyżej kilka minut.

– Minuty mijają jednak bardzo szybko, prawda? Matka ma tyle rzeczy na głowie.

Uśmiechnęła się na ten wyraz empatii.

– Czasem jestem zalatana, ale na pewno nie spuściłam jej z oka na dłużej niż parę minut.

- Skąd ta pewność?
- Mówiłam już wcześniej: gotowałam makaron. To nie zajmuje dużo czasu.
- Robiła pani coś jeszcze?
- Przy okazji pozmywałam. Wyjęłam też ubranka Belli z suszarki i poskładałam, żeby się nie pomięły.
- Nie brakowało pani zajęć. Do tego jeszcze kilka telefonów... Łatwo zapomnieć, że Bella bawi się na zewnątrz.
- Dawn znów się rozszlochała, mimo to Sanderson nie ustępował.
- Wiem, że to dla pani trudne... Chcę tylko ustalić ramy czasowe zniknięcia Belli. Rozumie pani, że to niezwykle ważne, prawda?
- Skinęła głową i wysmarkała nos.
- Pani zeznania są tu kluczowe, ponieważ ostatni raz Bellę widziano o 11.35, w kiosku. Zgadza się?
- Kupowałyśmy słodycze.
- Owszem, smarties, zgodnie z paragonem fiskalnym. To jednak oznacza, że przedział czasowy, w którym mogła zniknąć Bella, obejmuje niemal cztery godziny, od 11.35 do 15.30. W tym czasie nikt inny jej nie widział.
- Dawn kurczowo chwyciła się barierki i odparła cicho:
- Nie, nie wychodziłyśmy później z domu, ale moja mama słyszała Bellę, kiedy do mnie dzwoniła. Kazała mi ją ucałować.
- Czy zechciałaby pani mówić nieco głośniej, żeby wysoki sąd i przysięgli mogli usłyszeć pani zeznania?
- Dawn odchrząknęła i wymówiła bezgłośnie „przepraszam” w stronę sędzi.
- Owszem, pani matka słyszała w tle dziecięcy głos. Mógł on jednak dobiegać z telewizora, prawda? Zeznała, że nie rozmawiała z Bellą.
- Bella nie chciała podejść do słuchawki, pobięła gdzieś.
- Ach tak. I jakąś godzinę później wyszła przed dom.
- Straciłam ją z oczu dosłownie na kilka minut.
- Tak. Dziękuję pani.
- Dawn chciała wyjść z za barierki, ale Sanderson ją powstrzymał.
- Jeszcze nie skończyłem. Widzę, że nosi pani przypinkę

z napisem „Znajdźmy Belle”.

Dawn odruchowo dotknęła znaczka.

– Wierzy pani, że Bella wciąż żyje, prawda? – zapytał obrońca.

Dawn Elliott przytaknęła, niepewna, dokąd zmierzają te pytania.

– Sprzedała pani prawa do wywiadów w kilku gazetach i czasopismach. W każdym mówiła pani o swoim przekonaniu.

Niewypowiedziany zarzut zarabiania pieniędzy na nieszczęściu dziecka sprawił, że z rzędów zajętych przez prasę dobiegł szmer; dziesiątki długopisów zawisły w powietrzu, bo ich właściciele w napięciu czekali na odpowiedź.

Dawn, dotknięta do żywego, tym razem odpowiedziała zaskakująco głośno:

– Tak, mam nadzieję, że Bella nadal żyje. Została wprowadzona przez tego człowieka.

Wskazała na Taylora, który spuścił wzrok i zaczął coś pisać.

– Pieniądze za wywiady wpłacam na fundusz „Znajdźmy Belle” – dodała ciszej.

– Ach tak – skwitował obrońca i usiadł.

Po tygodniu wypełnionym zeznaniami sąsiadów i powołanych ekspertów, opóźnieniami wynikającymi ze zwolnień lekarskich przysięgłych i przemowami prawników, na świadka powołano detektywa Dana Frya.

Stał za barierką na drżących nogach, choć przełożeni wielokrotnie przeciwiczyli z nim tę wielką chwilę.

Prokuratorka przedstawiła go jako młodego, zaangażowanego funkcjonariusza, który przy wsparciu przełożonych postanowił zrobić wszystko – w granicach prawa – by zapobiec porwaniu kolejnego dziecka. Dobitnie przytoczyła wypowiedzi Glena Taylora, patrząc przy tym na ławę przysięgłych, by podkreślić wagę materiału dowodowego. Przysięgli zaczęli coraz częściej zerkać na oskarżonego. Wszystko szło po myśli oskarżenia.

Sanderson wstał, żeby zadać świadkowi swoje pytania. Od razu było widać, że również dla niego to wielka chwila. Nie trzymał rąk w kieszeniach, pilnował nienagannej dykcji. Linijka po linijce powtórzył z młodym detektywem wszystkie koszarne rozmowy Glena ze

Złotowłosa. Prokuratura ostrzegła Frya przed bezwzględnością obrońcy, ale nikt nie spodziewał się aż tak brutalnego ataku.

Kazano Fryowi czytać na głos odpowiedzi na obleśne zaczepki Dużego Misia, które w surowej sali sądowej miały nierzeczywisty, prześmiewczy wydźwięk.

– „Co masz dziś na sobie?” – zapytał obrońca, mężczyzna o twarzy pokrytej plamami, świadczącymi o nadużywaniu alkoholu, i ramionach obsypanych łupieżem.

Fry, niemal dwumetrowy dryblas, z kamienną twarzą odczytał:

– „Krótką piżamkę. Tę niebieską, z koronką”.

Z łoży prasowej dobiegło stłumione prychnięcie, ale Fry nie stracił zimnej krwi i czytał dalej:

– „Trochę mi gorąco. Chyba będę musiała ją zdjąć”.

– „Tak, zdejmij ją” – ciągnął obrońca znudzonym tonem.

– „A potem się dotykaj”. To trochę dziecinada, prawda? – dodał.

– Zakładam, że w rzeczywistości nie miał pan na sobie niebieskiej piżamki, detektywie?

Eksplozja śmiechu publiczności sprawiła, że Fry wziął głęboki oddech. Po chwili odparł:

– Nie.

Choć szybko przywrócono porządek, mleko się rozlało. Decydujący dowód w sprawie mógł zostać potraktowany jak sprośny kawał.

Obrońca ponapawał się chwilą triumfu, po czym przeszedł do najbardziej niebezpiecznej części przesłuchania: ostatniej wymiany mejli z Glenem Taylorem. Zapytał prosto z mostu:

– Detektywie, czy Glen Taylor, zwany również Dużym Misiem, przyznał się do porwania Belli Elliott?

– Powiedział, że miał wcześniej do czynienia z prawdziwą dziewczynką.

– Nie o to pytałem. Czy pan jako Złotowłosa kazał mu to przyznać?

– Nie.

– Zapytał: „Chciałabyś, Złotko?”, a pan odpowiedział, że bardzo. Że to podniecające.

– W każdej chwili mógł odmówić odpowiedzi, przerwać rozmowę – odparł Fry. – Nie zrobił tego. Powiedział, że kiedyś znalazł sobie dziewczynkę o blond włosach.

– Czy kiedykolwiek padło z jego strony imię Belli?

– Nie.

– To była rozmowa o fantazjach między dwiema dorosłymi osobami. Nie można potraktować tego jako wyznania.

– Powiedział, że znalazł sobie dziewczynkę. Miała złote włosy – upierał się Fry, stopniowo dając się ponieść emocjom. – Ile jasnowłosych dziewczynek zaginęło w ostatnim czasie?

Obrońca zignorował pytanie i zaczął przeglądać notatki.

Bob Sparkes popatrzył na Jean Taylor przycupniętą na skraju ławki obok męża – dorosłego fantasty, i dostrzegł jej odrętwienie. Zrozumiał, że po raz pierwszy słuchała całej tej historii.

Zastanawiał się, które z nich czuło się gorzej: on, kiedy patrzył, jak sprawa na jego oczach rozpada się na kawałki, czy ona, widząc jak sprawa z chwili na chwilę okazuje się poważniejsza, niż myślała.

Fry zaczął się jąkać i Sparkes prosił go w myślach, żeby wziął się w garść. Sanderson jednak nie ustawał:

– Zmusił pan Glena Taylora do wygłoszenia tych uwag, prawda, detektywie? Sprowokował go pan, udając kobietę dążącą do kontaktu seksualnego. Był pan zdecydowany za wszelką cenę wydobyć z niego obciążające zeznania. Zrobiłby pan wszystko. Posunął się pan nawet do odbycia stosunku cyberseksualnego. Czy to naprawdę jeszcze jest policyjne śledztwo? A co z prawem do obrony czy zachowania milczenia?

Sanderson czuł się jak ryba w wodzie i wyglądał wręcz na rozczarowanego, kiedy jego poniżona i wyczerpana ofiara wyszła wreszcie zza barierki.

Natychmiast wniósł o przerwę w obradach i gdy przysięgli znaleźli się w przeznaczonym dla nich pomieszczeniu, przedstawił sędzi argumenty za przerwaniem procesu.

– Cała sprawa opiera się na poszlakach i prowokacji. Nie można tego ciągnąć – oświadczył. – Zeznania Złotowłosej należy uznać za nieważne.



Sędzia wysłuchała odpowiedzi prokuratorki, niecierpliwie postukując ołówkiem.

– Policjanci działali pod każdym względem w pełni zgodnie z prawem. Co do joty trzymali się procedur. Uznali, że mają wystarczające podstawy do działania. Tylko w taki sposób mogli uzyskać niezbite dowody – oznajmiła prokuratorka, po czym usiadła.

Sędzia odłożyła ołówek i w milczeniu przejrzała notatki.

– Zarządzam przerwę – oświadczyła w końcu. Wszyscy wstali, kiedy szła do swojego gabinetu.

Dwadzieścia minut później woźny zawołał: „Proszę wstać!” i sędzia ogłosiła werdykt. Wykluczyła zeznania Złotowłosej z materiału dowodowego. Poza tym skrytykowała sposób, w jaki Fry prowokował i namawiał oskarżonego, oraz sam fakt angażowania w sprawę funkcjonariusza tak niskiego rangą.

– Materiał dowodowy jest nierzetelny i niewiarygodny – podsumowała.

Sparkes dobrze wiedział, że oskarżenie nie ma innego wyjścia, jak tylko poddać się, nie przedstawivszy żadnych dodatkowych dowodów. Zaczął się pakować.

Siedzący na ławie oskarżonych Taylor uważnie słuchał sędzi i powoli docierało do niego, że zaraz odzyska wolność. Jean Taylor wyglądała na osłupiałą.

– Ciekawe, co ona sobie teraz myśli – mruknął Sparkes do Matthews. – Musi wrócić do domu z pornonałogowcem, którego kręci cyberseks z obcymi kobietami przebranymi za dziewczynki. Do tego mordercą dzieci.

Nagle było po wszystkim. Sędzia nakazała ławie przysięgłych wydać formalny wyrok uniewinniający, po czym Taylora zabrano z powrotem do aresztu, żeby przygotować go do zwolnienia. Na sali sądowej dziennikarze zaczęli się bić o chwilę rozmowy Jean Taylor.

Ona tymczasem ledwie trzymała się na nogach, blada i milcząca wśród kłębiących się ludzi. Tom Payne próbował wyciągnąć ją z ławy ustawionej przed stołem sędziowskim. W końcu dziennikarze nieco się rozstąpili, a Jean precyzyjnie się do wyjścia bokiem niczym krab, objając kolanami o ławkę i zaczepiając paskiem torebki o wystające

krawędzie.

## Rozdział 27

*Poniedziałek, 11 lutego 2008 roku*

### **Wdowa**

Oczywiście ona też zeznaje. Pięć minut w blasku reflektorów. Ma na sobie czarną sukienkę z przypinką „Znajdźmy Bellę”. Próbuję uciekać wzrokiem, ale nie daje za wygraną i w końcu nasze spojrzenia się spotykają. Czuję falę gorąca, moje policzki oblewają się rumieńcem, więc odwracam głowę. Więcej się to nie powtarza. Dawn wciąż gapi się na Glena, który przejrzał jej grę i patrzy prosto przed siebie.

Jednym uchem słucham historii, którą opowiedziała setki razy: drzemka, zabawa, przygotowywanie podwieczorku, Bella biegnąca ze śmiechem za kotem Timmym do ogródka przed domem. Nagła świadomość, że nie słyszy już jej głosu. Cisza.

Na sali również zapada cisza. Wszyscy słyszymy moment zniknięcia Belli.

Potem Dawn wybuchu płaczem, musi usiąść i napić się wody. Bardzo skuteczne. Przysięgli wyraźnie się o nią martwią, jedna czy dwie starsze panie wyglądają, jakby w każdej chwili również miały się popłakać. Wszystko nie tak. Przecież muszą widzieć, że to jej wina. Takiego zdania jesteśmy oboje z Glenem. Spuściła dziecko z oczu. Nie troszczyła się o nią wystarczająco.

Glen siedzi spokojnie i nie reaguje, jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego. Kiedy matka dochodzi do siebie, sędzia pozwala jej dokończyć składanie zeznań na siedząco. Glen przekrzywia głowę, słuchając jej relacji: bieganie po sąsiadach, telefon na policję, czekanie na wieści z poszukiwań.

Prokuratorka mówi do niej szczególnym tonem głosu, obchodzi się z nią jak z jajkiem.

– Dziękuję bardzo. Jest pani niezwykle dzielna.

Chcę krzyknąć: „Co z ciebie za matka?”, ale wiem, że nie mogę

tego zrobić. Nie tutaj.

W końcu przychodzi kolej na naszego obrońcę – groźnego starucha, który przy każdym spotkaniu witał mnie silnym uściskiem dłoni. Nic poza tym nie wskazywało na to, żeby mnie zapamiętał.

Przy trudniejszych pytaniach matka znów zaczyna płakać. Ton obrońcy nie staje się wówczas wyrozumiały.

Dawn Elliott wciąż powtarza, że spuściła małą z oczu tylko na parę minut. Wszyscy dobrze wiemy, że to nieprawda.

Przysięgli wreszcie zaczynają patrzeć na nią nieco surowszym wzrokiem. Czas najwyższy.

– Wierzy pani, że Bella wciąż żyje, prawda? – pyta obrońca.

Przez salę sądową przebiega szmer, Dawn znowu pociąga nosem. Obrońca wytyka jej sprzedaż wywiadów do prasy, na co ona wpada w złość i mówi, że pieniądze przekazuje na fundusz kampanii.

Jakiś reporter wstaje i szybko wychodzi, mocno ściskając w rękę notatnik.

– Przekaze tę wymianę zdań do redakcji – szepcze Tom i mruga porozumiewawczo.

Innymi słowy: punkt dla nas.

Sędzia udzieliła policjantom reprimendy za działanie niezgodne z prawem i wkrótce potem Glen został wypuszczony na wolność. Po tym wszystkim czuję się otepiała. Teraz to ja mam wrażenie, że wszystko, co się dzieje, mnie nie dotyczy.

Payne puszcza moje ramię dopiero wtedy, gdy udaje nam się dotrzeć do jednego z pokoi dla świadków. Stajemy i z trudem łapiemy powietrze. Przez chwilę żadne z nas nic nie mówi.

– Może teraz wrócić do domu? – pytam, a mój głos brzmi dziwnie cicho po całym tym hałasie panującym na sali sądowej.

Tom kiwa twierdząco głową i szuka czegoś w teczce. Potem zabiera mnie na dół do Glena. Mojego Glena.

– Zawsze powtarzałem, że prawda w końcu wyjdzie na jaw – oznajmia Glen triumfalnie na mój widok. – Udało nam się, Jean. Ja pierdołę, udało nam się.

Przytulam go. Nie tylko dlatego, że nie robiłam tego od wielu dni. Przede wszystkim dzięki temu nie muszę też mówić. Nie wiem, co

mogłabym powiedzieć. Glen cieszy się jak mały chłopiec. Śmieje się i ma różowe policzki. Może nawet jest nieco za bardzo podekscytowany. Myślę tylko o tym, że muszę wrócić z nim do domu. Zostać z nim sama. Jak to będzie, kiedy zamkniemy za sobą drzwi? Zbyt dobrze znam teraz tego innego mężczyznę – swojego męża – żeby wszystko mogło być tak jak kiedyś.

On próbuje mnie podnieść i zakręcić mną w powietrzu jak dawniej, lecz w pokoju jest zbyt wiele osób: prawnicy, obrońcy, funkcjonariusze więzienni. Otaczają mnie, ledwie mogę oddychać. Tom to zauważa, wyprowadza mnie na chłodny korytarz, sadza na krześle i daje mi szklankę wody.

– Rozumiem, że to przytłaczające – mówi wyrozumiale – wszystko stało się tak nagle... Liczyliśmy przecież na taki obrót sprawy, prawda? Długo czekałaś na tę chwilę.

Podnoszę głowę, ale on nie patrzy mi w oczy. Żadne z nas nic więcej nie mówi.

Nie mogę przestać myśleć o tym młodym policjancie, który udawał kobietę, żeby poznać prawdę. Z początku uznałam jego zachowanie za coś w rodzaju prostytutki. Później zobaczyłam go na miejscu dla świadków, wystawionego na pośmiewisko, i zrobiło mi się go żal. Był gotów na wszystko, żeby odnaleźć Bellę.

Wreszcie Glen wychodzi do nas. Tom jeszcze raz ściska jego dłoń. Potem opuszczamy gmach sądu. Na chodniku Dawn Elliott płacze przed kamerami.

– Powinna uważać, co mówi – stwierdza Tom.

Tkwimy pod drzwiami za plecami tłumu. Zalewa ją światło kamer telewizyjnych, reporterzy potykają się o kable, próbując do niej zbliżyć. Dawn oświadcza, że nigdy nie zrezygnuje z szukania córeczki, że mała na pewno gdzieś jest, a ona dojdzie do tego, co naprawdę się z nią stało. Potem przyjaciele prowadzą ją do samochodu i odjeżdża.

Kolej na nas. Glen postanowił, że Tom przeczyta jego oświadczenie. Właściwie Tom mu to doradził, sam napisał tekst. Wkraczamy w blask reflektorów. Ogłuszający hałas dosłownie mną wstrząsa: dźwięk przekrzykującej się setki osób wypluwających serie pytań bez czekania na odpowiedź, natrętne zwracanie na siebie uwagi.

– Tutaj, Jean! – wrzeszczy ktoś tuż obok mnie.

Odwracam się w tamtą stronę i oślepia mnie flesz.

– Obejmij go – mówi ktoś inny.

Rozpoznaję niektórych z chodnika przed swoim domem. Zaczynam się uśmiechać, ale przypominam sobie, że nie są moimi przyjaciółmi. To przedstawiciele prasy.

Tom zachowuje powagę i udaje mu się wszystkich uciszyć.

– Przeczytam teraz oświadczenie pana Taylora. On sam nie będzie odpowiadał na żadne pytania. – Nad głowami tłumu wyrasta las dyktafonów.

– „Jestem niewinnym człowiekiem prześladowanym przez policję i pozbawionym wolności z powodu zbrodni, której nie popełniłem. Czuję wdzięczność dla sądu za dzisiejszy wyrok. Nie chcę jednak świętować uniewinnienia. Bellę Elliott nadal uważa się za zaginioną. Osoba odpowiedzialna za jej zniknięcie pozostaje na wolności. Mam nadzieję, że policja zajmie się teraz szukaniem sprawcy. Chciałbym podziękować bliskim osobom za to, że nie opuściły mnie w tych trudnych chwilach, przede wszystkim mojej wspaniałej żonie, Jeanie. Państwu dziękuję za uwagę. Proszę o uszanowanie naszej prywatności, zwłaszcza teraz, gdy musimy zbudować swoje życie na nowo”.

Przez cały ten czas wbijam wzrok w czubki butów, a w myślach uzupełniam to, co nie zostało powiedziane wprost. „Wspaniałej żonie”. Więc to jest teraz moja rola. Wspaniała Żona, która nie opuściła męża.

Cisza trwa ułamek sekundy, potem znów wybucha przeraźliwy harmider.

– Kto porwał Bellę? Co sądzisz o metodach policji, Glen?

Jakiś przechodzień woła:

– Dobra robota, stary!

Glen uśmiecha się szeroko w odpowiedzi. Następnego dnia wszystkie gazety opublikują właśnie to zdjęcie.

Czyjaś ręka przeciska się przez tłum kamerzystów i wręcza mi kartkę z napisem „Gratulacje” i rysunkiem butelki szampana. Próbuję wypatrzeć właściciela ręki. Niestety, zniknął w tłumie. Wsuwam więc kartkę do torby i wraz z Glenem i Tomem daję się prowadzić ochronie. Dziennikarze podążają za nami. Przypominają mi rój pszczoł

z kreskówki.

Podróż do domu daje nam przedsmak tego, jak będzie wyglądała nasza przyszłość. Reporterzy i fotografowie zastawiają drogę do taksówki zamówionej przez Toma, tak że nie możemy się do niej dostać. Ludzie pchają się na nas i na siebie nawzajem, wykrzykują nam w twarz swoje głupie pytania, wszędzie wciskają kamery i aparaty. Glen łapie mnie za rękę i nagle po prostu daje w długą, ciągnąc mnie za sobą. Tom czeka na nas przy otwartych drzwiach taksówki. Rzucamy się na tylne siedzenie.

Obiektywy wałą w okna, błyskają flesze, metal z hukiem uderza o szkło. Tkwimy w środku taksówki niczym ryby w akwarium. Kierowca spływa potem, ale widać, że całkiem mu się to podoba.

– Ojacie! – woła. – Co za cyrk!

Dziennikarze wciąż krzyczą:

– Jak się czujesz jako wolny człowiek, Glen? Chcesz coś powiedzieć matce Belli? Obwiniasz policję?

Oczywiście, że ich obwinia. Nie może im wybaczyć upokorzenia i kusej piżamki. To dziwne, że właśnie o tym myśli, choć oskarżono go o zamordowanie małej dziewczynki. Chęć wyrównania rachunków z policją staje się jego nową obsesją.

## Rozdział 28

*Środa, 2 kwietnia 2008 roku*

### **Wdowa**

Nieustannie się zastanawiam, jak by to było – zdradzić tę tajemnicę. Czasem, kiedy o tym marzę, niemal słyszę padające z moich ust słowa: „Mój mąż widział Bellę w dniu jej uprowadzenia”. Czuję wtedy fizyczną ulgę, niemal zawrót głowy.

Nie mogę jednak tego zrobić, prawda? Wina w równym stopniu leży po mojej i po jego stronie. Utrzymywanie tajemnicy to dziwne uczucie. Jakby w żołądku tkwił mi głaz, który miażdży narządy wewnętrzne i przyprawia o mdłości za każdym razem, gdy o nim pomyślę. Moja przyjaciółka Lisa podobnie opisywała ciążę: dziecko odpychało wszystko, co stało mu na drodze. Przejmowało władzę nad jej ciałem. Tak samo jest z moją tajemnicą. Kiedy zaczyna mnie przerastać, na jakiś czas przełączam się na tryb „Jeanie” i przez chwilę mogę udawać, że tajemnica należy do kogoś innego.

Nie pomogło mi to jednak podczas przesłuchania przez Boba Sparkesa. Poczulałam falę gorąca, twarz oblał mi rumieniec, spod włosów zaczęły wypływać strużki potu.

Bob Sparkes przedzierał się przez mur moich kłamstw. Pierwszy szturm przybrał formę pytania:

– Proszę mi przypomnieć, co pani robiła w dniu zniknięcia Belli.

Mój oddech przyśpieszył, próbowałam się uspokoić i zapanować nad nim. Zdradził mnie jednak głos, a raczej zduszony skrzek. Kiedy w pół zdania przełknęłam ślinę, dźwięk zabrzmiał ogłuszająco. Całe moje ciało zdawało się krzyczeć, że kłamię.

– Rano pracowałam. Wie pan, parę balejaży – odparłam z nadzieją, że ziarno prawdy ukryte wśród kłamstw zabrzmii przekonująco. Przecież faktycznie poszłam do pracy.

Usprawiedliwienia, wymówki, zaprzeczenia. Z czasem powinno



przychodzić mi to łatwiej. Wcale tak nie jest. Każde kolejne kłamstwo staje mi kwaśno w gardle jak niedojrzałe jabłko. Tkwi tam uparcie i sprawia, że wysychają mi usta.

Zabawne, że najprostsze kłamstwa są najtrudniejsze. Z kolei te poważne przychodzą mi zupełnie gładko: „Glen odszedł z banku, bo ma inne plany. Chce założyć własną firmę transportową. Sam być swoim szefem”. Jak z nut.

Za to drobne kłamstewka („Nie mogę wpaść na kawę, muszę jechać do mamy”) więzną mi w krtani i wypęłzają rumieńcem na policzki. Z początku Lisa albo nic nie zauważała, albo dobrze to ukrywała. Wszyscy teraz żyliśmy w moim kłamstwie.

W dzieciństwie nigdy nie zmyślałam. Rodzice od razu poznałyby się na kłamstwie, nie miałam też rodzeństwa, żeby z nim dzielić sekrety. Dopiero od Glena nauczyłam się, że to bardzo proste. Po kolejnych wizytach policji mówił, że jesteśmy zgraną ekipą.

Zabawne. Już od dawna nie myślałam o nas jako o drużynie. Każde z nas miało swoją działkę. Zniknięcie Belli ponownie nas zbliżyło, uczyniło prawdziwym małżeństwem. Zawsze powtarzałam, że potrzebujemy dziecka.

Co za ironia losu. Bo wiecie, chciałam go zostawić. Po tym, kiedy sąd go uniewinnił i kiedy dowiedziałam się o jego internetowych wybrykach na czatach – „sekskapadach”, jak sam o nich mówił. O wszystkim, co zamierzał zostawić za sobą.

Glen lubi bowiem zostawiać różne rzeczy za sobą. W jego słowniku oznacza to, że nigdy nie poruszymy jakiegoś tematu. Potrafi po prostu odciąć jakąś część życia i pozwolić jej odejść.

– Musimy skupić się na przyszłości, Jeanie, nie na przeszłości – tłumaczył cierpliwie, przytulał mnie i całował w czubek głowy.

Miało to sens i z czasem nauczyłam się nigdy nie wracać do rzeczy, które zostawiliśmy za sobą. Nie znaczyło to oczywiście, że już o nich nie myślałam, ale zgodnie z niepisaną umową nigdy nie poruszałam tych tematów w rozmowie.

Do tej kategorii należała niemożność posiadania dziecka i utrata pracy przez Glena. Potem doszły czaty i cała ta afera z policją.

– Zostawmy to za sobą, kochanie – zaproponował rankiem w dzień

po zakończeniu sprawy. Leżeliśmy w łóżku. Było jeszcze wcześniej i wciąż paliły się latarnie uliczne, ich światło wpadało przez szparę w zasłonach. Żadne z nas nie spało zbyt dobrze.

– Za dużo emocji – zawyrokował Glen.

Oznajmił, że ma pewne plany. Postanowił wrócić do naszego dawnego życia tak szybko, jak tylko to będzie możliwe, odzyskać normalność.

Wydawało się to proste, ale kiedy próbowałam wyrzucić z pamięci wszystko, czego się o nim dowiedziałam, nie potrafiłam. Szczegóły sprawy chowały się w zakamarkach i patrzyły na mnie wymownie. Miotalam się przez kilka tygodni, aż w końcu podjęłam decyzję. To zdjęcia dzieci ostatecznie przekonały mnie do spakowania walizki.

Trwałam przy nim od chwili oskarżenia o zabójstwo Belli, bo w niego wierzyłam. Wiedziałam, że mój Glen nie mógłby zrobić czegoś tak okropnego. Teraz jednak, dzięki Bogu, było po wszystkim. Został uniewinniony.

To zaś oznaczało, że musiałam zmierzyć się z tym, co rzeczywiście zrobił.

Powiedziałam mu, że nie mogłabym żyć z mężczyzną, który oglądał takie zdjęcia. Wszystkiego się wyparł.

– To wszystko na niby, Jeanie. Słyszałaś naszych ekspertów w sądzie. To nie są tak naprawdę dzieci, to kobiety, które wyglądają bardzo młodo i zarabiają przebieraniem się za dzieci. Niektóre są po trzydziestce.

– Ale wyglądają jak dzieci! – krzyknęłam. – Przebierają się tak dla ludzi, którzy chcą oglądać seks dorosłych mężczyzn z dziewczynkami.

Rozplakał się.

– Nie możesz mnie zostawić, Jeanie. Potrzebuję cię.

Pokręciłam głową i poszłam po walizkę. Cała się trzęsłam – nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. To on zawsze nad wszystkim panował jako silniejszy z nas dwojga.

Zesłam na dół prosto w pułapkę. Czekał na mnie z wyznaniem.

Powiedział, że zrobił coś dla mnie. Że mnie kocha. Wiedział, że rozpaczliwie pragnęłam dziecka, a moje cierpienie sprawiało mu ból. Kiedy ją zobaczył, postanowił mnie uszczęśliwić. Zrobił to dla mnie.

Mówił, że czuł się jak we śnie. Zaparkował w bocznej uliczce, żeby zjeść drugie śniadanie i przejrzeć gazetę. Wtedy zobaczył ją w ogródku – patrzyła na niego zza furtki. Była sama. Nie mógł się powstrzymać. Kiedy mi to powiedział, objął mnie, a ja nie mogłam się ruszyć.

– Chciałem ci ją przywieźć. Stała przede mną, więc się uśmiechnąłem. Wyciągnęła do mnie łapki, żebym ją wziął na ręce. Wysiadłem z samochodu... Nic więcej nie pamiętam od tej chwili aż do czasu, kiedy jechałem z powrotem do domu. Nie zrobiłem jej nic złego, Jeanie – dodał. – To wszystko było jak sen. Myślisz, że mi się to przyśniło, Jeanie?

Dławię się szczegółami tego szokującego wyznania.

Stoimy w przedpokoju, widzę nasze odbicie w lustrze. Jakbym oglądała film. Glen schyla się nade mną, szlocha mi w ramię. Moja twarz jest blada jak kreda. Gładzę go po głowie i mruczę uspokajająco. Nie chcę jednak, żeby przestał płakać. Boję się ciszy, która wtedy nastąpi. O tak wiele chcę zapytać, a jednocześnie tak wielu rzeczy nie chcę wiedzieć.

W końcu płacz ustaje. Siadamy razem na kanapie.

– Nie powinniśmy powiedzieć policji, że widziałeś ją tamtego dnia? – pytam.

Muszę to z siebie wyrzucić, inaczej pęknę.

Glen sztywnieje.

– Stwierdzą, że ją porwałem i zabiłem, Jeanie. Dobrze wiesz, że to nieprawda. Sam fakt, że ją widziałem, będzie świadczył o mojej winie. Tyle wystarczy, żebym trafił do więzienia. Nie możemy nic nikomu powiedzieć.

Siedzę bez słowa. Wiem jednak, że on ma rację. Dla Boba Sparkesa nie będzie różnicy, czy tylko ją widział, czy rzeczywiście uprowadził.

Wciąż powtarzam sobie w myślach, że Glen nie mógł jej porwać.

Tylko ją widział. To wszystko. Tylko ją widział. Nie zrobił nic złego.

Wciąż dusi się od płaczu, twarz ma czerwoną i mokrą.

– Ciągle myślę, że może naprawdę mi się to przyśniło. Nie czułem

się jak na jawie, a wiesz dobrze, że nigdy nie skrzywdziłbym dziecka.

Kiwam głową. Niby to wiem, ale tak naprawdę nie wiem nic o człowieku, z którym przeżyłam tyle lat. Okazał się kimś zupełnie obcym. Paradoksalnie teraz jesteśmy związani mocniej niż kiedykolwiek. Zna mnie. Wie o mojej słabości.

Wie, że chciałabym, aby mi ją przywiózł.

Wiem, że cała ta sprawa wzięła się z mojej obsesji.

Potem, kiedy robię mu w kuchni herbatę, zdaję sobie sprawę, że nie użył imienia Belli, jakby nie uważał jej za osobę z krwi i kości. Zanoszę walizkę z powrotem na górę i rozpakowuję rzeczy. Glen leży na kanapie przed telewizorem i ogląda mecz. Tak normalnie, jakby nic się nie stało.

Nie rozmawiamy więcej o Belli. Glen traktuje mnie bardzo miło, ciągle powtarza, że mnie kocha, troszczy się, czy wszystko u mnie w porządku. Ciągle dopytuje.

– Co porabiasz, Jeanie? – Dzwoni na komórkę. Żyjemy dalej.

Bella jednak ciągle z nami jest. Nie wspomina o niej, jej imię nie pada z naszych ust. Żyjemy dalej, a sekret rośnie we mnie, pęcznieje, kopie mnie w serce i żołądek. Kiedy przypominam sobie o nim po przebudzeniu, muszę biec zwymiotować w łazience na dole.

To przeze mnie coś ciągnęło go do Belli. Chciał dziecka dla mnie. Zastanawiam się, co bym zrobiła, gdyby rzeczywiście mi ją przywiózł. Kochałabym ją. Tak po prostu. Nic więcej. Byłaby moja, mogłabym ją kochać.

Prawie stała się moja.

Nadal spaliliśmy z Glenem w jednym łóżku. Mama nie potrafiła tego zrozumieć.

– Jak możesz w ogóle się do niego zbliżać, Jean? Po tym wszystkim, co robił z tymi kobietami... I z tym mężczyzną?

Nigdy nie rozmawiałam z mamą o seksie. Koleżanka ze szkoły powiedziała mi, skąd się biorą dzieci i co to jest okres. Z mamą nie było łatwo rozmawiać na takie tematy. Jakby chodziło o coś nieprzyzwoitego. Przełamała się jednak, kiedy gazety zaczęły się rozpisywać o życiu erotycznym Glena. W końcu cały kraj o tym mówił. Musiała czuć, jakby to nie dotyczyło znajomej jej osoby.

– To wszystko tylko na niby, mamó – powiedziałam, unikając jej wzroku. – Psycholog twierdzi, że wszyscy mężczyźni mają fantazje.

– Nie twój ojciec.

– Tak czy inaczej, postanowiliśmy zostawić to za sobą i skupić się na przyszłości.

Przez chwilę wyglądała, jakby miała powiedzieć coś ważnego, ale odwróciła wzrok.

– To twoje życie, Jean. Zrób, co uważasz za słuszne.

– Nasze życie, mamó. Moje i Glena.

Glen poradził mi, bym poszukała nowej pracy w dalszej dzielnicy.

Tłumaczyłam, że nie uśmiecha mi się spotkanie obcych ludzi. W końcu dałam się przekonać.

Natomiast Glen wrócił do pomysłu rozkręcenia własnego interesu. Tym razem coś z branży internetowej. Jakiś serwis.

– Wszyscy to teraz robią, Jeanie. Kasa jest łatwa, a ja mam, co trzeba.

Wiele słów cisnęło mi się na usta, ale uznałam, że najlepiej będzie milczeć.

Niewiele ponad miesiąc trwała nasza próba patrzenia w przyszłość. Zaczęłam pracować w piątki i soboty w dużym salonie w mieście – dość dużym, by zapewniał mi anonimowość. Większość klientek wchodziła z ulicy, bez umówionej wizyty, więc mało kto zadawał niedyskretne pytania. Zdecydowanie wyższa klasa niż Hair Today i okropnie drogie kosmetyki – musiały kosztować fortunę, skoro pachniały migdałami. W dni robocze podjeżdżałam metrem do Bond Street i resztę drogi pokonywałam pieszo. Czułam się całkiem nieźle, lepiej niż się spodziewałam.

Glen siedział w domu przed komputerem i „budował swoje imperium”, jak mówił. Ciągłe coś kupował i sprzedawał na eBayu. Akcesoria samochodowe. Wciąż dostarczano mu jakieś paczki, więc cały przedpokój był nimi zawałony. Pomagałam mu trochę – pakowałam towary, chodziłam na pocztę. Wypracowaliśmy sobie rutynę.

Żadne z nas nie potrafiło jednak zostawić za sobą sprawy Belli. Nie mogłam przestać o niej myśleć. Prawie moja dziewczynka. Łapię się na myślach, że to my powinniśmy być jej rodzicami. Powinna mieszkać

tutaj. Nasza dziewczynka. Czasem wręcz żałuję, że Glen jej wtedy nie przywiózł.

Glen jednak nie tyle myśli o Belli, co zafiksował się na policyjnej prowokacji. Widzę, że wciąż to roztrząsa, nakręca się. Gdy tylko w telewizji mówią coś o policji, gotuje się ze złości i powtarza, że zniszczyli mu życie. Próbuję go przekonać, żeby dał spokój i skupił się na przyszłości, ale zdaje się mnie nie słyszeć.

Musiał zadzwonić do Toma Payne'a, bo ten przyjechał do nas pewnego czwartkowego poranka i zaczął nam tłumaczyć, jak pozwać policję z Hampshire. Powiedział, że Glen dostałby odszkodowanie za wszystko, co przeszedł.

– I słusznie. Przez te ich sztuczki spędziłem dobre parę miesięcy w więzieniu – skwitował Glen.

Poszłam zaparzyć herbatę. Kiedy wróciłam, liczyli coś na dużej żółtej kartce z notatnika Toma. Glen zawsze dobrze sobie radził z liczbami. Był taki bystry! Podliczyli wszystko i Tom stwierdził:

– Powinieneś dostać około ćwierć miliona. – Glen zareagował z takim entuzjazmem, jakbyśmy wygrali w lotka. Chciałam powiedzieć, że nie potrzebujemy pieniędzy, że nie chcę tej brudnej forsy. Zamiast tego uśmiechnęłam się tylko, podeszłam do Glena i wzięłam go za rękę.

To długi proces, lecz Glen ma wreszcie nowy cel. Paczki z eBaya przestają przychodzić, a on przesiaduje teraz przy stole w kuchni ze stertą papierów: czyta i wykreśla fragmenty raportów, inne zaznacza kolorem, dziurkuje dokumenty i chowa do odpowiednich segregatorów. Czasem czyta mi coś na głos i pyta o zdanie.

– „Z powodu stygmatyzacji społecznej będącej skutkiem prowadzonego postępowania pan Taylor cierpi obecnie na nawracające ataki paniki za każdym razem, gdy wychodzi z domu”.

– A cierpisz? – pytam.

Nie zauważyłam żadnych ataków. Na pewno nie takich, jakie widziałam u mamy.

– Jestem roztrzęsiony – odpowiada. – Myślisz, że będą chcieli zaświadczenie od lekarza?

Zresztą i tak nie wychodzimy zbyt często. Tyle co po zakupy i raz do kina. Zwykle wmykamy się bardzo wcześnie i wybieramy

zapewniające anonimowość hipermarkety, gdzie nie trzeba z nikim rozmawiać. Mimo to niemal zawsze ktoś go rozpoznaje. Cóż, nic dziwnego – jego zdjęcie pojawiało się w gazetach przez cały czas trwania procesu, więc kasjerki dobrze wiedzą, jak wygląda. Proponowałam, że będę chodziła sama, ale Glen nie chce o tym słyszeć. Nie zostawi mnie samej na pastwę wścibskich oczu. Dzielnie to wszystko znosi. Trzyma mnie za rękę, a ja nauczyłam się piorunować wzrokiem każdego, kto odważy się powiedzieć choć słowo.

Gorzej wygląda sytuacja ze znajomymi. Większość przechodzi na mój widok na drugą stronę ulicy i udaje, że mnie nie zauważa. Inni z kolei o wszystko wypytyują. W końcu powtarzam w kółko:

– Wszystko w porządku. Prawda musiała w końcu wyjść na jaw. Glen jest niewinny, policja musi się teraz tłumaczyć.

Większość ludzi zdaje się cieszyć razem z nami, choć nie wszyscy. Jedna z dawnych klientek z salonu stwierdziła:

– Hm... Tak naprawdę nikt nie jest zupełnie niewinny, prawda?

Odparłam, że miło ją było spotkać, ale muszę wracać do Glena.

– Będziemy musieli wrócić do sądu – dzielę się z nim swoimi obawami, zebrawszy się w końcu na odwagę. – Znowu trzeba będzie rozgrzebać tę sprawę, wywlec na światło dzienne. Nie wiem...

Glen wstaje i mocno mnie obejmuje.

– Wiem, że to dla ciebie trudne, kochanie, ale muszę się zrehabilitować. Dzięki temu wszyscy się dowiedzą, przez co przeszedłem. Przez co oboje przeszliśmy.

Dostrzegam sens w jego słowach i staram się mu pomóc – przywołuję daty nieprzyjemnych incydentów, konfrontacji w miejscach publicznych.

– Pamiętasz tego faceta w kinie? Powiedział, że nie będzie siedział na sali z pedofilem. Krzyczał i pokazywał cię palcem.

Oczywiście, że Glen pamięta. Ochrona musiała wyprowadzić nas z kina „dla naszego bezpieczeństwa”, jak stwierdził kierownik. Tamten ciągle wykrzykiwał: „A co z Bellą?”. Jego towarzyszką daremnie próbowała go uspokoić.

Chciałam coś powiedzieć – że mój mąż jest niewinny – ale Glen mocno złapał mnie za ramię i powiedział: „Przestań, Jean. Tylko

pogorszysz sytuację. To zwykły czubek”.

Wspomnienie nie sprawia mi przyjemności, ale opisuje je w swoim oświadczeniu.

– Dzięki, kochanie – mówi.

Policja do ostatniej chwili broni się przed wypłatą odszkodowania – według Toma nie mają innego wyjścia, bo pieniądze pochodzą przecież z podatków.

Ubieram się w strój do sądu, kiedy Glen – już w garniturze i eleganckich butach – odbiera telefon od Toma.

– Udało się, Jeanie! – woła z dołu. – Zapłacili. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Dziennikarze i Dawn Elliott mówią o splamionych krwią pieniądzech, zarobionych na nieszczęściu małej dziewczynki. Reporterzy znów wypisują okropne rzeczy o Glenie, wrócili pod nasz dom. Chcę mu powiedzieć: „A nie mówiłam?”. Tylko czy coś mi z tego przyjdzie?

Glen znów zamyka się w sobie. Ja rzucam pracę, zanim sami mnie zwolnią.

Wróciliśmy do punktu wyjścia.



## Rozdział 29

*Poniedziałek, 21 lipca 2008 roku*

### **Detektyw**

Po porażce na sali sądowej Sparkesa ogarnął smutek innego rodzaju. A także złość, głównie na siebie samego. Dał się przekonać do strategii, która doprowadziła do klęski.

Co on sobie myślał? Przechodząc obok otwartych drzwi jednego z gabinetów na najwyższym piętrze, usłyszał, jak jeden z wyższych rangą oficerów stwierdził, że ma „parcie na sławę”. Otrząsnął się ze wstrętem. Wydawało mu się, że robił to wszystko dla Belli... Może tak naprawdę myślał tylko o sobie?

„Czego jak czego, ale sławy to się nie dochrapałem” – pomyślał.

Pięć miesięcy po zakończeniu procesu w sprawozdaniu – napisanym typowym dla takich dokumentów wygładzonym językiem – stwierdzono, że decyzję o uzyskaniu dowodów przeciwko podejrzanemu przez tajne źródło informacji „podjęto na podstawie rekomendacji ekspertów i po konsultacji z funkcjonariuszami wyższego stopnia, jednak strategia okazała się nieskuteczna z powodu niedostatecznego nadzoru nad niedoświadczonym funkcjonariuszem”.

– Krótko mówiąc: daliśmy dupy – podsumował Sparkes w rozmowie telefonicznej z Eileen po nieprzyjemnym spotkaniu z komendantem.

Następnego dnia gazety podawały jego imię i nazwisko (oraz nazwiska jego przełożonych) jako jednego z głównych „sprawców porażki” dochodzenia. Politycy i przedstawiciele opinii publicznej domagali się, żeby „poleciały głowy”. Sparkes na wszelki wypadek nie podnosił swojej i słuchał kolejnych frazesów. Jednocześnie próbował pogodzić się z myślą, że niedługo zacznie wieść życie eksgliny.

Eileen wydawała się wręcz zadowolona z wizji jego odejścia z policji. Podsunęła mu pomysł pracy w ochronie – chciała dla niego

spokojnej, bezpiecznej posady. Dzieci stanęły na wysokości zadania – niemal codziennie dzwoniły z ciepłym słowem i zabawnymi anegdotkami ze swojego życia. On sam starał się nie wybiegać w przyszłość dalej niż do końca bieżącego dnia.

Zaczął biegać, bo pamiętał, że kiedy został ojcem, tak właśnie odreagowywał stres: przynajmniej przez godzinę jego umysł wypełniały tylko i wyłącznie rytmiczne uderzenia stóp o podłogę. Teraz jednak wracał do domu zlany potem, z poszarzałą twarzą i ostrym bólem pięćdziesięcioletnich kolan. Eileen kazała mu przestać, stwierdziła, że mu to szkodzi. Nie tylko to.

Przesłuchanie dyscyplinarne przebiegło bardzo kulturalnie, pytania zadawano mu uprzejmie, acz stanowczo. Przesłuchujący znali wszystkie odpowiedzi, ale musieli trzymać się procedur. Został zawieszony do czasu podjęcia decyzji, więc telefon od przedstawiciela związku zawodowego odebrał w piżamie. Postanowiono pociągnąć do odpowiedzialności wyższych rangą oficerów, on zaś miał dostać tylko naganę z wpisaniem do akt. Nie wiedział: śmiać się czy płakać.

Eileen rozplakała się i objęła go z całej siły.

– Och, już po wszystkim. Bogu dzięki, że się opamiętali.

Nazajutrz wrócił do pracy i powierzono mu inne obowiązki.

– Wszyscy możemy teraz zacząć od nowa – powiedziała nadkomisarz Chloe Wellington, awansowana na miejsce skompromitowanego Brakespeare’a. Przeprowadziła ze Sparkesem coś w rodzaju pogadanki reedukacyjnej. – Wiem, że trudno będzie ci się oprzeć, ale zostaw Taylora innym. Po całym tym szumie w mediach nie możesz mieć nic wspólnego z tą sprawą. Pojawią się oskarżenia o wiktyzację, to zaszkodzi śledztwu.

Sparkes kiwał tylko potakująco głową i całkiem przekonująco opowiadał o przydzielonych mu sprawach, budżecie, grafiku i plotkach. Jednak kiedy wracał do gabinetu, jego myśli krążyły głównie wokół Glena Taylora. Właściwie myślał tylko i wyłącznie o nim.

Matthews już na niego czekał. Zamknęli drzwi, żeby omówić strategię.

– Będą nas ciągle obserwować, szefie, żebyśmy trzymali się od niego z daleka. Sprowadzili kogoś z Basingstoke, żeby zweryfikować

dotychczasowe działania i zaplanować dalsze postępowanie w sprawie Belli Elliott – kobietę, ale równą babkę. Detektyw Jude Downing. Zna ją szef?

Komisarz Jude Downing zapukała po południu do drzwi Sparkesa i zaprosiła go na kawę. Szczupła i rudowłosa, siedziała naprzeciwko niego w pobliskiej kawiarni („W stołówce trudno o chwilę spokoju” – powiedziała. „Chodźmy na latte”) i czekała.

– On ciągle jest na wolności – powiedział w końcu Sparkes.

– A Bella?

– Nie wiem, Jude. Prześladowuje mnie.

– To znaczy, że nie żyje?

Nie potrafił odpowiedzieć. Kiedy myślał jak gliniarz, odpowiedź wydawała się oczywista. Nie umiał jednak pogodzić się z wizją jej śmierci.

Wywiady z Dawn wciąż pojawiały się w prasie w dni, kiedy brakowało ciekawszych informacji. Jej dziecinna twarz oskarżycielsko spoglądała z gazet. Nadal dzwonił do niej mniej więcej raz na tydzień.

– Żadnych nowych wieści, tak tylko dzwonię – mówił. – Co słyszeć?

Opowiadała mu o tym i owym. Poznała sympatycznego faceta, prowadząc kampanię „Znajdźmy Bellę”, i jakoś udawało jej się przeżywać dzień za dniem.

– W tym małżeństwie jest nas troje – powiedziała kiedyś Eileen.

Zaśmiała się przy tym sucho i sztucznie, jak zawsze gdy chciała go ukarać. Nie dał się podpuścić, ale przestał wspominać w domu o sprawie i obiecał dokończyć malowanie sypialni.

Jude Downing powiedziała, że uważnie bada każdy dowód, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczono.

– Każdemu z nas się to zdarza, Bob. Kiedy zbyt mocno zbliżymy się do sprawy tego typu, w końcu tracimy ostrość widzenia. Nie krytykuję ciebie, stwierdzam tylko fakt.

Sparkes wbił wzrok w piankę na kawie ozdobioną sercem z czekolady w proszku.

– Masz rację, przyda się świeże spojrzenie. Ale mogę ci pomóc.

– Lepiej będzie, jeśli na razie się odsuniesz. Bez urazy. Musimy

znów wrócić do początku i sprawdzić nowe hipotezy.

– Okej. Dzięki za kawę. Muszę wracać.

Dopiero po powrocie do domu dał wyraz swojej wściekłości. Eileen, nalewając mu piwo, cierpliwie wysłuchiwała emocjonalnej relacji.

– Zostaw to jej, kochanie. Dorobisz się wrzodów. Zrób może te ćwiczenia na oddychanie, które zalecił ci lekarz. – Sącył piwo i próbował odpuścić. Nic z tego. Czuł, że coś ważnego wymyka mu się z rąk.

Usiłował zanurzyć się w nowych sprawach, ale ślizgał się po powierzchni. Miesiąc później Ian Matthews ogłosił, że przenosi się do innej jednostki.

– Przyda mi się zmiana – oznajmił. – Wszystkim nam się przyda.

Impreza pożegnalna Iana Matthews'a nie miała sobie równych. Po przemówieniach „dorosłych” zaczął się suto zakrapiany maraton świńskich anegdot i łzawych wspominków o rozwiązanych sprawach.

– Nadszedł koniec pewnej epoki, Ian – powiedział Sparkes, wyswobodziwszy się z pijackiego uścisku sierżanta. – Świetnie się z tobą pracowało.

Pomyślał, że zostaje na placu boju jako ostatni. Nie licząc Glena Taylora.

Matthewsa zastąpiła trzydziestopięcioletnia, zatrwającą bystra dziewczyna – raczej kobieta, jak poprawiła go Eileen.

– Dziewczynki mają warkocze.

Nie miała warkoczy. Lśniące brązowe włosy spinała w kok tak ciasny, że aż marszczyła jej się skóra na skroniach. Solidna młoda kobieta z dyplomem wyższej uczelni i ścieżką kariery wytatuowaną chyba po wewnętrznej stronie powiek.

Sierżant Zarę Salmond („Mama chyba jest fanką monarchii” – pomyślał) przeniesiono z obyczajówki. Powiedziała, że ma za zadanie ułatwić mu życie – i zaczęła to robić.

Kolejne sprawy wartkim strumieniem płynęły na jego biurko: przedawkowanie narkotyków przez nastolatka, seria kradzieży wśród bogaczy, atak nożem w klubie... Brodził w nich po kolana, ale nic nie mogło odciągnąć jego uwagi od mężczyzny, z którym dzielił gabinet.

Zdjęcie Glena Taylora, wyszczerzonego jak małpa na schodach

przed sądem, wciąż migało mu na skraju pola widzenia.

– On gdzieś tu jest – powtarzał jak mantrę, ślęcząc nad wszystkimi raportami z dnia zaginięcia Belli. Tak dużo pisał na komputerze, że powycierał litery na klawiaturze.

Sparkes podsłuchał w stołówce, że ponownie wezwano Lee Chambersa. Odsiedział trzy miesiące za obnażanie się w miejscach publicznych, stracił pracę i musiał się przeprowadzić. Najwyraźniej nie pozbawiło go to pewności siebie.

Chambers wiercił się na krześle i upierał przy swojej niewinności. Zgodził się opowiedzieć im o handlu pornografią – z takimi szczegółami, jak godziny i miejsca pracy – w zamian za zwolnienie od odpowiedzialności karnej.

Nowy zespół uznał, że należy mieć go na oku, choć nie pasował im na sprawcę. Przechodzili go i wypluli. Uzyskane od niego informacje pozwoliły przyjrzeć się konkretnym parkingom dla kierowców i stacjom obsługi pojazdów. Na nagraniach z monitoringu wreszcie udało się zidentyfikować niektórych klientów. Sparkes czekał na wiadomość, czy wśród nich znalazł się Glen Taylor.

– Ani śladu, komisarzu – westchnęła Salmond. – Wciąż szukają.

I weszli dalej.

Sparkes był zafascynowany, jakby oglądał teatralną adaptację śledztwa z aktorami w rolach detektywów.

– Jakbym siedział na widowni – zwierzył się Kate, kiedy zadzwoniła.

– Kto gra ciebie? Robert de Niro? Ach nie, zapomniałam, Helen Mirren – roześmiała się.

Jednak kiedy obserwował całą sprawę z pozycji widza przycupniętego na skraju siedzenia, przyjął zupełnie inną perspektywę, niż gdyby tkwił w centrum wydarzeń. Mógł niczym Bóg śledzić postępy śledztwa, dzięki temu zauważył luki i falstarty.

– Zbyt szybko skoncentrowaliśmy się na Taylorze – wyznał Salmond. Wiele go kosztowało, żeby przyznać się do tego nawet przed samym sobą, ale nie miał innego wyjścia. – Przyjrzyjmy się jeszcze raz dniu zaginięcia Belli. Po cichu.

W tajemnicy zaczęli rekonstruować 2 października 2006 roku od

momentu przebudzenia dziewczynki. Pośpiesznie opróżnili metalową szafkę w kącie gabinetu Sparkesa i wykleili jej wnętrze kolażem.

– Wygląda jak praca domowa na plastykę – zażartowała Salmond.  
– Jeszcze tylko papier kolorowy i dostaniemy po szóstce.

Zaproponowała opracowanie chronologii wydarzeń na komputerze, lecz Sparkes obawiał się, że zostanie to zarejestrowane w systemie.

– Kolażu możemy w każdej chwili pozbyć się bez śladu.

Kiedy Salmond zaproponowała mu pomoc, z początku nie był przekonany. Nie droczyła się z nim tak jak Matthews i choć tęsknił za wspólnymi żartami, które pomagały zbudować więź i rozładować napięcie, uznał, że z kobietą tak nie wypada. Mogłoby to przypominać raczej flirt niż kumplostwo. Z drugiej strony nie tęsknił wcale za paskudnymi, ociekającymi keczupem kanapkami z kiełbasą ani za widokiem wyzierającego czasem spod koszuli brzucha Matthews'a.

Sierżant Salmond zdawała się bardzo bystra, ale Sparkes nie znał jej i nie wiedział, czy może jej zaufać. Cóż, będzie musiał – potrzebował jej trzeźwego spojrzenia, żeby znów nie zboczyć z kursu.

Według matki Bella obudziła się o 7.15. Nieco później niż zwykle, bo dzień wcześniej późno poszła spać.

– Dlaczego? – zapytała Salmond.

Przejrzeli zeznania Dawn.

– Pojechały do McDonald'sa i długo czekały na autobus  
– wyczytał Sparkes.

– Dlaczego? Jakaś specjalna okazja? – drążyła Salmond.

– Urodziny ma w kwietniu. Podobno Dawn ledwo wiązała koniec z końcem? Ma pięćset funtów długu na karcie kredytowej. Sąsiedzi mówili, że rzadko gdzieś wychodziła.

– Najwyraźniej nikt o to nie spytał – odparł Sparkes.

Salmond dopisała to do listy. „Ta dziewczyna lubi listy”  
– pomyślał Sparkes. „Przepraszam: ta kobieta”.

– Potem słodycze w kiosku, czyli znowu luksusy. Ciekawe, co takiego działo się w ich życiu?

Salmond zapisała „smarties” na czystej kartce i przykleiła ją w szafce.

Siedzieli po dwóch stronach biurka, Salmond w fotelu szefa.

Między nimi leżał wydruk akt, który Matthews podarował Sparkesowi na pożegnanie. Sparkes zaczął czuć się jak na przesłuchaniu, ale wziął się w garść i skupił na pominiętych przez śledczych pytaniach zadawanych teraz przez młodą sierżantkę.

– Jakiś nowy facet w jej życiu? Co z tym Mattem, z którym zaszła w ciążę? Rozmawialiśmy z nim?

Luki w śledztwie zaczęły spozierać z wyrzutem na Sparkesa.

– Zróbmy to teraz – dodała szybko Salmond na widok chmury gradowej nad głową szefa.

W akcie urodzenia Belli nie widniało nazwisko ojca – jako samotna matka Dawn nie miała prawa go zarejestrować, o ile nie był obecny w urzędzie. Zeznała jednak, że nazywał się Matt White, mieszkał gdzieś pod Birmingham i twierdził, że pracuje dla firmy farmaceutycznej.

– Miał łatwy dostęp do viagry – powiedziała Sparkesowi.

Wstępne poszukiwania Matthew White'a z Birmingham nie przyniosły zadowalających rezultatów. Potem pojawił się Taylor i pozostałych podejrzanych odsunięto na bok.

– Matt to może być ksywka. Pewnie zresztą podał fałszywe dane, żonaci często tak robią. Dzięki temu kochanka nie może się z nimi znienacka skontaktować, zwłaszcza po zerwaniu – zastanawiała się na głos Salmond.

Tak sprawnie zgrała nowe dochodzenie z innymi obowiązkami, że Sparkes czuł się spokojny i jednocześnie nieco nieudolny. Wpadała do jego gabinetu i w ciągu kilku minut znajdowała odpowiedni dokument, uzyskiwała odpowiedź na pytanie i uzgadniała plan działania, niemal nie wybijając go przy tym z rytmu pracy.

Zaczął wierzyć, że znalazł nowy trop. Nadzieja rozpraszała go, skłaniała do ryzyka i pozbawiała czujności. Odkrycie przez przełożonych równoległego śledztwa zdawało się kwestią czasu.

Któregoś dnia rozmawiał przez telefon i nie zamknął drzwi do szafki. Akurat wtedy do gabinetu bez pukania zajrzała komisarz Downing – chciała zaprosić Sparkesa na kanapkę. Jej oczom ukazał się kolaż przypominający wyklejankę z kanciapy seryjnego mordercy.

– To tylko pozostałości z pierwszego śledztwa, Jude – zaczął

tłumaczyć, bo spojrzała na niego zimnym wzrokiem.

Nawet w jego uszach zabrzmiało to niezbyt przekonująco. Zamiast reprimendy spotkało go jednak współczucie, co w jakimś sensie wydało mu się gorsze.

– Przyda ci się odpoczynek, Bob – stanowczo oznajmił nadinspektor Parker w oficjalnej rozmowie, która odbyła się następnego dnia. – I wsparcie. Zalecamy pomoc psychologa. Mamy świetnych specjalistów.

Sparkes z trudem powstrzymał śmiech. Bez słowa przyjął listę nazwisk i dwutygodniowy urlop. Jeszcze z samochodu zadzwonił do Salmond.

– Nie zbliżaj się do tej sprawy. Ciebie raczej nie posądzą o szajbę, więc nie wywiniesz się tak łatwo. Musimy zostawić to nowemu zespołowi.

– Zrozumiałam – odparła szorstko.

Najwyraźniej był z nią ktoś z przełożonych.

– Zadzwon, jak będziesz mogła rozmawiać – dodał.



## Rozdział 30

*Wtorek, 16 września 2008 roku*

### **Matka**

Dawn się postarała. Kupiła drogi żakiet, włożyła nową spódnicę i nowe rajstopy, do tego buty na obcasie. Naczelnny potraktował ją jak ważnego gościa: czekał przy windzie i przeparadował z nią przez redakcję przed wszystkimi reporterami. Uśmiechali się i kiwali głowami zza komputerów. Ten, którego widywała codziennie na sali sądowej, odłożył telefon i podszedł się przywitać.

Niezwykle elegancka sekretarka, z fryzurą i makijażem jak z żurnala, weszła za nimi do przybytku naczelnego i zaproponowała coś do picia.

– Poproszę herbatę. Bez cukru.

Wraz z pojawieniem się tacy z filiżanką herbaty skończyła się luźna pogawędka. Naczelnny nie miał wiele czasu.

– No dobrze, Dawn, porozmawiajmy o naszej kampanii na rzecz wymierzenia Taylorowi sprawiedliwości. Zaczniemy od dużego wywiadu. Potrzebujemy też nowego podejścia do sprawy.

Dawn Elliott świetnie wiedziała, czego chce redaktor. Niemal dwa lata żyła w świetle reflektorów. Nowa perspektywa oznaczała więcej artykułów na pierwszej stronie, podchwycenie tematu przez pozostałe gazety, wywiady w telewizji śniadaniowej, audycje na żywo w BBC 5, *Woman's Hour*, magazyny... To było tak pewne jak to, że po dniu nieuchronnie następuje noc. Choć była wyczerpana, nie mogła się poddać. W głębi serca niemal zawsze wiedziała, że jej córeczka wciąż żyje. Przez resztę czasu miała taką nadzieję.

Jednak kiedy tak siedziała nieruchomo na błękitnym piankowym pufie – dekorator próbował ocieplić korporacyjną przestrzeń – w klimatyzowanym biurze, zrozumiała: gazeta oczekuje od niej przyznania, że Bellę zamordowano. Dopiero taki chwyt pozwoliłby

naczelnemu dobrać się do Glena Taylora.

– Nie powiem, że Bella nie żyje – oznajmiła. – Bo to nieprawda.

Mark Perry pokiwał głową. Jego twarz stężała w udawanym współczuciu, chociaż naciskał dalej.

– Oczywiście w pełni rozumiem twój punkt widzenia, tylko że trudno oskarżyć kogoś o zabójstwo, jeśli jednocześnie twierdzi się, że ofiara żyje. Wiem, że musi to być dla ciebie bardzo trudne, ale policja uznała Bellę za zmarłą, prawda?

– Nie Bob Sparkes – odparła.

– On też, Dawn. Wszyscy są tego zdania.

W ciszy, która potem nastąpiła, Dawn gorączkowo rozważała alternatywy: zadowolić gazety czy działać na własną rękę. Specjalista do spraw PR bezpłatnie wspierający kampanię ostrzegł ją, że czeka ją „wybór Zofii”:

– Jeśli przyznasz, że Bella nie żyje, nie będzie można tego cofnąć. Istnieje ryzyko, że poszukiwania ustaną.

Nie mogła do tego dopuścić.

– Uważam, że powinno to pozostać kwestią otwartą – stwierdziła Dawn. – Trzymajmy się lepiej oskarżenia o porwanie. Odnajdę Bellę. Nie chcielibyście chyba być wtedy gazetą, która odtrąbiła jej śmierć, prawda? Wszyscy powiedzą, że to przez was ludzie przestali jej szukać.

Perry podszedł do biurka i wziął z niego kartkę formatu A3. Odstawił tacę na puf i położył na stoliku makietę jednej z wielu czołówek przygotowanych, by zareklamować wywiad udzielony „Heraldowi” na wyłączność. Nie umieszczono na niej żadnych artykułów. Wzrok przyciągało jedynie pięć słów: „To ten człowiek porwał Bellę” i zdjęcie Glena Taylora.

Perry wolałby nagłówek: „Morderca!”, ale na to przyjdzie czas, kiedy złapią sukinsyna.

– Co o tym sądzisz?

Dawn wzięła makietę do ręki i oceniła krytycznym okiem.

Na początku z trudem przychodziło jej patrzeć na twarz Taylora w każdej gazecie, zwłaszcza tuż przy buzi jej córeczki, ale zmusiła się. Szukała winy w jego oczach, dowodów nienaturalnych skłonności czy słabości charakteru w ułożeniu warg. Niczego się nie dopatrzyła.

Wyglądał jak każdy mężczyzna, który mógłby siedzieć obok niej w autobusie czy stać za nią w kolejce do kasy. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek się z nim zetknęła. Czy to dlatego wybrał jej dziecko?

To pytanie wypełniało każdą chwilę jej dni. Nocami śniła o Belli – kątem oka chwytała jej obraz tuż poza zasięgiem rąk. Nie mogła się zbliżyć do córeczki nawet na milimetr, choć biegła z całych sił. Po przebudzeniu znów docierało do niej jak za pierwszym razem, że Belli nie ma.

Na początku była tak przytłoczona poczuciem winy i bezradności, że nie potrafiła po prostu żyć. W końcu wychynęła z otchłani środków uspokajających. Matka przekonała ją wówczas, żeby próbowała wypełnić sobie dni praktycznymi zadaniami.

– Musisz codziennie wstawać, ubierać się i coś robić. Nawet jakąś drobnostkę.

Tej samej rady udzieliła po narodzinach Belli, kiedy Dawn zmagala się z niedoborem snu i przenikliwymi wrzaskami cierpiącego na kolkę noworodka.

Wstała więc i się ubrała. Przeszła ścieżką do furtki. Stanęła w ogródku, jak wtedy Bella, i rozejrzała się po otaczającym świecie.

Kampania „Znajdźmy Bellę” zaczęła się od profilu Dawn na Facebooku. Praktycznie codziennie pisała coś o Belli albo o swoim samopoczuciu. Reakcja ludzi przyszła falą – najpierw ją zalała, potem wyniosła jak boję. Uzbierała tysiące, setki tysięcy znajomych i polubień, kontaktowali się z nią rodzice z całego świata. Dzięki temu miała się czym zająć. Ktoś zaproponował jej pomoc finansową na poszukiwania dziewczynki i przyjęła tę propozycję.

Bob Sparkes zgłosił pewne zastrzeżenia do niektórych działań kampanii „Znajdźmy Bellę”. Mimo to nie sprzeciwiał się im, o ile nie zakłócały pracy policji.

– Nigdy nie wiadomo – stwierdził. – Może dzięki kampanii kogoś ruszy sumienie i się zgłosi.

„Kate się wścieknie, kiedy się dowie, że wybrałam »Heralda«, czyli najgorszego wroga” – pomyślała, gdy się do niej zwrócili. „Ale jej ludzie zaoferowali mniej. Na pewno zrozumie”.

Prawdę mówiąc, wolałaby, żeby to Kate i Terry się nią zajęli, ale

„Daily Post” nie chciał skorzystać z okazji.

Nie było jej łatwo, bo przez te miesiące bardzo zbliżyła się do Kate. Mniej więcej raz w tygodniu rozmawiały przez telefon, spotykały się też na obiad i plotki. Czasami gazeta wysyłała samochód, żeby Dawn mogła spędzić dzień w Londynie. W zamian za to Dawn o wszystkim mówiła najpierw Kate.

Ostatnimi czasy „Post” jednak coraz mniej pisał o sprawie.

– Znudziłam się waszym czytelnikom? – zapytała Kate na ostatnim spotkaniu, tuż po tym jak nie wydrukowano wywiadu.

– Skąd – odparła dziennikarka. – Po prostu wiele się teraz dzieje. – Unikała przy tym jej wzroku.

Dawn zrozumiała, że ludzie woleli czytać o zagubionej dziewczynie siedzącej bezradnie na kanapie.

Nie odmówiła więc „Heraldowi”, kiedy zadzwonili z propozycją kampanii mającej wymierzyć sprawiedliwość Taylorowi, a także hojnej wpłaty na fundusz „Znajdźmy Bellę”.

Zatelefonowała do Kate, żeby powiadomić ją o swojej decyzji – przynajmniej tyle była jej winna. Dziennikarka wpadła w panikę.

– Jezu, mówisz poważnie? Podpisałaś coś?

– Nie, mam się z nimi spotkać po południu.

– Okej. Daj mi dwadzieścia minut.

– Ale...

– Proszę, Dawn.

Oddzwoniła szybko i Dawn od razu domyśliła się, że nic nie wskórała.

– Przykro mi, Dawn. Nie zgadzają się. Uważają, że oskarżenie Taylora jest zbyt ryzykowne. Mają rację. Ta decyzja może się jeszcze na tobie zemścić. Nie rób tego.

Dawn westchnęła.

– Mnie też jest przykro, Kate. Wiesz, że to nic osobistego, jesteś wspaniała, ale nie mogę teraz się poddać tylko dlatego, że jedna gazeta straciła zainteresowanie sprawą. Muszę lecieć, nie chcę się spóźnić. Do usłyszenia!

I tak trafiła do gabinetu Marka Perry’ego. Uważnie przeczytała umowę i sprawdziła wszystkie paragrafy w poszukiwaniu ewentualnych

kruczków. Prawnik przejrzał dokument, ale radził, by upewniła się, czy nie „próbują przemycić nowych zapisów”. Perry przyglądał się jej, kwitując każde jej słowo zachęcającym kiwaniem głowy. Wreszcie podpisała umowę. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– No dobrze, zaczynamy – zarządził, po czym wstał i niemal wypchnął ją z gabinetu do czekającego dziennikarza, który miał przeprowadzić Wywiad przez duże W.

Gazeta przygotowała całe szpalty artykułów na wypadek ogłoszenia spodziewanego wyroku skazującego. Przed procesem przeprowadzono rozmowy z dawnymi znajomymi Glena Taylora z banku i firmy dostawczej, zebrano niewybredne opowieści użytkowniczek chatów i informacje o pornografii dziecięcej, uzyskane nieoficjalnie od jednego z detektywów. Podkupiono również sąsiadkę i uzyskano wyłączność na zdjęcia Jean Taylor z jej dziećmi, w tym – z małą blondyneczką.

Sąsiadka opowiedziała o tym, jak Glen obserwował dzieci przez okno i jak zabiła gwoździami furtkę między ogródkami.

Teraz to wszystko się przyda.

– Nie zgadza się na nagłówek „morderca”, ale to i tak bardzo owocny pierwszy dzień – powiedział Perry zastępcy. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła i podwinął rękawy. – Bierzmy się za wstępniak. I zadzwońmy po prawników. Nie śpieszy mi się do więzienia.

„Herald” poświęcił tematowi dziewięć pierwszych stron. Zappełnił je między innymi apelami o ukaranie Glena Taylora i wznowienie procesu przez ministra spraw wewnętrznych.

Czytelnicy gremialnie zareagowali na tak silny, łopatologiczny wręcz przekaz. Z komentarzy na stronie internetowej wylewały się potoki jadu, wulgaryzmów i apeli o przywrócenie kary śmierci.

– Te same czubki co zwykle – podsumował na porannym zebraniu redaktor działu wiadomości – ale jest ich wyjątkowo dużo.

– Trochę szacunku dla naszych czytelników! – zaproponował naczelny, a wszyscy wybuchnęli śmiechem. – No dobrze, jaki mamy plan na dziś?

## Rozdział 31

*Środa, 17 września 2008 roku*

### **Reporterka**

Kate Waters jadła śniadanie przy swoim biurku w redakcji i aż gotowała się ze złości. – To mogliśmy być my – powtarzała każdemu, kto chciał słuchać, kiedy przewracała strony „Heralda”. Terry Deacon usłyszał ją z drugiego końca redakcji, ale dalej niewzruszenie przepisywał listę wiadomości. Kate porzuciła grzanekę z ciemnego pieczywa z miodem i stanęła nad nim. – To mogliśmy być my – powtórzyła.

– Owszem, ale zażądała zbyt wysokiej kwoty. Poza tym udzieliła nam już trzech długich wywiadów. – Odjechał krzesłem do tyłu i spojrzał na nią z wyrzutem. – Co to zresztą za newsy? Zdjęcie z dzieckiem sąsiadki jeszcze może być, ale przecież te dziunie z Internetu i dziecięce porno były wszędzie.

– Nie o to chodzi, Terry. „Herald” został właśnie oficjalną gazetą Belli Elliott. Jeśli Taylor ponownie stanie przed sądem i zostanie skazany, będą mogli powiedzieć, że to dzięki nim porywacz Belli został pociągnięty do odpowiedzialności. A my gdzie wtedy będziemy? Na schodach z kutasami w rękę.

– No to znajdź jakiegoś lepszego newsa. – Naczelny wyrósł za jej plecami jak spod ziemi. – Szkoda czasu na odgrzewanie starego kotleta. Mam teraz spotkanie z marketingiem. Pogadamy później.

– Dobrze, Simon – rzuciła w stronę jego oddalających się pleców.

– O kurde, wezwali cię na dywanik – roześmiał się Terry, kiedy szef znalazł się poza zasięgiem głosu.

Kate wróciła do biurka i zimnej grzanki, po czym zaczęła gonić za nieuchwytnym lepszym newsem.

W innej sytuacji zadzwoniłaby po prostu do Dawn albo do Boba, ale szybko traciła kolejne opcje. Dawn zmieniła obóz, Bob

w tajemniczych okolicznościach zniknął z radaru – od kilku tygodni nie miała z nim kontaktu. Redaktor z sekcji kryminalnej wspominał o jakichś problemach, mieszaniu się w sprawę Belli. Od tej pory telefon Sparkesa zdawał się permanentnie wyłączony.

Spróbowała jeszcze raz i ku swojej radości usłyszała w słuchawce sygnał.

– Cześć, Bob – powiedziała, kiedy w końcu odebrał. – Co słyhać? Wróciłeś do pracy? Pewnie widziałeś dzisiejszego „Heralda”?

– Cześć. Tak, widziałem. Odważne posunięcie, jeżeli weźmie się pod uwagę wyrok. Miło cię słyszeć. U mnie w porządku. Miałem krótki urlop. Wróciłem i jestem akurat w Londynie, współpracujemy z tutejszą policją. Domykamy jedną sprawę. W sumie niedaleko ciebie.

– Masz jakieś plany obiadowe?

Siedział przy stoliku w eleganckiej francuskiej restauracji, a jego ciemny garnitur i ponury jak chmura gradowa nastrój wyraźnie odcinał się od śnieżnobiałego obrusa.

– Dobrze wyglądasz – skłamała Kate. – Przepraszam za spóźnienie. Korki.

Wstał i uściskał jej dłoń.

– Sam właśnie wszedłem.

Gadali o wszystkim i o niczym, przerywając, kiedy kelner przynosił menu, proponował wodę i dania dnia, snuł się nad nimi w oczekiwaniu na zamówienie i nalewał wino. W końcu na stole wylądowały talerze *magret de canard*. Kate zdobyła się na szczerłość.

– Chcę pomóc, Bob – oznajmiła i wzięła do ręki widelec. – Na pewno został jeszcze do zbadania jakiś aspekt tej sprawy.

Nie odpowiedział, zajęty krojeniem różowego mięsa. Czekwała cierpliwie.

– Słuchaj, popełniliśmy błąd i nie możemy go już naprawić. Zobaczymy, co przyjdzie z tej akcji „Heralda”. Myślisz, że ich pozwie?

– Pozew o zniesławienie to ryzykowna sprawa – odparła. – Wiem coś o tym. Jeśli się na to zdecyduje, będzie musiał zeznawać. Myślisz, że tego chce?

– On nie jest głupi, Kate. Szczwany lis. – Spuścił wzrok i kleił kulki z chleba. – Sam nie wiem, co myśleć.

– Na litość boską, Bob, jesteś świetnym gliną. Dlaczego się poddajesz?

Podniósł na nią wzrok.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska. Po prostu nie wyglądasz na szczęśliwego – powiedziała.

Rozmowa zamarła. Sączyli wino. Kate wyrzucała sobie natarczywość. „Daj facetowi spokój” – pomyślała.

Wrodzony upór nie pozwalał jej jednak odpuścić.

– Co cię sprowadza do Londynu?

– Niedopięte sprawy, tak jak mówiłem. Musieliśmy dograć szczegóły z kilku wspólnych dochodzeń. Wiesz, kradzieże samochodów, takie rzeczy. Zostały też resztki ze sprawy Belli. Z samego początku, zaraz po zatrzymaniu Taylora.

– Coś ciekawego? – zapytała.

– Nie bardzo. Tutejsze chłopaki chciały się upewnić, że ten drugi kierowca z Qwik Delivery był w domu, kiedy jechaliśmy z Southampton.

– Jaki drugi kierowca?

– Wiesz przecież, że tamtego dnia w Hampshire było dwóch kierowców.

Nie wiedziała albo wyleciało jej to z głowy.

– Ten drugi facet nazywał się Mike Doonan. To jego najpierw sprawdziliśmy. Może nazwisko rzeczywiście wtedy nie wypłynęło... Tak czy inaczej, jest niemal kaleką, kręgosłup mu się sypie. Ledwie chodzi. Nie znaleźliśmy nic obciążającego.

– Przesłuchaliście go?

– Tak. To on nam powiedział, że Taylor też miał kurs w tamtej okolicy. Nie wiem, czy bez jego pomocy wpadlibyśmy na ten trop. Taylor robił przysługę koledze, więc w papierach nic o tym nie ma. Zespół badający nasze dochodzenie też go odwiedził. Podobno nie dowiedzieli się niczego nowego.

Kate przeprosiła i poszła do łazienki, gdzie szybko zanotowała nazwisko, po czym zadzwoniła do znajomego dziennikarza z prośbą o znalezienie adresu Doonana. Na później.

Kiedy wróciła do stolika, zobaczyła, że Bob chowa do portfela



kartę kredytową.

– To ja zapraszam – zaprotestowała.

Machnął tylko ręką z uśmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Miło było cię zobaczyć, Kate. Dzięki za doping.

„Należało mi się” – pomyślała, wychodząc przed nim z restauracji. Na chodniku ponownie uścisnęli sobie dłonie i wrócili każde do swojej pracy.

Telefon Kate zaczął wibrować w chwili, kiedy złapała taksówkę. Zwolniła ją i odebrała.

– Według rejestru wyborców jest jakiś Michael Doonan w Peckham. Wyślę ci esemesem adres i nazwiska sąsiadów – powiedział redaktor z działu kryminalnego.

– Świetna robota, dzięki – odparła i zamachała na następną taksówkę. Niemal w tej samej chwili znowu zadzwonił telefon.

– Kate, gdzie ty się podziewasz, do jasnej cholery? Mamy ten wywiad z byłą żoną piłkarza. To pod Leeds, więc wsiadaj w następny pociąg, wyślę ci informacje. Zadzwoń z dworca.

## Rozdział 32

*Środa, 17 września 2008 roku*

### **Wdowa**

Ktoś wrzucił nam przez szparę na listy dzisiejszego „Heralda” pełnego oskarżeń pod adresem Glena. Od razu wyrzucił gazetę do kosza, ja ją wyjęłam i schowałam pod zlewem, żeby przeczytać później. Spodziewaliśmy się tego – dziennikarze z „Heralda” przez cały dzień walili wczoraj w drzwi, wykrzykiwali pytania i wrzucali liściki. Mówili, że prowadzą kampanię na rzecz wznowienia procesu i domagają się sprawiedliwości dla Belli.

– A co ze sprawiedliwością dla mnie? – zapytał Glen.

To silny cios, ale Tom już uspokoił nas przez telefon, że gazeta słono za to zapłaci, zwłaszcza że – co najważniejsze – nie mają żadnych dowodów. Stwierdził, że powinniśmy „zewrzeć szyki” czy coś takiego.

– „Herald” wytacza ciężkie działa. Cóż, to tylko pogoń za sensacją i czcza gadanina – powiedział Glenowi, który powtórzył mi wszystko słowo w słowo.

– Mówi o tym jak o wojnie – kwituję krótko.

Tom spodziewa się, że samo oczekiwanie będzie gorsze niż rzeczywistość. Mam nadzieję, że ma rację.

– Musimy na jakiś czas zejść z widoku, Jeanie – tłumaczy mi Glen.  
– Tom wytoczy sprawę gazecie, ale uważa, że powinniśmy na jakiś czas wyjechać, usunąć się w cień, dopóki się to wszystko nie uspokoi. Zaraz poszukam ofert wyjazdów w Internecie i coś nam zarezerwuję.

Nie zapytał, dokąd chcę jechać, chociaż w sumie wszystko mi jedno. Działanie moich małych pomocników słabnie i czuję się wyczerpana, skłonna w każdej chwili się rozplakać.

Wybór pada na Francję. W poprzednim życiu byłabym zachwycona, teraz sama nie wiem, co czuję, kiedy mówi, że znalazł domek na wsi oddalony o wiele kilometrów od cywilizacji.

– Mamy samolot jutro o siódmej rano, więc musimy wyjechać z domu o czwartej. Spakujmy się, pojedziemy samochodem. Jeszcze tego brakuje, żeby taksówkarz dał cynk prasie.

Mój Glen jest taki mądry. Bogu dzięki, że się mną opiekuje.

Na lotnisku siedzimy w okularach słonecznych i ze spuszczonej głowami. Czekamy, aż w kolejce zostaną dwie osoby, i dopiero wtedy podchodzimy do odprawy. Kobieta za ladą nawet na nas nie patrzy i ładuje walizkę na taśmę, zanim zapyta, czy sami spakowaliśmy bagaż. Wcale nie czeka na naszą odpowiedź.

Zapomniałam, w ilu kolejkach trzeba wystawać na lotnisku. W końcu pod bramkę. Jesteśmy tak zestresowani, że najchętniej wróciłabym do stada dziennikarzy koczujących pod domem.

– Trzymaj się, kochanie – prosi Glen, prowadząc mnie za rękę do samolotu. – Już niedaleko.

W Bergerac idzie wynająć samochód, a ja czekam na bagaż, zahipnotyzowana przejeżdżającymi torbami. Nie zauważam naszej walizki – tak dawno jej nie używaliśmy, że zapomniałam, jaki ma kolor. Muszę czekać, aż wszyscy zabiorą swoje bagaże. W końcu wychodzę na zalany słońcem parking i widzę Glena w malutkim czerwonym autku.

– Uznałem, że nie ma sensu brać niczego większego. Nie będziemy raczej dużo jeździć.

To dziwne, ale zupełnie inaczej spędza się czas tylko we dwoje we Francji niż w domu. Wyrwani z codziennej rutyny nie wiemy, o czym rozmawiać, więc milczymy. Cisza wcale nie stanowi miłego przeciwieństwa nieustannego hałasu i walenia do drzwi. Nie przynosi ulgi. Paradoksalnie jest wręcz gorzej. Wypuszczam się na długie spacerunki po okolicznych łąkach i lasach, Glen czyta kryminały na leżaku. Widziałam, jakie książki pakuje, i chciałam wtedy na niego nawrzeszczyć. Jakbyśmy nie dość mieli policji i śledztw.

Zostawiam go samego ze zbrodniami doskonałymi i siadam po drugiej stronie tarasu z kolorowymi gazetami. Łapię się jednak na tym, że ciągle zerkam na Glena, obserwuję go i o nim myślę. Gdy on przechwyca mój wzrok, udaję, że patrzę na coś za jego plecami. W jakimś sensie to prawda.

Sama nie wiem, czego tak wypatruję. Jakiejś oznaki – czego?

Niewinności? Piętna, jakie odcisnęły na nim trudne doświadczenia? Może jego prawdziwego ja? Trudno powiedzieć.

Jeździmy tylko do supermarketu po jedzenie i papier toaletowy. Nie chce mi się gotować, skompletowanie składników na spaghetti bolognese mnie przerasta, więc po południu jemy kanapki z szynką i serem, a wieczorem zimnego kurczaka z rożna z surówką z kapusty albo znowu szynkę. Zresztą i tak nie mamy apetytu, grzebiemy tylko w talerzach.

Czwartego dnia pobytu wydaje mi się, że ktoś stoi na ścieżce niedaleko domu. To pierwsza osoba, jaką tu widzę. Przejeżdżający samochód to rzadkość.

Nie poświęcam temu wydarzeniu wiele uwagi, ale następnego ranka na podjeździe pojawia się jakiś mężczyzna.

– Glen! – wołam. – Jakiś facet tu idzie.

– Do środka, szybko – syczy.

Wbiegam do domu, a on zamyka drzwi i zaciąga zasłony. Czekamy na pukanie.

„Herald” nas znalazł. Znalazł i sfotografował. „Porywacz wraz z żoną opalają się przed luksusową kryjówką w Dordogne”, tymczasem Dawn Elliott „nadal rozpaczliwie szuka córeczki”. Nazajutrz Tom przeczytał nam przez telefon nagłówki z gazet. – Uciekliśmy tu przed prześladowaniem – tłumaczę. – Sąd przecież uniewinnił Glena.

– Wiem, Jean, ale prasa dokonała samosądu. Niedługo zajmą się czymś innym. Są jak dzieci, szybko się nudzą.

„Herald” musiał namierzyć nas przez kartę kredytową Glena.

– Wolno im korzystać z takich danych? – pytam.

– Nie, ale to ich nie powstrzymuje.

Odkładam słuchawkę i zaczynam się pakować. Znowu obsadzono nas w rolach czarnych charakterów.

Czekają na nas przed domem. Glen dzwoni do Toma po radę, jak zabronić im wypisywania tych rzeczy na jego temat.

– To zniesławienie, Jeanie. Tom twierdzi, że musimy ich pozwać albo przynajmniej zagrozić pozwem. Inaczej nigdy nie przestaną myszkować w naszym życiu i nie znikniemy z pierwszych stron gazet.

Chcę, żeby to się wreszcie skończyło, więc przyznaję mu rację.

Glen wie najlepiej.

Praca nad pismem zajmuje prawnikom trochę czasu. Muszą uzasadnić, dlaczego artykuły kłamią, co nie jest takie proste. Znowu codziennie pokonujemy trasę do Holborn, tym samym pociągiem, którym jeździłam na proces.

– Dzień świstaka – żartuje Glen. Próbuje podnieść mnie na duchu i za to właśnie go Kocham.

Obrońca w niczym nie przypomina Charlesa Sandersona, to elegancki typ. Założę się, że jego peruki nie zjadły mole. Wygląda na bogatego, takiego ze sportowym samochodem, domem na wsi i kancelarią całą w szkłe i chromowanym metalu. Na zniesławieniach najwyraźniej można nieźle się dorobić. Ciekawe, czy Sanderson o tym wie.

Jest bardzo rzeczowy i wciąż powtarza pytania, gorzej niż prokurator. Ściskam dłoń Glena na znak, że stoję po jego stronie, a on odwzajemnia uścisk.

Elegancik czepia się każdego szczegółu.

– Muszę sprawdzić, czy mamy szansę, bo czeka nas praktycznie powtórka z procesu w sprawie Belli. Tamtą sprawę oddalono z powodu niewłaściwych działań policji. „Herald” utrzymuje, że uprowadził pan dziewczynkę. My powiemy, że to kłamstwo i pomówienie. „Herald” jednak użyje wszystkich dostępnych środków, nie tylko ustaleń z procesu, lecz także dowodów, których nie dopuszczono do przedstawienia w sądzie. Rozumie pan?

Wyglądaliśmy chyba na zagubionych, bo Tom zaczął tłumaczyć nam wszystko prostszym językiem, tymczasem elegancik podziwiał widok za oknem.

– Mają cały arsenał brudów, Glen, i nie zawahają się ich użyć, żeby przeciągnąć przysięgłych na swoją stronę. Żeby wygrać, musimy dowieść twojej niewinności.

– Jestem niewinny – odparł z wściekłością.

– My to wiemy, ale teraz musimy to pokazać i upewnić się, że nie czekają nas żadne niespodzianki. Ostrzegam cię tylko, Glen. Musisz być w pełni świadomy możliwych konsekwencji, bo to bardzo droga impreza. Proces może pochłonąć tysiące funtów.

Glen patrzy na mnie. Staram się dzielnie trzymać, choć najchętniej czym prędzej bym stąd uciekła. Przynajmniej mamy te brudne pieniądze z odszkodowania.

– Żadnych niespodzianek, panie Taylor? – pyta elegancik.

– Żadnych – oświadcza Glen. Wbijam wzrok w kolana.

Następnego dnia pismo zostaje wysłane. „Herald” obwieszcza to wszem wobec, nie tylko na swoich łamach, ale też w radiu i telewizji.

„Taylor próbuje zakneblować »Heralda«” – głosi nagłówek.

Nienawidzę słowa „kneblować”.

## Rozdział 33

*Piątek, 26 września 2008 roku*

### **Matka**

Fotografie Taylorów we Francji wprawiły Dawn w furję. „Jestem wściekła” – napisała na Facebooku i dołączyła do statusu link do zdjęcia Glena Taylora, wyciągniętego na leżaku w samych szortach i z thrillerem *Księga umarłych* w ręku.

W obliczu takiej bezczelności chciałyby mocno nim potrząsnąć i wydusić z niego prawdę. Przez cały ranek nie mogła pozbyć się tej wizji. Oczyma wyobraźni raz za razem widziała Taylora, który z płaczem błaga ją na kolanach o wybaczenie. Przekonana, że to się uda, zadzwoniła do Marka Perry’ego i zażądała konfrontacji z porywaczem.

– Odwiedziłabym go w domu i spojrzała mu w oczy. Może by się przyznał – przekonywała, w euforii wywołanej mieszanką strachu i podniecenia na myśl o spotkaniu z kidnapierem.

Perry się zawahał. Nie miał żadnych skrupułów, żeby oskarżyć Glena (już teraz układał w myślach nagłówek), ale pragnął wyłączności na relację z tego dramatycznego spotkania, a próg domu Taylorów był miejscem zdecydowanie zbyt publicznym.

– Może ci nie otworzyć, Dawn – powiedział – i tylko pocałujemy klamkę. Musimy zrobić to gdzieś, gdzie nie będzie mógł się schować. Dorwać go na ulicy, kiedy najmniej się tego spodziewa. Ustalimy datę następnego spotkania z adwokatem i dopadniemy go po drodze. Tylko my, Dawn.

Zrozumiała i nikomu nie zdradziła planu. Wiedziała, że matka będzie chciała odwieść ją od tego pomysłu („Ten śmieć do niczego się nie przyzna, Dawn. Tylko się zdenerwujesz i znowu załamiesz. Niech sąd się tym zajmie”), ale Dawn nie chciała słuchać głosu rozsądku, za nic sobie miała rady. Chciała działać, zrobić coś dla Belli.

Nie musiała długo czekać.

– Nie uwierzysz, Dawn. Ma spotkanie w przyszły czwartek, wcześniej rano. W samą rocznicę zaginięcia Belli – powiedział Perry przez telefon. – Idealnie się składa.

Przez chwilę Dawn nie mogła wydusić słowa. Nie widziała w tym nic idealnego. Zbliżająca się druga rocznica majaczyła nieprzyjemnie na horyzoncie, spędzała jej sen z powiek i wywoływała koszmary. Zaczęła odtwarzać dni poprzedzające drugiego października: wycieczki do sklepu, spaceru do przedszkola, oglądanie ulubionych filmów Belli na DVD. Dwa lata bez córeczki zdawały się wiecznością.

Głos Perry’ego ciągle dobiegał ze słuchawki, więc włączyła się do rozmowy, próbując znów poczuć wcześniejszy gniew.

– Taylor umawia wizyty w takich porach, żeby z nikim się nie spotkać, więc będziemy go mieli dla siebie. Wpadnij do redakcji, ustalimy plan.

– Jaki plan?

– Jak dorwiemy Glena Taylora.

Podczas narady w gabinecie naczelnego wzięli pod uwagę każdą ewentualność. Przyjedzie taksówką? W porządku. Komunikacją miejską? Nie ma problemu. Tylne wejścia? Sprawdzone. Szczegółowy harmonogram? Ustalony. Kryjówka dla Dawn? Wybrana.

Dawn bez słowa przyjmowała polecenia. Miała siedzieć w taksówce kilka domów od kancelarii adwokackiej i czekać na sygnał reportera. Kiedy dwukrotnie zadzwoni komórka – wysiadka.

– Pewnie nie starczy ci czasu na więcej niż dwa pytania – uprzedził Tim, szef reporterów – więc postaraj się, żeby były krótkie i zwięzłe.

– Chcę tylko zapytać go, gdzie jest moja córka. To wszystko.

Naczelny i pozostali obecni dziennikarze wymienili ukradkowe spojrzenia. Zapowiadała się fantastyczna akcja.

Tim poinstruował Dawn, żeby nie stroiła się przesadnie.

– Nie chcesz chyba wyjść na zdjęciach jak reporterka z telewizji – powiedział. – Powinnaś wyglądać jak pogrążona w żałobie matka. – Zreflektował się i dodał szybko: – Jak ty.

Kierowca redakcyjny odebrał ją z domu i zawiózł do kawiarni w High Holborn. Za stołem siedzieli już Tim, dwoje innych reporterów, dwóch fotografów i kamerzysta, na środku blatu piętrzyły się brudne



talerze.

– Gotowa? – zapytał Tim, starając się nie okazywać zbyt wiele entuzjazmu.

– Tak, jestem gotowa.

Kiedy potem siedziała z nim w samochodzie, zaczęła tracić rezon. On jednak namawiał ją do opowiadania o kampanii, stale podsycając jej gniew. W końcu jego telefon zadzwonił i ucichł po dwóch sygnałach. – Ruszamy, Dawn – powiedział, wziął egzemplarz „Heralda”, który miała cisnąć Taylorowi w twarz, i uchylił drzwi. Widziała, jak zbliżają się ulicą: Glen Taylor i Jean, żona ze sztucznym uśmiechem wiecznie przyklejonym do twarzy. Dawn na drżących nogach wysiadła z taksówki.

Na ulicy panował spokój. Choć niebawem pracownicy mieli wypełnić okoliczne biura i kancelarie, na razie tłoczyli się w metrze. Dawn stanęła na środku chodnika i ze ściśniętym żołądkiem patrzyła, jak się do niej zbliżają. Zauważyli ją dopiero z odległości jakichś stu metrów. Jean Taylor grzebała w teczce męża, próbując z powrotem wepchnąć do niej jakieś dokumenty. Podniosła głowę i stanęła jak wryta.

– Glen – powiedziała głośno. – To ona, matka Belli.

Glen Taylor przyjrzał się kobiecie stojącej na ulicy.

– Jezu, Jean, to zasadzka. Nie odzywaj się, nieważne, co powie – wysyczał, złapał ją za ramię i skierował w stronę drzwi.

Było jednak za późno na ucieczkę.

– Gdzie moja córka? Gdzie jest Bella? – wykrzyczała mu Dawn prosto w twarz. Kropelka śliny wylądowała tuż przy jego ustach.

Taylor na ułamek sekundy spojrział Dawn w twarz, po czym zabarykadował się za martwymi, pozbawionymi wyrazu oczami.

– Gdzie ona jest, Glen? – powtórzyła, próbując złapać go za ramię i potrząsnąć nim.

Fotografowie dokumentowali każdą chwilę spotkania, krążąc wokół nich w poszukiwaniu najlepszych ujęć, reporterzy atakowali pytaniami. Oddzielili Jean Taylor od męża i zostawili samą jak zbłąkaną owcę.

Dawn nagle przerzuciła się na nią.

– Co on zrobił z moim dzieckiem? Co pani mąż z nią zrobił?

– Nic nie zrobił! Jest niewinny. Tak orzekł sąd – odkrzyknęła Jean. W szoku wywołanym gwałtownością ataku zapomniała, że miała nie reagować.

– Gdzie moje dziecko? – wrzasnęła znów Dawn. Nie potrafiła zadać żadnego innego pytania.

– Nie wiemy! – odparła Jean. – Ludzie powinni się raczej zastanowić, dlaczego zostawiłaś córeczkę bez opieki i pozwoliłaś ją porwać.

– Dosyć, Jean – przerwał jej Glen.

Przebisnął się między fotografami, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Tymczasem Tim pocieszał Dawn.

– Ona uważa, że to moja wina – wydyszała, blada jak ściana.

– To wredna zołza, Dawn. Tylko czubki mogą cię winić. Chodź, wracamy do redakcji na wywiad.

„Świetnie to wypadnie” – pomyślał, kiedy przedzierali się przez korki do zachodniego Londynu.

Dawn stanęła pod kolumną i przyglądała się, jak fotografowie rozwieszają zdjęcia na całej długości tylnej ściany redakcji, tak żeby wszyscy mogli je podziwiać. – Zajebiste ujęcia Taylora. Aż mam ciarki od tego wzroku – stwierdził fotoedytor, popisując się swoimi dokonaniem.

– To pójdzie na czołówkę – zdecydował Perry. – Na trójkę damy zapłakaną Dawn, na którą Jean Taylor wrzeszczy jak przekupa. Jednak wcale nie taka z niej szara myszka. Patrzcie na ten grymas wściekłości. No dobra, co z tekstami?

„Porywacz i matka” – krzyczała nazajutrz pierwsza strona w pociągach, autobusach i na stołach jedzących śniadanie Brytyjczyków.

Tim, główny reporter, zadzwonił z gratulacjami.

– Świetna robota, Dawn. Wiele bym dał, żeby być teraz muchą na ścianie w domu Taylorów. Wszyscy jesteście bardzo zadowoleni.

Nie wspomniał, że sprzedaż „Heralda” znacznie wzrosła, a wraz z nią premia roczna naczelnego.

## Rozdział 34

*Czwartek, 2 października 2008 roku*

### **Wdowa**

Ciągle jeszcze się trzęsłam, kiedy weszliśmy do kancelarii. Sama nie wiem, ze złości czy z nerwów – pewnie po części z obu powodów. Nawet pan Elegancik się przejął i objął mnie ramieniem.

– Cholerne pismaki – powiedział do Toma Payne’a. – Powinniśmy ich zgłosić do rady etyki mediów.

Wciąż odtwarzałam w głowie całą scenę, od chwili gdy ją rozpoznałam. Powinnam od razu się zorientować, nieraz widziałam ją przecież w telewizji i w sądzie. Jednak to co innego niespodziewanie wpaść na kogoś na ulicy. Nie zwracamy uwagi na twarze przechodniów, tylko na sylwetki. Oczywiście, kiedy tylko jej się przyjrzałam, poznałam ją w mgnieniu oka. Dawn Elliott. Matka. Z nią ci idioci z „Heralda”, którzy ją podjudzali i oskarżali mojego Glena, mimo że został uniewinniony. To nie w porządku. To niesprawiedliwe.

Chyba szok sprawił, że tak na nią nawrzeszczałam.

Glen wściekł się, że powiedziałam jej, co myślę.

– To woda na ich młyn, Jeanie. Teraz ona będzie się bronić i udzielać kolejnych wywiadów. Prosiłem, żebyś siedziała cicho.

Przeprosiłam, choć wcale nie było mi przykro. Wierzyłam w każde słowo. Dziś wieczorem zadzwonię do radia i to powtórzę. Wspaniale się czułam, mogąc wypowiedzieć to na głos, publicznie. Niech ludzie dowiedzą się, że to jej wina. Odpowiadała za naszą małą dziewczynkę i dała ją sobie porwać.

Dali mi coś ciepłego do picia i posadzili w pokoju asystentów, a sami zaczęli spotkanie. I tak nie miałam nastroju na słuchanie prawniczego żargonu, więc siedziałam cicho w kącie, przeżywając awanturę na ulicy i jednym uchem słuchając gadania sekretarek. Znów stałam się niewidzialna.

Spotkanie trwało całe wieki, potem musieliśmy jeszcze ustalić, jak wydostać się z budynku bez zwracania uwagi prasy. W końcu wyszliśmy tylnymi drzwiami na uliczkę, gdzie trzymano kubły na śmieci i rowery.

– Pewnie już sobie poszli, ale lepiej nie ryzykować – stwierdził Tom. – Na pewno zdążyli wrzucić artykuł na stronę. Jutro pojawi się w gazecie. Dobrze, to tylko podbije stawkę odszkodowania. Myślcie o pieniądzach.

Glen uściskał mu dłoń na pożegnanie, ja niedbale pomachałam. Nie zależy mi na pieniądzach. Chcę, żeby to się skończyło.

Wróciliśmy do domu. Glen był dla mnie wyjątkowo miły: pomógł mi zdjąć płaszcz i kazał siedzieć wygodnie z wyciągniętymi nogami, a sam nastawił wodę na herbatę.

Dziś rocznica. Zaznaczyłam kropkę w kalendarzu. Mały punkcik, który można wziąć za przypadkowy gryzmoł, tak by nikt się nie zorientował.

Dwa lata od uprowadzenia. Nigdy nie znajdą Belli – porywacze na pewno zdołali przekonać wszystkich, że to ich córka, a ona uważa ich za rodziców. Malutka pewnie nie pamięta prawdziwej matki. Mam nadzieję, że jest szczęśliwa i kochana tak mocno, jak ja bym ją kochała.

Przez chwilę niemal widzę, jak siada na naszych schodach i ze śmiechem zsuwa się na pupie po kolejnych stopniach. Woła, żebym przyszła na nią popatrzeć. Mogłaby być tu ze mną, gdyby tylko Glen mi ją przywiózł.

Od powrotu do domu Glen prawie się nie odzywa. Na kolanach trzyma laptop. Szybko go zamyka, kiedy siadam obok.

– Co tam robisz, kochanie? – pytam.

– Przeglądam wiadomości sportowe – mówi, po czym wychodzi, żeby zatankować samochód.

Otwieram komputer. Nie znam hasła dostępu, więc siedzę tylko i patrzę na ekran, na swoje zdjęcie ustawione jako tapetę. Oto i ja, zablokowana, zamknięta jak ten komputer.

Po powrocie Glena próbuję porozmawiać z nim o przyszłości.

– Może się przeprowadzimy? Wreszcie zaczniemy od nowa? Tyle o tym mówimy. W przeciwnym razie nigdy się nie uwolnimy od tej historii.

– Nigdzie się nie ruszamy – warczy. – Nie pozwolę się przegonić z własnego domu. Damy sobie radę. Razem. Prasa w końcu o nas zapomni i znajdzie sobie innego chłopca do bicia.

„Wcale nie zapomną” – chcę powiedzieć. Przy każdej rocznicy zaginięcia Belli, zawsze gdy zniknie dziecko, w każdym sezonie ogórkowym będą wracać. A my będziemy tkwić tu i czekać.

– Jest tyle ładnych miejsc. Kiedyś chcieliśmy zamieszkać nad morzem. Teraz możemy to zrobić. Nawet wyprowadzić się za granicę.

– Za granicę? Co ty wygadujesz? Nie chcę mieszkać gdzieś, gdzie nie rozumiem, co do mnie mówią. Zostaję tutaj.

Więc zostajemy. Równie dobrze moglibyśmy wyprowadzić się na bezludną wyspę – w naszym domku żyjemy w zupełnej izolacji od reszty świata. Czasem tylko podpływają rekiny. Dotrzymujemy sobie towarzystwa: wspólnie rozwiązujemy w kuchni krzyżówki (on czyta na głos podpowiedzi i wpisuje hasła, zanim zdążę się zastanowić), oglądamy filmy w salonie – ja uczę się robić na drutach, on obgryza paznokcie. Jak para emerytów, a nie mam jeszcze czterdziestki.

– Pudel Manningów chyba zdechł. Już od paru tygodni nikt nie podrzucił nam na wycieraczkę psiej kupy – zauważa Glen lekkim tonem.  
– Strasznie był stary.

Grafficiarze nie dają za wygraną. Farbę strasznie trudno zmyć, a żadne z nas nie ma ochoty tkwić na widoku i jej skrobać, więc zostaje. „Huj” i „pedofil” wypisane wielkimi czerwonymi literami na murze.

– Dzieciaki – kwituje Glen. – Z rejonowej szkoły, sądząc po pisowni.

Niemal tydzień w tydzień dostajemy też listy od „brygady zielonych długopisów”. Nauczyliśmy się wyrzucać je prosto do kosza. Można je poznać na kilometr. W żadnym sklepie nie widziałam takich małych kopert ani wkładów o tym odcieniu – „życzliwi” muszą mieć jakieś inne źródło, tak jak nie wiedzieć gdzie zaopatrują się w swój ulubiony szorstki papier w linie. Podejrzewam, że te wszystkie rzeczy są po prostu tanie.

Dawniej przyglądałam się charakterowi pisma, żeby spróbować dowiedzieć się czegoś o autorach. W niektórych listach pełno zawijasów – takich jak na zaproszeniach ślubnych – więc podejrzewam, że

pochodziły od starszych osób. W dzisiejszych czasach nikt tak nie pisze.

Nie wszystkie to anonimy. Niektórzy umieszczają na górze koślawy adres – urocze nazwy, na przykład Różany Domek czy Pod Wierzbami – a niżej wylewają całe wiadro pomyj. Kusi mnie, żeby odpisać, co o nich myślę – odpłacić pięknym za nadobne. Układam w głowie odpowiedzi, kiedy udaję, że oglądam telewizję, ale nie posuwam się dalej. Mogłabym nam tylko zaszkodzić.

– To chorzy ludzie, Jeanie – mówi Glen za każdym razem, kiedy jeden z listów wpada przez szparę w drzwiach. – Powinniśmy im współczuć.

Czasem zastanawiam się, kim są, i dochodzę do wniosku, że to pewnie ludzie tacy jak ja i Glen. Samotni. Postawieni pod ścianą. Więźniowie we własnych domach.

Kupuję wielkie używane puzzle. Obrazek przedstawia plażę z klifami i mewami. Będę miała co robić popołudniami. Zapowiada się długa zima.

## Rozdział 35

*Piątek, 18 grudnia 2009 roku*

### **Reporterka**

Ostatni tydzień minął w miarę spokojnie – w związku ze zbliżającym się Bożym Narodzeniem gazeta wypełniła się świątecznymi bzdurami i pokrzepiającymi historiami o pokonanych przeciwnościach losu. Kate przekartkowała notatnik, raczej z przyzwyczajenia niż z nadzieją, ale nie znalazła żadnego punktu zaczepienia. Nie brakowało lektury na weekend: długich artykułów, kąśliwych felietonów, całych stron przepisów świątecznych od najlepszych szefów kuchni oraz poświęconych diet. Terry wyglądał na zadowolonego.

W przeciwieństwie do reportera z działu kryminalnego, który zatrzymał się przy jej biurku w drodze do toalety, żeby dać upust wściekłości.

– Wywalili mój artykuł świąteczny – warknął.

– Biedaczek. Który? – zapytała Kate.

Reporter słynął z wielokrotnego wykorzystywania artykułów: nazywał to „recyklingiem newsów”.

– Ten o Belli. To trzecie samotne święta Dawn. Chcesz wyskoczyć na drinka?

– Boże, Bella. Zapomniałam o tobie – zwróciła się do zdjęcia dziewczynki przyklejonego do szafki. – Przepraszam.

Kampania „Heralda” ucichła, odkąd zagrożenie pozwem o zniesławienie stało się realne. Obie strony konfliktu wycofały się z linii frontu.

Kate usłyszała na mieście o awanturze, jaką dyrektor działu prawnego zrobił naczelnemu o treść pierwszych artykułów. Udało jej się namówić Tima, rywala z „Heralda”, a jednocześnie starego przyjaciela, żeby opowiedział jej o wszystkim przy lampce wina albo trzech. Z początku niechętnie zdradzał szczegóły, ale historia była zbyt ciekawa,

żeby opowiadać ją po łebkach. Oparty o bar w pubie naprzeciwko sądów zrelacjonował, jak prawnik zarzucił Perry'emu ignorowanie rad oraz umieszczanie w tekście „skandalicznych uwag” i bezpodstawnych oskarżeń.

– Domyślam się, że chodziło między innymi o „morderczy wzrok Taylora” – zaśmiała się Kate. – Stąpaliście po cienkim lodzie.

– Tak, to jedno z bardziej smakowitych wyrażen Perry'ego. No i prawnik stwierdził, że każdy taki wybryk Marka podwyższa potencjalne odszkodowanie.

– Taylora stać na proces. Dostał sporo kasy od policji – stwierdziła Kate.

– Naczelnny zgodził się wycofać z bezpośrednich oskarżeń i prześladowania. Trochę przyhamować, dopóki unosi się nad nami widmo pozwu.

– Nie zrezygnuje z akcji, prawda? – zapytała Kate. – Jeśli to zrobi, na pewno będzie musiał zapłacić. Przyzna tym samym, że nie ma racji.

Tim skrzywił się nad kieliszkiem merlota.

– Nie jest zadowolony. Walnął pięścią w monitor, wpadł do redakcji i zwyzywał nas wszystkich od amatorów. Lubi dzielić się wkurwem z bliźnimi, w duchu równości i sprawiedliwości.

Kate poklepała go krzepiąco po ramieniu i wróciła do domu.

Zgodnie z zapowiedzią Tima „Herald” spuścił z tonu i wyglądało na to, że sprawa o zniesławienie utknęła w martwym punkcie po obu stronach.

Kate była jednak gotowa na następną rundę. Musiała tylko znaleźć notatnik, w którym przed rokiem nabazgrała na okładce adres niejakiego Mike'a Doonana w Peckham.

– Wychodzę, muszę sprawdzić jeden kontakt – rzuciła do Terry'ego. – W razie czego łap mnie na komórkę.

Przejazd przez Westminster Bridge i Old Kent Road zajął całe wieki, ale taksówka zatrzymała się w końcu pod ponurym okazem przełomowej architektury z lat 60. XX wieku – szarym betonowym pudłem usianym brudnymi oknami i antenami satelitarnymi.

Kate zadzwoniła do drzwi – w drodze miała dość czasu, by obmyślić plan działania. Nikt jej nie otworzył. Dźwięk dzwonka odbił



się echem, jednak poza tym z mieszkania nie dobiegał żaden inny odgłos.

– Wyszedł – zawołał ktoś z mieszkania obok. Kobięcy głos.

– Kurczę, miałam nadzieję, że go zastanę. Podobno ledwo się rusza i prawie nie wychodzi z domu – odparła.

Zza drzwi wychynęła ubrana w fartuch staruszka z mocną trwałą.

– Poszedł do bukmachera. Biedak rzadko teraz wychodzi przez te plecy. Ale stara się przynajmniej raz dziennie gdzieś ruszyć. Spodziewał się pani?

Kate obdarzyła sąsiadkę uśmiechem.

– Właściwie to nie. Stwierdziłam, że zajrzę bez zapowiedzi. Piszę artykuł o jego znajomym z pracy w firmie dostawczej. O Glenie Taylorze, tym od Belli.

Staruszka szerzej otworzyła drzwi.

– Od Belli? Pracował z nim? Nigdy nie wspominał. Chce pani u mnie poczekać?

Przez pierwsze pięć minut rozmowy pani Meaden zdążyła opowiedzieć Kate o przypadłości Doonana („zwyrodnienie stawów, ciągle mu się pogarsza”), uzależnieniu od zakładów, byłych żonach, dzieciach i diecie („praktycznie codziennie grzanki z fasolką, raczej mu to nie służy”).

– Co tydzień robię mu nieduże zakupy, dzieciaki z osiedla załatwiają różne sprawunki.

– To bardzo miłe z pani strony. Szczęście mieć taką sąsiadkę.

Pani Meaden wyglądała na mile połechtaną.

– Każdy chrześcijanin by tak postąpił – stwierdziła. – Herbaty?

Kate ustawiła spodeczek z filiżanką w kwiatki na poręczu fotela i rozpakowała kupny placek.

– Dziwne, że nigdy nie wspominał o tym Taylorze, prawda?

– zagaiła pani Meaden i otrzepała z kolan okruchy.

– Pracowali razem w Qwik Delivery – podchwyciła Kate.

– Wiele lat pracował jako kierowca. Mówi, że to mu załatwiło plecy. Nie ma przyjaciół, przynajmniej takich, którzy by go odwiedzali. Dawniej chodził na komputer tu niedaleko, mówił, że to jakiś klub. Chodził tam regularnie, aż do przejścia na rentę. Zawsze uważałam, że to

trochę dziwne hobby dla dorosłego mężczyzny. No ale pewnie nudzi mu się samemu.

– Nie wiedziałam, że w okolicy jest jakiś klub komputerowy. Wie pani, jak się nazywa?

– Chyba gdzieś przy Princess Street. Nieciekawe miejsce z czarnymi szybami. Oho, jest Mike.

Z klatki schodowej dobiegł je odgłos ciężkiego szurania i stuk laski o betonową podłogę.

– Dzień dobry! – Pani Meaden otworzyła drzwi. – Czeka tu na ciebie pani z gazety.

Doonan skrzywił się na widok Kate.

– Przepraszam, ale strasznie bolą mnie plecy. Może pani przyjść kiedy indziej?

Kate podeszła bliżej i wzięła go pod ramię.

– Przynajmniej pomogę panu wejść – zaproponowała i tak zrobiła.

Zapach mieszkania Mike’a w niczym nie przypominał unoszącej się za ścianą woni kapusty i domestosa. Tu czuć było mężczyzną: potem, starym piwem, stęchłym dymem papierosowym, spoconymi stopami.

– Czego pani ode mnie chce? Powiedziałem już wszystko policji – powiedział Doonan, kiedy Kate przycupnęła na twardym krześle naprzeciwko.

– Glen Taylor – odparła tylko.

– A, o niego chodzi.

– Pracowaliście razem.

Doonan skinął głową.

– Piszę o nim artykuł. Próbuję lepiej go zrozumieć.

– To źle pani trafiła. Nie kumpłowaliśmy się. Mówiłem już policji. Nadęty kutas, jeśli to panią interesuje.

„Owszem” – pomyślała.

– Zawsze uważał się za lepszego od nas. Zniżył się do naszego poziomu, ale tylko czekał, aż trafi się coś lepszego.

Znalazła czuły punkt i postanowiła w niego uderzyć.

– Słyszałam, że bywał arogancki.

– Arogancki? Mało powiedziane. Na stołówce zaszczycał nas opowieściami o tym, jak to kierował bankiem. Potem mnie wkopał.

Powiedział szefowi, że symuluję te bóle pleców, że wcale nie jest tak źle.

– Pewnie miał pan z tego powodu nieprzyjemności.

Doonan uśmiechnął się z goryczą.

– Najśmieszniejsze, że to ja załatwiłem mu tę pracę w Qwik Delivery.

Kate przypuściła atak.

– Naprawdę? Czyli znaliście się wcześniej? Skąd?

– Z Internetu. Z jakiegoś forum – Doonan stracił nieco rezon.

– I z klubu przy Princess Street?

Doonan rzucił okiem na Kate.

– Jakiego klubu? – zapytał. – Muszę zażyć leki. Powinna już pani iść.

Położyła przed nim wizytówkę i uścisnęła mu rękę.

– Dziękuję za rozmowę. Jestem panu bardzo wdzięczna. Proszę nie odprowadzać mnie do drzwi.

Skierowała kroki prosto na Princess Street.

Niewielki szyld Internet Inc. wyglądał bardzo amatorsko, witrynę zamalowano od środka na czarno, nad drzwiami zainstalowano kamerę. „Trochę jak sex shop” – pomyślała Kate.

Drzwi były zamknięte na klucz, nie wywieszono informacji o godzinach otwarcia. Przeszła się do pobliskiego warzywniaka i stanęła przy straganie na chodniku. Ze sklepu wyszedł młody sprzedawca w czapce Mikołaja.

– Przepraszam, chciałam skorzystać z tamtej kafejki internetowej, ale jest zamknięte. Wie pan, kiedy otwierają?

Chłopak wybuchnął śmiechem.

– Na pani miejscu bym tam nie wchodził. To dla facetów.

– Jak to?

– To jakiś klub porno dla starych zboków. Nie wpuszczają ludzi z ulicy.

– Aha. Kto to prowadzi?

– Nie wiem za bardzo. Kierownik ma na imię Lenny, nie widzujemy go często. Otwierają dopiero wieczorami.

– Dziękuję. I proszę cztery jabłka, z tych tutaj.

Wróci później.

Po zmroku Internet Inc. robiła jeszcze gorsze wrażenie. Kate spędziła dwie i pół godziny w podłym pubie, pijąc jeden ciepły sok za drugim i słuchając magicznego głosu Perry'ego Como w piosence o bałwanku. Miała nadzieję, że nie pocałuje klamki.

Drzwi okazały się nadal zamknięte, ale na pukanie w zaciemnioną szybę odpowiedział jej ze środka jakiś głos.

– Kto tam?

– Chcę porozmawiać z Lennym – odparła Kate i obdarzyła kamerę nad wejściem najbardziej uroczym uśmiechem ze swojego repertuaru.

Cisza.

Otworzył jej wysoki, umięśniony mężczyzna w sportowym podkoszulku bez rękawów i džinsach.

– Znamy się?

– Lenny, prawda? Kate. Moglibyśmy zamienić parę słów?

– O czym?

– O artykule, który piszę.

– Reporterka? – Lenny cofnął się do środka. – Mamy koncesję. Wszystko zgodnie z prawem. Nie ma tu o czym pisać.

– Nie, to nie o was chodzi, tylko o Bellę Elliott.

To nazwisko miało magiczną moc. Przykuwało uwagę. Ludzie nie mogli mu się oprzeć.

– O Bellę Elliott? Małą Bellę? Chodźmy do mojego biura.

Weszła do wąskiego, ciemnego pokoju oświetlanego jedynie LED-ową poświatą z kilkunastu monitorów. Każdy stał w osobnej przegrodzie z krzesłem. W pomieszczeniu nie było nic więcej poza wiszącym smętnie pod lampą łańcuchem choinkowym w ramach świątecznej dekoracji.

– Nie ma jeszcze klientów. Zazwyczaj przychodzą później – tłumaczył Lenny, prowadząc ją do swojej klatki. Pod ścianami stały stosy gazet i płyt DVD. – Nie zwracaj na to uwagi – dodał, kiedy zauważył, że zerka na tytuły.

– Postaram się – odparła i usiadła.

– Chodzi o Glana Taylora, prawda?

Kate na chwilę zamurowało. Przeszedł do sedna, zanim zdążyła

zadać choć jedno pytanie.

– Tak.

– Zastanawiałem się nawet, kiedy ktoś przyjdzie w tej sprawie. Spodziewałem się raczej policji, a tu ty.

– Przychodził tutaj? Był członkiem klubu?

Lenny zastanowił się nad odpowiedzią.

– Nigdy nie mówię nic o klientach, inaczej nikt by tu nie przychodził. Ale mam dzieci...

Kate pokiwała głową.

– Rozumiem i nie interesuje mnie nikt inny. Chodzi tylko o Taylora. Pomożesz mi? Proszę.

W przeciągającej się ciszy kierownik był wyraźnie rozdarty między nakazem przestrzegania omerty, a chęcią zrobienia tego, co słusne i właściwe. Nerwowo obgryzał paznokcie. Kate dała mu czas do namysłu.

W końcu podniósł wzrok i powiedział:

– Tak, czasem tu zaglądał. Zaczął przychodzić jakieś dwa, trzy lata temu. Sprawdziłem na jego karcie, kiedy zobaczyłem zdjęcie w gazetach. Nie używamy tu prawdziwych nazwisk, członkom zależy na prywatności. Poznałem go. Pojawił się w 2006 roku. Wprowadził go inny członek.

– Mike Doonan?

– Miałaś nie pytać o innych. Zresztą, jak mówiłem, nie używamy tu nazwisk. Znali się z pracy.

Kate uśmiechnęła się do niego.

– Dzięki, to dużo mi dało. Pamiętasz, kiedy przyszedł po raz ostatni? Masz jakiś rejestr?

– Chwileczkę – odparł Lenny i otworzył przedpotopową szafkę na akta. – Zapisał się jako 007. Elegancko. Żadnych wizyt po szóstym września 2006 roku, aż do tego sierpnia.

– Tego sierpnia? Wrócił?

– Tak, tylko parę razy.

– Wiesz, co robił?

– Starczy tych pytań. To wszystko poufne. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić. Uznaliśmy, że lepiej nie sprawdzać, na

jakie strony wchodzi klienci. Wiadomo, że na te dla dorosłych.

– Przepraszam, że tak prosto z mostu: strony porno?

Pokiwał głową.

– Nie korciło cię, żeby sprawdzić, skoro wiedziałeś, że to on?

– Zorientowałem się ładnych parę miesięcy po tym, jak przestał przychodzić. Korzystał z różnych komputerów. Kupa roboty, mamy tu spory ruch.

– Czemu nie zadzwoniłeś na policję?

Lenny uciekł wzrokiem.

– Myślałem o tym nawet, ale miałem ściągać tu sobie gliny?

Klientom zależy na prywatności. Interes by padł. Zresztą aresztowali go i bez mojej pomocy.

Przerwało im głośnie pukanie do drzwi.

– Musisz już iść, klient.

– Okej. Dziękuję za wszystko. Masz tu moją wizytówkę, gdyby coś ci się przypomniało. Mogę jeszcze skoczyć do łazienki?

Lenny wskazał na drzwi w rogu.

– Proszę bardzo, na własną odpowiedzialność.

Wyszedł. Została sama, więc zrobiła telefonem zdjęcie karty członkowskiej nadal leżącej na biurku. Potem szybko otworzyła toaletę, zatkała nos i spuściła wodę.

Lenny już na nią czekał. Otworzył drzwi i zasłonił przyczajonego klienta przed badawczym wzrokiem Kate.

Jeszcze z ulicy zadzwoniła do Sparkesa.

– Bob, tu Kate. On chyba znowu coś kombinuje.

## Rozdział 36

*Piątek, 18 grudnia 2009 roku*

### **Detektyw**

Sparkes bez słowa wysłuchał opowieści Kate. Zanotował mimochodem adres i nazwiska. Nie mógł komentować ani zadawać pytań – siedział właśnie z nowym szefem. Zajmowali się opracowaniem statystyk ofiar napadów ulicznych z podziałem na płeć, wiek i rasę.

– Okej – wtrącił, kiedy Kate zrobiła pauzę dla zaczerpnięcia powietrza. – Jestem teraz trochę zajęty. Wyślij mi, proszę, ten dokument. Może moglibyśmy się jutro spotkać?

Kate zrozumiała w lot.

– O dziesiątej rano pod pubem na końcu ulicy. Za chwilę wyślę ci to zdjęcie mejlem.

Wrócił do komputera i na migi przeprosił przełożonego za zamieszanie. Sprawdził telefon, dopiero gdy uwinęli się z pracą.

Sparkesowi zrobiło się niedobrze. Według danych z karty członkowskiej ostatnia wizyta Taylora miała miejsce zaledwie trzy tygodnie wcześniej.

W drodze do metra zadzwonił do Zary Salmond.

– Co słysząc, panie komisarzu?

– Wszystko w porządku, Salmond. Wracamy do sprawy. – Nie musiał dodawać do której. – Musimy znów przyjrzeć się dokładnie wszystkim szczegółom, żeby go przyskrzynieć.

– Rozumiem. Może mi pan powiedzieć dlaczego?

Oczywiście wyobraźni widział wyraz twarzy sierżantki.

– Jeszcze nie teraz. Mam informacje, że wrócił do pornosów. Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej, dam znać, jak się czegoś dowiem.

Salmond westchnęła. Wyczytał w jej myślach „O nie, znowu” i nie mógł odmówić jej racji.

– Jestem teraz na urlopie. Wzięłam sobie wolne na święta. Wracam

drugiego stycznia, możemy poczekać do tego czasu?

– Oczywiście. Przepraszam za zawracanie głowy. I wesołych świąt.

Schował telefon do kieszeni płaszcza i noga za nogą zwał się po schodach ze ściśniętym żołądkiem.

Po tym jak Jude Downing, mimo długiej i szeroko zakrojonej kontroli, nie znalazła żadnych nowych tropów, furgonetki ani podejrzanych, policja zaczęła wycofywać się ze sprawy Belli Elliott. Komisarz posprzątała po sobie biurko i wróciła do zwykłych zajęć, a komenda w Hampshire poinformowała w komunikacie prasowym, że śledztwo trwa. W rzeczywistości oznaczało to, że do sprawy oddelegowano zaledwie dwóch funkcjonariuszy. Ich jedynym zadaniem było przyjmowanie coraz bardziej sporadycznych doniesień od osób, które mogły widzieć Bellę, i przekazywanie ich dalej. Choć nikt oficjalnie tego nie przyznał, trop wystygł.

Nawet kampania Dawn Elliott budziła już coraz mniej emocji. W końcu na ile sposobów można powiedzieć „Oddajcie mi moją córkę”, stwierdził Sparkes. „Herald” też przycichł.

Odsunięcie Sparkesa od sprawy odebrało detektywom zapal i codzienną motywację. Nadkomisarz Wellington dopilnowała też, żeby Salmond miała dużo zajęć, a w związku z tym mało czasu na podejmowanie działań na własną rękę. Słyszała, że Sparkes wrócił ze zwolnienia, ale do tej pory nie zajrzała do jego gabinetu. Telefon przed świętami wywołał w niej całą masę mieszanych uczuć.

Nigdy nie przyznałaby się współpracownikom, jak bardzo brakowało jej cierpkiego humoru i determinacji Sparkesa.

– W tej pracy nie ma miejsca na sentymenty, jeśli chcę daleko zajść – powiedziała mu kiedyś.

Pierwszego dnia po powrocie wyciągnęła swoją teczkę z dokumentami dotyczącymi sprawy Belli i zrobiła listę wszystkich niewyjaśnionych kwestii, czekając na jego telefon.

Kartkując akta, wpadła na zapiski o Matcie Whicie. Niedokończona sprawa. Z początku zakwalifikowała to jako priorytet, ale potem jej uwaga przeniosła się na najnowszy wówczas pomysł Sparkesa. Nie tym razem. Sprawdzi ten trop. Weszła do Internetu i przeszukała rejestr wyborców. Dziesiątki Matthew White’ów, ale żaden



nie pasował do podanych przez Dawn informacji o wieku, stanie cywilnym i miejscu zamieszkania.

Musiała odkryć prawdziwą tożsamość pana White'a. Jeszcze raz przejrzała zeznania Dawn na temat ich związku. Spotykali się głównie w klubie Tropicana i raz w pokoju hotelowym.

– Gdzie musiałby podać prawdziwe dane? – zapytała się na głos.  
– Kiedy używał karty – odpowiedziała sobie w końcu. – Założę się, że za hotel nie zapłacił gotówką.

Hotel należał do dużej sieci. Salmond w myślach trzymała kciuki, kiedy wykręciła numer, żeby zapytać, czy mają jeszcze wykaz gości z czasów, kiedy Dawn spotykała się z Mattem.

Pięć dni później Salmond miała przed sobą kolejną listę. Kierowniczka hotelu, równie sumienna jak sierżantka, przesłała jej mejlem potrzebne dane.

– Matt White gdzieś tu jest, komisarzu – z przekonaniem oznajmiła Sparkesowi przez telefon. Tego dnia już z nikim nie rozmawiała.

Sparkes odłożył słuchawkę i zaczął zastanawiać się, co dalej. Jego nowy szef nie grzeszył cierpliwością, a on musiał skończyć artykuł o wpływie przynależności etnicznej i płci na skuteczność pracy policji środowiskowej. Cokolwiek to niby znaczyło.

Ostatnie pięć miesięcy było nieco surrealistyczne.

Zgodnie z poleceniem przełożonego i radą przedstawiciela związkowego skontaktował się z jedną z psycholożek na liście, po czym spędził niekończącą się godzinę z mocno otyłą, acz słabo wykwalifikowaną kobietą, która miała bzika na punkcie walki z wewnętrznymi demonami.

– Siedzą ci na ramieniu, Bob. Czujesz ich ciężar? – pytała zupełnie poważnie.

Brzmiała raczej jak wróżka na promenadzie w nadmorskim kurorcie niż terapeutka. Wysłuchał jej przez grzeczność i uznał, że to ona zмага się z demonami, nie on. Nigdy do niej nie wrócił. Eileen musiała mu wystarczyć.

Ciągle przedłużano mu urlop i kiedy tak czekał na przywrócenie do służby, wpadł na pomysł zapisania się na korespondencyjny kurs psychologii. Wydrukował listę lektur ze strony uniwersytetu i zaczął

studia przy stole w jadalni.

Po powrocie do pracy czekał go rajd po różnych wydziałach – zastępował nieobecnych tymczasowo policjantów i pisał raporty, a przełożeni zastanawiali się, co z nim dalej zrobić. W wydziale zabójstw był na cenzurowanym, ale wbrew ich nadziejom na razie wcale nie wybierał się na emeryturę. Nie mógł jeszcze odejść. Wciąż miał wiele do zrobienia.

Salmond przez tydzień przeglądała daty i nazwiska, tworząc kolejne listy, które sprawdzała z rejestrem wyborców, aktami policyjnymi i informacjami z mediów społecznościowych. Czuła się jak ryba w wodzie – uwielbiała przedzierać się przez gąszcz danych ze świadomością, że gdzieś tam czeka na nią poszukiwana informacja, a kiedy ją znajdzie, będzie mogła triumfować.

Znalazła go w czwartek po południu. Pan Matthew Evans, żonaty, zamieszkały wraz z żoną Shan w Walsall, w dniach wskazanych przez Dawn przebywający w Southampton. Wiek i zawód też się zgadzały.

Natychmiast zadzwoniła do uczynnej kierowniczkii hotelu z prośbą o sprawdzenie, czy zatrzymał się u nich w dniu zniknięcia Belli.

– Nie, Matthew Evans był u nas ostatnio w lipcu 2003 roku. Spędził jedną noc w pokoju dwuosobowym typu deluxe i zamówił obsługę pokojową – oznajmiła.

– Świetnie, dziękuję bardzo – odparła, jednocześnie pisząc esemes do Sparkesa.

Wzięła głęboki wdech i wbiegła po schodach do gabinetu Wellington, żeby powiedzieć jej o nowym tropie. Nadkomisarka dotychczas nie zwracała uwagi na Zarę, traktując ją jako część problemu z Bobem Sparkesem, ale teraz miało się to zmienić. Wszyscy usłyszą o Zarze Salmond.

Jeśli jednak spodziewała się fanfar i oklasków, musiała się rozczarować. Wellington wysłuchała jej uważnie i rzuciła pod nosem:

– Dobra robota. Proszę napisać raport i jak najszybciej mi go dostarczyć. Niech ktoś z West Midlands sprawdzi tego Evansa.

Zawiedziona Salmond wróciła do siebie, powłócząc nogami.

## Rozdział 37

*Sobota, 16 stycznia 2010 roku*

### **Detektyw**

Matthew Evans nie był zadowolony. Ni stąd, ni zowąd do drzwi zapukała policja, a otworzyła im jego żona, z dzieckiem na ręku i drugim kręcącym się pod nogami.

Bob Sparkes uśmiechnął się uprzejmie. U boku miał zdenerwowaną Salmond. Młoda policjantka zgodziła się pojechać z dawnym szefem, ale wiedziała, że sporo ryzykuje. Gdyby przełożeni się dowiedzieli, mogłyby spotkać ją poważne konsekwencje. Sparkes przekonał ją, że postępują słusznie.

– Wiem, że nie prowadzę tej sprawy.

– Został pan odsunięty.

– Tak, dziękuję za przypomnienie, Salmond. Muszę tam jechać. Znam sprawę na wylot i od razu wychwyć każdy fałszywy ton.

Przyznała mu rację i uprzedziła kolegów z West Midlands o przyjeździe. Odłożyła słuchawkę i poczuła się postawiona pod ścianą. Zrobiło jej się niedobrze.

Salmond pojechała samochodem, Sparkes zdecydował się na podróż pociągiem, żeby nie zobaczyli go dawni współpracownicy. Salmond czekała na niego pod dworcem, ponura i wyraźnie zestresowana.

– No już, Salmond, będzie dobrze – powiedział cicho. – Nikt się nie dowie, że tu przyjechałem. Będę niewidzialny, obiecuję.

Uśmiechnęła się dzielnie i pojechali z wizytą do Matta Evansa.

– Matt, policja do ciebie – zawołała żona. – O co chodzi? – zapytała stojących za progiem funkcjonariuszy. Sparkes i Salmond czekali z wyjaśnieniami na Evansa. „Tak będzie uczciwie” – pomyślał Sparkes.

Evans domyślał się, dlaczego policja chciała z nim rozmawiać.

Kiedy pierwszy raz zobaczył w telewizji Dawn i Bellę, dokonał szybkich obliczeń i wiedział, że prędzej czy później gliny się po niego zgłoszą. Z upływem tygodni, miesięcy i lat nabrał jednak nadziei.

„Może wcale nie jest moja – wmawiał sobie na początku. – Dawn na pewno sypiała z innymi facetami”. W trzewiach – a to znacznie bardziej wiarygodny wskaźnik niż serce – czuł jednak, że Bella to jego córka, uderzająco podobna do tej z legalnego związku. Aż dziw, że nikt nie zwrócił na to uwagi i nie zadzwonił do *Crimewatch*.

Nic takiego się jednak nie stało, więc żył jak dotychczas, powiększając rodzinę i podrywając kolejne Dawn. Teraz jednak zawsze pamiętał o prezerwatywie.

Policjant poprosił o rozmowę na osobności, za co Matt był mu niezmiernie wdzięczny. Zaprosił detektywów do praktycznie nieużywanej jadalni.

– Czy zna pan niejaką Dawn Elliott? – zapytała Salmond.

Evans przez chwilę rozważał kłamstwo – był w tym niezły – ale wiedział, że kiedy przyjdzie co do czego, Dawn od razu go rozpozna.

– Tak. Mieliśmy przelotny romans parę lat temu, kiedy pracowałem na południu, nad morzem. Wiecie, jak to jest, długie godziny pracy, człowiek musi się trochę rozerwać...

Salmond obrzuciła go chłodnym spojrzeniem: modna grzywka, duże brązowe oczy i beczelny, czarujący uśmiech.

– Wiedział pan, że niedługo potem Dawn urodziła dziecko? – ciągnęła. – Kontaktowała się z panem?

Evan głośno przełknął ślinę.

– Nie, nic nie wiedziałem o dziecku. Prawdę mówiąc, zmieniłem numer, bo stała się nieco natrętna, a...

– A pan nie chciał, żeby żona się dowiedziała – dopowiedział Sparkes.

Matt spojrział na niego z wdzięcznością i włączył tryb „jak facet z facetem”.

– Właśnie. Shan nie musi się o tym dowiedzieć, prawda?

Poprzednim razem, gdy jedna z kochanek męża się z nią skontaktowała, Shan zapowiedziała, że daje mu ostatnią szansę. Zażądała też trzeciego dziecka.

– To nas do siebie zbliży, Matt.

Nie zbliżyło. Bezsenne noce i poporodowe moratorium na seks sprawiły, że znów musiał się trochę rozerwać, tym razem z pewną sekretarką z Londynu. To było silniejsze od niego.

– To zależy od pana – odparł Sparkes. – Czy miał pan z nią jakiś kontakt od czasu zmiany numeru?

– Nie. Trzymałem się z daleka. Lepiej nie wracać, bo myślą, że chcesz się z nimi ożenić.

„Zimny drań” – pomyślała Zara Salmond i zanotowała na marginesie ZD. Potem zmieniła zapis na JZD. Jako nastolatka sama miewała do czynienia z żądnymi przygód żonatymi mężczyznami.

Evans wiercił się na krześle.

– Chociaż zaraz, teraz sobie przypominam, że kiedyś wpadłem na nią na czacie. Tak sobie przeglądałem różne miejsca i nagle na nią trafiłem. Pamiętam, że miała nick Panna Słoneczko, jak w tej książeczce dla dzieci – moja najstarsza ją czytała – tylko użyła własnego zdjęcia. Dawn nie jest najbystrzejsza.

– Odezwał się pan do Panny Słoneczko?

– Pewnie, że nie. Na czatach chodzi przecież o anonimowość. W tym tkwi ich urok.

Sierżant Salmond wszystko dokładnie zapisywała. Poprosiła o przeliterowanie nazw jego ulubionych pokojów na czatach i używanych nicków. Po dwudziestu pięciu minutach Evans zaczął wstawać, żeby się z nimi pożegnać. Sparkes jeszcze nie skończył.

– Potrzebujemy od pana kilku próbek.

– Po co? Jestem niemal pewny, że Bella to moja córka, wygląda jak moje pozostałe dzieci.

– Dobrze wiedzieć, ale musimy mieć pewność, a także wykluczyć pana jako podejrzanego.

Evans był oburzony.

– Podejrzanego? Nie mam nic wspólnego ze zniknięciem tej dziewczynki.

– Pańskiej córki.

– No dobrze, ale po co miałbym ją porywać? Mam już trójkę dzieci. Czasem chętnie bym komuś zapłacił, żeby je porwał.

– Nie wątpię – odparł Sparkes. – Musimy wszystko sprawdzić, żeby móc pana wykluczyć. Proszę się ubrać i powiedzieć żonie, że musi pan wyjść.

Detektywi czekali przed domem.

Salmond wyglądała tak, jakby lada chwila miała pęknąć z dumy i samozadowolenia.

– Widział Dawn na czacie dla dorosłych. Też się w to bawiła, nawet jeśli amatorsko.

Sparkes próbował zachować spokój, ale i jego organizm zalewała adrenalina.

– To może być powiązanie między nią a Glenem Taylorem.  
– Sparkes mimowolnie się roześmiał.

Żadne z nich nie słyszało rozmowy między małżonkami, ale kiedy Evans wsiadł do samochodu, Salmond wyczuła, że jeszcze mu się dostanie.

– No już, załatwmy to – powiedział tylko.

Na miejscowym komisariacie Evans pozwolił pobrać sobie próbki DNA, próbując przy tym flirtować z młodszymi

policjantkami. Jego urok na nikim tu nie zrobił wrażenia. „Trochę trudniejsza publika niż pijane dziewczyny w klubie” - pomyślał Sparkes. Salmond przyciskała palce Evansa do poduszczyki z tuszem nieco mocniej, niż było to konieczne.

– Przepraszam, musi się porządnie odbić.

Zara powiedziała Sparkesowi, że wraca na komendę, aby osobiście przekazać wieści nowej szefowej. Musiała tak opowiedzieć całą historię, żeby nie zrobić sobie ani Sparkesa.

– Powiem, że w West Midlands brakowało ludzi, więc podjechałam na miejsce i znalazłam ojca Belli Elliott. To seryjny bzykacz z Birmingham, tak jak podejrzewaliśmy, niejaki Matthew Evans. Żonaty ojciec trójki dzieci, przedstawiciel handlowy. Co pan na to?

Uśmiechnął się zachęcająco i dodał: – Możliwe, że wskazał nam powiązanie między Glenem a Bellą.

„Pora odkorkować szampana” – pomyślał Sparkes z dużą dozą nadziei.

Okazało się, jak mu później powiedziała, że w obliczu tak przełomowego odkrycia nikt nie drążył, dlatego postanowiła osobiście odwiedzić Evansa.

– Porozmawiamy o tym później, Salmond – stwierdziła Wellington i zadzwoniła do nadinspektora Parkera, żeby uszczknąć dla siebie nieco sławy.

Cztery dni później Sparkes został przywrócony do pracy. Parker wezwał go w krótkich, żołnierskich słowach:

– Mamy nowy ślad w sprawie Belli, Bob. Na pewno słyszałeś. Potrzebujemy cię. Rozmawiałem z policją z Londynu. Kiedy możesz wrócić?

– Jestem w drodze.

Powrót odbył się bez większych ceregieli.

– Cześć, Salmond. Na czym stoimy z Matthew Evansem? – zapytał i zdjął płaszcz.

Wrócił na swoje miejsce, jakby jego nieobecność trwała zaledwie kilka minut.

Salmond i zespół informatyków nie mieli dobrych wieści. Od razu po uzyskaniu nowych informacji przesiali wszystkie dane z komputera Taylora w poszukiwaniu Panny Słoneczko. Bez rezultatu.

– Żadnych czatów, żadnych mejli. Sprawdzaliśmy wszystkie możliwe kombinacje, nie ma po niej śladu.

Sparkes, Salmond i Fry, który również został przywrócony do zespołu, stali w nierównym półkołu za krzesłem technika i gapili się w ekran ze spisem nicków, błagając w myślach, żeby Słoneczko się pojawiła. Przewijali listę czwarty raz, więc w pokoju panował dość ponury nastrój.

Sparkes wrócił do gabinetu i podniósł słuchawkę.

– Cześć, Dawn, tu Bob Sparkes. Nie, właściwie to nic nowego. Chciałbym zadać ci kilka pytań. Muszę z tobą porozmawiać. Mogę teraz wpaść?

Po wszystkim, co przeszła, zasługiwała na łagodne traktowanie, ale tę sprawę trzeba było zbadać natychmiast.

## Rozdział 38

*Czwartek, 13 lipca 2006 roku*

### **Matka**

Dawn Elliott lubiła wychodzić na miasto. Uwielbiała całą tę otoczkę: pachnącą kąpiel, nakładanie odżywki na włosy i suszenie ich przed lustrem, malowanie rzęs grubą warstwą tuszu przy głośnych dźwiękach imprezowej muzyki. Ostatni rzut oka w duże lustro na drzwiach szafy, potem stuk-stuk do taksówki na wysokich obcasach z uczuciem podniecenia wzbierającym w sercu. Zawsze, gdy wychodziła gdzieś wieczorem, czuła się, jakby znów miała siedemnaście lat.

Po narodzinach Belli musiała na jakiś czas z tego zrezygnować, ale sama była sobie winna. Zaszła w ciążę jak ostatnia idiotka. Chciała mu się przypodobać. Tak seksownie tańczył tuż koło niej, kiedy pierwszy raz ich spojrzenia się spotkały. Złapał ją za rękę i obracał tak szybko, że aż zakręciło jej się w głowie i pękała ze śmiechu. Wyszli z drinkami na zewnątrz, tam gdzie stali palacze, żeby się trochę przewietrzyć. Matt miał już kogoś, ale jej to nie przeszkadzało. Chociaż przyjeżdżał do Southampton tylko raz w miesiącu, służbowo, na początku codziennie pisał i dzwonił, kiedy żona wychodziła na chwilę do samochodu albo zabierała psa na spacer.

Trwało to sześć miesięcy, aż firma przeniosła go z południa kraju na północny wschód. Podczas ostatniego spotkania czuła się odurzona. Błagał ją o seks bez prezerwatywy:

– Tak będzie bardziej wyjątkowo, Dawn.

Rzeczywiście, może i było, tylko że nie poczekał na skutki tej upojnej nocy.

– Żonaci nigdy nie zostają – powiedziała matka, załamana jej naiwnością. – Mają żony i dzieci. Takie głupie dziewczuchy potrzebne im są tylko do łóżka. Co zrobisz z dzieckiem?

Z początku nie wiedziała i odsuwała decyzję w czasie, na wypadek



gdyby Matt wrócił jak rycerz na białym koniu i porwał ją do nowego życia. Nic takiego się nie stało, zaczęła więc przeglądać lśniące magazyny o niemowlętach i na ślepo wkroczyła w świat macierzyństwa.

Nie żałowała donoszenia ciąży, przynajmniej niezbyt często – tylko gdy Bella budziła się w nocy co godzinę albo płakała, bo wyrzynały jej się zęby lub miała pełną pieluchę. Okazało się, że pierwsze lata życia dziecka niewiele mają wspólnego z propagandą kolorowych magazynów, ale udało im się wspólnie je przetrwać. Później Bella, już jako mały człowiek, mogła dotrzymać towarzystwa Dawn.

Zwierzała się córce ze wszystkiego i zdradzała najbardziej skryte tajemnice, pewna, że Bella nie będzie jej osądzać. Mała śmiała się z nią, gdy matka była szczęśliwa, a kiedy płakała – mocno się w nią wtulała.

Jednak godziny spędzone na oglądaniu kreskówek i graniu na telefonie nie wypełniały jej życia. Dawn czuła się samotna. Miała zaledwie dwadzieścia sześć lat. Nie powinna być sama, ale kto by chciał samotną dziewczynę z dzieckiem?

Pociągali ją żonaci – wyczytała gdzieś, że starszy mężczyzna symbolizuje ojca oraz podniecający zakazany owoc. Nie rozumiała biblijnej aluzji, choć świetnie rozumiała tę mieszankę ryzyka i bezpieczeństwa. Potrzebowała drugiego Matta. Co z tego? Nie mogła sobie pozwolić na nianię, a matka nie pochwałała późnych wyjść.

– Gdzie ty łazisz? Do klubów? Na miłość boską, Dawn, niczego się nie nauczyłaś? Jesteś teraz matką. Nie możesz iść na kolację z koleżanką?

Tak więc zrobiła. Miło spędziła wieczór przy pizzy hawajskiej z Carole, znajomą ze szkoły. Tylko że po powrocie do domu nie szumiało jej tak miło w głowie jak po wódce i tańcu przy głośnej muzyce.

Dowiedziała się o czacie z gazety w poczekalni u lekarza. Bella dostała gorączki i wysypki, a Dawn wiedziała, że doktor John, jak kazał się nazywać, na pewno do niej zagada, okaże zainteresowanie. „Chyba mu się podobam” – uznała i w ostatniej chwili postanowiła się umalować. Chciała się komuś podobać, jak każda kobieta.

Przerzucała magazyn dla nastolatek, uświniony dziesiątkami brudnych paluchów, kiedy trafiła na artykuł o nowym trendzie: randkach

w sieci. Tak ją pochłonał, że nie dosłyszała, kiedy wywołano jej numerek. Dopiero gdy recepcjonistka głośno wezwała ją po nazwisku, zerwała się z krzesła, odciągnęła Bellę od zabawy klockami i schowała gazetę do torebki.

Jej laptop był starym gruchotem, mimo że trzymała go wysoko na szafie, poza zasięgiem wiecznie lepkich łapek Belli. Dał jej go kolega z pracy, kiedy kupił sobie nowy. Przez jakiś czas nawet go używała, ale potem zepsuł się zasilacz, a ona nie miała pieniędzy na nowy, więc dała sobie spokój.

W drodze do domu użyła karty kredytowej, trzymanej na sytuacje awaryjne, żeby kupić nową ładowarkę.

Na czacie czuła się jak ryba w wodzie. Pławiła się w zainteresowaniu nowych znajomych: mężczyzn, którzy chcieli wiedzieć wszystko na jej temat, pytali o marzenia i zainteresowania, prosili o zdjęcia i nie przeszkadzało im, że ma dziecko. Niektórzy nawet pytali o córeczkę.

Nikommu o tym nie powiedziała. Nikomu z realnego świata. To było tylko dla niej.

## Rozdział 39

*Czwartek, 21 stycznia 2010 roku*

### **Detektyw**

Dom przy Manor Road wyglądał jakoś czyściej i schludniej. Zabawki Belli trafiły do pudła przy telewizorze, duży pokój przekształcił się w centrum dowodzenia kampanii „Znajdźmy Bellę”. Wolontariusze przeglądali listy przy stole („Są dni, kiedy przychodzi ich nawet setka” – powiedziała Dawn z dumą) i dzielili nadawców na trzy grupy: osoby, które potencjalnie mogły widzieć Bellę, życzliwych i czubków. Kupka korespondencji od czubków wyglądała na znacznie większą od pozostałych. Sparkes pominął to milczeniem.

– Wiele osób przysyła pieniądze na poszukiwania Belli – powiedziała Dawn. Fundusze przeznaczano na ogłoszenia w prasie na całym świecie, a także, od czasu do czasu, na opłacenie prywatnego detektywa, żeby sprawdził otrzymane informacje.

– Chodźmy w jakieś cichsze miejsce – poprosił Sparkes, ujął ją pod łokieć i zaprowadził do kuchni. Dokładnie zamknął drzwi i zapytał o Matta.

Dawn wybuchnęła płaczem.

– Jak go znaleźliście? Mówił coś o mnie? O Belli?

– Myśli, że jest jej ojcem. Czekamy na wyniki badań DNA.

– Ma inne dzieci?

– Tak, Dawn.

– Podobne do niej?

– Tak.

Zaniosła się płaczem.

– Musimy porozmawiać o czymś, czego dowiedzieliśmy się od Matta Evansa. Podobno widział cię na internetowym czacie.

Łzy ustały.

– Matt widział mnie na czacie? Ja go nie widziałam.

– Czyli odwiedzałaś czaty?

– Tak. Nie takie świńskie, o jakich mówiliście w sądzie. Nie chodziło o seks ani nic takiego.

Sparkes milczał przez chwilę, po czym spytał:

– Dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej?

Dawn oblała się rumieńcem.

– Wstydziałam się. Nigdy nikomu się nie przyznałam, bo wiedziałam, że ludzie uznają, że szukam seksu. To nie tak, panie komisarzu. Czułam się samotna. Chodziło tylko o gadanie. O ostatnim odcinku *EastEnders* czy *I'm a Celebrity...* Z nikim nie spotkałam się w realu. Naprawdę, uznałam, że nie ma o czym mówić.

Sparkes pochylił się do przodu i pogładził ją po dłoni.

– Rozmawiałaś też o Belli?

Spojrzała na niego i z trudem wydusiła:

– Nie. Tak, trochę. Z innymi dziewczynami. Narzekałam czasem, że nie spałam przez nią w nocy, albo opowiadałam, co śmiesznego zbroiła. Takie pogaduszki.

– Mógł to słyszeć ktoś inny, prawda?

Dawn wyglądała, jakby miała zemdleć, więc Sparkes przeszedł na drugą stronę stołu, delikatnie odsunął jej krzesło i na chwilę opuścił jej głowę między nogi. Wyprostowała się, nadal trupio blada.

– Ktoś inny, czyli on? – odparła. – Słyszał, jak mówiłam o Belli? To tak ją znalazł?

Nie musiała używać imienia ani nazwiska, oboje wiedzieli, o kim mowa.

– Nie jesteśmy pewni. Musisz spróbować przypomnieć sobie, z kim czatowałaś. Sprawdzimy też twój komputer.

Jeden z wolontariuszy wszedł bez pukania. Na widok zapłakanej Dawn zaczął się wycofywać.

– Nie, proszę zostać – poprosił Sparkes. – Mógłby zająć się pan przez chwilę Dawn? Przeżyła szok, na pewno dobrze jej zrobi kubek gorącej herbaty.

Wyszedł i zadzwonił do Salmond.

Zapakował zdezelowanego laptopa Dawn i zawiózł go na komendę, tymczasem sierżantka spisała zeznania zrozpaczonej matki.

Sparkes chciał brać udział w internetowym polowaniu, na własne oczy zobaczyć Dużego Misia lub paskudną aluzję Taylora do innej bajki.

W laboratorium pachniało niezbyt przyjemnie – połączenie woni szatni na siłowni i nieświeżej pizzy. Technicy nie wyglądali na zachwyconych, kiedy kazał im skatalogować i przeszukać zawartość dysku. Na szczęście danych było mniej niż na komputerze Taylora, ale stworzenie listy odwiedzonych czatów i nawiązanych kontaktów wymagało czasu.

Podobnie jak poprzednie spisy i ten dzielił się na dwie podstawowe grupy: nicki nawiązujące do fikcyjnych postaci i te bardziej wyzywające. Sparkes przebiegł je wzrokiem w poszukiwaniu znanych pseudonimów Taylora.

- Musiał użyć innego – powiedział Fryowi.
- Z jego laptopa wyciągnęliśmy wszystkie, panie komisarzu.
- Na pewno nie miał drugiego komputera?
- Nic na to nie wskazuje. Wiadomo, że korzystał z przynajmniej jednej kafejki internetowej. Może i z innych, ciągle podróżował.

Technik westchnął ciężko.

- Musimy wykluczyć wszystkie, które się da, a potem spróbować nieco zawęzić pole poszukiwań.

Sparkes zabrał listę i wrócił do kuchni Dawn Elliott.

Wciąż płakała. Salmond trzymała ją za rękę i przemawiała cichym głosem.

- No dalej, Dawn. Świetnie ci idzie. Świetnie jej idzie, komisarzu.

Dawn podniosła głowę i zobaczyła go w drzwiach, tak jak w dniu zniknięcia Belli. Uderzyło ją silne wrażenie *déjà vu*.

- Mam tu listę wszystkich osób, które poznałaś w sieci. Przejrzyjmy ją wspólnie, może coś ci się przypomni.

W domu panowała cisza. Wolontariusze dawno sobie poszli, zniechęceni ponurą atmosferą i przygnębieniem Dawn.

Przebiegła palcem listę nicków, strona po stronie.

- Nie wiedziałam nawet, że rozmawiałam z tyloma osobami – stwierdziła.

- Prawdopodobnie nie rozmawiałaś. Niektórzy tylko wchodzą do pokoju, witają się i słuchają.

Serce Sparkesa biło szybciej za każdym razem, kiedy się przy kimś zatrzymywała i podawała Salmond jakiś odnaleziony w pamięci szczegół.

– Mewa mieszkała w Brighton i pytała o ceny domów w okolicy. BillieJean uwielbiała Michaela Jacksona, ciągle nam o nim opowiadała. Ruda100 szukała miłości. Ciekawe, czy znalazła...

Większość rozmów dotyczyła tak banalnych spraw, że Dawn niemal nic nie pamiętała.

Zatrzymała się przy KsiężciuZBajki.

– Pamiętam go. Śmiałam się z jego nicka, taki szampowy. Wymieniliśmy może jednego czy dwa mejle poza czatem. Nic romantycznego. Dobrze się z nim gadało, kiedy miałam doła, potem nie utrzymywaliśmy już kontaktu.

Sparkes wyszedł z pokoju i zadzwonił do Frya.

– Szukaj KsiężciaZBajki. To może być on. Pisali do siebie poza czatem. Wyślij mi esemes, jeśli coś znajdziesz.

Trochę to trwało, w końcu telefon zapikał. Wiadomość brzmiała: „mam go”.

Jeden z techników z zespołu kryminalistyki czekał na Sparkesa.

– Znaleźliśmy kontakt Dawn Elliott z KsiężciemZBajki. Tylko trzy mejle, ale mowa w nich o Belli.

Sparkes nie należał do osób przesadnie wylewnych, ale w tej chwili miał ochotę unieść rękę w geście zwycięstwa.

– Teraz trzeba połączyć ten adres z Taylorem.

Przekopali się też przez profil Dawn na Facebooku. Umieściła na nim setki zdjęć Belli. Fry pomógł znaleźć te udostępnione przed porwaniem i przeglądał po kolei wszystkich znajomych w poszukiwaniu tajemniczego mężczyzny.

Trzeba się nachodzić tak jak dawniej, tyle że teraz w Internecie, pomyślał Sparkes, obserwując zespół przy pracy.

Jakiś czas później przyszedł do niego zrezygnowany technik.

– Mamy problem, panie komisarzu. Do czasu zaginięcia małej profil Dawn Elliott był całkowicie publiczny. Każdy mógł obejrzeć zdjęcia i dowiedzieć się o niej wszystkiego, nie musiał nawet dodawać jej do znajomych.

– Jezu. Ale i tak sprawdziliście?

– Oczywiście. Ani śladu Glena Taylora pod żadnym ze znanych nam pseudonimów. Co dziwne, pojawiła się Jean Taylor. Lubi stronę kampanii „Znajdźmy Bellę”.

– Jean? To na pewno ona?

– Tak. Wtedy profil Dawn był prywatny. Nie tylko polubiła stronę. Wysłała nawet kilka wiadomości.

– Wiadomości?

– Tak, pisała, że modli się o bezpieczny powrót Belli. I wysłała życzenia na czwarte urodziny małej.

Sparkes nic nie rozumiał. Po co Jean Taylor miałaby przyjaźnić się z Dawn Elliott?

– To na pewno ona? Nikt się pod nią nie podszywa?

– To jej adres mejlowy, adres IP wskazuje na Londyn i okolicę, w której mieszkają Taylorowie. Nie możemy być stuprocentowo pewni, ale wszystko na to wskazuje.

Sparkes rozważył różne możliwości. Nawet jeśli mąż się pod nią podszywał, robił to dopiero po porwaniu. Może chciał się upewnić, że ma najświeższe doniesienia ze śledztwa?

– Świetna robota. Szukajmy dalej – powiedział technikowi i zamknął się w gabinecie, żeby spokojnie pomyśleć.

Musiał porozmawiać z Glenem i Jean. Z każdym z osobna.

## Rozdział 40

*Piątek, 22 stycznia 2010 roku*

### **Wdowa**

Robiłam właśnie pranie ręczne w umywalce i nie spodziewałam się gości. Nieoczekiwanie do drzwi zapukał Bob Sparkes. Opłukałam ręce pod kranem i wysuszyłam je w drodze do drzwi. Glen zamontował małą kamerę nad drzwiami, żebyśmy mogli zobaczyć, kto puka.

– Szkoda czasu na otwieranie dziennikarzom, Jeanie – powiedział, przykręcając ostatnią śrubkę.

Nie podobał mi się ten pomysł. W obiektywie wszyscy wyglądali jak przestępcy, zniekształceni niczym odbici w łyżce – nawet jego matka. On jednak nalegał. Na monitorze zobaczyłam komisarza Sparkesa, a raczej jego nos wypełniający niemal cały obraz.

– Kto tam? – zapytałam przez domofon. Nie będę mu ułatwiać.

Uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że z nim gram.

– Komisarz Bob Sparkes. Czy możemy zamienić dwa słowa?

Otworzyłam drzwi. Stał za progiem, z twarzą już o normalnych proporcjach i w sumie całkiem przyjemną.

– Nie spodziewałam się pana więcej zobaczyć po całej tej sprawie z odszkodowaniem i tak dalej.

– Ale jestem. Kopę lat. Co u państwa słyhać? – odparł bezczelnie.

– Wszystko w porządku, choć to nie wasza zasługa. Glena nie ma w domu. Następnym razem proszę uprzedzić, że się pan do nas wybiera.

– Nie szkodzi. Chcę tylko zadać pani kilka pytań.

– Mnie? A o co może mnie pan spytać? Sprawa Glena jest zamknięta.

– Wiem, mimo to muszę cię o coś zapytać, Jean.

Zwrócił się do mnie per ty! Tak zbił mnie tym z tropu, że kazałam mu tylko wytrzeć nogi.

Wszedł i skierował się prosto do salonu, niczym członek rodziny.



Usiadł tam, gdzie zwykle, ja stałam w drzwiach. Nie zamierzałam się rozsiadać. Nie powinien tu przychodzić. To nie w porządku.

Nie wyglądał, jakby miał wyrzuty, że nas nachodzi i prześladowa po tym, jak sąd orzekł, że sprawa jest zakończona. Nagle obleciał mnie strach. Wszystko zacznie się od początku. Bałam się kolejnych pytań i tego, że wywlecze jakieś nowe brudy.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego dodałaś Dawn Elliott do znajomych na Facebooku.

Tego się nie spodziewałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Po aresztowaniu Glena zaczęłam korzystać z Internetu. Chciałam zrozumieć, jak to działa, może postawić się na miejscu Glena, więc kupiłam mały laptop. Sprzedawca pomógł mi założyć pocztę i konto na Facebooku. Nie od razu się we wszystkim orientowałam, ale kupiłam samouczek, poza tym nie brakowało mi wolnego czasu. Przynajmniej miałam co robić wieczorami, miła odmiana od telewizji. Nie powiedziałam nic Glenowi podczas wizyt w Belmarsh. Nie chciałam, aby pomyślał, że chcę go na czymś przyłapać. Bałam się, że zarzuci mi nielojalność.

Nie spędzałam zresztą dużo czasu w sieci. Po wyjściu z aresztu Glen był zaskoczony, ale nie negatywnie. Chyba zbyt dużo się działo, żeby moje zachowanie miało jakiegokolwiek znaczenie.

Nie wiedział jednak, że dodałam Dawn Elliott do znajomych, a teraz Bob Sparkes zaczął robić z tego wielkie halo. To nierozsądne posunięcie z mojej strony – Glen nazwałby je lekkomyślnym. Zrobiłam to któregoś wieczoru po wiadomościach. Zobaczyłam Dawn w telewizji i chciałam przyłączyć się do kampanii, pomóc odnaleźć Bellę, bo wierzyłam, że nadal żyje.

Nie spodziewałam się, że policja wypatrzy mnie wśród tych setek nazwisk, ale oni oczywiście zauważą wszystko. „Nigdy nie myślisz, Jean” – powiedziałaby Glen, gdyby tu teraz z nami siedział. Źle zrobiłam. Teraz policja znowu weźmie nas pod lupę, Glen będzie miał problemy. Komisarz Sparkes patrzy na mnie wyczekująco, więc postanawiam nie odpowiadać, zgrywać idiotkę i pozwolić mu gadać.

Draży dalej: – Dołączyłaś do kampanii czy ktoś się pod ciebie podszył?

Ma pewnie na myśli Glena.

– Skąd mam wiedzieć, panie komisarzu?

Zachować dystans, żadnego spoufalania. Gdzie Glen? Miał wrócić za dziesięć minut. Nareszcie słyszę zgrzyt klucza w zamku.

– Tu jestem, Glen! – wołam. – Siedzę z komisarzem Sparkesem.

Glen zagląda do pokoju, wciąż w płaszczu, i kiwa głową na powitanie. Bob Sparkes wstaje i wychodzi do przedpokoju, żeby porozmawiać z nim w cztery oczy. Siedzę, skamieniała ze strachu, że Glen wścieknie się o Facebooka, ale nie słyszę żadnych podniesionych głosów. Po chwili drzwi zamykają się cicho.

– Poszedł sobie – woła Glen z korytarza. – Nie powinien przychodzić. Powiedziałem mu, że to nękanie, i poszedł. O czym rozmawialiście?

– O niczym. Chciał wiedzieć, kiedy wrócisz. – Przecież faktycznie chciałem.

Idę na górę, wiem wyprane rajstopy na suszarce nad wanną i wyjmuję laptop, żeby odłubić stronę Belli. Teraz trochę nie ma to sensu, skoro policja i tak wie. Ale Glen jeszcze nie wie. Komisarz Sparkes chyba nic mu nie powiedział. To miłe z jego strony.

Obawiam się jednak, że wróci.

Glen przekopuje się przez lodówkę w poszukiwaniu czegoś na kanapkę. Schodzę do kuchni i szturcham go żartobliwie, żeby mnie puścił i pozwolił się wyręczyć.

– Na co masz ochotę? Ser czy tuńczyk?

– Tuńczyk. Mamy do tego jakieś chipsy?

Nakładam mu trochę sałaty i pomidora. Powinien jeść więcej warzyw. Od tego przesiadywania w domu ma niezdrową cerę i zaczyna tyć.

– Gdzie byłeś? – pytam, stawiając przed nim talerz. – Teraz, przed chwilą?

Glen robi zirytowaną minę.

– W kiosku. Przestań mnie ciągle przesłuchiwać.

– Pytam z ciekawości. Smakuje ci kanapka? Mogę przejrzeć gazetę?

– Zapomniałem kupić. Daj mi zjeść w spokoju.

Wychodzę z kuchni i staram się nie martwić. Boję się, że znowu zaczyna. Znowu znika. Znow te jego bzdury. Wiedziałabym, gdyby robił to w domu, ale czasem wychodzi na godzinę czy dwie, a po powrocie nie chce powiedzieć, gdzie był, i wścieka się na moje pytania.

Tak naprawdę nie chcę wiedzieć, ale muszę. Szczerze mówiąc, myślałam, że to w tej sprawie przyszedł dziś Sparkes. Myślałam, że znów przyłapali Glena w Internecie.

Z całych sił próbuję mu ufać, jednak w takie dni jak dziś nie jest to łatwe. Wyobrażam sobie, co mogłoby się stać. Nie ma sensu zakładać najczarniejszych scenariuszy – tak ojciec uspokaja zawsze matkę, kiedy się denerwuje. Łatwo powiedzieć. Trudniej zrobić, kiedy nasze najgorsze wyobrażenia czają się tuż za rogiem, czekają pod drzwiami.

Powinnam położyć temu kres. Jeżeli tego nie zrobię, oboje przepadniemy.

## Rozdział 41

*Piątek, 11 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Tom Payne oddzwania i mówi, że umowa wydaje się w porządku, ale obawia się, co napiszą. Trudno rozmawiać przy Kate, więc idę do łazienki, żeby zapewnić sobie choć odrobinę prywatności.

– Dziennikarze nie są twoimi przyjaciółmi – mówi. – Napiszą to, co będą chcieli napisać. Zgodnie z umową nie masz żadnego wpływu na treść tekstu, więc jeśli coś przekręcą, nie będziesz mogła nic zrobić. Martwię się o ciebie, nie powinnaś być teraz sama. Może przyjadę?

Nie chcę go tutaj. Będzie próbował odwieść mnie od mojej decyzji, a ja wiem, co robię. Jestem gotowa.

– Nie trzeba, dzięki. Dam znać, jak rozwija się sytuacja.

Kate czeka w moim pokoju z umową w garści. – No dobra, Jean – mówi. – Podpiszmy to i zabierajmy się do wywiadu.

Upiera się, a ja chcę już wrócić do domu, więc sięgam po kartkę i podpisuję się na wykropkowanej linii. Kate uśmiecha się, wyraźnie rozluźnia i siada w fotelu.

– Formalności mamy z głowy – mówi i wyciąga z torby wysłużony dyktafon. – Będę nagrywała, nie masz nic przeciwko? – pyta i stawia przede mną urządzenie. – Na wypadek gdybym nie mogła odczytać notatek – dodaje z uśmiechem.

Kiwam głową bez słowa, zastanawiając się, jak zacząć. Niepotrzebnie: Kate jak zwykle bierze sprawę w swoje ręce.

– Kiedy dowiedziałaś się o zaginięciu Belli Elliott?

Nie mam problemu z tym pytaniem. Wracam myślami do październikowego dnia w 2006 roku. Usłyszałam wtedy wiadomość przez radio w kuchni.

– Rano pracowałam – opowiadam – popołudnie miałam wolne, odbierałam godziny za zmianę w niedzielę rano. Kręciłam się po domu,

sprzątałam, obierałam ziemniaki na kolację. Glen wpadł do domu na herbatę, wyszykowałam się na zajęcia w klubie fitness. Właśnie wróciłam i włączałam piekarnik, kiedy zaczął się serwis informacyjny w radiu. Mówili o wielkich poszukiwaniach zaginionej dziewczynki z Southampton. Zniknęła z własnego ogródka. Przeszedł mnie dreszcz: taka mała dziewczynka, praktycznie niemowlę! Nie chciałam nawet o tym myśleć.

Znowu mam ciarki na samo wspomnienie szoku, jaki przeżyłam następnego dnia na widok tej małej buzi, plastra i loczków. Kate się niecierpliwi, więc mówię dalej.

– Nazajutrz wszystkie gazety o tym pisały. Mnóstwo zdjęć, wypowiedzi babci o ukochanej, uroczej wnuczce. Aż mnie serce bolało. Wszystkie rozmawiałyśmy o tym w salonie. Ludzie byli z jednej strony przygnębieni, z drugiej – ciekawi. Wiesz, jak to jest.

– A Glen? Jak zareagował?

– Był w szoku. Tego samego dnia miał dostawę w Hampshire... Ach, przecież dobrze o tym wiesz. Bardzo to przeżywał. Oboje uwielbiamy dzieci. Było nam bardzo przykro.

Prawdę mówiąc, wcale zbyt wiele o tym nie rozmawialiśmy. Zauważyliśmy tylko, jaki to zbieg okoliczności, że był tego dnia w Hampshire. Zjedliśmy kolację przed telewizorem, bo Glen oglądał wiadomości. Potem poszedł na górę do komputera. Pamiętam, powiedziałam: „Mam nadzieję, że znajdą tę małą”. On chyba nic nie dodał. Wtedy nie wydało mi się to dziwne, Glen taki już jest.

– A potem przyszła do was policja – mówi Kate. Pochyliła się do przodu i patrzy na mnie z naciskiem. – To musiało być straszne.

Opowiadam jej, jak zaniemówiłam z szoku i godzinę po wizycie policji nadal stałam w przedpokoju nieruchoma jak posąg.

– Wątpiłaś w jego niewinność, Jean? – pyta.

Połykam kolejny łyk kawy i kręcę głową. Czekałam na to pytanie. Policja zadawała mi je non stop, więc przygotowałam sobie odpowiedź.

– Jak mogłabym pomyśleć, że miałby być zamieszany w coś tak okropnego? Uwielbia dzieci. Oboje je uwielbiamy.

Tyle że, jak się okazało, nie tak samo.

Kate patrzy na mnie, chyba znów zamilkłam.

– Jean, o czym myślisz?

Chcę powiedzieć, że wspominam chwilę, kiedy Glen wyznał, że widział Bellę, ale nie mogę. To zbyt wiele.

– Tak po prostu – odpowiadam i dodaję: – O Glenie, o tym, czy naprawdę go znałam.

– Co masz na myśli, Jean? – pyta, a ja mówię o twarzy Glena w chwili aresztowania. – Zupełnie straciła wyraz – tłumaczę. – Przez chwilę nie mogłam go poznać. Przeróżające.

Zapisuje moje słowa, unosząc co jakiś czas głowę znad notatek, żeby przytaknąć i nawiązać kontakt wzrokowy. Nie przerywa mi, kiedy opowiadam o pornografii. Notuje wszystko, jednocześnie nie odrywa ode mnie oczu. Kiwa głową i zachęca spojrzeniem pełnym współczucia i zrozumienia. Przez lata obwinałam się o zachowanie Glena, wmawiałam sobie, że to moja obsesja na punkcie dzieci kazała mu robić te okropne rzeczy. Dziś nie ma tu jego oskarżycielskiego spojrzenia. Mogę czuć złość i żywić do niego żal o to, co robił w pokoju gościnnym. Leżałam w sypialni po drugiej stronie korytarza, a on wpuścił do naszego domu te świństwa.

– Jakim trzeba być człowiekiem, żeby oglądać takie rzeczy? – pytam.

Bezradnie wzrusza ramionami. Jej stary widocznie nie ogląda molestowanych kilkulatków. Ta to ma szczęście.

– Mówił, że to na niby, że to kobiety przebrane za dzieci. To nieprawda. Przynajmniej nie w pełni. Zdaniem policji to nie było udawane. Glen twierdził, że to nałóg. Nie mógł się powstrzymać. Mówił, że zaczęło się od „normalnych pornosów”. Nie jestem pewna, co w tym przypadku znaczy „normalny”. A ty?

Wzrusza ramionami, kręci głową.

– Trzeba za to zapłacić – mówię. – Trzeba wpisać numer karty kredytowej, imię, nazwisko, adres. Wszystkie dane. Nie można przypadkiem trafić na taką stronę. Jak powiedział biegły podczas procesu, to celowe, w pełni świadome zachowanie, wymagające czasu i skupienia. Glen robił to każdej nocy, za każdym razem szukając gorszych rzeczy. Policja mówiła o setkach nowych zdjęć i filmów. Setkach! Nie pomyślałabym nawet, że w ogóle tyle ich jest.

Utrzymywał, że nienawidził na nie patrzeć, ale że coś kazało mu oglądać wciąż więcej i więcej. Powtarzał, że to choroba, że nie ma na to wpływu. I obwiniał mnie.

Kate patrzy na mnie wyczekująco, żebym kontynuowała. Nie mogę teraz przestać.

– Twierdził, że to ja go do tego doprowadziłam. Ale on mnie oszukał, zdradził. Udawał normalnego mężczyznę: chodził do pracy i na piwo z kolegami, pomagał mi zmywać, a nocami w pokoju gościnnym zamieniał się w potwora. Nie był już Glenem. To on miał problem, nie ja. Jeśli mógł robić coś takiego, to myślę, że był zdolny do wszystkiego.

Urywam, zaskoczona własnymi słowami. A ona na mnie patrzy. Przestaje pisać, pochyla się w moją stronę i kładzie swoją dłoń na mojej. Odwracam dłoń i ściskam jej suchą, ciepłą rękę.

– Wiem, że musi ci być ciężko, Jean – mówi Kate i brzmi to szczerze.

Chcę przestać, ale ona znów ściska mnie za rękę.

– To wielka ulga, móc wreszcie to wszystko z siebie wyrzucić – odpowiadam i zaczynają lecieć mi łzy. Podaje mi chusteczkę, porządnie wysmarkuję nos. Mówię dalej mimo szlochu. – Nie wiedziałam, że on to robił, naprawdę. Odeszłabym, gdybym wiedziała. Nie mogłabym żyć z takim potworem.

– Zostałaś z nim, nawet kiedy się dowiedziałaś.

– Nie miałam innego wyjścia. Tak pokrętnie to wszystko wyjaśnił, że sama nie wiedziałam, co jest dobre, a co złe. Zaczęłam mieć wyrzuty, że go obwiniam. Wszystko miało być spiskiem policji, banku, dostawców Internetu... Potem obarczył mnie odpowiedzialnością. Wmówił mi, że to moja wina. Potrafił być bardzo przekonujący. Wierzyłam w każde jego słowo. Naprawdę tak było, ale teraz już go tu nie ma i nie może mnie do niczego zmusić.

– A Bella? – pyta Kate, tak jak się spodziewałam. – Co z Bellą, Jean? To on ją porwał?

Zabrnęłam za daleko, nie ma odwrotu.

– Tak – odpowiadam. – Tak sędzę.

Zapada cisza. Zamykam oczy.

– Powiedział ci, że ją uprowadził? Jak myślisz, co z nią zrobił,

Jean? Gdzie ją ukrył?

Zasypuje mnie gradem pytań. Nie mogę się skupić. Nie wolno mi powiedzieć nic więcej, w przeciwnym razie wszystko stracę.

– Nie wiem, Kate.

Tak wiele wysiłku wkładam w to, żeby nic nie mówić, że zaczynam trząść się z zimna. Kulę się w sobie. Kate wstaje, przysiadła na poręczu mojego fotela i obejmuje mnie ramieniem. To wspaniałe uczucie, czuję się jak w dzieciństwie, kiedy mama tuliła mnie na pocieszenie. „Nie płacz, kurczaczku” – mówiła i mocno ścisnęła, żebym czuła się bezpieczna. Schowana przed wszystkim, co złe. Teraz to oczywiście co innego. Kate Waters nie może ochronić mnie przed tym, co nadchodzi, ale i tak przez dłuższą chwilę siedzę z głową na jej kolanach.

Cichym głosem podejmuje wątek.

– Czy Glen powiedział ci cokolwiek o Belli, Jean? Przed śmiercią?

– Nie – wyduszam.

Ktoś puka do drzwi. Umówiony sygnał. To pewnie Mick. Mamrocze coś pod nosem, wyraźnie rozdarta: odkrzyknąć „spierdalaj!” czy wpuścić go do środka. Delikatnie cofa ramię, unosi brwi, jakby chciała powiedzieć „cholerni fotografowie” i podchodzi do drzwi. Rozmowa toczy się ostrym szeptem. Udaje mi się dosłyszeć „nie teraz”, ale Mick nigdzie się nie wybiera. Upiera się, że musi zrobić jakieś zdjęcie „na asapie”, bo fotoedytor „truje mu dupę”. Wstaję i idę do łazienki, żeby doprowadzić się do porządku przed zdjęciami.

W lustrze widzę odbicie czerwonej twarzy z zapuchniętymi oczami.

– Jak ja wyglądam? – mówię na głos.

Ostatnio często to powtarzam, praktycznie za każdym razem, gdy patrzę w lustro. Wyglądam okropnie i nic nie można z tym zrobić. Nalewam wody do wanny. Dopiero gdy zakręcam kran słyszę, co się dzieje w pokoju. Kate i Mick się przekrzykują.

– Gdzie ona jest? – wrzeszczy on.

– W łazience, kurwa, a gdzie? Właśnie się rozkręcałyśmy, a ty musiałeś tu wleźć, zjebie.

Leżę w kąpielni z pianą, pluskam się w wodzie i myślę.



Postanawiam, że nic więcej nie powiem. Pozwolę się sfotografować, bo obiecałam zdjęcia i zaraz potem wracam prosto do domu. Proszę, zupełnie sama podjęłam decyzję. Widzisz, Glen? Spierdalaj! Uśmiecham się.

Kwadrans później wychodzę z łazienki, zaróżowiona po ciepłej kąpieli i z włosami skręconymi od wilgoci. Kate i Mick siedzą bez słowa i unikają swojego wzroku.

– Jean – mówi Kate, zrywając się z miejsca – wszystko w porządku? Martwiłam się. Nie słyszałaś, jak wołałam pod drzwiami? – Żal mi jej, naprawdę. Ma ze mną urwanie głowy, ale cóż, muszę myśleć o sobie.

Mick próbuje sympatycznie się uśmiechnąć.

– Świetnie wyglądasz, Jean – kłamie. – Mogę zrobić parę zdjęć? Póki mamy dobre światło.

Przytakuję i rozglądam się za szczotką do włosów. Kate podchodzi mi pomóc i szepcze:

– Przepraszam, ale nie można tego uniknąć. Obiecuję, że nie będzie bolało. – Ściska mnie za ramię.

Musimy wyjść na zewnątrz: Mick twierdzi, że tak będzie bardziej naturalnie. „Bardziej niż co?” – chciałabym spytać, ale daruję sobie. Niech to się jak najszybciej skończy, żebym mogła wrócić do domu.

Każę mi chodzić po hotelowym ogrodzie, w tę i z powrotem, w jego stronę i w przeciwnym kierunku. – Spójrz w dal, Jean! – woła, a ja wykonuję polecenie. – Możesz się przebrać? Potrzebuję też innych ujęć. – Bez słowa spełniam żądanie, wracam do pokoju i zakładam nowy niebieski sweter, a także naszyjnik Kate, i wracam na dół. Recepcjonistka bierze mnie chyba za jakąś gwiazdę. Pewnie właśnie to mnie teraz czeka. Sława.

Wreszcie nawet Mick ma dość kolejnych ujęć pod drzewem, na ławce, na płotku, na ścieżce („Nie uśmiechaj się, Jean!”). Wracamy do środka.

Kate oznajmia, że musi zacząć pisać, a Mick – zgrać zdjęcia na komputer. W korytarzu pod naszymi pokojami Kate mówi, żebym odpoczęła sobie przez parę godzin i zamawiała, co chcę, na rachunek gazety. Kiedy znika w swoim pokoju, wracam do siebie i zaczynam

pakować wszystko do reklamówki. Nie jestem pewna, czy mogę zatrzymać ubrania, które mi kupili, ale większość z nich mam teraz na sobie i nie chce mi się przebierać. Potem siadam i przez chwilę nie wiem, czy rzeczywiście mogę po prostu wyjść. To jakiś absurd. Jestem dorosłą kobietą, mam prawie czterdzieści lat. Mogę robić, co mi się podoba. Zbieram rzeczy i schodzę po schodach. Recepcjonistka uśmiecha się szeroko, pewnie wciąż przekonana, że ma do czynienia z celebrytką. Proszę, żeby zamówiła mi taksówkę na dworzec i siadam w fotelu przed miską jabłek. Biorę jedno do ręki i odgryzam spory kęs.

## Rozdział 42

*Piątek, 11 czerwca 2010 roku*

### **Reporterka**

Kate usiadła ciężko za biurkiem imitującym styl regencji i odsunęła na bok podkład z imitacji skóry. Ukochany sfatygowany laptop leżał na łóżku, tam gdzie zostawiła go rano po przepisaniu notatek. Kabel wił się przez białą połąć pościeli do gniazdka za stolikiem nocnym. Rozplątała przewód, podpięła z powrotem do prądu, zdjęła marynarkę i włączyła komputer. Głos Jean Taylor odbijał jej się echem w głowie, a reportaż powoli nabierał kształtu.

Pisała impulsywnie, nie lubiła planować. Tak samo zresztą żyła. Niektórzy koledzy uważnie przeglądali notatki, zaznaczali gwiazdką cytaty i podkreślali najważniejsze fragmenty. Znała i takich, co numerowali kolejne akapity, jakby bali się, że ich notatki znikną albo że jakiś czar pryśnie, kiedy zaczną pisać.

Inni – ci naprawdę utalentowani, jak uważała w głębi duszy – układali cały artykuł w głowie przy piwie albo kawie, a potem przelewali wszystko na papier, tworząc od razu piękny, płynny tekst. W zależności od tego, co się wokół niej działo, robiła na zmianę jedno albo drugie – tuż po wywiadzie pisała kawałek w głowie, później, już przy komputerze, cała zanurzała się w artykuł: dawała się ponieść wienie, na bieżąco redagowała tekst i wprowadzała poprawki.

Zabawne, że nawet w dobie komputerów reporterzy z jej pokolenia nadal mówili o pisaniu tak, jakby musieli gryzmolić wszystko na skrawkach makulatury, dzwonić z zasikanej budki telefonicznej do bezdusznych stenotypistek („Dużo tego jeszcze?”) i dyktować im teksty. Załapała się na samiutką końcówkę starych dobrych czasów na Fleet Street. Zachwyciło ją ówczesne surowe, proste dziennikarstwo. W redakcji aż wrzało od pracy dziennikarzy i dziennikarek. Teraz pracowali w *open space*, wyciszonym i wymuskanym przez

projektantów. Atmosfera przywodziła na myśl raczej firmę ubezpieczeniową niż redakcję ogólnokrajowego dziennika. W ciszy, która zapadła, barwne postaci wyblakły, niepokorni się ugrzeczнили. Panowała ogólna szarość.

Powinna zadzwonić do szefa działu wiadomości, ale na razie nie chciała znać jego opinii o wywiadzie. Na pewno zaraz zacznie się wtrącać i dyktować jej, co ma napisać, mimo że znał zaledwie parę cytatów. A potem wmaszeruje dumnie do gabinetu naczelnego i oznajmi, że to on upolował newsa. To była jego (rzadka) nagroda za wszystko, co musiał znieść. Kate rozumiała, ale chciała jeszcze trochę ponapawać się tą chwilą: udało jej się skłonić Jean do wyznania prawdy o Glenie i Belli. Może nie całej prawdy, ale przyznała, że jej zdaniem Glen porwał małą. To wystarczy. Pierwsza wypowiedź wdowy dla prasy. Kate zaczęła stukać w klawisze.

Co jakiś czas podnosiła głowę, żeby zastanowić się nad jakimś zwrotem, i dostrzegała kobiecą twarz w wielkim lustrze nad biurkiem. Wyglądała obco: poważna, skupiona na czymś w oddali, i jakimś cudem młodsza. Nie przypominała matki i żony. Wyglądała jak dziennikarka.

Telefon zadzwonił akurat w chwili, kiedy kończyła przepisywać bezcenne wyznania. Natychmiast odebrała.

– Cześć, Terry. Właśnie skończyłam wywiad. Mam coś naprawdę mocnego.

Oddzwonił po kwadransie – zarezerwowali dla niej trzy strony w środku gazety i planowali jeszcze jeden dzień. Kate musiała tylko skończyć pisać. – Dwa i pół tysiąca słów do środka, Kate. Na drugi dzień damy historię ich małżeństwa i takie tam. Podkreć to tak, żeby nadawało się na czołówkę, okej?

Poważna kobieta w lustrze kiwała potakująco głową.

Zastanawiała się, co Jean Taylor robi za ścianą, podczas gdy ona o niej pisze. „Co za dziwna praca”, pomyślała i zaczęła operację na korpusie artykułu – precyzyjnie jak chirurg wycinała najlepsze fragmenty o małżeństwie Taylorów i wklejała je do tekstu, który miał pójść dzień później.

Wbrew temu, co myślała większość, wszyscy ci zwykli ludzie spotykani przez Kate w dramatycznych, a często i tragicznych

okolicznościach, byli jej wdzięczni za zainteresowanie i za to, że o nich pisała. Celebryci, ludzie cieszący się złą sławą i inni krytycy twierdzili, że wszyscy nienawidzą prasy, ale wielu bohaterów jej reportaży jeszcze przez długie lata utrzymywało z nią kontakt. Stanowiła część ich życia, nieodłączny element wydarzenia, które wywróciło ich świat do góry nogami.

– Ten czas jest niezwykle intensywny i pełen intymności – powiedziała Steve’owi na początku związku. – Nawet jeśli trwa tylko kilka godzin. Podobnie dzieje się wtedy, kiedy poznajemy kogoś w pociągu i opowiadamy mu wszystko o sobie. Tylko dlatego, że można, że akurat nadeszła taka chwila. – Steve śmiał się z jej powagi i przejęcia.

Poznali się przez wspólnych znajomych na koszmarnej przyjęciu z zagadką kryminalną w północnym Londynie. Zaiskrzyło, kiedy oboje wybuchnęli śmiechem w nieodpowiednim momencie, na co śmiertelnie obrazili się gospodarze.

Wracali każde do siebie, ale jedną taksówką. Steve usiadł na niewygodnym rozkładanym siedzeniu naprzeciwko, żeby ją lepiej widzieć. Oboje pijani opowiadali o sobie.

Steve studiował na ostatnim roku medycyny, zajmował się pacjentami chorymi na raka i uważał dziennikarstwo za powierzchowne i płytkie. Rozumiała jego punkt widzenia, bo wiele osób wychodziło z takiego błędnego założenia, więc próbowała wytłumaczyć mu, dlaczego ten zawód jest dla niej taki ważny. Potem czekała, czy ich romans przetrwa, a kiedy tak się stało, Steve zaczął inaczej patrzeć na tę sprawę.

Doświadczył telefonów o świcie od zrozpaczonych ludzi i nocy zarwanych na czytaniu akt sądowych albo wyprawach po kluczowy dowód do reportażu. Przekonał się, że to nie zabawa. Świadczyły o tym również coroczne stosy świątecznych kartek, które Kate rozwieszała obok tych od wdzięcznych pacjentów doktora Steve’a. Dostawała życzenia od rodziców zamordowanych, ofiar gwałtów, ocalałych z katastrof lotniczych, odbitych uprowadzonych i zwycięzców w sprawach sądowych. Każdemu należało się miejsce na wstążkach z pocztówkami zdobiących ich dom od wczesnych dni grudnia. Przypominali im o szczęśliwych dniach.

Dwie godziny później Kate wyglądała tekst: czytała, sprawdzała, korygowała, wyrzucała powtórzenia, zmieniała pojedyncze słowa i próbowała spojrzeć na wstęp świeżym okiem. Za jakieś pięć minut Terry zacznie z krzykiem domagać się tekstu i wiedziała, że powinna nacisnąć wreszcie „wyślij”, ale nie mogła rozstać się z artykułem. Przypomniała sobie, że nie omówiła z Mickiem szczegółów wydania z drugiego dnia, więc zadzwoniła do niego, żeby jeszcze trochę odsunąć w czasie chwilę pożegnania.

Przez telefon sprawiał wrażenie mocno zrelaksowanego – leżał pewnie na łóżku i oglądał pornosy na płatnym kanale.

– Przepraszam, Mick, ale firma mówi, że temat ma iść przez dwa dni. Chciałam tylko sprawdzić, czy starczy ci materiału.

Odpowiedział przecząco.

– Namówmy Jean na jeszcze jedną sesję – zaproponował.

Kate zadzwoniła do jej pokoju z gotową formułką („Potrzebujemy jeszcze tylko paru zdjęć, Jean. Pięć minut, słowo”). Odpowiadał jej tylko sygnał. Słyszała przez ścianę dźwięk dzwonka.

– No, Jean, odbierz – zaklinała pod nosem. Wsunęła byle jak buty i poczłapała do pokoju obok. – Jean! – zawołała, ustami niemal dotykając drzwi. Mick wyłonił się ze swojego pokoju z aparatem w ręku. – Nie odpowiada. Co ona wyrabia? – powiedziała Kate i znów załomotała w drzwi.

– Spokojnie, może poszła do spa? Była zachwycona masażem.

Kate niemal biegiem dopadła windy, po czym obróciła się na pięcie i pognąła z powrotem do pokoju. Musiała najpierw wysłać artykuł.

– Góra się czymś zajmie, kiedy będziemy jej szukać – zawołała do Micka.

Kosmetyczka w spa pachnącym olejkami eterycznymi nie potrafiła im pomóc. W przepaszającym gości kręciła tylko głową z ciasnym koczkim, przebiegając palcem listę nazwisk na ekranie komputera. Brak rezerwacji.

Postanowili się przegrupować. Mick sprawdził ogród, Kate raz za razem dzwoniła na komórkę Jean. Panika ścisnęła jej żołądek i podsuwała katastroficzne wizje: inna gazeta znalazła ją i podebrała Kate tuż przed nosa. Co powie szefom? Jak im to powie?

Dwadzieścia minut później stali w hotelowym foyer, wyglądali przez szklane drzwi i rozpaczliwie próbowali obmyślić dalszy plan działania. Wtedy właśnie druga recepcjonistka wróciła z przerwy na kawę i zawołała zza lady:

– Szukają państwo znajomej?

– Tak – wychrypiała Kate. – Widziała ją pani?

– Wymeldowała się ze dwie godziny temu, właściwie prawie trzy.

Zamówiłam jej taksówkę na dworzec.

Zadzwoił telefon Kate.

– Redakcja – powiedziała Mickowi.

Zrobił minę i wyszedł na papierosa.

– Cześć, Terry! – powiedziała z nienaturalnym ożywieniem. – Nie, wszystko w porządku... No, prawie. Mamy mały kłopot. Jean się zmyła. Wyszła z hotelu, kiedy zajęłam się pisaniem. Pewnie wróciła do domu, jedziemy to sprawdzić... Wiem... Wiem... Przepraszam. Zadzwonię, jak tylko będziemy coś wiedzieć. Jak artykuł?

## Rozdział 43

*Piątek, 11 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Po tych wszystkich zyrandolach i miękkich dywanach dom wydaje mi się mały i obskurny. Przechodzę przez ciche pokoje, otwieram drzwi i zapalam światła. Postanawiam sprzedać dom, kiedy tylko będzie to możliwe. Wszędzie czuję obecność Glena, jak słabą, ulotną woń. Nie wchodzę do pokoju gościnnego. Stoi teraz pusty – to, czego nie zabrała policja, wyrzuciliśmy. „Zacniemy od nowa” – zapowiedział Glen.

Kiedy schodzę z powrotem do przedpokoju, słyszę dziwne bzyczenie i przez dłuższą chwilę zastanawiam się co to. Komórka! Zapomniałam, że wyłączyłam dźwięk. Przekopuję się przez torbę. Cholerne ustrojstwo leży na samym dnie, więc w końcu muszę wywalić wszystko na dywan, żeby je znaleźć. Kilkadziesiąt nieodebranych połączeń, wszystkie od Kate. Czekam, aż telefon przestanie wibrować, biorę głęboki oddech i oddzwaniem. Kate odbiera natychmiast, praktycznie zanim usłyszę sygnał.

– Jean, gdzie jesteś? – pyta. Jej głos brzmi okropnie, napięty i nienaturalnie wysoki.

– W domu – odpowiadam. – Pojechałam pociągiem do domu. Myślałam, że nie będę wam już potrzebna i chciałam wrócić. Przepraszam. Nie powinnam była wracać?

– Jadę do ciebie. Nie ruszaj się z domu. Będziemy za jakieś czterdzieści minut. Nigdzie nie wychodź i czekaj na mnie – mówi. – Proszę – dorzuca, jakby po namyśle.

Nastawiam czajnik, parzę sobie herbatę i czekam. Czego ona może jeszcze ode mnie chcieć? Rozmawiałam z nią przez dwa dni, zrobili mi milion zdjęć. Ma ten swój artykuł. Wdowa przemówiła.

Strasznie długo im schodzi i zaczynam mieć już dość czekania. Chcę pójść do sklepu, kupić jakieś jedzenie na nadchodzący tydzień.



Prawie wszystko nam się pokończyło. Wróc: to mnie prawie wszystko się pokończyło.

Słyszę w końcu pukanie do drzwi. Aż podskakuję i idę otworzyć. To nie Kate, to ten facet z telewizji.

– Och, tak się cieszę, że panią zastałem! – mówi podekscytowany.

Ciekawe, kto dał mu znać, że wróciłam. Patrzę na dom pani Grange po drugiej stronie ulicy i widzę jakiś ruch w oknie.

– Mogę z panią chwilę porozmawiać? – pyta reporter i próbuje wejść do środka.

Wtedy widzę za jego plecami Kate: pędzi ścieżką w naszą stronę, z wypiekami na twarzy. Nic nie mówię i czekam na awanturę.

– Cześć, Jean – mówi, przeciska się obok Pana TV i wchodzi razem ze mną do domu. Biedak nawet nie zdążył się obejrzeć.

– Proszę pani! Jean! – woła jeszcze, ale drzwi zamykają mu się przed nosem.

Stoimy z Kate w przedpokoju i wymieniamy spojrzenia. Próbuję się wytłumaczyć. Myślałam, że to jej otwieram drzwi. Kate mi przerywa:

– Jean, podpisałeś z nami umowę. Zgodziłeś się na pełną współpracę, a teraz swoim zachowaniem ryzykujesz całe przedsięwzięcie. Jak mogłeś tak po prostu uciec?

Nie mogę uwierzyć, że odzywa się do mnie tym tonem. Jak ona śmie udzielać mi reprimendy niczym małemu dziecku i to pod moim dachem? Coś we mnie pęka i czuję, że oblewa mnie rumieniec – nie potrafię nad nim zapanować. Glen zawsze mówił, że nie mogłabym grać w pokera.

– Jeśli zamierzasz się tak zachowywać, to możesz sobie iść – mówię nieco zbyt głośno. Mój głos odbija się echem od ścian i założę się, że Pan TV to słyszał. – Będę robić, co mi się żywnie podoba, nikt nie będzie mi rozkazywał. Udzieliłam ci tego cholernego wywiadu, pozowałam Mickowi do zdjęć. Zrobiłam wszystko, czego chcieliście. Nie jestem waszą własnością tylko dlatego, że podpisałam jakiś świstek.

Kate wygląda, jakbym ją spoliczkowała. Mała Jeanie zaczęła się stawiać. Najwyraźniej ją to zaskoczyło.

– Przepraszam, jeśli trochę mnie poniosło, Jean, ale bardzo mnie zmartwiło twoje nagłe zniknięcie. Zatrzymaj się w hotelu na jeszcze

jedną noc, dopóki nie opublikujemy artykułu. Rano będziesz miała pod drzwiami tłupy.

– Twierdziłaś, że jeśli udzielę wywiadu, nie będę już musiała się z nimi użerać – mówię. – Zostaję tutaj. – Odwracam się na pięcie i wracam do kuchni.

Bez słowa idzie za mną. Zastanawia się. – Dobrze – mówi w końcu. – Zostanę z tobą.

Tylko tego mi brakuje! Wygląda jednak tak żałośnie, że się zgadzam.

– Tylko dzisiaj, potem możesz mnie zostawić. Potrzebuję czasu dla siebie – mówię.

Idę do ubikacji, a ona dzwoni do Micka i swojego szefa. Słyszę każde jej słowo.

– Nikt jej nie przechwycił. Nie, z nikim innym nie rozmawiała, ale nie chce wrócić do hotelu, Terry – mówi. – Próbowałam, naprawdę. Na miłość boską, pewnie, że ją przekonywałam, ale odmawia. Nie zależy jej już na masażach, Terry. Chce zostać w domu. Mogłabym ją ewentualnie uprowadzić, poza tym nie mam żadnej alternatywy. Nie, to nie wchodzi w grę. Słuchaj, wszystko będzie dobrze. Dopilnuję, żeby nikt jej nie dorwał.

Na chwilę milknie i wyobrażam sobie wściekłego Terry'ego po drugiej stronie słuchawki. Twierdzi, że wcale się go nie boi, że w gruncie rzeczy jest łagodny jak baranek, ale wcale jej nie wierzę. Widzę, że kurczowo przyciska zaciśniętą pięść do żołądka i lekko się kiwa, słuchając jego tyrady. Wszystko zdradza wymuszony uśmiech. – Jak tekst? – pyta, żeby zmienić temat. Pyta o artykuł. Zaczynam podłapywać żargon. Idę na górę, żeby mieć trochę spokoju.

Jakiś czas później puka do drzwi sypialni.

– Jean, robię herbatę. Masz ochotę?

Wróciłyśmy do początku. Zabawne, jak wszystko w życiu zatacza krąg. Kiedy mówię, że nie ma mleka, proponuje, że zamówi zakupy.

– Zróbmy listę – woła przez drzwi, więc idę z nią do salonu, a ona zapisuje, czego potrzeba.

– Co masz ochotę zjeść dziś na kolację? – pyta, a ja z trudem powstrzymuję się od śmiechu.

Naprawdę będziemy teraz ustalać, czy zjemy paluszki rybne czy curry z kurczakiem, jak w normalnym domu?

– Wszystko mi jedno, zdecyduj sama – mówię. – Nie jestem głodna. – Dopisuje do listy zakupów chleb, masło, kawę, herbatę, płyn do mycia naczyń i butelkę wina.

– Wyślę Micka po zakupy, wejdzie potem przez drzwi kuchenne – mówi i sięga po komórkę.

Dyktuje listę, a on chyba bardzo powoli zapisuje, bo Kate musi powtarzać mu wszystko dwa razy. Pod koniec jest wyraźnie poirytowana. W końcu się rozłącza i głęboko wzdycha. – Faceci! – mówi z wymuszonym śmiechem. – Są tacy beznadziejni.

Przyznaję, że Glen nigdy nie chodził sam na zakupy, nawet z listą. Nie cierpiał tego i zawsze kupował nie to, co trzeba. Nie chciało mu się nawet czytać etykietek, więc znosił do domu dzemy dla cukrzyków albo kawę bezkofeinową. Starczało mu cierpliwości na zebranie połowy składników do jakiegoś przepisu, potem mu się odechciewało. Zapominał o pomidorach w puszcze do spaghetti albo o mięsie na zapiekankę. Podejrzewam, że robił to specjalnie, żebym nigdy więcej nie prosiła go o pomoc.

– Mój stary jest taki sam. Traktuje to jak karę – dodaje Kate. Zsuwa z nóg buty i porusza oswobodzonymi palcami, jakby była u siebie. – Ironia losu, że Glen zginął w wypadku właśnie w drodze powrotnej z zakupów. – Teraz mówi o nim „Glen”. Na początku trzymała się formy „twój mąż”, teraz wydaje jej się, że go zna. Wystarczająco, żeby mówić o nim po imieniu. Wcale go nie zna.

– Rzadko chodził ze mną do sklepu – opowiadam. – Przed całą tą sprawą nigdy mi nie towarzyszył. Kiedy robiłam duże zakupy na cały tydzień, szedł na trening z drużyną z pubu. Chodził ze mną przez jakiś czas po wyjściu z aresztu, żebym nie musiała sama spotykać się z ludźmi. Twierdził, że chce mnie chronić.

Po jakimś czasie jednak przestał, bo i ludzie już nie gadali. Sądzę, że nadal myśleli o nim jako o mordercy i pedofilu, ale nie chciało im się już nas prześladować, bo ileż można?

– Tego ostatniego dnia upierał się, żeby ze mną pójść. Dziwne.

– Dlaczego tak mu zależało?

– Myślę, że chciał mnie mieć na oku.

– Czemu? Planowałaś się ulotnić w drodze do Sainsbury's?

Wzruszam ramionami.

– Atmosfera była wtedy dość napięta.

„Napięta” to mało powiedziane. Raczej gęsta, i to tak, że powietrze można by kroić nożem. Nie dało się nim oddychać. Siadałam na taborecie pod tylnymi drzwiami w poszukiwaniu ulgi, ale nic nie pomagało. Dusiły mnie własne myśli. Nieustannie z nimi walczyłam. Zamykałam oczy, żeby ich nie widzieć, pogłasniałam radio, żeby nie słyszeć, ale one ciągle czaiły się tuż za rogiem, gotowe dopaść mnie, gdy tylko nieco opuszczę gardę.

W poniedziałek poprzedzający jego śmierć przyniósł mi herbatę do łóżka. Czasem mu się to zdarzało. Usiadł na łóżku i patrzył na mnie. Wciąż zaspana układałam poduszki i próbowałam wymościć sobie siedzisko, żeby wygodnie wypić herbatę.

– Jean – powiedział beznamiętnym, martwym tonem. – Nie jest ze mną dobrze.

– Co się dzieje? – zapytałam. – Migrena? Mam mocne leki przeciwbólowe w szafce w łazience.

Kręci przecząco głową.

– Nie, to nie to. Jestem po prostu wykończony. Nie mogę spać.

Wiem. Czułam, jak wiercił się i przewracał z boku na bok, słyszałam, jak wstawał w środku nocy.

Wygląda na zmęczonego. Wygląda staro. Ma poszarzałą skórę i cienie pod oczami. Biedny Glen.

– Może powinieneś pójść do lekarza – sugeruję, ale znów kręci głową i odwraca się ze wzrokiem utkwionym w drzwiach.

– Widzę ją za każdym razem, kiedy zamykam oczy.

– Kogo? – pytam, choć dobrze wiem, o kim mowa. O Belli.

## Rozdział 44

*Poniedziałek, 1 lutego 2010 roku*

### **Detektyw**

Fry wraz z zespołem opracowywał dane, tymczasem Sparkes znów zajął się furgonetką. Taylor miał przydzielone stałe trasy na południu kraju, więc detektyw zaczął sprawdzać inne daty z rejestrów firmy i porównywać informacje z zeznaniami Taylora, raportami o natężeniu ruchu i nagraniami z kamer przy autostradzie. Robił to już drugi raz i powinien mieć serdecznie dość, ale poczuł zastrzyk nowej energii.

Złożył oficjalne wnioski do oddziałów policji z Londynu, Surrey, Sussexu i Kentu, odpowiedzialnych za patrolowanie poszczególnych fragmentów dróg i autostrad, którymi potencjalnie mógł jeździć podejrzany. Wszyscy obiecali jeszcze raz poszukać rejestracji Taylora w okresie przed i po uprowadzeniu Belli. Teraz pozostało mu tylko czekać.

Pierwszy telefon nie dotyczył jednak Taylora.

Dzwonił jeden z ich patroli drogówki.

– Komisarz Sparkes? Przepraszam, że zawracam głowę, ale zatrzymaliśmy Michaela Doonana i Lee Chambersa na stacji obsługi przy autostradzie. Oba nazwiska wyskoczyły nam jako związane ze sprawą Belli Elliott. Wie pan, o kim mowa?

Sparkes z trudem przełknął ślinę.

– Tak, znam ich obu. Cholera jasna, mogłem się spodziewać, że Chambers jeszcze wypłynie, ale Doonan? Jesteście pewni? Miał być praktycznie unieruchomiony.

– Możliwe, ale jakoś udało mu się dotrzeć aż tutaj po świńskie obrazki. Aresztowaliśmy pięciu za handel nielegalną pornografią.

– Gdzie ich zabieracie?

– Do was. Będziemy za pół godziny.

Sparkes siedział za biurkiem i próbował przyswoić sobie nowe

informacje oraz zrozumieć wszystkie potencjalne konsekwencje. Doonan, nie Taylor? Uderzyła go przerażająca myśl, że przez trzy lata ścigał nie tego człowieka. Odtworzył w pamięci przesłuchanie w mieszkaniu Doonana, poddając ponownej ocenie każde słowo kierowcy. Co mu umknęło?

Przegapił Bellę?

Zegar na ścianie głośno odliczał kolejne minuty, a on miotał się między strachem przed prawdą a palącą potrzebą jej poznania. Z paraliżującego zamyślenia wyrwał go dopiero dźwięk głosu za drzwiami. Zerwał się z fotela i zbiegł po schodach do laboratorium kryminalistycznego.

– Salmond, Fry, zaraz przywiozą tu Mike’a Doonana z zarzutem kupowania nielegalnej pornografii. Lee Chambers sprzedawał świerszczyki z bagażnika na stacji obsługi podróżnych.

Funkcjonariuszom opadły szczęki.

– Co? Tego kierowcę z chorym kręgosłupem? – zapytała Salmond.

– Najwyraźniej wcale nie jest z nim tak źle – odparł Sparkes rzeczowo. – Sprawdźmy nagrania z monitoringu na tej stacji z dnia zniknięcia Belli.

Technicy zabrali się za wyszukiwanie materiałów wideo. Wszyscy z nietęgimi minami czekali na wyniki. Sparkes nie mógł znieść narastającego napięcia i wyszedł na korytarz. Szukał właśnie numeru do Iana Matthews’a, kiedy Salmond wyjrzała z pokoju. – Powinien pan to zobaczyć.

Sparkes zasiadł przed niewyraźnym obrazem na ekranie.

– To on. Stoi przy bagażniku Chambersa i przegląda gazetki. Schyla się. Najwyraźniej plecy już mu tak nie dokuczały – stwierdziła Salmond.

– Data? Był tam w dniu zniknięcia Belli?

Zara Salmond nie odpowiedziała od razu.

– Tak, to dzień porwania. – Sparkes już miał zerwać się z krzesła, ale sierżantka powstrzymała go gestem uniesionej dłoni.

– To jednak wyklucza go z kręgu podejrzanych.

– Jak to? Mamy dowód, że Doonan nie tylko był wtedy w okolicy, ale też kupował ostrą pornografię. Poza tym skłamał zarówno na temat

tęgo, co robił w dniu porwania, jak i swojego stanu zdrowia.

– Tak, ale kamery uchwyciły go o 15.02, czyli wtedy, kiedy ktoś porywał Bellę. Nie mógł jednocześnie porywać dziewczynki i robić interesów z Chambersem.

Sparkes zamknął oczy. Miał nadzieję, że nie widać, jak głęboką odczuł ulgę.

– Okej, dobra robota. Pracujemy dalej – powiedział, nie podnosząc powiek.

Za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu walnął z całej siły pięścią stół i poszedł się przejść, żeby przewietrzyć trochę głowę.

Po powrocie znów cofnął się do pierwszego dnia sprawy i swoich najbardziej instynktownych przeczuć. Od początku uważali porwanie Belli za działanie spontaniczne. Kidnaper zobaczył dziewczynkę i ją uprowadził. Tylko to wydawało się logiczne. Nie znaleziono żadnych powiązań między Dawn a Taylorem, a – jeśli nie liczyć długowłosego mężczyzny wymyślonego przez Stana Spencera – nikt nie zauważył podejrzanych typów kręcących się po okolicy przed zaginięciem Belli. Żadnych zgłoszeń o ekshibicjonistach ani przestępstwach na tle seksualnym.

Ewentualny prześladowca miałby też problem z ustaleniem typowego rozkładu dnia swojej ofiary. Dawn nie co dzień prowadziła małą do żłobka, w ogródku dziewczynka bawiła się bardzo rzadko. Gdyby ktoś planował porwanie, zakradłby się nocą, kiedy miałby pewność, gdzie ją znajdzie. Nikt nie przesiadywałby na ulicy z nadzieją, że może w końcu dziewczynka wyjdzie na dwór. Sąsiedzi na pewno by go zauważyli.

Policja ustaliła, że porwanie musiało przypaść na zupełnie przypadkowy okres dwudziestu pięciu minut. Wówczas na podstawie dostępnych danych słusznie odrzucili hipotezę o zaplanowanym działaniu.

Teraz jednak, trzy i pół roku później, Sparkes uznał, że może zbyt szybko wykluczyli premedytację i postanowił ponownie zbadać taką możliwość.

– Idę do monitoringu – powiedział Salmond. – Wiszą mi przysługę. Tęgo dnia dyżur miał Russell Lynes, jego najlepszy kumpel

– razem zaczęli w policji.

– Hej, Russ, skoczmy na kawę?

Usiedli w stołówce. Obaj mieszały brązowy płyn w kubkach, ale żaden nie zamierzał go pić.

– Jak leci, Bob?

– W porządku. Dużo lepiej, odkąd znów przydzielili mi poważną sprawę. Teraz mamy nowy ślad, więc nie narzekam na brak roboty.

– Uważaj. Pamiętaj, że ostatnim razem ci to zaszkodziło.

– Będę uważał. Nie zaszkodziło, po prostu byłem przemęczony. Słuchaj, chciałbym rzucić okiem na jedną rzecz. Poprzednio coś przegapiłem.

– Ty tu rządzisz. Czemu sam się fatygujesz? Wyślij kogoś z zespołu.

– Mają masę roboty, minie parę tygodni, zanim znajdą czas. Jeśli mi pomożesz, po cichu, to zajmie mi to dzień, dwa.

– Okej, jak mogę ci pomóc? – zapytał Lynes i odsunął kawę, wychlapując trochę na stół.

– Dzięki, stary. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Poszli do gabinetu Sparkesa i usiedli nad rozpiską dostaw Taylora. Zaznaczyli wszystkie wizyty w Southampton i pobliskich miejscowościach. – Przejrzeliśmy klatka po klatce nagrania z okolicy domu Dawn Elliott w dniu porwania – zauważył Sparkes. – Ale furgonetkę Taylora widzieliśmy tylko pod adresem dostawy w Winchesterze i na skrzyżowaniu M3 z M25. Prawie sobie oczy wypatrzyłem, ale nic nie wskazywało na to, żeby jego furgonetka choć zbliżyła się do miejsca przestępstwa.

Świetnie pamiętał uczucie nadziei przy każdym kolejnym nagraniu i gorzkie rozczarowanie, kiedy na koniec okazywało się, że nawet nie mignęła w nim niebieska furgonetka.

– Chcę sprawdzić inne daty – powiedział. – Dni, kiedy Taylor dostarczał coś do Hampshire. Przypomnij mi, gdzie są kamery w okolicy Manor Road?

Lynes zaznaczył je na mapie jaskrawozielonym zakreślaczem. Pobliska stacja benzynowa zainstalowała kamerę przy wyjeździe, na wypadek gdyby ktoś chciał uciec bez płacenia. Fotoradar na



skrzyżowaniu wylapywał łamiących przepisy, w kilku sklepach – łącznie z kioskiem – zamontowano tanie kamerki, żeby zniechęcić złodziei.

– Jest też kamera przed żłobkiem, ale tego dnia Bella została w domu. Obejrzelismy już nagrania z wszystkich tych miejsc i nie trafiliśmy na nic ciekawego.

– Obejrzymy jeszcze raz. Musieliśmy coś przegapić.

Cztery dni później Sparkes odebrał telefon od Lynesa. Od razu domyślił się, że kolega coś znalazł. – Już idę – powiedział.

– Proszę bardzo. – Lynes wskazał samochód na ekranie.

Sparkes zmrużył oczy, próbując dopatrzeć się furgonetki na nieostrym obrazie.

W końcu ją zauważył. Tak, to ta furgonetka. Wymienili triumfalne spojrzenia i znów wpatrzyli się w ekran, żeby nacieszyć się odkryciem.

– Mamy pewność, że to on? – zapytał Sparkes.

– Pasuje do daty i godziny dostawy do Fareham, technicy zdołali częściowo odczytać rejestrację. Trzy litery zgadzają się z blachami Taylora.

Lynes włączył odtwarzanie.

– Teraz patrz.

Furgonetka zatrzymała się w polu widzenia kamery przed żłobkiem. Jak na zawołanie przez furtkę wyszły Dawn i Bella jako ostatnie z tłumu rodziców z dziećmi. Matka szarpała się z suwakiem w kurtce córki, dziewczynka trzymała w ręku wielką kartkę. Przeszły obok furgonetki i skręciły za róg, jak pewnie dziesiątki razy wcześniej. Po kilku sekundach samochód ruszył ich śladem.

Sparkes zrozumiał, że to właśnie w tej chwili Glen Taylor wybrał swoją ofiarę. Oczy zaszczyły mu łzami. Mruknął, że musi iść po notatnik, i zamknął się na chwilę w gabinecie.

– Jesteśmy tuż-tuż – powiedział sobie na głos. – Byle tylko tego nie schrząnąć. Żadnego pośpiechu, dopnijmy wszystko na ostatni guzik.

Spojrzał na Taylora, którzy szczyrzył się do niego ze ściany. – Mam nadzieję, że nie masz planów na wakacje, Glen.

Kiedy wrócił do laboratorium, Lynes zapisywał coś na tablicy.

– To film z czwartku, 28 września, cztery dni przed porwaniem Belli

– powiedział.

Sparkes przymknął na chwilę oczy, żeby dojść do siebie.

– On to zaplanował, Russ. To nie był przypadek. Obserwował je. Zauważyłeś go jeszcze gdzieś tego dnia?

– Na stacji benzynowej pod Hook, tankował w drodze powrotnej. Czas się zgadza.

– Dajmy te filmy do obróbki, niech wyciągną z nich tyle szczegółów, ile się da. Potem odwiedzę Glena Taylora – powiedział Sparkes.

Policjanci usiedli i patrzyli, jak technik przewija wte i wewte ujęcia furgonetki, robiąc zbliżenia przedniej szyby.

– Rozmazane jak jasna cholera, ale jestem praktycznie pewien, że to biały mężczyzna z krótkimi, ciemnymi włosami, bez okularów i gładko ogolony – oznajmił.

Twarz za szybą majaczyła niczym widmo. Biały owal z czarnymi plamami oczu.

## Rozdział 45

*Poniedziałek, 2 października 2006 roku*

### **Mąż**

Glen Taylor pierwszy raz zobaczył Bellę Elliott na Facebooku. Tego lata poznał Dawn (vel Pannę Słoneczko) na czacie. Opowiadała obcym ludziom o wyjściu do zoo z córką.

Jeden z nowych znajomych zapytał o zdjęcia Belli z wycieczki – może jakieś z jej ulubionymi małpkami? Glen, który jednym okiem śledził rozmowę, kliknął na link do profilu Dawn na Facebooku. Strona była publiczna, więc przejrzał przesłane fotografie.

Wyskoczyło zdjęcie Belli. Postanowił wyryć sobie w pamięci tę małą buzię, żeby móc przywołać ją, kiedy tylko będzie chciał, i uczynić bohaterką swoich mrocznych fantazji. Bella dołączyła do galerii, ale nie została w niej tak jak inne. Zaczął rozglądać się za nią na ulicy i w parkach, gdzie jadł czasem drugie śniadanie w trasie. Wypatrywał jej wśród małych blondyneczek.

Po raz pierwszy fantazje przeniosły się z ekranu do rzeczywistości, co budziło w nim zarazem strach i podniecenie. Chciał coś zrobić, działać. W czasie długich godzin spędzanych za kierownicą zaczął obmyślać plan poznania Belli.

Droga do niej prowadziła oczywiście przez Pannę Słoneczko, więc stworzył zupełnie nowy awatar tylko na potrzeby ich spotkań. Operacja „Złoto” nauczyła go, że nie można zostawiać żadnych śladów, zaczął więc odwiedzać kafejkę internetową niedaleko pracy. W drodze do domu zaglądał do świata Dawn, jednocześnie wciągając ją do swojego.

Nazwał się KsięciemZBajki i zaczął ukradkiem zbliżać się do Panny Słoneczko – dołączał do rozmów grupowych, kiedy pojawiała się na czacie, ale rzadko się odzywał. Nie chciał przyciągnąć niepotrzebnej uwagi, więc zadawał jej tylko co jakiś czas trafne pytania, przypochlebiał się i stopniowo stawał się jej stałym rozmówcą. Panna

Słoneczko wysłała pierwszą wiadomość prywatną do KsięciaZBajki po niespełna dwóch tygodniach znajomości.

*Panna Słoneczko:* Cze, co tam?

*KsiążeZBajki:* Leci. A u ciebie?

*Panna Słoneczko:* Nuda. Siedze w domu z mała.

*KsiążeZBajki:* To nie tak zle. Pewnie jest slodka.

*Panna Słoneczko:* Jest, jest. Udało mi sie.

Nie bywał tam codziennie – tu Jean, tu praca – ale przez jakiś czas udało mu się utrzymywać z nią kontakt. Pisał z dyskretnej kafejki, do której zabrał go kiedyś Mike Doonan, kiedy jeszcze ze sobą rozmawiali. Kiedy odwiedzali te same czaty i fora. Zanim Glen doniósł szefowi, że Doonan oszukuje z tymi plecami. Widział, jak wyskakuje z furgonetki przed Internet Inc. żwawo jak nastolatek, i uznał za swój obowiązek poinformować przełożonych. Każdy rozsądny człowiek by tak postąpił, powiedział Jean, a ona przyznała mu rację.

To w tym klubie poznawał kolejne szczegóły życia Dawn. Z profilu na Facebooku znał jej imię i nazwisko oraz datę urodzenia Belli. Z rozmowy o restauracjach przyjaznych dzieciom dowiedział się, że mieszkają gdzieś w Southampton. Dawn chwaliła McDonald'sa („nikt nie narzeka, kiedy dziecko ryczy, no i jest tanio”), zwłaszcza lokalnego.

Wstąpił następnym razem, kiedy miał dostawę w okolicy. Tak tylko się rozglądam, myślał. Rozpakował hamburgera i przyglądał się otaczającym go rodzinom.

Po jedzeniu postanowił trochę się przejechać. Tylko się rozejrzeć.

Trochę to trwało, ale Dawn w końcu wymknęło się, gdzie Bella chodzi do żłobka, w beztroskiej pogawędce z inną matką. Dawn uznawała każdą rozmowę w Internecie za prywatną – tak jak czasem ludzie w autobusie rozmawiają przez komórkę o problemach małżeńskich czy chorobach wenerycznych. Glen wydał bezgłośnie triumfalny okrzyk i czule przygarnął cenną informację.

Wieczorem przy zapiekance z kurczaka zapytał Jean o jej dzień.

– Lesley mnie dziś pochwaliła. Eve chciała fryzurę na pazia, w stylu Keiry Knightley, z rudymi pasemkami. Wiedziałam, że to nie dla niej, z tą puciołowatą twarzą zupełnie nie przypomina Keiry Knightley, ale bardzo jej się podobało.

– To świetnie, kochanie.

– Ciekawe, co na to jej mąż. Chcesz ostatni kawałek kurczaka? Zjedz, bo się zmarnuje.

– No dobrze. Nie wiem, czemu jestem taki głodny, zjadłem wielką kanapkę na drugie śniadanie, ale to jest pyszne. Co dziś leci w telewizji? *Top Gear*? Pozmywamy szybko i obejrzymy.

– Idź, oglądaj. Ja pozmywam.

Pocałował ją w czubek głowy i przecisnął się obok. Czekając, aż zlew napelni się gorącą wodą, Jean nastawiła czajnik.

Dopiero gdy zasiadł przed telewizorem, pozwolił sobie dogłębnie przemyśleć nową informację. Wiedział, gdzie znajdzie Dawn i Bellę. Mógł zaczekać pod żłobkiem, a potem pojechać za nimi do domu. Tylko co dalej? Co właściwie zamierzał? Nie chciał myśleć o tym na kanapie we własnym salonie, z żoną siedzącą tuż obok.

Zastanowi się na spokojnie, kiedy będzie sam. Coś wymyśli. Chciał tylko je zobaczyć.

Chciał tylko popatrzeć.

Nie zamierzał rozmawiać z Dawn. Dopilnował, żeby nie wiedziała, jak wygląda, ale nie mógł ryzykować rozmowy. Musiał zachować dystans. Utrzymać barierę ekranu komputera.

Następną dostawę na południu zlecono mu dopiero kilka tygodni później. Czekanie go wykańczało. Nieustannie obmyślał szczegóły planu, martwił się, czy uda mu się urzeczywistnić fantazję, a jednocześnie wciąż grał rolę oddanego męża. Musiał zachowywać pozory, nie mógł sobie pozwolić na żadne potknięcie.

Uroczyście uczcili siedemnastą rocznicę ślubu: kwiaty dla Jean, obiad na mieście. Zajęli miejsca przy stoliku w jej ulubionej włoskiej restauracji... Równie dobrze mógłby siedzieć na Księżycu. Jean zdawała się nic nie zauważać. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Jechał autostradą, czując mdłości z podniecenia. Znalazł w sieci adres żłobka. Zamierzał zaparkować w pobliżu i czekać.

Gdy dotarł na miejsce, dzieci właśnie wychodziły. Każde w jednej ręce ścisnęło obrazek wyklejony kolorowym makaronem, a drugą trzymało się mamy. Bał się, że przyjechał za późno. Zaparkował tak, żeby widzieć wszystko w lusterku wstecznym, ale żeby nikt nie mógł

dojrzyć jego twarzy.

Prawie je przegapił. Dawn wyglądała starzej niż na zdjęciach z Facebooka – włosy ściągnęła do tyłu, niemal tonęła w niechlujnym swetrze. To Bellę rozpoznał: szła w wesołych podskokach. Glen obserwował je w lusterku. Mijały jego samochód i wtedy pierwszy raz zobaczył je z bliska. Dojrzał rozmazany makijaż pod oczami Dawn i złoty blask włosów Belli.

Począł, aż znikną za rogiem, i odpalił silnik. „Chcę tylko zobaczyć, gdzie mieszkają” – tłumaczył sobie. „Tyle. To chyba nic złego? Nigdy się o tym nie dowiedzą”.

W drodze powrotnej do domu zjechał z autostrady, zaparkował na polnej drodze, wyłączył telefon i zaczął się masturbować. Próbował skupić się na Dawn, ale jej obraz ciągle mu umykał. Było to tak głębokie, ekstremalne przeżycie, że potem długo nie mógł dojść do siebie. Bał się człowieka, którym się stał. Obiecał sobie, że to się już nigdy nie powtórzy. Koniec z Internetem, koniec z pornosami. To choroba, ale on ją pokona.

Jednak kiedy 2 października dostał zlecenie w Winchesterze, wiedział, że znów pojedzie na ulicę Belli.

Włączył radio w samochodzie, żeby myśleć o czymś innym, ale nie mógł wyrzucić z głowy tego złotego blasku. „Sprawdzą tylko, czy są w domu” – pomyślał. Ale kiedy zatrzymał się po benzynę, kupił na stacji przeceniony śpiwór i cukierki.

Fantazja tak mocno go pochłonęła, że przegapił zjazd i musiał nadrobić kawał drogi do warsztatu. Jak we śnie odgrywał przed klientem rolę dostawcy, żartował i zagadywał, cały ten czas skrywając sekret. Jechał na Manor Road i nic nie mogło go powstrzymać.

Robił to między innymi właśnie dla tego poczucia zagrożenia. Glen Taylor, były pracownik banku i kochający mąż, zdawał sobie sprawę, do jakiej hańby i upokorzenia mogą doprowadzić jego działania, ale Książę ZBajki chciał podejść jak najbliżej, dotknąć, nawet jeśli miał się sparzyć.

– Do zobaczenia, Glen! – zawołał jeden z chłopaków z działu części zamiennych.

– Na razie – odparł.

Wdrapał się do furgonetki. Ciągłe mógł jeszcze zawrócić, pojechać do domu i znów być sobą. Wiedział jednak, co zrobi. Włączył kierunkowskaz.

Manor Road świeciła pustkami. Mieszkańcy siedzieli w pracy lub w domach. Jechał powoli, jakby szukał adresu – dobrze odgrywał swoją rolę. I wtedy ją zobaczył: stała za murkiem i patrzyła na szarego kota, który tarzał się na brudnym chodniku. Czas zwolnił. Zorientował się, że zatrzymał samochód. Dźwięk silnika zwrócił uwagę dziewczynki – patrzyła na niego z uśmiechem.

Do rzeczywistości przywrócił go trzask drzwi wyjściowych gdzieś za furgonetką. W bocznym lusterku zobaczył starszego mężczyznę stojącego na progu domu. Glen ruszył, niemal od razu skrzył w boczną uliczkę i przejechał się po okolicy. Stary go zobaczył? Zauważył jego twarz? A jeśli nawet, to co? Nie robił nic złego. Parkował sobie po prostu.

Wiedział jednak, że musi wrócić. Dziewczynka na niego czekała.

Skręcił z powrotem w Manor Road i zobaczył, że znów nikogo nie ma w pobliżu. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko kota i małą, która machała od niego z ogródka.

Nawet nie wiedział, kiedy wysiadł z samochodu i do niej podszedł. Pamiętał tylko, że wziął ją na ręce, zaniósł do furgonetki, posadził na fotelu pasażera i zapiął pasy. Wszystko trwało mniej niż minutę, a dziewczynka nawet nie pisnęła. Ssała cukierka i bez protestów pozwoliła się zabrać z Manor Road.

## Rozdział 46

*Piątek, 11 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Dawn ciągle pokazuje się w telewizji. W kółko powtarza, że Bella wciąż żyje, że zabrał ją ktoś, kto nie mógł mieć dzieci, chociaż bardzo chciał. Teraz na pewno otacza ją troską, miłością i wygodami. Dawn wyszła za jednego z ochotników z kampanii, starszego mężczyznę, który zdaje się ciągle jej dotykać. Urodziła drugą dziewczynkę. Gdzie jest sprawiedliwość? W telewizji śniadaniowej mocno tuli w ramionach nową córeczkę, żeby udowodnić, jaka z niej świetna matka, ale mnie nie oszuka.

Kiedy Glen jeszcze żył, zawsze wyłączał telewizor na widok Dawn – od niechcienia, jakby po prostu nudził go program – a potem wychodził z pokoju. Jeśli jednak nie było go w domu, zawsze oglądałam. Kupowałam też wszystkie dzienniki i kolorowe gazety z artykułami o Belli. Uwielbiałam oglądać ją na zdjęciach i filmach: bawiła się, śmiała, otwierała prezenty pod choinką, śpiewała, myłac słowa, jak to dziecko, pchała wózek z lalkami... Zebrałam sporą kolekcję wszystkich gazet, którym Dawn udzieliła wywiadów. Uwielbiała pojawiać się w mediach. Miała swoje pięć minut sławy.

Teraz przyszedł czas na mnie.

Mick zjawia się w końcu z torbami pełnymi zakupów i chińszczyzną na wynos. – Nie chce mi się gotować – mówi Kate ze śmiechem. – Stwierdziłam, że możemy zaszaleć.

Mick najwyraźniej też zostaje na noc. Próbuję sobie przypomnieć, gdzie schowałam pościel na kanapę.

– Nie przejmuj się mną, Jean – mówi z uśmiechem nastolatka.  
– Mogę się przespać na podłodze. Nie jestem wybredny.

Wzruszam ramionami. Mam dość tej całej sytuacji, jest mi wszystko jedno. Kiedy indziej zaczęłabym ścielić łóżka, szykować



ręczniki, wymieniać mydło na nowe, ale teraz mam to gdzieś. Trzymam na kolanach talerz makaronu ze lśniącymi czerwonymi kawałkami kurczaka i zastanawiam się, czy mam siłę podnieść widelec.

Kate i Mick siedzą na kanapie naprzeciwko mnie. Jedzą bez większego entuzjazmu.

– Paskudne – oznajmia w końcu Mick i odsuwa danie.

– Sam wybrałeś – stwierdza Kate. Na widok mojego pełnego talerza dodaje: – Przykro mi, Jean. Ugotować ci coś innego?

Kręcę głową. – Wystarczy herbata – odpowiadam.

Mick pyta, czy mam jakieś konserwy, i idzie sobie zrobić grzanki z fasolką. Wstaję, żeby pójść do łóżka, ale Kate włącza wiadomości, więc siadam z powrotem. Mówią coś o żołnierzach w Iraku. Odchylam się na oparcie.

Następny materiał jest o mnie. Nie wierzę własnym oczom. Moja twarz na jednym ze zdjęć Micka. – Hej, Mick, szybko! Twoje zdjęcia w telewizji! – woła Kate w stronę kuchni, a on pędzi do salonu i opada ciężko na kanapę.

– Wreszcie sława – mówi i uśmiecha się szeroko, a prezynter nawija o wywiadzie na wyłączność dla „Daily Post” i o moim „sensacyjnym wyznaniu”, że Glen uprowadził Bellę.

Chcę coś powiedzieć, ale kamera pokazuje teraz Dawn, z zapuchniętymi od płaczu oczami. Zapytana o zdanie na temat wywiadu odpowiada:

– Ta kobieta jest potworem – i dopiero po dłuższej chwili orientuję się, że to mnie ma na myśli. Mnie. – Musiała o tym wiedzieć od samego początku – zawodzi. – Wiedziała, co jej mąż zrobił mojej biednej córeczce.

Wstaję i zwracam się do Kate.

– Co napisałaś? – pytam napastliwie. – Zrobiłaś ze mnie potwora? Zaufałam ci, wszystko ci powiedziałam.

Kate unika mojego wzroku, ale twierdzi, że Dawn „zrozumiała wszystko na opak”.

– Niczego takiego nie napisałam – upiera się. – Przedstawiłam cię jako jedną z ofiar Glena, która dopiero dużo później zorientowała się, że rzeczywiście mógł porwać Bellę.

Mick w milczeniu jej przytakuje, ale nie wierzę im. Wściekła wypadam z pokoju. Nie mogę znieść ich zdrady. Po chwili jednak wracam.

– Wynoście się – mówię. – Zostawcie mnie samą albo wezwę policję i każę was wyrzucić.

Zapada cisza. Kate zastanawia się, czy uda jej się mnie przekonać.

– Pieniądze, Jean... – zaczyna.

Wypycham ich do przedpokoju i jej przerywam. – Weźcie je sobie – mówię i otwieram drzwi. Pan TV wciąż czeka cierpliwie na końcu ścieżki wraz z całą ekipą.

Mówi coś do niej przy furtce, ale ona rozmawia już przez telefon z Terrym i tłumaczy mu, że „wszystko się rypło”. Gestem przywołuję dziennikarzy z telewizji. Mam im coś do powiedzenia.

## Rozdział 47

*Piątek, 14 maja 2010 roku*

### Detektyw

Upływały dni i tygodnie, a nadal nie podjęto decyzji o ponownym aresztowaniu Taylora. Nowe szefostwo najwyraźniej nie paliło się do powtórzenia błędów poprzedników i z całych sił broniło swojej bezczynności.

– Gdzie dowody na powiązanie Taylora z tym nowym nagraniem z monitoringu? Albo z klubem internetowym? – zapytała nadkomisarz Wellington po obejrzeniu filmu. – Mamy tylko fragment rejestracji i niewiele warte zeznania handlarza świerszczykami. Nikt nie zidentyfikował podejrzanego, jeśli nie liczyć twojego instynktu, Bob.

W innej sytuacji Sparkes by zrezygnował, ale nie mógł tak zostawić Belli.

Byli już blisko. Technicy ślęczeli nad nagraniami, próbując wycisnąć choć jedną dodatkową cyfrę lub literę z tablicy rejestracyjnej, eksperci porównywali język użyty w mejlach KsięciaZBajki i DużegoMisia. Prawie trzymał już rękę na ramieniu Glena Taylora.

Wiadomość o jego śmierci odczuł więc niemal jak fizyczny cios.

– Nie żyje?

Znajomy z londyńskiej policji zadzwonił do niego natychmiast po otrzymaniu zgłoszenia. – Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć. Przykro mi, Bob.

To „przykro mi” zabrzmiało jak gwóźdź do trumny. Rozłączył się i schował twarz w dłoniach. Obaj wiedzieli, że nie będzie już przyznania się do winy, szansa na chwilę triumfu przepadła bezpowrotnie. Nigdy nie znajdą Belli.

Nagle poderwał głowę. Jean. Odzyskała wolność. Teraz może wreszcie wyznać prawdę, opowiedzieć, co zdarzyło się tamtego dnia.

Sparkes zawołał Salmond. Kiedy zajrzała do jego gabinetu,

wychrypiał: – Glen Taylor nie żyje. Wpadł pod autobus. Jedziemy do Greenwich.

Przez chwilę Salmond wyglądała jakby miała się rozplakać, ale wzięła się w garść i włączyła tryb supermenki, twardej i apodyktycznej.

W samochodzie Sparkes przekazał jej szczegóły. Co prawda Zara wszystkie je знаła, ale potrzebował powiedzieć to na głos, przepracować sprawę od początku do końca.

– Od początku uważałem, że Jean kryje Glena. To porządna kobieta, ale całkowicie przez niego zdominowana. Wcześniej się pobrali. On był tym bystrym z ich dwójki, dobrze uczył się w szkole, miał porządną pracę. Ona robiła za ładną żonkę.

Salmond spojrzała na szefa z ukosa.

– Ładną żonkę?

Udało mu się zaśmiać.

– Chodzi mi o to, że była strasznie młoda, kiedy się poznali. Zawrócił jej w głowie garniturami i wielkimi planami na przyszłość. Nie miała kiedy nauczyć się samodzielności.

– To trochę jak moja mama – odparła Salmond i włączyła kierunkowskaz przed zjazdem z autostrady.

Ale ty jesteś inna, pomyślał Sparkes. Poznał jej męża – solidny, sympatyczny facet, który nie próbował jej marginalizować ani spychać na drugi plan.

– Wygląda mi to na przypadek *folie à deux*, obłądu udzielonego – powiedziała Salmond z namysłem. – Jak Brady i Hindley czy Fred i Rosemary West. Czytałam sporo o tych sprawach przy okazji pisania pracy na studiach. Paranoja dominującego partnera udziela się drugiej osobie i oboje zaczynają bezkrytycznie w coś wierzyć, na przykład że mają do czegoś niezaprzeczalne prawo. Ustalają swój własny system wartości, nieakceptowany poza ich związkiem. Nie wiem, czy dobrze to tłumaczę. Przepraszam, jeśli nie wyrażam się jasno.

Sparkes w milczeniu rozważał nową teorię.

– Ale jeśli mamy do czynienia z *folie à deux*, to Jean musiała wiedzieć o porwaniu Belli i nie mieć nic przeciwko.

– Zdarzają się takie przypadki, jak mówiłam – ciągnęła Salmond, nie odrywając wzroku od drogi. – Po rozdzieleniu takiej pary osoba

zdominowana często dość szybko pozbywa się urojeń. Można powiedzieć, że odzyskuje rozum. Rozumie pan, komisarzu?

Jean nie zdradziła nic nawet po aresztowaniu Glena. Czy mógł ją kontrolować nawet zza kratki?

– Zastanawiałem się nad dysonansem poznawczym albo wybiórczą amnezją – zaryzykował Sparkes, nieco niepewnie odwołując się do swoich lektur z psychologii kryminalistycznej. – Może bała się, że wszystko straci, jeśli się przyzna, nawet przed sobą? Czytałem, że w wyniku traumy umysł często kasuje wyjątkowo bolesne czy stresujące wspomnienia. Usunęła więc wszystkie szczegóły, które nie pasowały do jej przekonania o niewinności Glena.

– To naprawdę możliwe? Wmówić sobie, że białe jest czarne? – zapytała Salmond.

„Ludzki umysł jest pełen niespodzianek” – pomyślał Sparkes, ale nie chciał wyskakiwać z takim frazesem.

– Nie jestem ekspertem, Zaro. Czytałem trochę na ten temat w wolnym czasie. Trzeba by porozmawiać z kimś, kto lepiej się na tym zna.

Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu i poczuł ukłucie zażenowania. „Tak nie wypada” – napomniął się. Do Matthews'a zawsze mówił w pracy po nazwisku. Ukradkiem rzucił okiem na sierżantkę. Nie wydawała się urażona, chyba nawet nie zauważyła nieprofesjonalnego przejęzyczenia.

– Do kogo powinniśmy się zwrócić, komisarzu?

– Znam jedną badaczkę, która mogłaby coś nam doradzić. Doktor Fleur Jones, kiedyś z nią współpracowaliśmy.

Ucieszył się, że Salmond nie zareagowała negatywnie na to nazwisko. To nie z winy Fleur Jones wszystko poszło nie tak.

– Może pan do niej zadzwoni? – zaproponowała. – Zanim dotrzemy na miejsce. Powinniśmy wiedzieć, jak najlepiej dobrać się do Jean Taylor.

Salmond zjechała na najbliższą stację serwisową, a Sparkes wykręcił numer.

Godzinę później Sparkes wszedł na szpitalny oddział ratunkowy.

– Dzień dobry, Jean – przywitał się i usiadł obok niej na

pomarańczowym plastikowym krześle. Nawet nie drgnęła na jego widok. Była blada jak ściana, oczy miała ciemne z żalu.

– Jean – spróbował znowu i wziął ją za rękę.

Nigdy wcześniej jej nie dotykał, jeśli nie liczyć prowadzenia do radiowozu, ale teraz nie mógł się powstrzymać. Wyglądała tak biednie i bezbrannie.

Jej dłoń zdawała się lodowata w uścisku jego gorących rąk, ale jej nie puszczał. Cały czas mówił do niej, cicho, ale stanowczo, żeby nie zmarnować szansy.

– Teraz możesz mi wszystko powiedzieć, Jean. Co Glen zrobił z Bellą, gdzie ją ukrył. Tajemnice nie są potrzebne. To były sekrety Glena, nie twoje. Ty też padłaś jego ofiarą, Jean. Tak jak Bella.

Wdowa odwróciła się od niego i wyraźnie zadrżała.

– Powiedz mi, Jean, proszę. Wyrzuć to z siebie, odzyskasz spokój.

– Nie wiem nic o Belli, Bob – odpowiedziała powoli, jakby tłumaczyła coś dziecku. Potem uwolniła rękę z jego uścisku i wybuchnęła bezgłośnym płaczem. Łzy spływały jej z podbródka, kapały na nogi.

Sparkes został na swoim miejscu, niezdolny wstać i odejść. Jean Taylor poszła w stronę toalety.

Piętnaście minut później wyszła z łazienki, przyciskając chusteczkę do ust. Ruszyła prosto do wyjścia ze szpitala i zniknęła.

Poczucie porażki sparaliżowało Sparkesa. – Schrzanilem naszą ostatnią szansę – wybąkał do Salmond, która zajęła krzesło Jean. – Dałem ciała.

– Jest jeszcze w szoku, komisarzu. Nie wie, co się dzieje. Pozwólmy jej dojść do siebie i wszystko przemyśleć. Wrócimy do niej za parę dni.

– Jutro. Pojedziemy do niej jutro – oświadczył Sparkes i wstał.

Dwadzieścia cztery godziny później stali pod jej drzwiami. Jean otworzyła im, ubrana na czarno i nagle starsza o dziesięć lat.

– Jak się trzymasz, Jean? – zapytał Sparkes.

– Mam lepsze i gorsze dni. Wczoraj odwiedziła mnie mama Glena, została na noc – odparła. – Proszę, wejdźcie.

Sparkes usiadł obok niej na kanapie, zwracając się w jej stronę, tak

by mogła poświęcić mu pełną uwagę, i zaczął delikatniej. Zara Salmond przedyskutowała problem

z doktor Jones i obie uznały, że najlepiej zacząć od pochlebstwa, sprawić, by Jean poczuła się ważna i odpowiedzialna za własne decyzje.

– Byłaś prawdziwą podporą dla Glena. Zawsze go wspierałaś, trwałaś u jego boku.

Zignorowała komplement.

– To mój mąż, liczył na mnie.

– Na pewno nie było ci łatwo, Jean. Wzięłaś spory ciężar na swoje barki, żyłaś pod ciągłą presją.

– Nie miałam nic przeciwko. Wiedziałam, że jest niewinny – odrzekła. Powtarzana do znudzenia formułka zabrzmiała pusto.

Sierżant Salmond wstała i zaczęła się rozglądać po pokoju.

– Żadnych kartek z kondolencjami? – zapytała.

– Nie spodziewam się wyrazów współczucia, raczej nienawiści, jak zwykle – odpowiedziała Jean.

– Gdzie odbędzie się pogrzeb? – zapytał Sparkes.

W drzwiach stanęła matka Glena Taylora; najwyraźniej podsłuchiwała w przedpokoju.

– W krematorium. Zrobimy małą prywatną uroczystość pożegnalną, prawda?

Jean pokiwała głową w zamyśleniu.

– Myślisz, że przyjdą dziennikarze? – zapytała. – Tego bym nie zniosła.

Mary Taylor przysiadła na poręczu kanapy obok synowej i pogłaskała ją po głowie. – Poradzimy sobie, Jeanie. Tyle już zniosłyśmy. Może teraz dadzą ci wreszcie spokój.

Ostatnią uwagę skierowała pod adresem detektywów, którzy okupowali ich salon tak jak reporterzy koczujący pod drzwiami.

– Pukali od ósmej rano. Tłumaczyłam, że Jean jest załamana, ale nie dają za wygraną. Uważam, że powinna na jakiś czas przenieść się do mnie, ale ona chce zostać w domu.

– Tu jest Glen – stwierdziła Jean. Sparkes zebrał się do wyjścia.

## Rozdział 48

*Czwartek, 27 maja 2010 roku*

### **Wdowa**

Dzień pogrzebu nadszedł tak szybko, że pozwoliłam Mary wybrać hymny i czytania. W takim stanie i tak nie wiedziałabym, na co się zdecydować. Wybrała bezpiecznie: *Cudowną Bożą łaskę* i *Pan mym pasterzem*, bo wszyscy znają melodię – a to dość istotne, biorąc pod uwagę, że w krematoryjnej kaplicy zebrało się nas zaledwie piętnaścioro.

Wcześniej pożegnałyśmy się z Glenem w domu pogrzebowym. Wyglądał bardzo elegancko w trzyczęściowym garniturze, jeszcze z czasów pracy w banku, i swoim ulubionym granatowo-złotym krawacie. Uprałam i wyprasowałam jego najlepszą koszulę – prezentował się doskonale i chyba byłby zadowolony. Oczywiście tak naprawdę to nie Glen leżał w tej trumnie. Nie było go tam, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Wyglądał jak figura woskowa. Jego matka zanosila się szlochom, więc ja stanęłam z tyłu, żeby mogła zostać na chwilę sama z synem. Nie mogłam oderwać wzroku od jego dłoni z idealnie wypolerowanymi, różowymi paznokciami. Niewinnych dłoni.

Z zakładu pogrzebowego pojechaliśmy z Mary do Johna Lewisa po kapelusze.

– Tam znajdują panie całą naszą ofertę – wskazała palcem ekspedientka.

Stanęłyśmy przed ścianą z trzydziestoma czarnymi kapeluszami i próbowałyśmy oczami wyobraźni zobaczyć się na pogrzebie Glena. Zdecydowałam się na toczek z małą siatkową woalką zakrywającą oczy, Mary wybrała kapelusz z rondem. Kosztowały fortunę, ale żadna z nas nie miała dość energii, żeby zwrócić na to uwagę. Wyszłyśmy na ulicę z papierowymi torbami i przez chwilę stałyśmy bez ruchu zagubione.

– Chodź, Jeanie, wracamy do domu. Napijemy się herbaty – powiedziała w końcu Mary.



I tak zrobiłyśmy.

Dziś zakładamy swoje nowe kapelusze przed lustrem w przedpokoju i jedziemy taksówką do krematorium. Delikatnie trzymamy się za ręce, ledwie stykając się dłońmi. Ojciec Glena wygląda przez okno na mżawkę.

– Na pogrzebach zawsze pada – mówi. – Co za paskudny dzień.

Dziwna rzecz: pogrzeby. Podobnie jak wesela. Spędy ludzi, których nie widzimy przy żadnej innej okazji, nadrabianie zaległości przy bufecie, śmiech i płacz. Nawet tutaj, na pogrzebie Glena, słyszę cichy śmiech jednego ze starszych wujków. Po przyjeździe zaprowadzono nas do poczekalni – mnie, rodziców moich i Glena oraz niewielką grupkę Taylorów. Cieszę się, że nikt więcej nie przyszedł.

Nikogo z banku, nikogo z salonu. Nie należymy już do tamtego świata.

Potem pojawia się Bob Sparkes. W czarnym garniturze i krawacie wygląda jak przedsiębiorca pogrzebowy. Staje w pewnej odległości od reszty żałobników, na skraju ogrodu pamięci, i udaje, że czyta nazwiska zmarłych na tabliczkach. Nie wysłał kwiatów, ale prosiliśmy, żeby tego nie robić.

– Kwiaty tylko od rodziny – poradził nam właściciel zakładu.

Mamy więc tylko moją wiązanekę lilii i laurów („Klasycznie i z klasą” – niemal radośnie zaćwierkała młoda kwiaciarka) oraz zamówione przez Mary białe chryzantemy ułożone w kształt imienia Glena. Nie spodobałyby mu się. Niemal słyszę, jak narzeka, jakie to pospolite, ale najważniejsze, że podobają się Mary.

Ciągle rozglądam się za Bobem Sparkesem.

– Kto go zaprosił? – pyta zirytowana Mary.

– Nie przejmuj się nim, kochanie. – George klepie ją po ramieniu.

– Dziś to nieważne.

Nabożeństwo odprawia pastor z kościoła Mary. Mówi o Glenie jak o prawdziwym człowieku, a nie bohaterze afery z pierwszych stron gazet. Wciąż zerka na mnie, jakby to tylko do mnie mówił. Chowam się za woalką, a on nadal opowiada o Glenie jak o znajomym. Rozwodzi się o jego miłości do piłki nożnej, o świetnych wynikach w szkole, o wspaniałej, kochającej żonie, która wspierała go w trudnych chwilach.

Przez zgromadzony tłumek przebiega szmer. Opieram głowę na ramieniu taty i zamykam oczy, kiedy trumna przesuwa się do przodu i niknie za zasłoną. Koniec. Nie ma go.

Na zewnątrz szukam Boba Sparkesa. Jego też już nie ma. Każdy chce mnie wyściskać, wycałować i pochwalić. Zmuszam się do uśmiechu, odwzajemniam uściski. Wkrótce jest po wszystkim. Myśleliśmy nawet o jakimś podwieczorku, ale nie wiedzieliśmy, czy ktoś w ogóle przyjdzie. Poza tym na stypie trzeba by rozmawiać o Glenie i mógłby wypłynąć temat Belli.

Załatwiamy sprawę szybko. Wracamy w piątkę do mnie, pijemy herbatę i zjadamy wyjęte z lodówki kanapki z szynką, przygotowane wcześniej przez Mary. Zawijam kapelusz z powrotem w papier, chowam do firmowej torby i wsuwam na szafę. Po raz pierwszy od śmierci Glena w domu zapada cisza. Zakładam szlafrok i przechodzę przez wszystkie pomieszczenia. Dom nie jest duży, ale Glen czai się w każdym kącie i wciąż spodziewam się, że usłyszę jego głos: „Jeanie, gdzie położyłaś gazetę? Lecę do pracy, kochanie, do zobaczenia później!”.

W końcu robię sobie drinka i biorę go do łóżka razem z garstką kartek i listów od rodziny. Wrogie anonimy spaliłam wcześniej na kuchence gazowej.

Bez niego łóżko wydaje się większe. Nie zawsze w nim spał – niespokojne noce spędzał na kanapie w salonie. „Nie chcę cię budzić, Jean” – mówił i zabierał poduszkę. Nie chciał już wchodzić do pokoju gościnnego, więc kupiliśmy rozkładaną kanapę, na której kładł się w środku nocy. Na dzień chowaliśmy za nią kołdrę. Nie wiem, czy ktoś to zauważył.

## Rozdział 49

*Sobota, 12 czerwca 2010 roku*

### **Detektyw**

Bob Sparkes przeczytał relacje z pogrzebu i obejrzał zdjęcia: Jean w krematorium, zbliżenie na ułożone z kwiatów imię Glena. „Jak teraz odnajdziemy Belle?” – gazety zdawały się z niego drwić.

Próbował skupić się na pracy, ale wciąż łapał się na tym, że wpatruje się w przestrzeń, zagubiony i niezdolny do działania. Postanowił wziąć urlop i się pozbierać. – Spakujmy się i jedźmy do Devonu. Na miejscu poszukamy jakiegoś noclegu – powiedział Eileen w sobotę rano.

Poszła poprosić sąsiadów, żeby pod ich nieobecność zajęli się kotem, a on przeglądał pocztę przy stole.

Eileen wpadła przez tylne wejście z naręczem strączków grochu. – Musiałam szybko je pozbierać, bo do naszego powrotu mogłyby przejrzeć i pospadać. Szkoda, żeby się zmarnowały.

Najwyraźniej głęboko wierzyła, że życie w ich domu będzie toczyć się dalej, nawet jeśli jej mąż nacisnął w głowie pauzę. Zawsze pograżał się w rozmyślaniach i za to go kochała. Jej znajomi mówili, że jest głęboki. Podobała jej się ta głębia. Ale teraz zamieniła się w czarną otchłań.

– Obierz ten groszek do końca, Bob, a ja się spakuję. Na ile jedziemy?

– Nie wiem, na tydzień? Co ty na to? Przyda mi się trochę świeżego powietrza i długich spacerów.

– Brzmi świetnie.

Sparkes machinalnie wykonywał powierzone zadanie – rozcinał paznokciem kolejne strąki i wyciskał groszki na sitko – bijąc się z myślami. Wiedział, że za bardzo wziął to wszystko do siebie. Jeszcze nigdy żadna sprawa tak mocno go nie dotknęła, nie doprowadziła do łez,

nie zagroziła karierze. Może powinien wrócić do tamtej nawiedzanej terapeutki? Zaśmiał się w głos, krótko, ale Eileen dosłyszała i aż zbiegła na dół sprawdzić, co się dzieje.

Podróż minęła bezboleśnie: ciepły letni dzień, jeszcze przed wakacjami, mały ruch na autostradzie (Sparkes wybrał tę drogę, żeby jak najszybciej zostawić za sobą sprawę). Eileen siedziała obok i raz po raz kładła mu rękę na kolanie albo ścisnęła dłoń. Czuli się młodzi, nieco oszołomieni spontaniczną decyzją.

Eileen opowiadała mu, co słyhać u dzieci, jakby wybudził się właśnie ze śpiączki. – Sam mówi, że w przyszłym roku pobiorą się z Pete'em, latem. Chce urządzić ślub na plaży.

– Na plaży? Domyślam się, że nie w Margate. No cóż, jak tam sobie chce. Wyglądają z Pete'em na szczęśliwych, prawda?

– Bardzo, Bob. Martwię się natomiast o Jamesa. Za dużo pracuje.

– Ciekawe, po kim to ma – zażartował i zerknął na żonę, żeby sprawdzić jej reakcję. Uśmiechnęli się do siebie i Sparkes poczuł, że ucisk w żołądku zaczyna ustępować, po raz pierwszy od wielu tygodni. Może nawet miesięcy.

Niezwykłą przyjemność sprawiała mu rozmowa o własnym życiu zamiast o problemach innych ludzi.

Postanowili zatrzymać się w Exmouth na kanapki z krabem. Byli tu kiedyś na wakacjach z dziećmi i mieli szczęśliwe wspomnienia z tego miejsca. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo: hortensje jak niebieskie pompony, łopoczące na wietrze flagi wokół jubileuszowej wieży zegarowej, wrzeszczące mewy, pastelowe budki na plaży. Jakby wysiedli z samochodu wprost w lata dziewięćdziesiąte. Przespacerowali się promenadą, żeby rozprostować nogi i napatrzeć się na morze.

– Chodź, kochanie. Zbierajmy się. Zadzwoń do pubu i zarezerwowałem nam pokój – powiedział, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Za jakąś godzinę powinni dotrzeć do Dartmouth. Stamtąd już prosto do Slapton Sands na rybną kolację.

Jechali z opuszczonymi szybami, wiatr targał im włosy na wszystkie strony.

– Niech wywieje wszystko co złe – powiedziała Eileen, tak jak się

spodziewał. Zawsze to mówiła.

Pomyślał o Glenie Taylorze, ale nic nie powiedział.

Rozsiedli się na ławkach pod pubem, chłonęli resztki słonecznego ciepła i planowali poranną kąpiel. – Wstańmy jak najwcześniej i chodźmy na plażę – zaproponował Sparkes.

– Właśnie nie. Wyśpijmy się porządnie, poleniuchujmy w łóżku, potem się powłóczymy. Mamy cały tydzień, Bob – zaproponowała Eileen i uśmiechnęła się na samą myśl o siedmiu dniach tylko dla nich.

Późno poszli do pokoju. Eileen wskoczyła pod prysznic. Sparkes odruchowo włączył telewizję, żeby obejrzeć wiadomości. Zobaczył Jean Taylor udzielającą wywiadu w swoim salonie i poczuł znajomy ucisk w żołądku. Wrócił do dawnej roli.

– Kochanie, muszę wracać! – zawołał. – Jean Taylor mówi, że Glen porwał Bellę.

Eileen wyszła z łazienki owinięta w ręcznik i z turbanem na mokrych włosach.

– Co? Coś mówiłeś?

Potem zobaczyła znajome twarze w telewizji i opadła na łóżko.

– Jezu, czy to się nigdy nie skończy?

– Nie, Eileen. Przykro mi, ale nie skończy się, dopóki nie dowiem się, co stało się z tą małą. Jean wie, muszę znowu ją o to spytać. Możesz być gotowa za piętnaście minut?

Pokiwała głową, odwinęła ręcznik z włosów i zaczęła energicznie je wycierać.

Powrót upłynął w ciszy. Eileen spała, a Sparkes jechał pustymi drogami, o każdej pełnej godzinie włączając radio, na wypadek gdyby pojawiły się nowe doniesienia.

Kiedy dotarli do domu, długo nie mógł dobudzić żony. Potem oboje padli na łóżko, praktycznie nie zamieniwszy ani słowa.

## Rozdział 50

*Niedziela, 13 czerwca 2010 roku*

### **Reporterka**

– Idzie nasza gwiazda! – zawołał naczelny na całą redakcję, kiedy Kate następnego ranka przyszła do pracy. – Świetny materiał, Kate. Dobra robota! – Tu i tam rozległy się oklaski, kilka osób zawołało: – Super, Kate! – Poczowała, że się rumieni i próbowała uśmiechnąć się bez zarozumiałstwa.

– Dzięki, Simon – odparła, kiedy dotarła wreszcie do swojego biurka i mogła pozbyć się torebki i kurtki.

Terry Deacon, szef działu wiadomości, natychmiast pojawił się u jej boku, żeby załapać się na pochwały szefa.

– Co mamy na drugi dzień, Kate? Następną bombę? – pytał naczelny tubalnym głosem, szczerząc poźólkłe zęby w triumfalnym uśmiechu.

Oboje dobrze wiedzieli, że czytał już artykuł, który wysłała w nocy, ale Pearson chciał się trochę popisać przed pracownikami. Dawno nie miał okazji („Polityka i polityka, nudy. Przydałaby się jakaś sensacja” – powtarzał jak mantrę), więc dziś chciał wykorzystać sytuację.

– Mamy historię bezdzietnego małżeństwa – odparł Terry. – „Co zrobiło z niego potwora?”.

Simon znów szeroko się uśmiechnął, Kate skrzywiła twarz w grymasie. Nagłówek był efekciarski, reklamował jej wnikliwą, taktowną rozmowę jak plakat do filmu sensacyjnego. Cóż, powinna się już do tego przyzwyczaić. „Sprzedać temat” to kolejna mantra Simona. Uwielbiał mantry. We współpracy z kadrą kierowniczą stawiał na wtlaczanie im na siłę do głowy wyuczonych formułek. W głębokim poważaniu miał takie bzdury jak kreatywność czy wspólne poszukiwanie rozwiązań.

– Pan każe, sługa musi – żartowali podwładni.

Naczelnny potrafił rozpoznać niezły nagłówek, zwłaszcza własnego autorstwa, a do tego głęboko wierzył, że tych naprawdę dobrych warto używać jak najczęściej. Czasem nawet raz w tygodniu, jeśli któryś wyjątkowo przypadł mu do gustu, ale kiedy tylko orientował się, że dziennikarze zaczynają się podśmiewać, natychmiast go porzucał. Nagłówek w formie pytania („Najgorszy człowiek w Wielkiej Brytanii?”) należał już do klasyki. Zawierał wentyl bezpieczeństwa: wcale tak nie twierdzimy, tylko pytamy.

– Mam parę dobrych wypowiedzi wdowy – powiedziała Kate i włączyła komputer.

– Zajebistych wypowiedzi – podbił stawkę Terry. – Wczoraj wieczorem wszyscy próbowali nas dogonić, magazyny i prasa zagraniczna dobijają się o zdjęcia. Huczy o nas na mieście.

– Starzejesz się, Terry – stwierdził Simon. – Na mieście? Żyjemy teraz w globalnej wiosce.

Szef reporterów skwitował przyganę szefa uśmiechem. Postanowił potraktować to jako przyjacielskie przekomarzanie. Nic nie mogło zepsuć mu dziś nastroju. Załatwił dla gazety artykuł roku, teraz pójdzie po zasłużoną podwyżkę, a potem zabierze żonę (albo kochankę) na kolację do Ritza.

Kate zajęła się sprawdzaniem mejli i zignorowała pojedynek męskich ego.

– Jaka ona jest, Kate? Jean Taylor?

Kate spojrzała na szefa i za fasadą arogancji dojrzała autentyczną ciekawość. Człowiek, który zajmował jedno z najwyższych stanowisk w branży dziennikarskiej, tak naprawdę marzył tylko o tym, żeby znowu być zarobionym po łokcie reporterem, zadawać pytania, wystawać pod drzwiami i wysyłać błyskotliwe teksty do redakcji, nie tylko słuchać relacji z drugiej ręki.

– Jest bardziej bystra, niż się wydaje. Zgrywa kurę domową, żonkę wiernie trwającą przy mężu, ale ma całkiem poukładane w głowie. Nie jest jej łatwo. Wydaje mi się, że do pewnego momentu naprawdę wierzyła w jego niewinność, ale potem coś się zmieniło. Zaszła między nimi jakaś zmiana.

Kate wiedziała, że powinna dowiedzieć się więcej, wyciągnąć z Jean wszystkie szczegóły. Obarczała Micka winą za niepowodzenie, ale tak naprawdę jeszcze zanim im przerwał, zauważyła w oczach Jean blokadę. Choć

przez cały wywiad obie kobiety na zmianę przejmowały kontrolę, to nie było wątpliwości, która z nich na koniec dzierżyła stery. Kate nie zamierzała jednak przyznawać się do tego w tym towarzystwie.

Publiczność się powiększyła: inni reporterzy podjechali bliżej na krzesłach i przysłuchiwali się rozmowie.

– Zrobił to, Kate? A ona wiedziała? – zapytał redaktor działu kryminalnego. – To nad tym wszyscy się zastanawiają.

– Tak i tak – odparła. – Pytanie jednak brzmi: kiedy się dowiedziała? Od razu czy dopiero po jakimś czasie? Cały problem bierze się stąd, że ona wciąż miota się między tym, co wie, a tym, w co chce wierzyć.

Wszyscy spojrzeli na nią wyczekująco. Jak na zawołanie zadzwonił jej telefon, a na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Sparkesa.

– Przepraszam, muszę odebrać, Simon. To policjant prowadzący sprawę. Może będzie materiał i na trzeci dzień.

– Dawaj mi znać na bieżąco, Kate – rzucił i pomaszerował do siebie, a Kate wyszła przez wahadłowe drzwi prowadzące do wind w poszukiwaniu odrobiny prywatności.

– Cześć, Bob. Spodziewałam się telefonu.

Sparkes dotarł już pod redakcję i teraz chronił się przed letnim deszczem pod wielkim portykiem.

– Wskocz z pracy i chodź ze mną na kawę. Musimy pogadać.

W pobliskiej włoskiej kawiarni na jednej z zapyziałych bocznych uliczek panował tłok, a szyby pokrywała para z ekspresu ciśnieniowego. Usiedli przy stoliku z dala od baru i przez kilka chwil patrzyli na siebie bez słowa.

– Gratulacje, Kate. Udało ci się wydusić z niej więcej niż mnie.

Dziennikarka wytrzymała jego spojrzenie. Rozbroiła ją ta wielkoduszność, chciała powiedzieć mu prawdę. Musiała przyznać, że był niezły.

– Powinnam dowiedzieć się więcej. Kryło się tam coś jeszcze, ale



powiedziała tyle, ile chciała. Niesamowita samokontrola i opanowanie. Wręcz przerażające. Dosłownie płakała mi w mankiet i opowiadała, że wyszła za potwora, a pięć minut później znów trzymała ster. Zacięła się i nie ustępowała ani o krok. – Zamieszała kawę. – Wie, co się stało, prawda?

Sparkes przytaknął.

– Myślę, że tak, ale nie potrafi się przyznać, a ja nie rozumiem dlaczego. Przecież on już nie żyje. Co ma do stracenia?

Kate współczująco pokręciła głową.

– Coś najwyraźniej ma.

– Często się zastanawiam, czy ona nie była w to zamieszana – powiedział Sparkes, bardziej do siebie niż do Kate. – Może pomagała planować? Może miał porwać to dziecko dla nich, ale coś poszło nie tak? Może to ona go namówiła?

Oczy Kate zalśniły na myśl o tylu możliwościach.

– Cholera, ale jak zmusić ją do mówienia?

„No właśnie, jak?” – pomyślał.

– Jaki jest jej słaby punkt? – zapytała Kate, bawiąc się łyżeczką.

– Glen – odparł. – Ale już go nie ma.

– Dzieci, Bob. To jej pięta achillesowa. Ma na ich punkcie obsesję.

Ciągle wracała do tego tematu w rozmowie ze mną, wypytywała o moich synów.

– Wiem. Szkoda, że nie widziałaś jej albumów z dziećmi.

– Jakich albumów?

– To poufne, Kate.

Zanotowała w myślach, żeby nie zapomnieć, i odruchowo przechyliła głowę na bok. Uległość. Możesz mi ufać.

Nie dał się nabrać. – Poważnie. To może jeszcze wypłynąć w śledztwie.

– Okej, okej – poddała się zirytowana. – Jak myślisz, co teraz zrobi?

– Jeśli rzeczywiście coś wiedziała, może teraz wrócić do małej.

– Wrócić do Belli – powtórzyła Kate. – Gdziekolwiek jest.

Jean nie miała teraz nic innego na głowie. Na pewno wykona jakiś ruch, był tego pewien.

– Zadzwoń, jeśli czegoś się dowiesz? – zapytał Kate.

– Może – podroczyła się jak zwykle.

Zaczerwienił się i mimo wszystko ucieszyła ją reakcja na jej delikatny flirt. Sparkes stracił grunt pod nogami.

– Kate, to nie czas na gry i zabawy – powiedział stanowczo, próbując zachować profesjonalny ton. – Bądźmy w kontakcie.

Pożegnali się na ulicy. Chciał uścisnąć jej rękę, ale ona pochyliła się i pocałowała go w policzek.

## Rozdział 51

*Piątek, 11 czerwca 2010 roku*

### **Wdowa**

Ekipa sobie poszła. Siedzę w ciszy i czekam na ostatnie wydanie dziennika. Pan TV twierdził, że to będzie najważniejsza wiadomość, i rzeczywiście. „Wdowa pierwszy raz wypowiada się w sprawie Belli” – krzyczy z ekranu napis na tle muzyki, która wypełnia mój salon. I oto jestem w telewizji. Nie trwa to długo, ale mówię, że nie wiedziałam nic o zniknięciu Belli, choć podejrzewałam Glena. Wyraźnie podkreślam, że niczego nie byłam pewna, że do niczego mi się nie przyznał, że dziennikarka przekręciła moje słowa.

Spokojnie odpowiadałam na pytania, siedząc na swojej kanapie. Przyznałam, że zaoferowali mi pieniądze, ale odmówiłam zapłaty, kiedy dowiedziałam się, co zamierzają wydrukować. Potem poszła krótka wypowiedź kogoś z „Posta” i ujęcie Kate i Micka wychodzących ode mnie z domu. I tyle.

Czekam na telefon. Pierwsza jest Mary, matka Glena.

– Jak mogłaś powiedzieć coś takiego, Jeanie? – pyta z wyrzutem.

– Wiesz przecież to, co ja, Mary – mówię. – Nie udawaj, że go nie podejrzewałaś, bo wiem, że tak było.

Po chwili milczenia mówi, że porozmawiamy jutro.

Potem dzwoni Kate. Rzeczowym tonem informuje mnie, że umieszczą w artykule moją wypowiedź z telewizji, żeby czytelnicy poznali też „moją wersję wydarzeń”.

Śmieję się na tę bezczelność.

– To ty miałaś przedstawić moją wersję wydarzeń – wypominam jej. – Zawsze oszukujesz ofiary?

Ignoruje pytanie i mówi, że mogę w każdej chwili skontaktować się z nią przez komórkę. Odkładam słuchawkę bez pożegnania.

Następnego ranka gazeta wpada przez szparę w drzwiach. Nie

mam prenumeraty. Ciekawe, czy to Kate mi ją wysłała. A może ktoś z sąsiadów? Nagłówek krzyczy: „Wdowa wyznaje prawdę o śmierci Belli”. Ledwie mogę otworzyć gazetę trzęsącymi się rękami. Na pierwszej stronie jest moje zdjęcie – zgodnie z zaleceniem Micka wpatruję się w przestrzeń. Odkładam gazetę na stół i czekam.

Przez cały poranek telefony się urywają. Gazety, telewizja, radio, rodzina. Mama dzwoni z płaczem i wyrzuca mi, że przyniosłam hańbę rodzinie, a ojciec pokrzykuje w tle, że ostrzegał mnie przed ślubem z Glenem. Wcale nie, ale teraz pewnie żałuje.

Próbuję pocieszyć mamę. Tłumaczę, że przekręcili moje wypowiedzi, że prasa wszystko przeinaczyła, ale bezskutecznie, aż w końcu się rozłącza.

Jestem wykończona, więc zdejmuję słuchawkę z widełek i kładę się do łóżka. Myślę o Belli i Glenie, o ostatnich dniach przed jego śmiercią.

Zaczął pytać mnie, co zamierzam.

– Zostawisz mnie, Jeanie? – powtarzał.

Odpowiadałam tylko:

– Idę zrobić sobie herbatę – i odchodziłam.

Nie chciałam o tym wszystkim myśleć. Zdrada, decyzje, plany. Odzywałam się do niego tylko wtedy, kiedy było to niezbędne. „Dzwoni twoja mama”. Absolutne minimum.

Niczym duch krążył za mną po domu. Przyłapywałam go, jak ukradkiem obserwował mnie zza gazety. Trzymałam go w garści. Nie wiedział, co robi jego Jeanie i śmiertelnie się mnie bał.

W tym ostatnim tygodniu nie wypuszczał mnie samej z domu. Wszędzie za mną łąził. Pewnie bał się, że pójde prosto do Boba Sparkesa. Zupełnie mnie nie znał. Nie zamierzałam nikomu nic mówić. I nie dlatego, żeby go chronić – błagam, nie rozśmieszajcie mnie.

Tamtej soboty trzymał się mnie jak rzep psiego ogona. Wychodziliśmy właśnie z Sainsbury's, kiedy zauważyłam, jak spojrział na małą dziewczynkę w wózku. Rzucił tylko okiem, ale dojrzałam coś w jego wzroku. A raczej nie dojrzałam – jego spojrzenie było martwe. Odepchnęłam

go od dziecka. Tylko leciutko szturchnęłam. Potknął się

o krawężnik i zatoczył na ulicę. W tej samej chwili nadjechał autobus. Wszystko stało się tak szybko, że pamiętam tylko, jak popatrzyłam na jego ciało leżące w małej kałuży krwi i pomyślałam: „No trudno. Przynajmniej koniec z tymi bzdurami”.

Czy to czyni ze mnie morderczynię? Przeglądam się w lustrze, próbuję dostrzec jakiś ślad w oczach, ale nie wydaje mi się. W sumie to Glenowi się udało. Inaczej cierpiałby przez wiele lat, w wiecznym strachu przed zdemaskowaniem. Podobno tacy ludzie jak on nie potrafią się powstrzymać ani zmienić, więc można powiedzieć, że wyrządziłam mu przysługę.

Sprzedam dom, kiedy tylko będzie to możliwe. Najpierw trzeba ustalić przyczynę zgonu, ale Tom Payne twierdzi, że to tylko formalność. Zznam, że Glen się potknął, i wystarczy. Będę mogła zacząć wszystko od nowa.

Dzwoniłam wczoraj do agencji nieruchomości dowiedzieć się, ile mogę dostać za dom. Przedstawiłam się, ale pośredniczka chyba nie skojarzyła nazwiska. Niedługo pewnie coś jej zaświta. Zapowiedziałam, że zależy mi na szybkiej sprzedaży. Ma przyjść jutro. Ciekawe, czy sprawa Glena podbije, czy zaniży cenę. Jakiś czubek może chcieć zapłacić więcej. Nigdy nie wiadomo.

Nie zdecydowałam jeszcze, dokąd się przeprowadzę, ale na pewno poza Londyn. Poszukam czegoś w Internecie – może za granicą, może na południu, w okolicach Hampshire. Będę bliżej mojej dziewczynki.

## Rozdział 52

*Czwartek, 1 lipca 2010 roku*

### **Reporterka**

Prasa dobrze znała koronera – drobnego, schludnego prawnika z zawsze skrupulatnie przystrzyżonym srebrnym wąsikiem, wielbiciela jedwabnych muszek w żywych kolorach. Hugh Holden uważał się za oryginała, a czasem też sól w oku władz – nie stronił od wydawania kontrowersyjnych werdyktów.

Kate zwykle dobrze bawiła się podczas prowadzonych przez niego dochodzeń przyczyny zgonu, a nieco dziwaczne pytania i rozbudowane zdania z mnóstwem ozdobników sprawiały jej przyjemność, ale dziś nie miała na to nastroju. Obawiała się, że to ostatni publiczny występ Jean Taylor. Później nie będzie już musiała się pokazywać, więc może na zawsze zamknąć się w czterech ścianach.

Pod sądem Mick czekał wraz z tłumem innych fotografów na jej przyjazd. – Hej, Kate! – zawołał ponad głowami. – Zobaczymy się potem.

Weszła do środka za pozostałymi reporterami i gapiami. Udało jej się zająć jedno z ostatnich wolnych miejsc z przodu łoża prasowej, *vis-à-vis* bariereki dla świadków. W głowie miała tylko Jean i nie odrywała wzroku od drzwi, żeby nie przeoczyć jej wejścia. Przegapiła za to Zarę Salmond, która wśliznęła się na tyły sali sądowej, gdzie policjanci z Londynu czekali, aż zostaną wezwani na świadków. Sparkes wysłał ją w swoim zastępstwie.

– Ty idź, Salmond. Przyda mi się tam twoje trzeźwe spojrzenie i analiza jej zachowania. Ja teraz wszystko widzę nie tak.

Ledwie dotarła na miejsce, zgrzyt zawiasów obwieścił przybycie wdowy. Jean Taylor, w sukience z pogrzebu Glena, wyglądała dostojnie i władczo.

Z adwokatem u boku powoli przeszła przez salę sądową na swoje

miejsce w pierwszym rzędzie. „Tom Payne, co za bydlak” – pomyślała Kate, jednocześnie uprzejmie kiwając mu głową i witając się bezgłośnie. Podniósł rękę w geście powitania i Taylor obejrzała się, żeby zobaczyć, komu macha. Ich spojrzenia się spotkały i Kate przez chwilę myślała, że Jean jakoś zareaguje na jej obecność. Uśmiechnęła się na próbę, ale Jean odwróciła wzrok bez śladu zainteresowania.

Pozostali świadkowie powoli zajmowali swoje miejsca, witali się w przejściach – jedni wymieniali uściski dłoni, inni się obejmowali – ale w końcu wszyscy usiedli, a zaraz potem wstali, kiedy na salę wszedł koroner.

Funkcjonariusz z biura koronera zeznał przed sądem, że ojciec denata zidentyfikował ciało jako należące do Glena George’a Taylora, a następnie lekarz sądowy zdał relację z sekcji zwłok. Kate nie odrywała wzroku od Jean i uważnie śledziła jej reakcję na szczegółowy opis autopsji męża. Cóż, przynajmniej zjadł dobre ostatnie śniadanie, pomyślała Kate, kiedy anatomopatolog beznamiętnie wymieniał zawartość żołądka zmarłego. Żadnych chorób. Rany tłuczone i cięte rąk i nóg powstałe w wyniku upadku i potrącenia przez autobus. Śmiertelne obrażenia głowy. Pęknięcie czaszki spowodowane silnym uderzeniem o ziemię, uraz mózgu. Śmierć na miejscu.

Jean sięgnęła po torebkę i ostentacyjnie otworzyła paczkę chusteczek higienicznych. Wyjęła jedną i otarła oko. Wcale nie płacze, pomyślała Kate. Udaje.

Przyszła kolej na kierowcę autobusu. Ze łzami w oczach – w jego przypadku autentycznymi – opowiedział, jak ktoś nagle mignął mu przed szybą.

– Nie zauważyłem go, nic nie mogłem zrobić. Wszystko stało się tak szybko... Zacząłem hamować... Za późno.

Woźny pomógł mu wrócić na miejsce. Wezwano Jean.

Wypadła bezbłędnie – zbyt idealnie. Dla Kate każde jej słowo brzmiało, jakby przećwiczyła je wcześniej przed lustrem. Krok po kroku omówiła wyprawę po zakupy: kolejne alejki w sklepie, a potem wyjście przez automatyczne drzwi na High Street. Rozmowę o płatkach śniadaniowych, potknięcie Glena i upadek prosto pod nadjeżdżający autobus. Wszystko to opowiedziane cichym, spokojnym tonem.

Kate zapisywała każde słowo, jednocześnie zerkając na Jean, żeby zanotować wyraz jej twarzy i emocje.

– Może nam pani wyjaśnić, dlaczego mąż się potknął? Policja zbadła chodnik i nie zauważyła nic, o co mógłby zawadzić – zapytał koroner uprzejmie.

– Nie wiem, proszę pana. Na moich oczach wpadł pod autobus. Nie zdążyłam nawet krzyknąć. Po prostu zginął.

„Nauczyła się na pamięć” – pomyślała Kate. „Klepie ciągle te same formułki”.

– Trzymał panią za rękę albo pod ramię? Ja zawsze tak chodzę ze swoją drugą połówką – drażył koroner.

– Nie. Chociaż nie wiem, może. Nie pamiętam – odrzekła z mniejszym przekonaniem.

– Czy mąż był tego dnia roztargniony? Zachowywał się tak jak zwykle?

– Roztargniony? Jak to?

– Patrzył pod nogi?

– Miał wiele na głowie – powiedziała Jean Taylor i spojrzała na łóżę prasową. – Na pewno pan o tym wie.

– Owszem – odparł koroner, zadowolony, że udało mu się wyciągnąć nowe informacje. – Jak opisałaby pani jego nastrój?

– Nastrój?

To nie zgadzało się z planem Jean, pomyślała Kate. Powtarzanie pytań to ewidentna oznaka stresu. Gra na zwłokę. Reporterka pochyliła się nieco do przodu, żeby nie uronić ani słowa.

– Tak, w jakim nastroju był tego ranka?

Jean Taylor zamknęła oczy i zdawała się nieco chwiać za barierką. Tom Payne i funkcjonariusz z biura koronera rzucili się, żeby ją złapać. Ostrożnie posadzili ją na krześle, przez salę sądową przebiegł pomruk zaniepokojenia.

– Zawsze to jakiś nagłówek – dziennikarka siedząca za Kate mruknęła do kolegi. – „Wdowa po podejrzanym w sprawie Belli mdleje”. Lepsze to niż nic.

– To jeszcze nie koniec – syknęła Kate przez ramię.

Jean kurczowo ścisnęła szklankę wody i wpatrywała się



w koronera.

– Lepiej się pani czuje?

– Tak, dziękuję. Przepraszam. Nie zjadłam śniadania i...

– Nic się nie stało. Nie musi się pani tłumaczyć. Wróćmy do ostatniego pytania.

Jean wzięła głęboki wdech. – Od dawna źle sypiał, często też bolała go głowa.

– Leczył się na bezsenność i bóle głowy?

Pokręciła głową.

– Mówił, że źle się czuje, ale nie chciał iść do lekarza. Chyba nie chciał z nikim o tym rozmawiać.

– Ach tak. Dlaczego?

Wbiła wzrok w kolana, a potem podniosła głowę i odpowiedziała:  
– Mówił, że ciągle śni mu się Bella Elliott.

Hugh Holden podtrzymywał kontakt wzrokowy i kiwał głową na znak, żeby kontynuowała. Na sali sądowej zapadła cisza.

– Mówił, że widzi ją, kiedy zamyka oczy. Odbijało się to na jego zdrowiu. Ciągle też chciał być ze mną, nawet w domu nie odstępował mnie na krok. Nie wiedziałam, co robić. Był w kiepskim stanie.

Koroner uważnie zapisywał zeznania, podczas gdy siedzący po jego lewej ręce reporterzy gorączkowo notowali.

– Biorąc pod uwagę jego samopoczucie, czy myśli pani, że mąż mógł celowo rzucić się pod autobus? – zapytał koroner.

Tom Payne wstał, żeby zgłosić sprzeciw, ale Jean tylko machnęła ręką.

– Nie wiem. Nigdy nie wspominał o samobójstwie. Ale był w kiepskim stanie.

Koroner podziękował za zeznania, złożył kondolencje i orzekł śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku.

– Będę w wieczornych wiadomościach! – oznajmił radośnie woźnemu, kiedy dziennikarze gęsiego opuszczali salę sądową.

## Rozdział 53

*Czwartek, 1 lipca 2010 roku*

### **Detektyw**

Tego popołudnia wszystkie serwisy informacyjne w radiu zaczynały się od doniesień o snach Glena Taylora o Belli, a w wieczornym wydaniu dziennika telewizyjnego wiadomość zajęła całkiem niezłe trzecie miejsce. W sezonie ogórkowym, kiedy politycy wyjeżdżają na wakacje, szkoły są zamknięte i cały kraj zwalnia obroty, każde, nawet najmniej sensacyjne wydarzenie się nada.

Sparkes dowiedział się wszystkiego od Salmond zaraz po rozprawie, ale i tak przejrzał gazety, uważnie analizując każde słowo.

– Jean zaczyna się sypać, Bob – powiedziała Salmond z lekką zadyszka, szybkim krokiem maszerując do samochodu. – Po wszystkim próbowałam z nią porozmawiać. Było pełno reporterów, twoja Kate Waters też, ale Jean nie powiedziała ani słowa. Jeszcze się trzyma, ale ledwo.

– Załamanie w sądzie to znak, że po odejściu Glena sekret zaczął ją przytłaczać – uznał Sparkes. – Próbuje stopniowo, delikatnie uchylać rąbka tajemnicy. Tak jak w średniowieczu, kiedy upuszczano chorym krew: kropla po kropli pozbywano się tego, co złe – tłumaczył Salmond. Teraz spojrzął na nią. Siedziała przy jego komputerze i przeglądała wiadomości. – Weźmiemy ją na przeczekanie. Dosłownie.

Nazajutrz o piątej rano zajęli stanowisko. Zaparkowali jakiś kilometr od domu Jean Taylor i czekali na telefon od zespołu odpowiedzialnego za obserwację.

– Wiem, że mamy nikłe szanse, ale musimy spróbować. Na pewno coś zrobi – przekonywał Sparkes Zarę.

– Czuje pan to w kościach? – zapytała.

– O ile te stare kości mogą jeszcze coś czuć.

Dwanaście godzin później atmosfera w samochodzie mocno się

zagaściła od ich oddechów i śmieciowego jedzenia.

Do dziesiątej wieczorem zdążyli streścić sobie nawzajem swoje biografie i opowiedzieć o złapanych przestępcach, nieudanych urlopach, programach telewizyjnych z dzieciństwa, ulubionych potrawach i najlepszych filmach akcji oraz wymienić się plotkami o tym, którzy współpracownicy ze sobą sypiają. Sparkes miał wrażenie, że mógłby wziąć udział w teleturnieju o Zarze Salmond i wygrać. Oboje z ulgą przyjęli więc wiadomość, że wszystkie światła w domu Taylorów zgasły.

Sparkes zarządził fajrant. Mieli zatrzymać się w pobliskim tanim hotelu i trochę zdrzemnąć, a od rana na nowo zacząć czuwanie. W nocy zastąpi ich inny zespół.

Komórka zadzwoniła o czwartej rano.

– Zapaliła światło, komisarzu.

Ubierając się, zadzwonił do Salmond, w związku z czym telefon wpadł mu do nogawki od spodni.

– To pan, komisarzu?

– Tak, tak. Wstała. Za pięć minut na dole.

Po raz pierwszy Zara Salmond nie wyglądała nieskazitelnie. Czekala na niego pod wyjściem potargana i nieumalowana.

– Pomyśleć, że jako dziecko chciałam zostać stewardessą!

– No to w drogę. Proszę przygotować się do startu – odparł z półśmiechem.

Jean szybkim krokiem wyszła z domu, uruchamiając tym samym lampę z czujnikiem ruchu. Stała w jej świetle i wyglądała śladów życia na ulicy. Pilotem odblokowała samochód, a elektroniczne piknięcie odbiło się echem od fasad domów naprzeciwko. Otworzyła drzwi i wśliznęła się za kierownicę. Znow miała na sobie sukienkę z pogrzebu.

Dwie przecznice dalej Zara Salmond odpaliła silnik i czekała na wskazówki od obserwujących. Zamyślony Sparkes siedział obok niej z mapą rozłożoną na kolanach.

– Skręciła na A2 i jedzie w stronę M25, komisarzu – rzucił w słuchawkę funkcjonariusz z nieoznakowanej furgonetki. Ruszyli w pościg.

– Założę się, że jedzie do Hampshire – stwierdziła Salmond, pędząc dwupasmówką.

– Nie zakładajmy nic zbyt pochopnie – ostrzegł Sparkes. Nie śmiał robić sobie nadziei. Palcem na mapie śledził ich trasę.

Kiedy skręcili na M3 w kierunku Southampton, słońce zaczynało już rozświetlać niebo na wschodzie, ale nawigacja wciąż wyświetlała kolory w trybie nocnym. Konwój rozciągał się równomiernie na długości pięciu kilometrów autostrady, przy czym Sparkes i Salmond trzymali się z tyłu, żeby uniknąć rozpoznania. – Włączyła kierunkowskaz, zjeżdża na stację – poinformował policjant z furgonetki. – Gdzie są pańscy ludzie? Musimy się zmienić, inaczej nas zauważą.

– Już się robi. Na najbliższym zjeździe czeka następny samochód. Pilnujcie jej, dopóki nie wyjedzie ze stacji, a my ją potem przejmujemy – odparł Sparkes.

Furgonetka wjechała powoli na parking i zajęła miejsce o dwa samochody za celem. Jeden z funkcjonariuszy wysiadł, przeciągnął się, podrapał w głowę i ruszył za Jean Taylor. Weszła do damskiej toalety, więc policjant ustawił się w kolejce po hamburgera. Udawał, że uważnie studiuje utrzymane w jaskrawej kolorystyce menu umieszczone nad kasami, czekając na obserwowaną. Wkrótce wyszła z łazienki i strzepała z rąk ostatnie krople wody. Policjant zajadał się podwójnym cheeseburgerem, tymczasem Jean weszła do sklepu i zaczęła z uwagą przeglądać plastikowe wiadra z kwiatami. Wybrała bukiet różyczek i białych lilii zawiniętych w różowy papier i celofan. Wdychając zapach pokrytych pyłkiem pręcików, podeszła do lady ze słodyczami i wzięła z półki kolorową paczuszkę. Skittles, jak zauważył funkcjonariusz obserwujący ją z drugiej strony pustego sklepu. Potem stanęła w kolejce do kasy.

– Kupiła kwiaty i cukierki. Wraca do auta. Wyjedziemy za nią na autostradę, potem wam ją przekazujemy – złożył raport.

Sparkes i Salmond wymienili spojrzenia.

– Jedzie na grób – wydusił Sparkes przez ściśnięte gardło.  
– Zawiadom chłopaków, niech będą gotowi.

Pięć minut później śledziły ją dwa inne samochody. Wyprzedzały się wzajemnie, tak żeby na zmianę pozostawać trzy pojazdy za nią. Jean utrzymywała stałą prędkość stu kilometrów na godzinę. Jechała ostrożnie. Pewnie nie przywykła do samodzielnej jazdy po autostradzie,

pomyślał Sparkes. Ciekawe, czy pierwszy raz pokonuje tę trasę.

Od wyjazdu ze stacji nie zamienili z Salmond ani słowa – wsłuchiwali się uważnie w rozmowy na kanałach policji w radiu. W Winchesterze usłyszeli, że samochód Jean Taylor zjechał z autostrady i kieruje się na wschód. Kazał sierżantce dodać gazu.

Zaczął się nieco większy ruch, ale byli teraz niecałe dwa kilometry za Jean, a między nimi jechał jeszcze jeden samochód policyjny.

– Zatrzymuje się – doniósł funkcjonariusz. – Drzewa po prawej, ścieżka, żadnej bramy. Muszę jechać dalej, bo się zorientuje. Potem zawrócę. Jest pańska.

– Spokojnie, Salmond – powiedział Sparkes. – Spokojnie i z wyczuciem.

Niemal przegapili jej samochód zaparkowany na gruntowej drodze. W ostatniej chwili Sparkes dostrzegł błysk metalu między drzewami.

– Tu jest – powiedział, a Salmond zwolniła i zawróciła. – Zaparkuj po drugiej stronie. Trzeba zostawić miejsce dla pozostałych samochodów – dodał.

Wysiedli. Zaczęło mżyć, więc wyjęli z bagażnika płaszcze.

– Pewnie usłyszała samochód – wyszeptał Sparkes. – Nie wiem, gdzie kończą się te drzewa. Idę, a ty czekaj na resztę. Zadzwoń po ciebie.

Salmond pokiwała głową. Wyglądała, jakby miała się rozplakać.

Sparkes przebiegł szybko przez drogę. Obrócił się i pomachał, po czym zniknął wśród drzew.

Wczesnoporanne światło nie przebijało się przez drzewa, więc ostrożnie manewrował w przydrożnym lasku. Nie słyszał nic, tylko własny oddech i skrzek spłoszonych kruków nad głową.

Nagle dostrzegł przed sobą jakiś ruch. Coś białego mignęło w półmroku. Zatrzymał się i odczekał chwilę. Musiał się uspokoić. Cieszył się, że Salmond nie widzi go, jak trzęsie się niczym skoczek na wieży nad basenem. Zrobił trzy głębokie wdechy i ostrożnie ruszył przed siebie. Bał się, że na nią wpadnie. Nie chciał jej przestraszyć.

I wtedy zobaczył ją pod drzewem. Siedziała na rozłożonym płaszczu, z podwiniętymi nogami, jak na pikniku. Obok położyła owinięte w bibułę kwiaty.

– To ty, Bob?

Zamarł na dźwięk jej głosu.

– Tak, Jean.

– Wydawało mi się, że słyszę samochód. Wiedziałaś, że to ty.

– Co ty tu robisz, Jean?

– Jeanie. Wolałabym, żebyś mówił mi Jeanie – odparła, nadal unikając jego wzroku.

– Co tu robisz, Jeanie?

– Przyjechałam do naszej dziewczynki.

Sparkes kucnął przy niej, zdjął płaszcz i rozłożył go na ziemi, żeby móc usiąść obok.

– Do jakiej dziewczynki, Jeanie?

– Do Belli, a do kogo? Ona tu jest. Glen ją tu zostawił.

## Rozdział 54

*Sobota, 3 lipca 2010 roku*

### **Wdowa**

Nie mogłam się powstrzymać, musiałam do niej jechać. Po wywiadzie i dochodzeniu koronera coś we mnie pękło, zaczęłam bez przerwy o niej myśleć, nawet tabletki nie pomagały. Miałam nadzieję, że po odejściu Glena zaznam wreszcie nieco spokoju. Nic z tego. Nie potrafiłam wyrzucić jej z głowy, nie spałam, nie jadłam. Wiedziałam, że muszę ją odwiedzić. Tylko to się liczyło.

To nie była moja pierwsza wizyta. Glen zabrał mnie na grób Belli w ostatni poniedziałek przed śmiercią. Wcześniej usiadł obok mnie na łóżku i powiedział, że nie może spać. Zaczął opowiadać o tym, co stało się w dniu zniknięcia Belli. Zwinął się w kłębek po swojej stronie łóżka, plecami do mnie, tak że nie widziałam jego twarzy. Przez cały ten czas nawet nie drgnęłam. Bałam się, że jeśli się poruszę, czar pryśnie i przestanie mówić. Słuchałam bez słowa.

Powiedział, że wziął Bellę, bo sama tego chciała. Nie przyśniło mu się to. Wiedział, że zostawił Bellę samą na skraju lasu w drodze powrotnej do domu i wiedział też, że zrobił coś bardzo złego. Zasnęła w furgonetce, miał tam śpiwór. Wziął ją na ręce i wyniósł, wciąż śpiącą, z furgonetki, a potem zostawił pod drzewem, gdzie ktoś mógłby ją znaleźć. Zostawił jej do jedzenia cukierki. Skittles. Chciał zadzwonić na policję, ale spanikował.

Potem wstał i wyszedł z sypialni, zanim zdążyłam zareagować. Leżałam bez ruchu, jakbym mogła zatrzymać czas, ale myśli kłębiły mi się w głowie jak szalone. Zastanawiałam się ciągle, po co mu śpiwór w samochodzie? Skąd się tam wziął? Nie pozwoliłam sobie nawet wyobrazić, co się stało w furgonetce. Co zrobił mój mąż.

Próbowałam zagłuszyć te myśli – weszłam pod prysznic, a woda dudniła mi po głowie i wypełniała uszy. Nic jednak nie pomagało.

Zeszłam do kuchni i oznajmiłam, że pojedziemy jej poszukać. Glen spojrzął na mnie oczami pozbawionymi wyrazu i odparł: – Jeanie, minęły prawie cztery lata. – Nie przyjmowałam jednak odmowy do wiadomości.

– Musimy – powiedziałam.

Wsiadamy do samochodu i wyruszamy na poszukiwanie Belli. Przy wyjściu rozglądam się, czy nikt nas nie obserwuje, ale na naszej ulicy nie koczują już dziennikarze. Gdybyśmy spotkali kogoś z sąsiadów, zamierzałam powiedzieć, że jedziemy na zakupy do galerii Bluewater.

Na drodze jest duży ruch. W milczeniu podążamy za znakami na M25.

Jedziemy trasą, którą Glen musiał pokonać tamtego dnia, z Winchesteru do Southampton i dalej. Wiejskie drogi przemierzane z Bellą w tyle furgonetki. Wyobrażam sobie, jak siedzi zadowolona na podłodze z garścią cukierków i kurczowo trzymam się tej wizji, chwytam się jej niczym tonący brzytwy. Wiem, że to na pewno tak nie wyglądało, ale na razie nie mogę o tym myśleć.

Blady jak ściana Glen poci się za kierownicą.

– To popieprzony pomysł, Jean – mówi. Ja jednak wiem, że chce wrócić do tego dnia. Do tego, co się stało. A ja mu na to pozwalam, bo chcę Belli.

Po jakichś dwóch godzinach jazdy mówi w końcu: – To tutaj. – Minęliśmy po drodze dziesiątki niemal identycznych kęp drzew, ale to przy tej się zatrzymuje.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Zaznaczyłem sobie na płocie – mówi. I rzeczywiście, widzę na słupku spłowiałą smugę oleju silnikowego.

Zamierzał wrócić, przebiega mi przez głowę, ale odrzucam tę myśl.

Glen odjeżdża kawałek, żeby samochodu nie było widać z drogi. Wtedy musiał postąpić tak samo. Potem siedzimy w milczeniu i to ja przerywam w końcu ciszę.

– No chodź – mówię, a on odpina pas. Jego twarz znów zupełnie straciła wyraz, jak tamtego dnia w przedpokoju. Nie wygląda jak Glen, ale tym razem się nie boję. Choć cały drży, nie dotykam go, nie chcę.



Prowadzi mnie do drzewa na skraju zagajnika i wskazuje na ziemię.

– Tutaj – mówi. – Tu ją zostawiłem.

– Kłamiesz – mówię, a on wygląda na zaskoczonego. – Gdzie?  
– domagam się odpowiedzi głosem na granicy wrzasku, który mnie samą przeraża.

Prowadzi mnie głębiej między drzewa i znów się zatrzymuje. Nie ma tu śladu niczyjej obecności, ale tym razem myślę, że mówi prawdę.

– Zostawiłem ją tutaj – mówi i pada na kolana.

Kucam obok niego pod drzewem i każę mu opowiedzieć wszystko jeszcze raz.

– Wyciągnęła do mnie łapki. Była taka piękna, Jeanie, że po prostu pochyliłem się nad murkiem, wziąłem ją na ręce i zaniósłem do auta. Kiedy tu przyjechaliśmy, mocno ją przytuliłem i pogłaskałem po główce. Z początku jej się to podobało, śmiała się. Pocałowałem ją w policzek. Dałem jej cukierka, była zachwycona. Potem usnęła.

– Umarła, Glen. Nie usnęła. Bella umarła – mówię i zaczynam szlochać.

– Nie wiem, dlaczego umarła – mówi. – Nie zabiłem jej. Wiedziałbym chyba, gdybym to zrobił, prawda?

– Tak, wiedziałbyś – mówię. – Wiesz.

Słyszę tylko jego łkanie, ale myślę, że płacze nad sobą, nie nad zamordowanym dzieckiem.

– Może zbyt mocno ją przytuliłem. Nie chciałem. Wszystko działo się jak we śnie, Jeanie. Potem dla ochrony przykryłem ją śpiworem, gałęziami i liśćmi.

Między korzeniami drzewa dostrzegam wyblakły skrawek niebieskiego materiału. Klęczymy nad grobem Belli. Głaszczę ziemię, żeby ukoić dziewczynkę, zapewnić, że jest już bezpieczna.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – mówię. Glen w pierwszej chwili myśli, że zwracam się do niego.

Wstaję i wracam do samochodu, on niech sam sobie poradzi. Zostawił otwarte drzwi, więc wsiadam i w nawigacji ustawiam to miejsce jako Dom. Sama nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się to naturalne. Kiedy pojawia się Glen, bez słowa ruszamy w drogę powrotną. Wyglądam przez okno na zmieniający się krajobraz i planuję

przyszłość.

Owszem, Glen zrobił coś okropnego, ale ja mogłabym zajmować się Bellą, otoczyć ją opieką i miłością. Już na zawsze zostać jej mamą.

Wczoraj wieczorem postanowiłam wstać nad ranem i jechać do niej. Nikt mnie nie zobaczy w ciemności przed świtem. Przez całą noc nie spałam. Bałam się jazdy autostradą, to Glen zawsze prowadził podczas dalszych wypraw. To jego działka. Zmusiłam się jednak. Dla niej.

Zatrzymałam się na stacji po kwiaty. Chciałam zawieźć jej bukiet różyczek. Na pewno by jej się spodobały: takie malutkie, różowe i śliczne jak ona. Do tego lilie na grób. Nie wiedziałam jeszcze, czy je tam zostawię. Może zabiorę do domu, żeby móc wraz z nią cieszyć nimi wzrok. Kupiłam też słodczyce dla Belli, skittles, ale kiedy później zorientowałam się, że Glen też je wtedy wybrał, wyrzuciłam cukierki przez okno samochodu.

Nawigacja poprowadziła mnie prosto na miejsce. „Jesteś u celu” – powiedziała. I rzeczywiście. Na ekranie wyświetlało się słowo Dom. Zwolniłam nieco, pozwalając się wyprzedzić, i skręciłam w boczną drogę. Zaczynało świtać, ale o tak wczesnej porze w okolicy nie było żywej duszy. Weszłam do lasu i zaczęłam rozglądać się za Bellą. Poprzednim razem wetknęłam żółtą ścierkę do szyb między korzenie, tuż obok błękitnego materiału, i miałam nadzieję, że została na miejscu. Zagajnik był nieduży, ale na wszelki wypadek wzięłam też latarkę. Wkrótce znalazłam szmatkę nieco zawilgłą od deszczu.

Ułożyłam wcześniej cały plan: zamierzałam się pomodlić, a potem porozmawiać z Bellą, ale tak naprawdę chciałam po prostu być blisko. Rozłożyłam płaszcz, usiadłam obok niej i pokazałam jej kwiaty. Nie wiem, po jakim czasie go usłyszałam. Wiedziałam, że to on mnie znajdzie. Przeznaczenie, jak powiedziałyby moja matka.

Traktował mnie niezwykle delikatnie, łagodnie zapytał, co tam robię. Oboje oczywiście znaleźliśmy odpowiedź, ale musiał usłyszeć to z moich ust. Bardzo tego potrzebował, więc powiedziałam:

– Przyjechałam do naszej dziewczynki.

Zrozumiał, że mam na myśli siebie i Glena, ale Bella tak naprawdę jest moja i Boba. Kocha ją tak mocno jak ja. Glen wcale jej nie kochał.

Chciał ją i po prostu sobie wziął.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, a potem Bob opowiedział mi prawdziwą historię, której Glen nie potrafił mi wyznać. Powiedział, że Glen trafił w Internecie na trop Belli, wyszedł ją i dopadł. Że policja widziała na filmie, jak na cztery dni przed porwaniem jedzie za nią i Dawn spod żłobka do domu. Że wszystko zaplanował.

– Twierdził, że zrobił to dla mnie – powiedziałam.

– Zrobił to dla siebie, Jean.

– Mówił, że to przeze mnie, bo tak bardzo pragnęłam dziecka. Że to moja wina. Że zrobił to z miłości do mnie.

Bob wbił we mnie baczne spojrzenie i powoli powtórzył: – Glen porwał ją dla siebie, Jean. Nikt inny nie ponosi winy. Ani Dawn, ani ty.

Czułam się jak zanurzona pod wodą, wszystkie obrazy i dźwięki docierały do mnie niewyraźne, przytłumione. Miałam wrażenie, że tonę. Zdawało mi się, że minęły długie godziny, zanim Bob w końcu pomógł mi wstać, zarzucił płaszcz na ramiona i wziął mnie za rękę. Odwróciłam się i wyszeptałam:

– Do widzenia, kochanie.

Potem poszliśmy w stronę niebieskich świateł migających wśród drzew.

Oglądałam pogrzeb w telewizji. Na wieku białej trumienki leżał bukiet różyczek. Z całego kraju przyjechały setki ludzi. Ja nie mogłam uczestniczyć w uroczystościach. Dawn wystąpiła do sądu o zakaz. Próbowaliśmy się odwołać, ale sędzia przychylił się do opinii psychiatry i orzekł, że byłoby to dla mnie zbyt ciężkie przeżycie.

Mimo to i tak tam byłam.

Bella wiedziała, że jestem przy niej, i tylko to się liczy.

## Podziękowania

Siostrze Ursuli z Instytutu Błogosławionej Dziewicy Maryi za to, że zapaliła światło.

Tym, którzy pomogli zmienić żarówkę: moim rodzicom Davidowi i Jeanne Thurlow, mojej siostrze Jo West, a także Rachel Bletchly, Carol Maloney, Jennifer Sherwood, Wendy Turner, Rickowi Lee i Jane McGuinn.

Ekspertom: byłemu nadkomisarzowi Colinowi Suttonowi, który czuwał nad poprawnością szczegółów dotyczących pracy policji, oraz Johnowi Carrowi, chodzącej encyklopedii wiedzy o bezpieczeństwie dzieci w Internecie.

Mojej wspaniałej agentce Madeleine Milburn, redaktorkom Danielle Perez i Frankie Gray oraz wszystkim w Transworld i NAL/Penguin Random House za motywację, cierpliwość i wytrwałość, dzięki którym *Wdowa* trafiła do druku.

